

Najlepsze opowiadania s.f.

Antologia SF



calibre 0.9.43

ISAAC ASIMOV

**przedstawia najlepsze opowiadania
science-fiction
(1958)**

Tytuł oryginału: Isaac Asimov presents the great sf stories: 20, (1958)

Poul Anderson Ostatni wybawcy ludzkości	6
Isaac Asimov Poczucie siły.....	20
Brian W. Aldiss Biedny mały wojownik.....	31
Robert Silverberg Żelazny kanclerz.....	39
Robert Sheckley Nagroda za ryzyko.....	60
Avram Davidson A wszystkie morza będą pełne ostryg.....	79
Cyril M. Kornbluth Dwa przeznaczenia.....	91
Clifford D. Simak Wielkie frontowe podwórze.....	141
Cordwainer Smith Dezintegracja mózgu.....	184
I Dolores Oh.....	186
II Zagubione zamknięte pole.....	189
III Sekret starego mózgu.....	190
Rog Phillips Żółta pigułka.....	195
Katherine MacLean Nieludzkie poświęcenie.....	209
James E. Gunn Nieśmiertelni.....	239

Wstęp

Rok 1958 był pełen wydarzeń. Ukazały się w nim takie dzieła, jak Zawrót głowy (Vertigo) Alfreda Hitchcocka i Dotknięcie zła (Touch of Evil) Orsona Wellesa. Innymi ważnymi filmami roku były Południowy Pacyfik (South Pacific), Gigi, Młode lwy (The Young Lions), Auntie Mame, Kotka na gorącym blaszanym dachu (Cat On A Hot Tin Roof) z Elizabeth Taylor i Paulem Newmanem, oraz Separata Tables Delberta Manna. Oskara za najlepszy film zdobyć mógł tylko jeden obraz. Był nim Gigi.

W sporcie "Yankees" wygrali World Series przed "Milwaukee", "Tim Tam" wygrał Kentucky Derby, a Althea Gibson wygrał US Open. Największym wydarzeniem roku był jednak mecz "Baltimore" z "Giants" w mistrzostwach NFL. Ten mecz niektórzy uważają za najlepszy w historii świata. Wygrywające przyłożenie uzyskał w nim Alan "The Horse" Ameche, bratanek aktora Dona Ameche'a.

W tym przełomowym roku ukazały się: Lodowy Pałac (Ice Palace) Edny Ferber, Doktor Żywago Borysa Pasternaka, Tylko w Ameryce (Only In America) Harry'ego Goldeny, Lolita Władimira Nabokowa i Anatomia morderstwa (Anatomy Of A Murder) Roberta Traver'a. Za najlepsze książki roku zostały jednak uznane Dear Abby Abigail Van Buren i The Sundial Shirley Jackson. Tego roku otwarto pierwszą restaurację sieci Pizza Hut.

Za najlepsze przedstawienie roku uznano Sunrise At Campobello z Ralphem Bellamyem jako FDR. Międzynarodowy Konkurs Czajkowskiego wygrał rewelacyjny Van Cliburn. NASA zostało powołane do życia w roku 1958, aby doprowadzić do podróży człowieka w kosmos. James Van Allen odkrył pasy radiacyjne wokół ziemi, które nazwano na cześć odkrywcy jego imieniem. Firma "Decca" wytoczyła pierwszą płytę stereofoniczną.

Śmierć zabrała tego roku papieża Piusa XII, Mike'a Tokke'a, RONALDA COLMANA, Tyrone'a Powera, Christiana Diora, W.C. Handy'ego i Roberta Donata. Mel Brooks stał się Melem Brooksem.

Rok ten okazał się wreszcie owocny dla amerykańskiej astronautyki. Z przylądka Canaveral udało się wystrzelić pierwszego amerykańskiego sztucznego satelitę ziemi.

Bliski Wschód dalej pozostał Bliskim Wschodem. Seria krwawych zamieszek w Bejrucie doprowadziła do wylądowania tam amerykańskich marines. Egipt, Syria i Jemen połączyły się w Zjednoczoną Republikę Arabską, która rozpadła się trzy lata później. Charles de Gaulle zaczął przewodzić Francji i aby powstrzymać przewrót wojskowy, ustanowił Piątą Republikę. Fidel Castro dalej walczył z Batistą na Kubie. Alaska stała się stanem. Wybuchł wielki skandal, który doprowadził do rezygnacji sekretarza stanu, Shermana Adamsa.

W kulturze pop powstały takie utwory, jak "Tom Dooley", "Bird Dog", "Twilight Time" Plattersów, "Pink Shoe Laces", "Fever". Jonny Cash zaśpiewał swoją "Ballad of Teenage Queen". Najlepszym musicalem na Broadwayu był Flower Drum Song. W telewizji wydarzeniami były Poszukiwany: żywy lub martwy (Wanted: Dead or Alive) ze Steve'em McQueenem i The Donna Reed Show.

W świecie science-fiction ukazało się dużo dobrych opowiadań, ale nie był to najlepszy rok. W wieku 35 lat zmarł Cyril M. Kornbluth i w wieku 45 lat - Henry Kuttner.

Nadal trwała eksplozja wydawnictw proponujących tanie książki w papierowych okładkach. Poznaliśmy takie utwory, jak Immortality Delivered Roberta Sheckleya, The Space Willies Erica Franka Russella, The Cosmic Rape Theodore'a Sturgeona, Of Men and Mon-sters Williama Tenna, The Edge of Time Donalda A. Wollheima, The Path of Unreason George'a O. Smitha, Undersea City Frederika Pohla i Jacka Williamsona, The Lincoln Hunters Wilsona Tuckera, A Touch of Strange Theodore'a Sturgeona, The Languages of Pao Jacka Vance'a i Invaders from Earth Roberta Silverberga.

Jeżeli chodzi o rynek magazynów, to sprawa przedstawia się niedobrze. Padło ich aż pięć: "Science Fiction Quarterly", "Science Fiction Adventures", "Imagination Science Fiction", "Space Travel" i "Infinity Science Fiction". Ten ostatni uważałem za szczególnie wartościowy. Dodatkowo dwa nowo powstałe i bardzo obiecujące magazyny zdołały ukazać się tylko raz i zaraz padły. "Yenture Science Fiction" połączył się z "The Magazine of Fantasy and Science Fiction". Nie wiodło im się w dalszym ciągu najlepiej, dopiero stworzenie firmy wydawniczej Contributing Science Editor przez Isaaca Asimova stanowiło punkt zwrotny. Robert Milles zastąpił Anthony'ego Buchera jako edytora "S & SF", a Domon Knight zaczął wydawać "IF".

W tym pamiętnym roku 1958 powstało dużo dobrych filmów z dziedziny SF: The Brain From Planet Arous, Escapement, Strange World of Planet X, lubieżny She Demons, niezapomniany Attack of the Fifty Foot Woman, War of the Satellites, niedoceniany Fiend Without A Face, The Space Children, dosadny The Colossus of New York, TT!, Terror From Beyond Space, The Queen of Outer Space, w którym tytułową rolę grała Zsa Zsa Gabor, War of the Colossal Beast, Attack of the Puppet People, The Blob (w głównej roli: Steve McQueen), mydlany I Married a Monster From Outer Space, The Trollenberg Terror, The Spider Terror, From the Year 5000, The Brain Eaters, From the Earth to the Moon, The Lost Missile i Night of the Blood Beast.

Cała rodzina zebrała się w Los Angeles na XVI Światowej Konferencji Literatry Science-Fiction. Nagrody Hugo zdobyły: The Big

Time Fritza Leibera, "A wszystkie morza będą pełne ostryg..." ("Or All the Seas with Oysters") opowiadanie drukowane w niniejszym tomie) Avrama Davidsona, The Magazine of Fantasy and Science Fiction, Frand Kelly dla najlepszego artysty, The Incredible Shrinking Man dla najlepszego filmu i Walt Willis za rolę "Actifana".

Zapraszamy państwa do podróży wstecz, do tego zasłużonego, lecz tragicznego roku 1958. Polecamy państwu najlepsze opowiadania, jakie zostały nam w spadku po nim.

Tłumaczył Andrzej Wieczorek

Ostatni wybawcy ludzkości

(The Last of the Deliverers) Poul Anderson
(ur. 1926)

O karierze Poula Andersona pisałem już kilka razy w tej serii. Teraz trzeba powiedzieć, że stale rośnie jego sława, ciągle tworzy cudowną fantastykę naukową i coraz więcej równie cudownych utworów fantasy.

Opowiadanie "Ostatni wybawcy ludzkości" ukazuje przyszły, zdecentralizowany system polityczny, gdzie żadna urzędowa ideologia nie jest konieczna, ale niektóre ludzkie istoty trzymają się kurczowo starych przekonań. Poul zdołał fanatyzm i krańcowa samotność tych ludzi uchwycić z umiejętnością i wyczuciem, które przenikają całe jego opowiadanie.

(Martin H. Greenberg)

Katherine MacLeans w opowiadaniu pt. "Nieludzkie poświęcenie", pomieszczonym w niniejszym tomie, porusza zagadnienie misji w religijnym znaczeniu tego słowa.

Nie wszyscy jednak misjonarze zajmują się rozpowszechnianiem religijnych prawd lub tego, co za nie uważają.

Każdy człowiek wierzy w coś, co nie poddaje się racjonalnym badaniom. Przykładowo, moją idee fix stanowi to, że świat byłby przyjemniejszym i bardziej czystym miejscem, gdyby w jakimś danym roku drużyna baseballowa "New York Mets" zdobyła tytuł, a potem Puchar Świata.

Żadna liczba oznak, że w danym roku "Mets" nie mogą osiągnąć tych zwycięstw, nie zachwiałyby moim przekonaniem. Żadne racjonalne przesłanki, że nie ma to znaczenia, która drużyna baseballowa zwycięży w jakimś roku, oraz że sytuacja, w której każda drużyna wygrywałaby czasami, jest faktycznie lepsza dla baseballu jako całości, nie wyperswaduje mi moich poglądów.

Takie irracjonalizmy, dopóki dotyczą baseballu lub innych podobnie banalnych rzeczy (och, wybacz mi, potężny duchu, Babe Ruth), nie wyrządzają tak naprawdę szkody. Mogą nawet pomóc w rozładowaniu mojej, z natury, wojowniczej i skorej do bójki osobowości w nieszkodliwych potyczkach.

Ale istnieją polityczne i ekonomiczne wierzenia, które posiadają siłę prawie religijnego fanatyzmu i które mogą wywoływać niebezpieczne konflikty pomimo, wydawałoby się, braku powodu. Satyra Poula Andersona to właśnie przedstawia. (Oczywiście, Poul jest liberałem, i któregoś dnia mogę go za to walnąć pięścią w nos, mimo że bardzo go lubię.)

(Isaac Asimov)

Gdy byłem mały (nie skończyłem jeszcze dziewięciu lat), w naszym miasteczku mieszkał stary człowiek, którego ludzie nazywali szaleńcem. Miał prawie sto lat i nie posiadał rodziny. W tamtych czasach w każdym mieście byli ludzie, którzy nie mieli żadnych krewnych.

Wujaszek Jim był nieszkodliwy, a nawet użyteczny. Chciał pracować i załatać chociaż kilka butów. Jego warsztat był zawsze czysty i schludny. Kiedy stanąłeś tam wśród zapachu skóry i oliwy, mogłeś z tyłu, za warsztatem, zobaczyć jego mieszkanie. Nie miał wielu książek, ale półka za półką załadowane były wysokimi, błyszczącymi stosami papierów zawiniętych w plastik, pożółkły już ze starości i zgrzybiały jak ich właściciel. Nazywał je swoimi magazynami. Jeżeli my, dzieci, zachowywałyśmy się grzecznie, czasem pozwalał nam popatrzeć na obrazki w środku. Po jego śmierci miałem okazję przeczytać teksty. Były zupełnie pozbawione sensu. Nikt nie obawiałby się rzeczy, które ludzi z tych opowiadań i artykułów ogromnie niepokoiły. Miał także wielki, antyczny telewizor. Zastanawiające było to, dlaczego przechowywał go, skoro nic nie mógł na nim odbierać z wyjątkiem ogłoszeń, a miasto miało przecież doskonały odbiornik. Naprawdę, nie wiem. No, dobrze, był szalony.

Każdego ranka spacerował w dół Main Street. Większość drzew, rosnących wzdłuż tej ulicy, stanowiły wiązy, wysokie i zacieniające latem drogę. Tylko czasem złoty promyk słońca przedarł się przez listowie. Wujaszek Jim odziewał zawsze swe długie, sztywne ciało w starożytne, bez mała, ubranie. Nieważne było, czy dzień był upalny, a w Ohio może być bardzo gorąco. Bez wątpienia cień, który dawały drzewa, był powodem takiej trasy spaceru. Wujaszek nosił wystrzępione białe koszule z wytartymi kołnierzykami, pasek materiału zawiązany wokół szyi, długie spodnie, coś w rodzaju niezgrabnej marynarki i ciasne buty, które uwierały go w stopy. Widok był żalospny. My jako dzieci byliśmy młodzi i okrutni. Ponieważ nigdy nie widzieliśmy go bez ubrania, myśleliśmy, że musi ukrywać jakąś okropną deformację ciała i nagabywaliśmy go o to bez przerwy. Jim nigdy nie wykorzystał naszych wybryków przeciw nam. Właściwie to zwykle dawał nam cukierki, które sam robił, dopóki nie wmieszał się dentysta. Potem wysłuchaliśmy przemowy naszych rodziców i dowiedzieliśmy się, że cukier niszczy zęby.

W końcu zdecydowaliśmy, że Wujaszek Jim (tak go nazywaliśmy bez uściślenia, czy jest czymkolwiek wujkiem, gdyż w rzeczywistości nie był naszym) nosi te wszystkie rzeczy jako swego rodzaju tło dla guzika z napisem "Zwycięstwo dla Willarda". Pewnego razu zapytałem go o to i dowiedziałem się, że Willard był ostatnim republikańskim prezydentem Stanów Zjednoczonych i wielkim człowiekiem, który próbował powstrzymać nieszczęście. Było już jednak za późno, gdyż ludzie pograżyli się zbyt głęboko w gnuśności i dekadencji. Zbyt trudne było to do pojęcia dziewięcioletniego chłopca i do dziś jeszcze tego tak naprawdę nie rozumiem, z jednym wyjątkiem. Wiem, że wtedy miasta nie rządziły się same, a mieszkańcy kraju podzieleni byli na dwie wielkie grupy, które nawet nie były klanami, ale które bardziej lub mniej wpływały na wybór prezydenta. Nie był on rozjemcą pomiędzy miastami czy stanami, ale trzymał w garści wszystko.

Wujaszek Jim zwykle szedł w dół Main Street obok Ratusza i elektrowni słonecznej, potem skręcał obok fontanny, przechodził obok domu Conrada, stryjecznego dziadka mojego ojca, i dalej aż do krańców miasta, gdzie rozciągały się pola i łąki. Przy porcie lotniczym skręcał i wracał obok

Josepha Anakeliana, gdzie zawsze rzucał okiem na ręczne krosna i szyjąc z nich, opowiadał o automatycznej maszynerii. Ciekawe, co miał przeciwko ręcznemu tkaniu?. Nie wiem, bo przecież tkalnia Josepha była sławna. Wujaszek robił także zgryźliwe uwagi na temat naszego małego lotniska i pół tuzina miejskich fruwaczy. To nie było w porządku. Mieliśmy autostrady i wystarczająco wiele fruwaczy na potrzeby naszych dłuższych podróży. Nigdy nie zdarzyło się, by więcej niż sześć grup podróżnych wyjeżdżało gdzieś jednocześnie z miasteczka tej wielkości co nasze.

Ale chciałem powiedzieć o Komuniście.

To było wiosną. Śnieg roztopił się i ziemia zaczęła przesychać, a nasi farmerzy wyszli siał. Reszta ludzi z naszego miasteczka krzątała się wokół przygotowań do fety, gotując i piekąc. Och, co za zapachy unosiły się w powietrzu. Kobiety wymieniały przepisy kulinarne, rzemieślnicy stukali młotkami, szyli i spawali. Sznury do prania obwieszane były świątecznymi ubraniami wyciągniętymi z zimowych skrzyń, zakochani trzymali się za ręce i szeptali o nadchodzących uroczystościach. Red, Bob, Śmierdziel i ja graliśmy w kulki obok lotniska. Dawniej rzucaliśmy nożami do celu, ale jakies dzieci kaleczyły nimi drzewa i starsi ustanowili przepis, że żadne dziecko nie może nosić noża, dopóki nie dorośnie.

Był ciepły i przyjemny poranek. Niebo było niebieskie, prawie lazurowe, a słońce przeświecało przez puszyste białe obłoki i padało prosto na ziemię. Wzgórza pokryte były pierwszą bladą jeszcze zielenią. Pył unosił się z miejsc, gdzie padały nasze kulki. Lekki wietrzyk wiał z południa, delikatnie dotykając mojej skóry i rozwiewając mi włosy. Świat, pora roku i my byliśmy młodzi.

Zamierzaliśmy właśnie skończyć zabawę, wziąć nasze strzelby i iść do lasu, by zapolować na króliki. Wtedy właśnie zobaczyliśmy Wujaszka Jima' i kuzyna mojej matki, Andy'ego. Wujaszek założył długi płaszcz na swoje zwykłe ubranie, a mimo to drżał ciągle, pochylony nad laską. Pomarszczone dłonie miał sine z zimna. Andy nosił kilt i sandały. Był naszym miejskim inżynierem, krępy męczyzną około czterdziestki.

W prehistorycznych czasach, przed moim przyjściem na świat, brał udział w ekspedycji na Marsa i to uczyniło go bohaterem w oczach nas - dzieci. Nigdy nie zrozumieliśmy, dlaczego nie został zuchwałym korsarzem. Miał co najmniej trzy tysiące książek, dwa razy więcej niż średnio każdy w naszym miasteczku. Spędzał dużo czasu z Wujaszkiem Jimem i właściwie nie wiedziałem dlaczego. Teraz sądzę, że próbował dowiedzieć się od niego czegoś o przeszłości. Nie o martwej, zmumifikowanej w historycznych książkach, ale o ludziach, którzy kiedyś byli żywi.

Stary człowiek spojrzał na nas i powiedział:

- Wy, chłopcy, nie ubieracie się zbyt ciepło. Możecie nabawić się śmiertelnego przeziębienia.

Głos miał wysoki i piskliwy, ale mocny. Po wielu latach samotnego życia musiał nauczyć się, jak dbać o siebie.

- Ech, bzdury - powiedział Andy. - Założę się, że w słońcu jest ze szesnaście stopni.

- Mieliśmy iść na króliki - powiedziałem poważnie. - Przyniosę swojego do ciebie i twoja żona może zrobić nam z niego potrawkę.

Jak wszystkie dzieci, spędzałem tak wiele czasu z krewnymi, jak tylko pozwalali moi przybrani rodzice, ale najbardziej lubiłem rodzinę Andy'ego. Jego żona była wspaniałą kucharką, jego starszy syn był najlepszy ze wszystkich w grze na gitarze, a córka grała w szachy prawie tak szybko jak ja, jednak ani zbyt dobrze, ani zbyt źle, jak na mój gust.

Wygrałem większość kulek, a teraz zwróciłem je z powrotem.

- Kiedy byłem chłopcem - powiedział Wujaszek Jim - wygraną zatrzymywaliśmy na własność.

- A co się stało, gdy najlepszy wziął wszystkie kulki w mieście? - spytał Śmierdziel. - To bardzo trudno zrobić dobrą kulkę, Wujaszku. Nie mógłbym się wymienić, gdybym stracił wszystkie.

- Mógłbyś kupić więcej - odparł Wujaszek - bo były sklepy, gdzie można było dostać wszystko.

- Ale kto wyrabia te kulki?

- Były wytwórnie.

Wyobraźcie sobie wielkich, dorosłych mężczyzn, którzy spędzali czas na wyrabianiu kolorowych szklanych kulek!

Już prawie odchodziliśmy, gdy pojawił się Komunistą. Ujraliśmy go, kiedy okrążał kępę drzew w północnej ćwiartce, gdzie w zeszłym roku znajdowało się pastwisko. Szedł ulicą Middleton, a kurz unosił się spod jego gołych stóp.

Obcy w mieście jest zawsze wielką sensacją. My, dzieciaki, zaczęliśmy biec mu na spotkanie, ale Andy zatrzymał nas ostrymi słowami i przypomniał, że powinniśmy zachowywać się z właściwą uprzejmością. No to poczekaliśmy wytrzeszczając oczy, dopóki nie podszedł do nas. Był jakiś dziwnie zabiedzony. Był wysoki jak Wujaszek Jim, ale jego peleryna zwisała w strzępach wokół zapadniętej klatki piersiowej, w której mogłeś policzyć żebra. Był zupełnie łysy, tylko brudnobiała broda sięgała mu do pasa. Szedł ciężko, podpierając się kijem.

Andy zrobił krok naprzód i skinął głową.

- Pozdrawiamy i witamy, Wolnourodzony - powiedział. - Jestem Andrew Jackson Welles, miejski inżynier, i w imieniu mieszkańców proszę cię, abyś został, odpoczął i pokrzepił się.

Nigdy nie wypowiedziałby takich słów do kogoś, kogo znał, a zrobił to z wielkim szacunkiem. Potem Wujaszek Jim posłał obcemu uśmiech, który był jak odwilż po dziewięcioletniej zimie. Uśmiechnął się, gdyż tamten człowiek był tak stary jak on sam i urodził się w tym samym, zapomnianym świecie. Zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

- Witam pana. Nazywam się Robbins. Miło pana spotkać - powiedział.

- Dziękuję, towarzyszu Welles, towarzyszu Robbins - powiedział obcy. Jego uśmiech zagubił się gdzieś w plątaninie jego długich brudno-białych bokobrodów.

- Jestem Harry Miller.

- Towarzyszu! - Wujaszek Jim wypowiedział to słowo powoli i jednocześnie szybko cofnął dłoń.
- Co chciałeś przez to powiedzieć?

Włóczęga zeszywniał i spojrzał na nas w sposób, który mnie przeraził.

Znaczy to, co powiedziałem - odparł dumnie. - Jestem Harry Miller z Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych Ameryki!

Wujaszek Jim westchnął głośno.

- Ale... ale sądziłem... przypuszczałem... myślałem, że wszystkie te szczury wymarły - wyjąkał.

- Teraz przestań gadać - powiedział Andy. - Wybacz, Wolnourodzony. Nasz przyjaciel nie jest, hmm, nie jest całkiem sobą. Błagam, nie bierz tego do siebie.

Zawziętość zabrzmiała w głosie Millera.

- O, nie myślałem tak. Byłem nazywany gorzej niż przed chwilą. -I zasługiwałeś na to!

Nigdy wcześniej nie widziałem rozzłoszczonego Wujaszka Jima. Twarz mu poczerwieniła i cisnął łaską o ziemię.

- Andy, ten... ten człowiek jest zdrajcą! Słyszysz mnie? Jest obcym agentem!

- Myślisz, że przyszedł prosto z Rosji? - zamruczał Andy.

My, chłopcy, skupiliśmy się w pobliżu, nadstawiając uszu. Przybysz stanowił niespotykany

widok.

- Nie - powiedział Miller. - Nie. Jestem z Pittsburgha. Nigdy nie byłem w Rosji i nigdy nie chciałbym tam trafić. To zbyt okropne. Oni mieli kiedyś socjalizm.

- Nic nam nie wiadomo, żeby ktoś pozostał w Pittsburghu - zauważył Andy. - Byłem tam w ubiegłym roku z ekipą ratowniczą po stal i miedź. Nie widzieliśmy niczego oprócz ptaków.

- Dwoje. Dwoje nas zostało. Moja żona i ja. Ale ona umarła i nie mogłem wytrzymać w tym pustym, zniszczonym mieście, więc ruszyłem w drogę.

- I możesz z powrotem tam wrócić - burknął Wujaszek Jim.

- Proszę, bądź cicho! - odezwał się Andy. - Chodźmy do miasta, Wolnourodzony Miller. Towarzyszu Miller, jeśli wolisz. Czy mogę prosić cię, byś zatrzymał się w moim domu?

Wujaszek Jim schwycił go za ramię. Trząśnięty jak uschnięty liść na bezlitosnym, jesiennym wietrze.

- Nie możesz! - wrzasnął. - Czy nie rozumiesz? Zatruje nasze umysły, obali ciebie, staniemy się niewolnikami jego i jego zgrai bandytów!

- To wygląda jakbyś ty miał troszeczkę zatruty umysł, panie Robbins - powiedział Miller.

Wujaszek Jim zastygł na chwilę w bezruchu, pochylił głowę ku ziemi i gorzkie łzy wypełniły oczy starego człowieka. Potem podniósł głowę i duma zabrzmiała w jego słowach:

- Jestem Republikaninem.

- Tak myślałem. - Komunista zerknął wokoło i w zamyśleniu pokiwał głową. - Typowa burżuazyjna pseudokultura. Patrzcie na tych ludzi: każdy na swym własnym traktorku, na własnym poletku ściska swój własny malutki egoizm.

Andy podrapał się w głowę.

- O czym ty mówisz, Wolnourodzony? - spytał. - To miejskie maszyny. Kto by chciał utrzymywać własny traktor, pług i żniwiarkę?

- Och!... mówisz, że...

Dostrzegłem błysk zaskoczenia w oczach Komunisty. Rozwarł powoli swe ręce. To były wielkie dłonie! Tuż pod wysuszoną skórą widziałem kości.

- Mówisz, że uprawiają ziemię kolektywnie?

- Ależ nie, dlaczego. Cóż mogłoby być tego powodem? - odpowiedział Andy. - Ludzie mają prawo do tego, co sami wyhodują, czyż nie?

- A ziemia, która powinna być własnością wszystkich ludzi, jest podzielona pomiędzy tych kulałów - wybuchnął Miller.

- Jak, do diabła, ziemia może być czyjąkolwiek własnością? To jest... to jest ziemia. Nie możesz włożyć sobie czterystu hektarów do kieszeni i odejść z nimi. - Andy wziął głęboki oddech. - Musiałeś być całkiem odcięty od świata w tym Pittsburghu. Zjadałeś jakieś starożytne puszkowane paskudztwo, tak? Myślę, że tak. To wystarczy za wyjaśnienia. Popatrz, ten tam kawałek jest zasiany kukurydzą przez Glenna, kuzyna mojej matki. To jego kukurydza, którą wymieni na cokolwiek, czego będzie potrzebował. Ale w przyszłym roku, aby użyźnić glebę, zostanie tam zasiana lucerna, a syn mojej siostry, Willy, będzie ją uprawiał. Co do ogrodowych warzyw i owoców, to większość z nas ma swój własny ogródek, gdzie codziennie wypoczywa na świeżym powietrzu.

Nasz gość jakby przygasł.

- To nie ma sensu - powiedział. Można było zauważyć, jak bardzo jest zmęczony. Marsz z Pittsburgha musiał być długi. Miller żywił się pewnie tym, co dostał od Cyganów i samotnych

farmerów.

- Zgadzam się całkowicie - odezwał się Wujaszek Jim z czymś w rodzaju wymuszonego uśmiechu na ustach. - W czasach mojego ojca... - zaczął i po chwili umilkł.

Wiedziałem, że jego ojciec zginął w czasie jakiejś wojny koreańskiej, kiedy on sam był jeszcze dzieckiem. Wujaszek pamiętał o tym zawsze i był w jakiś sposób dumny z tej śmierci. Ja pamiętałem inną wersję historii, której nauczał w naszym miasteczku Wolnourodzony Levinsohn. On wiedział najlepiej. Gęsia skórka pokryła mi całe ciało. Komuniści! Dlaczego zabijali i torturowali Amerykanów?... Ten Komuniista był tylko wynędzniałym strzępem człowieka, który nie potrafiłby zabić muchy. To było bardzo dziwne.

Ruszyliśmy w stronę ratusza. Ludzie zobaczyli nas i zaczęli gromadzić się wokół, przyglądając się i szepecząc na ile tylko pozwalała przyzwoitość. Kroczyłem dumny z Redem, Bobem i Śmierdzielem po prawej stronie obcego, prawdziwego, żywego Komunisty, czując na sobie spojrzenia innych dzieci.

Przeszliśmy obok tkalni Josepha. Jego rodzina i uczniowie wyszli, by dołączyć do gapiów. Miller splunął na ulicę.

- Wyobrażam sobie, że ci ludzie są robotnikami najemnymi - powiedział.
- Nie możesz wymagać od nich pracy za darmo, prawda? - spytał Andy.
- Powinni pracować dla ogólnego dobra.
- Robią to. Ile razy ktoś potrzebuje ciepłej odzieży czy koca, Joseph zbiera swych chłopaków i wykonują to. Możesz u niego kupić towar lepszy od tego, który większość kobiet potrafi zrobić w domu.

- Znam. To burżuazyjny wyzysk - odparł.
- Chciałbym, żeby tak było - powiedział Wujaszek Jim przez zaciśnięte zęby.
- Chciałbyś - zakpił Miller.
- Ale nie jest. Nie ma dziś żadnej przedsiębiorczości. Żadnego ducha współzawodnictwa, żadnych chęci do podnoszenia swego życiowego standardu, żadnego... Ludzie kupują, co im potrzeba, i noszą, dopóki się nie zniszczy, a to znaczy, że prawie na zawsze.

Wujaszek machnął swą laską w powietrzu.

- Mówię ci, Andy, kraj zmierza do unicestwienia. Gospodarka jest w zastoju. Interes stał się skupiskiem niewiarygodnie małych sklepików i ludzi wytwarzających dla siebie to, co dawniej kupowali!

- Myślę, że mamy całkiem dobrą żywność, ubrania i domy - odpowiedział Andy.
- A gdzie twój... twój postęp? Gdzie jest przedsiębiorczość, która 'uczyniła Amerykę wielką?

Popatrz, twoja żona nosi taką samą suknię,
w jaką ubierała się jej matka. Używasz fruwacza, który był zbudowany w czasach twojego ojca. Nie chcesz nic lepszego?

- Nasze maszyny pracują wystarczająco dobrze. - Andy powiedział to ze znudzeniem w głosie. To były jego stare argumenty, podczas gdy Komuniści były czymś nowym.

Dojrzałem zniszczoną pelerynę Millera, który skręcał do sklepu stolarza Si Johansena, i poszedłem za nim. Si właśnie robił komodę dla George'a Hulme'a, który ożenił się tej wiosny. Odłożył narzędzia i niezbyt grzecznie odpowiadał Millerowi:

- Tak... tak, Wolnourodzony. Pewnie, że pracuję tutaj. Organizacja socjalna? Po co? O tym myślisz? Ale moi uczniowie mają wystarczająco dobre warunki do pracy. Co trzy dni, wolne,

cholera. Nie, nie są gnębieni. Do diabła, przecież to moi krewni! Ale tutaj nie ma żadnego człowieka, który nie miałby dobrych mebli. Chyba, że jest wszawym stolarzem i zbyt zarozumiałym, by pomóc innym.

- A ludzie na całym świecie - wrzasnął Miller. - Nie masz odrobiny serca, człowieku? Co z meksykańskimi peonami?

Si Johansen wzruszył ramionami.

- Co z nimi? Jeżeli chcą żyć tam u siebie w inny sposób, to ich sprawa.

Odłożył elektryczną szlifierkę i krzyknął do swoich uczniów, że przez resztę dnia mogą odpoczywać. Mogli to i tak zrobić, ale Si był odrobinę apodyktyczny.

Andy wyciągnął Millera z powrotem na ulicę. W ratuszu przyjął ich burmistrz, który wrócił właśnie z pola. Ponieważ została przepowiedziana dobra pogoda na cały tydzień, zdecydowaliśmy, że nie ma się co śpieszyć z zasiewami i spędzimy popołudnie witając naszego gościa.

- Banda nierobów - prychnął Wujaszek Jim. - Wasi przodkowie zostawali przy pracy, dopóki jej nie skończyli.

- Zostanie skończona na czas - powiedział łagodnie burmistrz, jakby tłumaczył dziecku. - Po co ten pośpiech?

- Pośpiech? Zając się czymś, skończyć i zacząć coś innego. Tak należy robić, żeby lepiej żyć.

- Dla zysku twoich wyzyskiwaczy? - zapytał z ironią Miller. Stał na schodach ratusza i wyglądał jak zagłodzony, rozzłoszczony kogut.

- Kto to jest wyzyskiwacz? - Burmistrz był równie zakłopotany jak ja.

- No... wielki biznesmen... no...

- Tutaj nie ma ani jednego biznesmena - powiedział Wujaszek Jim. Gdy to mówił, jego twarz ożywiła się nieco.

- Nasi sklepikarze? Nie. Oni tylko chcą zarobić na życie. Oni nigdy nawet nie słyszeli o zysku. Są zbyt leniwi, by się rozwijać.

- Więc dlaczego nie macie socjalizmu? - Miller rozglądał się wokoło, jakby szukając jakiegoś ukrytego wroga.

- Każda rodzina dla siebie. A gdzie wasza solidarność?

- Żyjemy zgodnie między sobą, Wolnourodzony - powiedział burmistrz - i mamy sądy, by rozstrzygały każdy spór.

- Ale nie chcecie iść naprzód, rozwijać się, iść...

- Nam wystarczy - przerwał burmistrz, klepiąc się po brzuchu. - Nie mogę zjeść więcej niż jem.

- Ale możesz ubierać się lepiej! - krzyknął Wujaszek Jim.

Biedny, szalony człowiek wskoczył na schody i zatańczył nam przed oczami jak kukielka w objazdowym teatryku.

- Mógłbyś mieć własny samochód, co roku nowy model z pięknymi, chromowanymi blachami, i nowe maszyny, by ułatwić sobie pracę, i...

- I kupując te szmaty, mam na myśli ubranie, sprzedałbyś kapitalistom swe życie - wpadł mu w słowo Miller. - Ludzie muszą produkować dla ludzi.

Andy z burmistrzem wymienili spojrzenia.

- Posłuchaj, Wolnourodzony - powiedział Andy. - Nie myśl, że zdobyłeś punkt. Nie chcemy takich gadżetów. To nieopłacalne projektować i wytwarzać, aby otrzymać więcej, niż mamy, podczas gdy na wiosnę są dziewczyny do kochania, a jesienią polowanie na jelenie. I kiedy pracujemy,

pracujemy raczej dla siebie niż dla kogoś jeszcze, jakbyś go nazwał, kapitalistą czy ludem. Teraz chodźmy usiąść i nie przejmujmy się tym wszystkim przed obiadem.

Wciśnięty pomiędzy nogi ludzi, słyszałem, jak Si Jahansen mruczy do Jasepha Arakeliana:

- Nie potrzebuję tego. Co byśmy robili z tymi maszynami? Gdyby jakaś cholerna maszyna produkowała za mnie meble, to co miałbym zrobić z rękami?

Joseph wzniósł ramiona.

- Walnij mnie, Si, ale ja osobiście trafiłbym do czubków, gdybym zobaczył dwóch ludzi noszących identyczne ubranie.

- To mogłoby być całkiem fajne - powiedział Red - mieć taki samochód, jaki widziałem w magazynach Wujaszka Jima.

- Gdzie byś nim jeździł? - spytał Bob.

- Gadanie... Nie wiem, może do Kanady. Ale z drugiej strony, mogę tam jechać za każdym razem, kiedy powiem tacie, że sprawdzam fruwanca.

- Pewnie - powiedział Bob - a jeżeli masz mniej niż sto sześćdziesiąt kilometrów na liczniku, dostaniesz konia, prawda? Kto by chciał jakiegoś starego grata?

Prześliznąłem się jak wąż przez tłum w stronę placu, gdzie kobiety zastawiały stoły i przynosiły potrawy na bankiet. Tłum był tak gęsty wokół miejsca, gdzie stał nasz gość, że nie mogłem docisnąć się blisko. Razem ze Śmierdzielem pobiegliśmy do drzewa, ogromnego, szarego dębu, i p odczołgaliśmy się wzdłuż konaru, aż zawisliśmy akurat nad głową Millera. Była goła i pokryta wątrobowymi plamami. Trzęsa się na jego cienkiej szyi, a jej właściciel kręcił nią wokoło i mówił coś piskliwym głosem.

Andy i burmistrz siedzieli obok niego, pykając z fajek. Był też Wujaszek Jim; Ludzie pozwolili mu przyjść, aby móc się przysłuchiwać toczącej się dyskusji. Było to bezmyślne, ale skąd mogliśmy to wiedzieć? Wujaszek był zawsze łagodny, a przecież nigdy nie mieliśmy w miasteczku dwóch szaleńców.

-...siły reakcji - mówił towarzysz Miller. - Nie jestem całkowicie pewny, jakie siły spowodowały rozpad Związku Sowieckiego. Wiadomości trudno stamtąd docierały, niezbyt wiele było w telewizji. No tak, muszę stwierdzić, że jednak wątpię, aby kapitaliści czy Chińczycy stali za tą tragedią. Obydwa te systemy odeszły za daleko.

- Co więc stało się w Rosji? - zaciekawiał się Ed Mulligan. Był w mieście doradcą psychologicznym. Wcześniej wykładał w Menninger, po tym jak został wyrzucony z Kansas.

- Myślę, że faktycznym powodem było to, że Komuniści nie wpuścili tam nigdy wolności. Z tego, co czytałem, tak wynika.

- Co nazywasz wolnością? - szyderczo zapytał Miller. - Osobiście podejrzewam, że rewizjonizm przejął władzę. Wcześniej dopuszczono do korupcji. Cały biedny kraj był gwałcony na konto walki z kontrrewolucją.

- Teraz tak już nie jest - powiedział Wujaszek. - Ja również śledziłem wiadomości. Komuniści w Rosji byli skorumpowani i brali łapówki na własną rękę. Tyrani zawsze tak robią. Nie przewidzieli, jakie zmiany przyniosą nowe technologie, i wprowadzili je jak ślepcy. Szybko runęła żelazna kurtyna. Nikt już nie chciał ich słuchać.

- Całkiem nieźle, Jim - powiedział Andy. Zobaczył moją twarz pomiędzy gałązkami i mrugnął do mnie. - Było nieco okrucieństwa i przemocy, a przełom był bardziej skomplikowany, niż sądzisz, ale tak się to, z grubsza, odbyło. Kłopot w tym, że nie zauważasz, że zdarzyło się to także w USA.

Miller potrzęsnał swą jakby zasuszoną głową.

- Marks dowiódł, że postęp technologiczny oznacza nieunikniony rozwój aż do socjalizmu - powiedział. - No, wszystko zostało przyhamowane, ale ten dzień nadchodzi.

- Może i masz rację co do tego ostatniego momentu - powiedział Andy. - Ale widzisz, nauka i społeczeństwo poszły już dalej. Chyba mogę dać ci proste wyjaśnienie.

- Jak sobie chcesz - zrzędliwie mruknął Miller.

- W porządku. Przystudiowałem wnikliwie dzieje tego okresu. Technika umożliwiła to, że kilka osób i niewiele hektarów ziemi mogło wyżywić cały kraj, a miliony hektarów leżały odłogiem. Mogłeś je kupić za fistaszka. W tym czasie miasta stały się nadmiernie obłożone podatkami, kulało ich zarządzanie i zakorkowały się własnym ruchem ulicznym. Jednocześnie działały tanie elektrownie słoneczne i akumulatory o wielkiej wydajności. To pozwoliło ludziom zaspokajać swe własne potrzeby, nie tracąc zdrowia w pracy dla innych. Pozwoliło to również płacić inflacyjne ceny, których domagała się ekonomia, podczas gdy każdy mały interes był dotowany i chroniony przed zbyt wysokimi podatkami. Również, żyjąc w nowym stylu, ludzie ograniczyli swe dochody pieniężne do punktu, od którego nie musieli właściwie płacić żadnych podatków. Faktycznie żyli lepiej, pracując krócej. Coraz więcej ludzi uciekało i osiedlało się w małomiasteczkowych społecznościach. Mniej konsumowali, co spowodowało wielką recesję i doprowadziło do tego, że ciągle coraz więcej ludzi dawało sobie radę samemu. Wtedy wielki interes i organizacje pracownicze zauważyły, co się stało, i próbowały wprowadzić przepisy przeciwko temu, co nazywali nie amerykańskimi praktykami. Było już jednak za późno. Nikt się tym nie interesował. Widzisz, wszystko stało się stopniowo, ale stało się. I myślę, że tak jest lepiej.

- Paradne! - zawołał Miller.,- Jak to przewidział Marks dwieście lat temu, kapitalizm zbankrutował, ale jego demoralizujący wpływ był ciągle tak potężny, że zamiast przejść do kolektywizmu, cofnęliście się, by stać się wieśniakami.

- Proszę - powiedział burmistrz. Zauważyłem, że jest zirytowany i pomyślałem, że "wieśniacy" nie byli Wolnourodzonymi. - Może teraz coś zaśpiewamy? - zaproponował.

Chociaż nie było takiej potrzeby, uprzejmość wymagała, aby poprosić Millera, żeby wystąpił jako pierwszy. Gość wstał i drżącym głosem zaśpiewał coś o facecie, który nazywał się Joe Hill. Miało to niezłą melodię, ale nawet dziewięcioletni chłopiec, jakim byłem, wiedział, że to kiepska poezja. Dziecinne, męskie rymy a-b-c-b i nigdzie żadnej metafory. Poza tym kogo obchodziło, co przydarzyło się jakiemuś włóczędze, gdy mieliśmy swoje myśliwskie pieśni i opowiadania o badaczach międzyplanetarnych. Zadowolony byłem, gdy Andy wstał i zaprezentował nam kawałek męskiej muzyki.

Podano lunch. Ześliznąłem się z drzewa i znalazłem wolne miejsce obok nich. Towarzysz Miller i Wujaszek Jim spoglądali na siebie poprzez stół, ale nic już nie powiedzieli aż do końca posiłku w kilka godzin później. Ludzie stracili jakoś zainteresowanie obcym, gdy dowiedzieli się, że spędził wiele czasu w wymarłym mieście i przyszedł do nas, żeby potańczyć i pograć w karty. Andy krążył wokół nie dlatego, że na coś czekał, ale dlatego, że był przecież przewodnikiem Millera.

Komunista westchnął i wstał.

- Byliście dla mnie mili - powiedział.

- Myślałem, że jesteśmy bandą kapitalistów - przygryzł mu Wujaszek Jim.

- Człowiek. To jest to, co mnie interesuje. Gdziekolwiek żyje i w jakichkolwiek warunkach - powiedział Miller.

Wujaszek Jim chwycił swą laskę, podnosząc jednocześnie głos:

- Człowiek! Ty ośmielasz się dbać o człowieka. Ty, który go zabijałeś i zniewalałeś?

- Och! Przestań Jim - zniecierpliwił się Andy. - To było dawno temu. Kto myśli o tak odległych czasach?

- Ja! - Wujaszek zaczął krzyczeć. Spojrzał na Millera i ruszył w jego stronę. Ręce miał wyciągnięte, palce rozcapierzone.

- Oni zabili mojego ojca. Za ideały zginęło dziesiątki tysięcy ludzi. I ciebie to nie obchodzi! Cały ten cholerny kraj stracił swoje jaja!

Stałem pod drzewem zjedną ręką wspartą, dla wygody, o jego pień. Byłem nieco zaniepokojony, gdyż nic nie rozumiałem. Z pewnością Andy, który był wysłany przez Fundację Badań Zjednoczonych Miast w długą niebezpieczną drogę na Marsa, nie był tchórzem. Z pewnością mój ojciec, uprzejmy i pełen poczucia humoru mężczyzna, nie stracił odwagi. Co to było, czego przypuszczalnie chcieliśmy?

- Ty liżący buty, czołgający się lokaju! - wrzasnął Miller - To ty byłeś tym, który wymordował robotników i przywiązał ich synów do swoich durnych związków... i... i... co z meksykańskimi peonami?

Andy usiłował wejść pomiędzy nich. Miller walnął go kijem w głowę. Andy krwawił, więc cofnął się o krok. Wyglądał żałośnie. Starzy szaleńcy krzyczeli na siebie. Nie można było użyć siły wobec nich; można było ich pokaleczyć.

W tym właśnie momencie Andy wpadł na pomysł.

- W porządku, Wolnourodzony - powiedział szybko. - W porządku. Wysłuchamy cię. Możesz wystąpić dziś wieczorem. Tutaj w ratuszu. Wszyscy przyjdą i...

Było już jednak za późno. Wujaszek Jim i towarzysz Miller już walczyli. Zwarli się w uścisku, a oczy ich wypełniły się łzami, ponieważ obaj nie mieli siły, by zniszczyć to, co tak nienawidzili. Teraz myślę, że ta nienawiść wyrosła z zawiedzionej miłości. Obydwaj kochali nas w dziwny, okaleczony sposób, a nas to nie obchodziło.

Andy zabrał kilka osób. Rozdzielono walczących i zaprowadzono do różnych domów, aby odpoczęli. Kiedy doktor Simmons wpadł do Wujaszka Jima kilka godzin później, stwierdził, że ten uciekł. Doktor pobiegł do Komunisty, ale tego także nie było.

Dowiedziałem się potem wszystkiego, ale wtedy poszedłem grać w berka z innymi dziećmi. Bawiliśmy się tam, gdzie rzeka jest chłodna i ciemna. W tej samej rzece, następnego dnia rano, konstabl Thompson znalazł Komunistę i Republikanina. Nikt nie wiedział, jak to się stało. Musieli spotkać się koło drzew sami, w mroku, kiedy rozpalono ogniska i starsi bawili się przy nich, a zakochani odeszli do lasu. Tego tylko byliśmy pewni. Wyprawiliśmy im skromny pogrzeb. Przez tydzień było o czym opowiadać w miasteczku. Właściwie to cały region Ohio słyszał o tym. Ale wkrótce rozmowy ustały i starzy szaleńcy leżeli zapomniani. Stało się to w roku, kiedy Braterstwo zdobyło władzę na północy, a ludzie byli ciekawi, co z tego wyniknie. Dowiedzieli się następnej wiosny. Zostały zawarte przymierza i wojna przetoczyła się przez wzgórza. Banda Braterstwa, jak to zapowiedziała, wycięła na sprzedaż wszystkie drzewa i nie posadziła nowych. Takie zło nie może pozostać bez kary.

Tłumaczył Waldemar W. Pietraszek

Poczucie siły

(The Feeling of Power) Isaac Asimov (ur. 1920)

"Poczucie siły" - ten utwór spośród moich opowiadań jest jednym z najczęściej umieszczanych w antologiach. Jest to jeden z przypadków, kiedy pewne aspekty przyszłości widać jak na dłoni. Zrozumcie, nie chodzi o to, że wygłosiłem jakieś przepowiednie. Po prostu napisałem satyrę.

Po pierwsze, opisałem społeczeństwo, w którym kieszonkowe komputery są normalnym zjawiskiem. Zrobiłem to w 1958 roku, kiedy komputery Przypominały ogromne, ociążałe bestie. Akurat wtedy zaczęto przestawiać się na tranzystory, chociaż właściwie pokazuję wam, jak w niewielkim stopniu słuchałem siebie samego. Kiedy, za około piętnaście lat, kieszonkowe komputery stały się rzeczywistością, byłem na to zupełnie nie przygotowany. To tak jakbym opublikował właśnie książkę na temat: "Jak używać suwaka logarytmicznego", która natychmiast staje się równoważna utworowi o tym, jak używać cyfr rzymskich.

Po drugie, opisałem społeczeństwo, w którym obliczenia komputerowe stały się tak powszechne, że wszyscy, oprócz jednego człowieka, zapomnieli nawet o podstawach arytmetyki. (To nie jest zabawne, jak wicie. Czy rozpalisz ogień bez zapalki? A ludzie kiedyś wiedzieli, jak to zrobić.)

I faktycznie, obecnie nauczyciele obawiają się o uczniów, którzy nigdy nie nauczyli się, jak rozpracowywać proste zadania bez komputera. Sam się na tym czasami łapię. Jeżeli muszę odjąć 387 od 7933, nie biorę do ręki pióra i kartki papieru. Mówię: "Gdzie, do diabła, jest mój kalkulator?" Idę, biorę go i naciskam guziki.

W każdym razie czytając moją satyrę, zwróćcie uwagę na ponure odgłosy tu i ówdzie.

Jehan Shuman przywykł obcować z ludźmi u władzy na całej zawojowanej Ziemi. Był tylko cywilem, ale stworzył wzorce programowania, które zastosowano w samokształcących się komputerach wojennych najwyższej jakości. Generałowie wysłuchiwali go z tego powodu, a także przewodniczący debat w Kongresie.

Jedna z nich trwała właśnie w specjalnej sali nowego Pentagonu. Generał Weider był ogorzałym mężczyzną o małych ustach zaciśniętych do prawie niewidocznej fałdki. Kongresman Brant był gładkolicy i bystrooki. Palił tytoń z Deneba z pewnością kogoś, kogo patriotyzm był tak sławny, że jego właściciel mógł pozwolić sobie na taką swobodę. Shuman, wysoki, dystyngowany, Programista Pierwszej Klasy, podszedł do nich bez obaw.

- To, panowie, jest Ladislas Aub - powiedział.

- Więc to jest ten niezwykły talent, który odkrył pan przez przypadek - powiedział łagodnie kongresman Brant. - Ach!

Przyjrzał się z niezwykłą ciekawością niewielkiemu mężczyźnie z głową łysą jak jajko.

Mały człowieczek kręcił niespokojnie palcami. Nigdy wcześniej nie był tak blisko tak wielkich ludzi. Jako stary, niższego rzędu technik, który dawno temu zawałił wszystkie testy przeznaczone do wyłapywania talentów, został umieszczony w grupie niewykwalifikowanych robotników. Miał swoje hobby. Wielki Programista dowiedział się o tym i stąd całe to przerażające zamieszanie.

- Ta atmosfera tajemniczości to dziecinada! - powiedział generał Weider.

- Nie będzie pan tak uważał za minutę - odparł Shuman. - To nie jest coś, co potrafi pierwszy lepszy. Aub!

Było coś władczego w sposobie wymówienia tego jednosylabowe-go nazwiska. Po chwili Wielki Programista powiedział do zwykłego technika:

- Aub! Ile to jest dziewięć razy siedem?

Aub zawahał się chwilę, a jego wyblakłe oczy zamrugały z zakłopotaniem.

- Sześćdziesiąt trzy - powiedział. Kongresman Brant uniósł brwi.

- Czy to prawda?

- Niech pan sam sprawdzi.

Kongresman wyjął swój kieszonkowy komputer, nacisnął dwa razy, spojrział na jego wyświetlacz, mieszczący się na czubkach palców, i schował go do kieszeni.

- Czy to jest ten talent, dla którego ściągnąłeś nas tutaj, by go nam przedstawić? Iluzjonista?

- Więcej, proszę pana. Aub zapamiętał kilka operacji i za ich pomocą wykonuje obliczenia na papierze.

- Papierowy komputer? - spytał generał. Wyglądał na znudzonego.

- Nie, panie generale - odpowiedział cierpliwie Shuman. - Nie papierowy komputer. Po prostu kartka papieru. Generale, będzie pan tak uprzejmy i poda liczbę?

- Siedemnaście - powiedział generał.

- A pan, panie kongresmanie?

- Dwadzieścia trzy.

- Dobrze! Aub, pomnóż te liczby. I proszę, pokaż panom sposób, w jaki to robisz.

- Tak, Programisto - powiedział Aub, pochylając głowę. Wyłowił niewielki notatnik z jednej kieszeni koszuli i artystyczne piórko - z drugiej. Zmarszczył czoło, stawiając staranne znaki na

papierze.

Generał Weider przerwał mu ostro:

- Zobaczmy to.

Aub podał mu papier i Weider powiedział:

- Tak, to wygląda jak siedemnastka.

Kongresman Brant skinął i stwierdził: '

- Tak wygląda, ale przypuszczam, że każdy może kopiować figury z komputera. Myślę, że sam mógłbym napisać siedemnastkę nawet bez ćwiczenia.

- Pozwólmy Aubowi kontynuować, panowie - powiedział Shuman beznamiętnie.

Aub wykonywał działania. Ręka drżała mu nieznacznie. W końcu odezwał się cichym głosem:

- Odpowiedź brzmi: trzysta dziewięćdziesiąt jeden. Kongresman Brant wyjął po raz drugi swój komputer i sprawdził wynik.

- Na Boga, zgadza się! Jak on to zgadł?

- Nie zgadł, kongresmanie - zaprzeczył Shuman. - On wyliczył ten wynik. Zrobił to na kawałku papieru.

- Brednie - rzucił niecierpliwie generał. - Komputer to jedno, a znaczki na papierze to coś innego.

- Wyjaśnić, Aub - polecił Shuman.

- Tak, Programisto. Tak więc, panowie, napisałem siedemnaście, a pod spodem drugą liczbę: dwadzieścia trzy. Następnie powiedziałem do siebie: siedem razy trzy...

Kongresman przerwał łagodnie.

- Ale, Aub, zadanie brzmi: siedemnaście razy dwadzieścia trzy.

- Tak, wiem - odpowiedział poważnie mały technik - ale zaczynam przez policzenie siedem razy trzy, ponieważ w taki sposób to działa.

Teraz, siedem razy trzy jest dwadzieścia jeden.

- A skąd wiesz? - zapytał kongresman.

- Po prostu to pamiętam. Zawsze jest dwadzieścia jeden w komputerze. Sprawdziłem to wiele razy.

- To jeszcze nie znaczy, że zawsze tak będzie, prawda? - spostrzegł kongresman.

- Może i nie - wyjąkał Aub. - Nie jestem matematykiem, ale zawsze otrzymuję prawidłową odpowiedź.

- Dobrze, dalej.

- Siedem razy trzy jest dwadzieścia jeden, więc zapisuję dwadzieścia jeden, a następnie trzy pod dwójką z dwudziestu jeden, bo jeden razy trzy jest trzy.

- Dlaczego pod dwójką? - spytał natychmiast kongresman Brant.

- Ponieważ... - Aub spojrzał rozpaczliwie na swojego zwierzchnika; jego spojrzenie wyrażało prośbę o pomoc. - To trudno wyjaśnić.

- Jeżeli zaakceptujecie jego metodę, to szczegóły możemy zostawić matematykom - powiedział Shuman.

Aub wyjaśniał dalej:

- Trzy plus dwa daje pięć, jak wiadomo, więc dwadzieścia jeden przechodzi w pięćdziesiąt jeden. Teraz zostawiamy to na chwilę i zaczynamy od nowa. Mnożymy siedem przez dwa, co daje czternaście, potem jeden razy dwa czyli dwa. Dodajemy tak jak poprzednio i otrzymujemy trzydzieści cztery. Teraz, jeżeli zapiszemy w ten sposób trzydzieści cztery i pięćdziesiąt jeden i dodamy do siebie, otrzymamy trzysta dziewięćdziesiąt jeden. I to jest właśnie odpowiedź!

Zapadła cisza, którą przerwał generał Weider:

- Nie wierzę temu. Pobajdurzyłeś trochę, zapisałeś parę liczb, mnożyłeś i dodawałeś je tak i siak, ale ja w to nie wierzę. To jest zbyt skomplikowane, żeby było czymś więcej niż jakąś bzdurą.

- O nie, proszę pana - powiedział uniżenie Aub. - To tylko wygląda na trudną operację, ponieważ nigdy tego pan nie robił. W rzeczywistości, zasady są całkiem proste i sprawdzają się dla każdych liczb.

- Każdych liczb? - zdziwił się generał. - No, to dalej.

Wyjął swój komputer (model GI wykonany w surowym, wojskowym stylu) i ponaciskał przypadkowe guziki.

- Dajmy na papier: pięć, siedem, trzy i osiem. To jest pięć tysięcy siedemset trzydzieści jeden.

- Tak, panie generale - powiedział Aub, biorąc nową kartkę papieru.

- Teraz, naciskając dalej guziki komputera, siedem, dwa, trzy, dziewięć, co daje siedem tysięcy dwieście trzydzieści dziewięć.

- Tak, panie generale.

- Teraz pomnóż te dwie liczby.

- To zajmie trochę czasu - powiedział drżącym głosem technik.

- Zajmie trochę czasu - zauważył generał.

- Zaczynaj, Aub - rzucił szorstko Shuman.

Aub zabrał się do pracy, mrucząc cicho pod nosem. Wziął następną kartkę papieru i jeszcze jedną. Generał wyjął zegarek i spoglądał na niego.

- Przebrnąłeś już, techniku, przez swe magiczne sztuczki?

- Jestem prawie gotów, proszę pana. Już mam. Czterdzieści jeden milionów pięćset trzydzieści siedem tysięcy trzysta osiemdziesiąt dwa.

Pokazał wyniki nabazgrane na kartce. Generał Weider uśmiechnął się sceptycznie. Nacisnął przycisk mnożenia w swym komputerze i poczekał, aż migające cyfry zatrzymają się. Potem spojrzął i odezwał się zdumionym głosem:

- Na Wielką Galaktykę, ten facet ma rację!

Prezydent Ziemskiej Federacji chodził po biurze jak nieprzytomny, a prywatnie pozwalał gościć wyrazowi melancholii na swym wrażliwym obliczu. Wojna z Denebem, po początkowych sukcesach i wielkiej popularności, przeistoczyła się w nieustanne manewry i kontrmanewry, przy ciągle wzrastającym niezadowoleniu na Ziemi. Możliwe, że na Denebie wzrastało ono również.

A teraz kongresman Brant, szef ważnego Komitetu do Spraw Kredytów Militarnych, wesoło spędził pół godziny, plotąc jakieś nonsensy.

- Obliczanie bez komputera - powiedział prezydent - zawiera sprzeczność w terminologii.

- Obliczanie - stwierdził kongresman - jest tylko systemem obróbki danych. Może to robić maszyna lub mózg ludzki. Pozwolę sobie dać przykład.

Używając nowej, niedawno nabytej umiejętności, obliczył sumę i iloczyn, zanim prezydent, wbrew sobie, raczył się zainteresować.

- Czy to zawsze działa?

- Za każdym razem, panie prezydencie. Tu jest dowód.

- Czy trudno się tego nauczyć?

- Zajęło mi to tydzień, aby osiągnąć prawdziwą biegłość. Myślę, że pan mógłby nauczyć się szybciej.

- Dobrze - rozważał prezydent głośno. - Jest to interesująca gra salonowa, ale jaki jest z tego pożytek?

- Jaki jest pożytek z dopiero co narodzonego dziecka, panie prezydencie? "Gra" jest w tym

momencie zupełnie bezużyteczna, ale czy nie widać tego, że wskazuje nam sposób na uwolnienie się od maszyn? Proszę rozważyć, panie prezydencie. - Kongresman wstał, a jego głęboki głos automatycznie przyjął brzmienie, którego używał w publicznych wystąpieniach.

- Wojna z Denebem jest wojną komputerów przeciw komputerom. Ich maszyny stwarzają nieprzeniknioną dla naszych rakiet zasłonę, wykorzystując do tego antyrakiety kierowane przez siebie. Z naszej strony jest dokładnie tak samo. Jeżeli zwiększamy wydajność naszych komputerów, oni także to robią. Od pięciu lat istnieje niepewna i nieopłacalna równowaga. Teraz mamy w rękach metodę wyjścia poza komputer, przeskoczenia go, czy inaczej mówiąc, przechytrzenia. Możemy teraz wiązać nadzieje z ludzkim umysłem. Będziemy mieć ekwiwalent inteligentnych komputerów. Biliony komputerów! Nie potrafię przewidzieć szczegółowo konsekwencji tego, ale będą one niezliczone. A gdyby Deneb nas pobił, mogą być katastrofalne.

Prezydent spytał z zakłopotaniem:

- Co chciałby pan, żebym zrobił?

- Poza samym stworzeniem projektu ludzkich obliczeń należy przycisnąć administrację. Projekt nazwiemy Projektem "Liczba", jeśli można Mogę liczyć na mój Komitet, ale jednak potrzebuję poparcia administracji.

- A jakie są granice umiejętności robienia obliczeń przez człowieka?

- Nie ma żadnych ograniczeń. Powołując się na Programistę Shumana, który pierwszy zapoznał mnie z tym odkryciem...

- Słyszałem, oczywiście, o Shumanie.

- Tak, a więc doktor Shuman powiedział mi, że w teorii nie istnieje coś takiego, co potrafiłby zrobić komputer, a nie wykonałby tego ludzki umysł. Komputer bierze po prostu skończoną liczbę danych i wykonuje taką samą liczbę operacji na tych danych. Ludzki umysł może powtórzyć ten proces.

Prezydent zamyślił się, a po chwili powiedział:

- Jeżeli Shuman tak mówi, jestem gotów mu uwierzyć, oczywiście, w teorii, ale w praktyce? Skąd ktokolwiek może wiedzieć, jak pracuje komputer?

Brant roześmiał się z wyższością.

- Właśnie, panie prezydencie, zadałem to samo pytanie. Wiadomo, że w swoim czasie były projektowane przez ludzkie istoty. To były, oczywiście, proste komputery. Działo się to, zanim racjonalnie użyto komputerów do projektowania bardziej zaawansowanych komputerów.

-Tak, tak. Proszę dalej.

- Technik Aub wykonał, w ramach swego hobby, rekonstrukcje niektórych z tych starożytnych maszyn. Robiąc to przestudiował szczegóły ich pracy i stwierdził, że może je naśladować. Mnożenie, które właśnie Panu przedstawiłem, jest kopiowaniem pracy komputera.

- Zdziwiająca!

Kongresman zakaszłał taktownie.

- Chciałbym poczynić następne spostrzeżenie, panie prezydencie. Mianowicie: możemy dalej rozwijać ten pomysł tym bardziej, że jesteśmy w stanie zabrać federalne kredyty z produkcji komputerów i zarządzania komputerowego. Gdy mózg ludzki przejmie zadania maszyn, więcej naszej energii można będzie skierować na poszukiwania rozwiązań pokojowych, a niedogodności wojny staną się mniej uciążliwe dla przeciętnego obywatela. Oczywiście, będzie to najbardziej korzystne dla partii, która sprawuje władzę.

- Aha - powiedział prezydent. - Rozumiem, o co ci chodzi. W porządku. Usiądź, kongresmanie, usiądź. Potrzebuję czasu, by to przemyśleć. Tymczasem pokaż mi jeszcze raz tę sztuczkę z

mnożeniem. Zobaczmy, czy potrafię uchwycić sedno rzeczy.

Programista Shuman nie próbował przyspieszać sprawy. Loesser był bardzo konserwatywny i lubił zajmować się komputerami tak, jak jego ojciec i dziadek. Kontynuował te tradycje kontrolując komputerowy przemysł zachodniej Europy. Gdyby zdecydował przyłączyć się do Projektu "Liczba" z całym swoim entuzjazmem, wielka przemiana zostałaby przesądzona.

- Ale Loesser trzymał się dotąd z boku. Stwierdził mianowicie:

- Nie jestem pewien, czy podoba mi się pomysł zrezygnowania z komputerów. Ludzki mózg to kapryśna rzecz. Komputer da za każdym razem taką samą odpowiedź na taki sam problem. Jaką mamy gwarancję, że umysł ludzki zrobi to samo?

- Ludzki umysł, Loesser, tylko manipuluje faktami. Nie ma nic do rzeczy, czy robi to on, czy maszyna. To są właściwie narzędzia.

- Tak, tak. Prześledziłem uważnie wasz genialny pokaz mający dowieść, że umysł może zastąpić komputer. Ale dla mnie jest to mało prawdopodobne. Doceniam teorię, ale z jakiegoż to powodu mamy sądzić, że ma ona zbiegać się z praktyką?

- Myślę, że mamy taki powód. Przede wszystkim, komputery nie istniały zawsze. Jaskiniowcy ze swoimi trójzębami i kamiennymi toporami, czy starożytni z kolejami, nie mieli do czynienia z komputerami.

- I prawdopodobnie nie obliczali.

- Wie pan doskonale, że robili to. Nawet zbudowanie kolei czy zikkuratu wymaga obliczeń. Jak wiemy, zostały one wykonane bez komputerów.

- Sugeruje pan, że obliczali w sposób, jaki pan demonstrował?

- Prawdopodobnie nie. Przede wszystkim nasza metoda, którą nazywamy "grafityką" od starogreckiego grapho, co znaczy "pisać", została rozwinięta właśnie przez komputery, czyli nie możemy jej antydatować. A jaskiniowcy musieli mieć jakąś metodę, prawda?

- Zaginiona sztuka! Czy zamierzamy rozmawiać o zagubionych przed wiekami umiejętnościach?...

- Nie, nie! Nie jestem entuzjastą sztuk zaginionych, chociaż nie powiedziałem, że nie istniały.

Przecież człowiek jadł ziarno, zanim powstała hydroponika. Jeżeli barbarzyńcy je jedli, to musieli zasiać je w glebie. Co innego mogliby robić?

- Nie wiem, ale w uprawę roli uwierzę, kiedy zobaczę kogoś, komu ziarno wyrosło z gleby. A w rozniecanie ognia przez pocieranie dwóch kawałków o siebie uwierzę, kiedy to ujrzę.

Shuman starał się łagodzić.

- W porządku, w porządku. Wróćmy do grafityki. Jest to po prostu proces eteryzacji. Transport przy pomocy prymitywnych urządzeń daje możliwość bezpośredniego przetwarzania masy. Urządzenia komunikacyjne stają się mniej masywne i coraz bardziej wydajne. Niech przykładem będzie porównanie pańskiego kieszonkowego komputera i masywnego wyrobu sprzed tysiąca lat. Dlaczego więc nie zrobić tego ostatniego kroku pozbywając się komputerów zupełnie? Dalej, panie Loesser, Projekt "Liczba" jest przedsięwzięciem rozwojowym, pędzi w górę na złamanie karku. Ale potrzebujemy pańskiej pomocy. Jeżeli nie przekonuje pana patriotyzm, to niech da znać o sobie chęć intelektualnej przygody.

Loesser odparł sceptycznie:

- Jaki rozwój? Co potraficie zrobić poza mnożeniem. Czy możecie scałkować funkcję transcendentalną?

- W swoim czasie, panie Loesser. W swoim czasie! W ciągu ostatniego miesiąca nauczyłem się posługiwać dzieleniem. Mogę określić i sprawdzić liczby całkowite i ułamkowe dziesiętne.

- Dziesiętne? Do którego miejsca?

Programista Shuman próbował utrzymać swój normalny ton głosu.

- Do dowolnego! Loesserowi opadła szczęka.

- Bez komputera?

- Proszę zadać mi jakieś przeliczenie do wykonania.

- Podzielić dwadzieścia siedem przez trzynaście. Powiedzmy do szóstego miejsca po przecinku.

Pięć minut później Shuman powiedział:

- Dwa, przecinek, zero, siedem, sześć, dziewięć, dwa, trzy. Loesser sprawdził to.

- Tak, to jest zadziwiające. Mnożenie nie wywarło na mnie zbyt dużego wrażenia, gdyż

wykorzystuje, przede wszystkim, liczby całkowite i podejrzewałem tu jakąś sztuczkę. Ale dziesiętne...

- To jeszcze nie wszystko. Jest nowe osiągnięcie, dużo większe, ściśle tajne i tak dalej. Prawdę mówiąc nie powinienem o tym wspominać, ale... Potrafimy poradzić sobie z pierwiastkiem kwadratowym.

- Pierwiastki kwadratowe?

- To wymaga pewnych trików i nie potrafimy jeszcze pokonać tej trudności, ale technik Aub, człowiek, który to wymyślił, posiada zadziwiającą intuicję i uważa problem za prawie rozwiązany. A jest tylko zwykłym technikiem. Ktoś pańskiego pokroju, wyszkolony i utalentowany matematyk, nie powinien mieć trudności.

- Pierwiastki kwadratowe - wymruczał zafascynowany Loesser,

- Pierwiastki sześciennie także. Jest pan z nami? Loesser gwałtownie wyciągnął dłoń.

- Liczcie na mnie.

Generał Weider krążył tam i z powrotem, przemawiając do słuchaczy na modłę barbarzyńskich nauczycieli zwracających się do krnąbrnych uczniów. Dla generała nie miało to żadnego znaczenia, że byli tylko cywilnymi naukowcami włączonymi do Projektu "Liczba". Był najwyższym stopniem przełożonym i nie mógł pozwolić sobie na najmniejszą chwilę słabości. Mówił:

- Obecnie pierwiastki kwadratowe są rozwiązywalne. Sam tego nie potrafię i nie rozumiem metody, ale stwierdzam to z całą stanowczością. Dowodzi to, że Projekt nie będzie dotyczył czegoś, co niektórzy z was nazywają fundamentalizmem. Możecie bawić się grafityką w dowolny sposób, w jaki będziecie chcieli, ale po zakończeniu wojny. Teraz mamy specjalne i bardzo praktyczne zadania do rozwiązania.

W odległym kącie technik Aub słuchał z napiętą uwagą. Oczywiście, nie był już technikiem, gdyż został zwolniony z obowiązków i skierowany do prac nad Projektem. Miał piękny tytuł i wysoką pensję, ale oczywiście pozycja społeczna pozostała taka sama. Największe naukowe sławy nigdy nie zdecydowały się przyjąć go do swego grona na równych prawach, a on też sobie tego nie życzył. Czuł się tak niezręcznie pośród nich, jak oni w stosunku do niego.

Generał mówił dalej:

- Nasz cel jest prosty, panowie: zastąpienie komputerów. Statek, który potrafi przemierzać przestrzeń bez komputera na pokładzie, może być zbudowany w ciągu jednej piątej czasu i za jedną dziesiątą kosztów statku sterowanego komputerowo. Możemy zbudować flotę pięć razy, dziesięć razy większą niż Deneb, jeżeli wyeliminujemy komputery. I widzę coś jeszcze. To może być fantastyczne i cudowne jak sen. Przewiduję w przyszłości istnienie pocisków kierowanych przez człowieka.

Nagły pomruk rozległ się wśród zebranych. Generał dalej perorował:

- Obecnie naszym największym zmartwieniem jest fakt, że pociski są ograniczone w swej inteligencji. Komputerowe kontrolowanie może jedynie sprostać zmiennej naturze obrony przeciwrakietowej jedynie w ograniczonym zakresie. Niewiele pocisków trafia do swojego celu, a

ich wojenna droga kończy się śmiercią. Szczęśliwie dla wroga, a także dla nas. Z drugiej strony, pocisk z człowiekiem lub dwoma ludźmi wewnątrz, kontrolowany przy pomocy grafityki, będzie lżejszy, ruchliwszy, bardziej inteligentny. To mogłoby zapewnić nam przewagę, która może oznaczać początek zwycięstwa. Poza tym, panowie, potrzeby wojny zmuszają nas do ciągłego pamiętania o jednym. Człowiek jest bardziej dyspozycyjny niż komputer. "Ludzkie" pociski mogłyby być wysyłane w takiej ilości i w takich warunkach, w jakich żaden dobry generał nie zdecyduje się wysłać pocisku kierowanego komputerem...

Mówił dalej, ale technik Aub nie czekał dłużej.

Technik Aub pracował długo w swej prywatnej kwaterze nad listem, który później przy nim znaleziono. List zawierał, co następuje:

"Kiedy zacząłem badania nad tym, co dziś nazywane jest »grafityką«, nie było to nic więcej niż hobby. Widziałem w tym tylko interesującą rozrywkę, ćwiczenie umysłu.

Kiedy powstał Projekt »Liczba«, pomyślałem, że inni byli mądrzejsi ode mnie. Grafityka mogła zostać użyta do praktycznych zastosowań z pożytkiem dla ludzkości, może jako pomoc w masowej produkcji rzeczywiście praktycznych urządzeń. Ale teraz rozumiem, że będzie zastosowana tylko do produkowania śmierci.

Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za wynalezienie grafityki."

Następnie rozmyślnie włączył depolaryzator protein i zogniskował go na sobie. Umarł natychmiast i bezboleśnie.

Żałobnicy stali nad mogiłą małego technika, który w taki sposób zapłacił daninę za wielkość swego odkrycia. Programista Shuman pochylił głowę razem z resztą zgromadzonych, ale cała ta ceremonia nie poruszyła go ani trochę. Technik wykonał swoje zadanie i właściwie nie był już potrzebny. Pomógł zapoczątkować grafitykę, ale teraz, kiedy wszystko już ruszyło, może toczyć się samo. Triumfalnie, dopóki ludzkie pociski będą potrzebne. I nikt nie wie, co będzie dalej.

"Dziewięć razy siedem - pomyślał Shuman z głęboką satysfakcją - daje sześćdziesiąt trzy. I nie potrzebuję komputera, by mi to powiedział. Komputer jest teraz w mojej własnej głowie."

I wypełniło go zadziwiające poczucie własnej siły.

Tłumaczył Waldemar W. Pietruszek.

Biedny mały wojownik

(Poor Little Warrior!) Brian W. Aldiss (ur. 1925)

Brian W. Aldiss jest wybitnym brytyjskim pisarzem (nie wszystkie jego książki to fantastyka naukowa), który pod koniec lat pięćdziesiątych stał się jednym z najbardziej znanych autorów fantastyki naukowej. W roku 1958 opublikowana została jego pierwsza powieść Bez końca (w Stanach Zjednoczonych wydana pod tytułem "Statek Kosmiczny") [Non-Stop (in the United States published as "Starshlp")]. W latach 1958-1969 pracował jako edytor literacki dla "Oxford Mail". Był przewodniczącym i współfundatorem Nagrody Johna W. Campbella i pełnił funkcję prezydenta światowi fantastyki naukowej w połowie lat osiemdziesiątych. Wśród licznych jego wyróżnień znajdujemy: Nagrodę Hugo z 1962, Nagrodę Nebula z 1965, Nagrodę Pilgrim za pracę w 1978, jako krytyk literacki fantastyki naukowej i Nagrodę Campbella z 1983. Jego główne powieści są zbyt liczne, by je wymieniać, lecz musimy wspomnieć przynajmniej niektóre: Siwobrody - (Greybeard) z 1964, Raport o prawdopodobieństwie A (Raport on Probability A) z 1970, Rozpętany Frankenstein (Frankenstein Unbound) z 1973, a w szczególności jego trylogie Helliconia: Wiosna Helliconii (Helliconia Spring) z 1982, Lato Helliconii (Helliconia Summer) z 1983, Zima Helliconii (Helliconia Winter) z 1985.

"Biedny mały wojownik" obok "Polującej maszyny" ("The Hunting Machine") Carola Emshwillera jest największym opowiadaniem o polowaniu w fantastyce naukowej.

(Martin H. Greenberg)

Jest zawsze interesujące (i trudne, co czyni to jeszcze bardziej interesujące) traktować o rzeczach różniących się znacznie skalą wielkości -wczuć się, jak to jest, gdy się ma do czynienia z rzeczami o wiele większymi lub mniejszymi od siebie. Przekonywające opowiadania o wielkich dinozaurach wymagają pewnego profesjonalizmu w opisie. Dwa najlepsze w tym względzie opowiadania fantastyczno-naukowe, jakie znam, to: "Odgłos grzmotu" ("The Sound ofThunder") Raya Bradbury'ego i właśnie "Biedny mały wojownik" Briana Aldissa! Nawiasem mówiąc, raczej nie lubię sztuczności stylu. Na przykład obecnie popularne jest pisanie opowiadania w tak zwanym "czasie przeszło-teraźniejszym". Uważa się, że ma to dać większe odczucie natychmiastowości. Mówisz: "idę tam", zamiast: "poszedłem tam" - i w momencie czytania masz wrażenie, że naprawdę tam idziesz. Co do mnie, to uważam to za niezwykle irytujące, ponieważ osobiście nie mam ochoty na wrażenie, że gdzieś idę. Sam zaciskam usta na każdą próbę opowiadania zdarzeń w drugiej osobie, mówiąc "poszedłem tam" czy "poszedł tam", zamiast "poszedłeś tam". Uważa się, że to z kolei bardziej wciąga czytelnika w opowiadanie. Jeśli chodzi o mnie, to zwykle odbieram to jako pogwałcenie mojej prywatności. Jednakże przypuszczam, że szczypta właściwie użytej innowacji jest do zaakceptowania. "Biedny mały wojownik", z wyjątkiem pierwszego zdania, jest napisany w drugiej osobie, i nie mam nic przeciwko temu.

Claude Ford wiedział dokładnie, jak powinno się polować na brontozaura. Nie zważając na nic, pełnasz przez trawy pod wierzbami, wśród malutkich prymitywnych kwiatków o tak zielonych i brązowych płatkach jak piłkarskie boisko, przez błoto niczym kosmetyczne mleczko. Spoglądasz na stworzenie wylegające się w trzcinie, na jego cielsko pełne gracji jak wypchana piachem skarpetka. Oto leży tam niczym namoknięta szmata wtłoczona w mokradło przez siłę ciężkości. Nozdrzami dużymi jak zajęcze jamy węży w szerokim półkolu, o trzydzieści centymetrów nad szuwarami w poszukiwaniu soczystych kłączy. To było wspaniałe: tutaj terror sięgał szczytu i robiąc pełny cykl, ostatecznie skonał we własnych konwulsjach. Jego oczy błyszczały żywotnością wielkiego palucha martwych od tygodnia zwłok, a cuchnący kompostem oddech i szczecina w prymitywnych jamach słuchowych szczególnie nadawały się do przedstawienia każdemu, kto w innym wypadku pozostawałby skłonny do wyrażania się z czułością o dziele Matki Natury.

Lecz jak ty, mały ssak z przeciwstawnym palcem i z 0,65-calowym, samopowtarzalnym, półautomatycznym, dwulufowym, skomputeryzowanym, teleskopowym bezlitosnym sztucerem o wielkiej sile rażenia, zaciśniętym w twoich bezbronnych łapach, przekradasz się pod dawnymi wierzbami to co przede wszystkim przyciąga twoją uwagę, to niesamowita skóra gada. Wydziela ona odór rozbrzmiewający tak nisko jak basowa struna w fortepianie. Przy niej naskórek słonia wygląda jak pomarszczony papier toaletowy. Jest szara jak morza wikingów, jak głębia fundamentów katedry. Cóż byłoby w stanie przeniknąć do kości, aby ugasić wewnętrzny żar tego cielska? Biegają po nim - możesz je dostrzec już stąd - małe brązowe wszy, które żyją w tych szarych murach i kanionach, jak swawolne duszki, jak okrutne kraby. Gdyby jedna z nich na ciebie wskoczyła, to najprawdopodobniej złamałaby ci kark. A kiedy jeden z tych pasożytów przystaje i stawia nogę na którymś z kręgów brontozaura, dostrzegasz, że on z kolei nosi własny komplet darmozjadów, każdy z nich wielkości homara, bo teraz jesteś już blisko, och, tak blisko, że możesz usłyszeć bicie prymitywnego organu sercowego potwora i odgłos komory cudem nadążającej za przedsiönkiem.

Czas na słuchanie wyroczni należy do przeszłości; okres wróżb pozostawiłeś za sobą. Teraz zdążasz ku śmierci, swojej lub jego; przesady miały dzisiaj swój dzień. Odtąd tylko twoje roztrzęsione nerwy, trzęsąca się konglomeracja mięśni, pogmatwana w niemożliwy do rozpoznania sposób pod lśniącym od potu pancerzem skóry, ten krwiożerczy, maleńki impuls, by uśmiercić smoka, jest odpowiedzią na wszystkie twoje modlitwy.

Mógłbyś już strzelać. Tylko musisz poczekać, aż ta malusieńka główka koparki zatrzyma się jeszcze raz, by przełknąć porcję sitowia. Jednym niewypowiedzianym wulgarnym "bang!" możesz pokazać całemu obojętnemu jurajskiemu światu, że oto stoi patrząc na wylot lufy sexstrzałowca ewolucji. Wiesz, dlaczego się wahasz, nawet gdy udajesz, że nie wiesz, dlaczego się wahasz; sumienie, ten stary robak, długi jak rzut palantowej piłki, długowieczny żółw, to jego sprawka; wślizguje się przez każdy zmysł, monstrualniejszy jeszcze od węża. Pobudza namiętności, mówiąc: "O, Angliku! Tu siedzi kaczka!" Szepcze w umyśle: "Nuda, jak nigdy nie nasycony jastrząb, zapanuje znowu, gdy tylko zadanie zostanie wykonane". Szarpie nerwy; drwiąc, że kiedy ustanie dopływ adrenaliny, zaczną się wymioty. Wpływa na artystę za siatkówką oka, obłudnie narzucając ci piękno obrazu.

Oszczędź nam tego żalostnego i wyświechtanego słowa "piękno"; matko święta, czyż to jest odczyt o podróżach, czyż nie mamy już tego dość? "Obserwujecie teraz tuzin okrągłych - moi drodzy, pozwólcie mi podkreślić tę okrągłość - barwnych ptaków, usadowionych na grzbiecie tego kolosalnego stwora. Oczy raduje widok pełen barw, jakich spodziewalibyście się ujrzeć na uroczej, osławionej plaży Copacabana. One są tak okrągłe, ponieważ żerują na odpadkach z bogatego stołu. A teraz zaobserwujecie to urocze ujęcie! Widzicie: ogon brontozaura unosi się... Och, ślicznie, co najmniej kilka kopek siana wychodzi z jego tylnej strony. Moi drodzy, to z pewnością było piękne, dostarczone bezpośrednio od konsumenta do konsumenta. Ptaki teraz walczą o to. Hej wy, jest tego dosyć, aby się zaokrąglić, a w ogóle to jesteście już wystarczająco spasione... I teraz nic innego do roboty, tylko wskoczyć z powrotem na stary comber i czekać na następną dostawę. A my mówimy: »Niech wam ta dieta pójdzie na zdrowie, kiedy słońce cuchnie, chyląc się ku Jurajskiemu Zachodowi...«"

Nie, ty zwlekasz, a to jest życiowe zadanie. Zastrzel bestię, a skończy się twoja agonía. Biorąc swą odwagę w dłonie, unosisz ją do poziomu ramion i przymrużywszy jedno oko, gapisz się w celownik. I oto straszny strzał; jesteś na wpół oszołomiony. Dygocząc rozglądasz się naokoło. Monstrum wciąż przeżuwa z ulgą, bo wypuściło na tyle wiatrów, by zadać w żagle Starożytnego Żeglarza.

Z furią - a może to jakieś subtelniejsze emocje? - wypadasz teraz z zarośli i stajesz naprzeciw niego. Ten zdemaskowany stan jest typowy dla kłopotów, w które ustawicznie wpędza cię twój wzgląd na siebie i innych. Wzgląd? Czy znowu coś subtelniejszego? Dlaczego miałbyś być otumaniony tylko dlatego, że pochodzisz z otumanionej cywilizacji? Lecz to jest sprawa do zajęcia się na później, jeśli będzie jakieś później, jak te dwa świńskie oczka, świdrujące cię z odległości splunienia, zdają się kwestionować. Niech śmierć nie będzie zadana przez same tylko paszczęki, o potworze, lecz także przez potężne kopyta, i jeśli to dla ciebie nie problem, możesz przetoczyć się po mnie jak olbrzymie morskie bałwany. Niech śmierć będzie sagą, przenikliwym, mitycznym poematem.

Z odległości pół kilometra dochodzi odgłos tuzina hipopotamów wylażących niesfornie z rodowego błota, a w następnej chwili wielki wijący się ogon, długi jak niedziela i ociążały jak sobotnia noc, przecina powietrze nad twoją głową. Robisz nagły unik, lecz bestia chybiła tak czy owak, bo akurat jej koordynacja nie jest lepsza, niż byłaby twoja, gdybyś musiał wieżowcem trafić zwinne małpiątko. Uczyniwszy to, zdaje się czuć jak po dobrze spełnionym obowiązku. Zapomina o tobie. Życzyłbyś sobie, by móc zapomnieć o sobie z taką samą łatwością; w końcu to był powód, dla którego musiałeś przebyć daleką drogę, by dostać się tutaj. Uciec do Tego Wszystkiego - obiecywał folder podróży w czasie, co dla ciebie oznaczało ucieczkę od Claude'a Forda, męża tak płytkiego jak jego nazwisko, z okropną żoną o imieniu Maude. Maude i Claude Fordowie, którzy nie potrafią dopasować się do siebie samych, do siebie nawzajem ani do świata, w którym przyszło im żyć. To był najlepszy powód w takim-jaki-jest-obecnie-ustanowiony świecie, aby powracać tutaj i polować na gigantyczne jaszczury - jeśli byłeś głupi na tyle, by myśleć, że sto pięćdziesiąt milionów lat w jedną lub drugą stronę mogło stanowić jakąś różnicę dla kłębowiska myśli w gmatwaniu ludzkiego mózgu.

Próbujesz powstrzymać swoje głupkowate, śliniące się myśli, lecz tak naprawdę one nigdy nie ustały poczynając od cocacoloracyjnych dni twego dorastania. Boże, gdyby wiek dojrzewania nie istniał, nie byłoby potrzeby wynajdować go! To cię nieznacznie uspokaja, by znowu móc spojrzeć na

ogromne cielsko tego straszliwego roślinożercy, przed którym stanąłeś z tak mieszanym pragnieniem życia i śmierci, z wszystkimi emocjami, do jakich tylko zdolny jest ludzki orga(ni)zm. Tym razem upiór jest realny, Claude, dokładnie, jak tego chciałeś, i tym razem naprawdę musisz stawić mu czoła, zanim sam zwróci ku tobie swe oblicze. I tak jeszcze raz podnosisz sztucer i czekasz, aż spostrzeżesz czuły punkt.

Jaskrawe ptaki kołyszają się, wszy pierzchają jak psy, bagno stęka pod brzemieniem, gdy brontozaur przewala się i węzowym ruchem zanurza swą małą czaszkę pod jasną jak żółc wodę, by wygrzebać przegniłe badyle. Przyglądasz się temu; nigdy jeszcze nie byłeś tak roztrzęsiony w całym swoim nerwowym życiu, i liczysz, że to katharsis na zawsze wyciśnie ostatnią kroplę cierpkiego lęku z twojego organizmu. "Dobra. - mówisz do siebie raz za razem jak w amoku. -Twoje wykształcenie za milion dolarów z końca XXII wieku nic nie jest warte... Dobra..." I kiedy powtarzasz to po raz setny, oszalała głowa wylatuje z wody jak pędzący pociąg ekspresowy i wpatruje się w twoją stronę.

Pasąc się, zbliża się ku tobie. Bo gdy ta żująca szczeka ze stępienymi trzonowcami, wielkimi jak betonowe słupki, porusza się w górę i w dół, widzisz bagienną wodę, która przelewa się przez bezwargowe brzegi, ochlapuje twoje stopy i wsiąka w ziemię. Trzcina i korzeń, badyl i łodyga, liść i muł - wszystko to daje się sporadycznie dostrzec w tym żującym wolu, a wśród tej plątaniny szarpiące i szamoczące się małe rybki, drobne skorupiaki, żaby - wszystko przeznaczone w tym okropnym międleniu przepelnionej mordy, by zamienić się w wydalanie. I w trakcie tego żarcia nie pokryte śluzem oczy przyglądają ci się badawczo.

"Zwierzęta te dożywają trzystu lat" - mówi folder podróży w czasie. I ta bestia wyraźnie postarała się dożyć tego wieku, bo jej spojrzenie przepelnione jest starością stuleci, całymi dekadami pławienia się w ociążonej bezmyślności, aż mądrość wzrosła na tej bezdennej tępocie. Dla ciebie to jak spoglądać w niepokojący, mglisty staw; powoduje to u ciebie psychiczny szok, wypalasz z obu łuf w swoje własne odbicie. "Bang-bang", lecą pociski, "dum-dum", wielkie jak jaja.

Te wiekowe światła, przyćmione i święte, gasną nie zwlekając ani chwili. Te krużganki zamknięte są do Dnia Sądu Ostatecznego. Twoje odbicie zostaje oderwane i wykrwawione z nich na zawsze. Na ich spustoszonych okiennicach mrugające membrany, jak brudny całun przykrywający trupa, suną wolno ku górze. Szczęki nie przestają powoli przeżuwać, gdy głowa chyli się ku ziemi. Trochę zimnej, gadziej krwi wyciska się na bok pomarszczonego policzka. Wszystko to jest wolne; wleczącą się jurajska powolność, jak sącząca się woda; i wiesz, że gdybyś ty był odpowiedzialny za dzieło stworzenia, to wynalazłbyś sposób odmienny od tego, którym Czas tak rozdziera serce.

Mniejsza o to! Wychylcie swe puchary do dna, panowie. Claude Ford zabił niewinne stworzenie. Niech żyje Claude Drapieżca!

Patrzysz z zapartym tchem, jak głowa i długa wygięta w uśmiech szyja dotykają ziemi, szczęki zwierają się na zawsze. Patrzysz i czekasz, żeby coś jeszcze się zdarzyło, lecz nic się nie dzieje. Mógłbyś tak stać tutaj, wpatrując się przez sto pięćdziesiąt milionów lat, panie Claude, i nigdy nic się tu ponownie nie zdarzy. Potężne ścierwo twojego brontozaura, obrane do kości przez drapieżniki, pograży się w mule, zanurzając się coraz głębiej pod wpływem własnego ciężaru; potem wody podniosą się i stary Zdobywca - Morze nadciągnie z wolna, jak szuler rozdający facetom złe karty. Szlam i osad będą zbierać się na wielkim grobowcu, jak powolny, padający przez stulecia deszcz. Może mary starego brontozaura wzniosą się i opadną jeszcze kilka razy na tyle delikatnie, by nie zakłócić jego spokoju, chociaż do tego czasu skały osadowe utworzą grubą warstwę wokół niego. Ostatecznie, gdy zostanie zbudowany grobowiec świetniejszy od tych, jakimi kiedykolwiek szczyli

się indyjscy radzowie, siły Ziemi wyniosą go wysoko na swoich barkach, dopóki brontozaur, ciągle uśpiony, nie spocznie w grani Gór Skalistych, wysoko nad wodami Pacyfiku. Lecz wszystko to nie będzie mieć dla ciebie większego znaczenia, Claudzie Zabójco; gdy tylko drobniutka larwa życia w czasie stworzenia jest martwa, nie dbasz wcale o resztę.

Wygasły wszystkie twoje emocje. Jesteś tylko lekko wytrącony z równowagi. Spodziewałeś się ziemi, drgającej w konwulsjach, lub ryku; z drugiej strony cieszy cię, że zwierzę wydawało się nie cierpieć. Jesteś, jak wszyscy okrutni ludzie, sentymentalny; jak wszystkich sentymentalnych ludzi, łatwo chwytają cię nudności. Wkładasz broń pod ' pachę i obchodzisz dinozaura od strony ładu, by przypatrzeć się swojemu zwycięstwu.

Przechodzisz obok pokracznych kopyt, wokół septycznej bieli urwiska brzucha, poza błyszczącą i jakże skłaniającą do refleksji jamą odbytu, ostatecznie przystając pod ogonem wyginającym się łukowato od zadu. Teraz twoje rozczarowanie jest wyraźne i jednoznaczne jak wizytówka: olbrzym nie jest w połowie tak wielki, jak myślałeś. Nie jest w połowie tak wielki, jak na przykład obraz twój i Maude w twoim umyśle. Żałosny mały wojownik, nauka nigdy nie stworzy niczego, by dopomóc pragnieniu tytanicznej śmierci, kryjącemu się w twojej obłąkanej z przerażenia podświadomości!

Teraz nie pozostało ci nic innego, jak tylko powrócić do wehikułu czasu z dojmującym uczuciem zawodu, które wypełnia twoje wnętrze. Widzisz, te jaskrawe ptaki, zjadacze łajna, już zdążyły się zorientować, jak się sprawy mają; jeden po drugim zbierają swe pokrzywione skrzydła i odlatują wolno przez moczary do innych żywicieli. One wiedzą, kiedy dobra rzecz zmienia się w coś złego, i nie czekają, żeby przepędziły je sępy; porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu trawicie. I ty też odwracasz się i odchodzisz.

Odchodzisz, lecz przez chwilę się wahasz. Nie pozostało nic innego, tylko wracać, lecz nie, rok 2181 to nie jest jedynie rok, z którego przybyłeś; to także Maude. To Claude. To cała ta okropna, beznadziejna, nie kończąca się sprawa z usiłowaniem przystosowania się do zbyt skomplikowanej rzeczywistości, z usiłowaniem, by stać się trybikiem. Twoja ucieczka od tego w "Wielką Jurajską Prostotę", by zacytować znów folder, była tylko częściową ucieczką, która teraz dobiega końca.

Zatem przystajesz. I kiedy przystajesz, coś z impetem ląduje na twoich plecach i ciska cię twarzą w smaczne błoto. Szamoczesz się i krzyczysz, gdy kleszcze homara szarpia ci szyję i gardło. Usiłujesz dobyć broni, lecz nie dajesz rady, więc wijesz się w agonii i w następnej chwili krabopodobny stwór łapczywie dobiera się do twojej klatki piersiowej. Szarpiesz jego pancerz, lecz stworzenie chichocze i odgryza ci palce. Kiedy zabijałeś brontozaura, nie wiedziałeś, że żyjące na nim pasożyty opuszczą go i że dla takiego malutkiego człowieczka jak ty będą one znacznie groźniejsze od swego żywiciela.

Robisz, co możesz, wierzgając jakieś trzy minuty. Do tego czasu jest na tobie całe stado tych stworzeń. Właśnie obierają twoje ścierwo do czysta. Będzie ci się podobało tam na górze, na szczycie Gór Skalistych; nie poczujesz nic.

Tłumaczył Ziemowit Zych

Żelazny kanclerz

(The Iron Chancellor) Robert Silverberg (ur. 1935)

Rok 1958 był ostatnim w twórczości Roberta Silverberga, w którym głównie zajmował się literaturą science-fiction. Tego roku opublikował pięć powieści. Trzy z nich - Invaders From Earth, Invincible Barriers, Aliens From - opatrzył pseudonimem: David Osborne, a dwie - Step-sons of Terra, Starhaven - pseudonimem: Ivar Jorgenson. Przez następne dziesięć lat jego zainteresowanie tym gatunkiem zmalało, choć wiele Powieści fantastycznych ukazało się właśnie w latach 1959-1966. Były one utworami dla dzieci albo wersjami opowiadań opublikowanych wcześniej. W tym czasie pisał utwory o innej tematyce, niektóre z nich są wydawane do dziś. Jego powrót do science-fiction zapoczątkowała publikacja Thorns i "Hawksbill Station". "N o w y" Silverberg szybko wyrobił sobie pozycję jednego z najwspanialszych pisarzy w historii tego gatunku.

Isaac, George R.R. Martin oraz ja wydaliśmy "Żelaznego Kanclerza" w zbiorze The Science Fiction Weight Loss Book (1983), w jednej z moich ulubionych antologii, która z handlowego punktu widzenia była źle promowaną książką. Przepadła bez śladu, więc z przyjemnością opowiadanie prezentuję jeszcze raz.

(Martin H. Greenberg)

W opowiadaniach o robotach musi być uchwycona przede wszystkim odpowiednia atmosfera. Jestem uważany za ojca tego typu utworów, co oznacza, że mam tendencję do ostrej krytyki i trudno mnie zadowolić.

Jednak to opowiadanie pochwalam. Kojarzy mi się ono z ciosem żelaznej pięści w welwetowej rękawiczce. Jest tak samo skuteczne. Jego dowcip polega na uszczęśliwianiu ludzi na siłę.

Znamy to z dzieciństwa. Pamiętamy wspinałe, kochające i dbające o nas matki, które słodkim głosem mówiły : "Założ kalosze przed wyjściem, bo się przeziębisz... Zjedz warzywa; są zdrowe... Nie bierz następnego kawałka ciasta; zepsują ci się zęby... Jak udało ci się tak zabrudzić ubranie?"

Niektórzy nawet w dorosłym życiu otrzymują dokładnie takie same uwagi o kaloszach, warzywach, ubraniach, wypowiedane przez cudowne żony.

Nie przypominam sobie, by Bob Silverberg, w odróżnieniu ode mnie, był kiedykolwiek gruby lub potrzebował diety. Jestem jednak pewien, że miewał okazję zgrzytać zębami na uciążliwą miłość. To opowiadanie jest właśnie rodzajem odtrutki na nią.

(Isaac Asimov)

Zacznę od tego, że wszyscy w rodzinie Carmichaelów byli nadmiernie otyli. Nikt z tej czwórki nie potrafił zrzucić kilku zbędnych kilogramów. Zdarzyło się również, że w jednym ze sklepów sieci Miracle Mile była czterdziestoprocentowa zniżka ceny na specjalnego robota-sługę (model 2061), który posiadał odpowiednie programy dozowania kalorii.

Samowi Carmichaelowi spodobał się pomysł jedzenia posiłków przygotowanych i podanych przez robota, który selenoidowym okiem śledziłby talie wszystkich członków rodziny. Sam rzucił ukradkowe spojrzenie na połyskujący model, z roztargnieniem wsunął kciuki za elastyczny pas i ugniatając wydatny brzuch, spytał:

-Ile?

Sprzedawca błysnął olśniewającym uśmiechem, ukazując szereg sztucznych zębów.

- Tylko dwa tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć, sir. W tym wliczony jest serwis na pięć lat. Gotówką jedynie dwieście, reszta rozłożona na czterdziestomiesięczne raty.

Carmichael zmarszczył brwi; pomyślał o swoim koncie bankowym. Później przypomniał sobie figurę żony i bezustanne zrzędzenie córki o potrzebie diety. Ponadto Jemima, ich stary robot-kucharz, był w opłakanym stanie. Miał poluzowane mechanizmy i robił pożałowania godne przedstawienia, kiedy gościli na obiedzie kierownictwo spółki.

- Biorę go - powiedział.

- Wymieni pan swego starego robota-kucharza? Korzystna propozycja, potrączę z ceny...

- Mam rocznik 43. Madison.

Carmichael zastanawiał się, czy wspomnieć o jego zepsutym ramieniu wahadłowym i nadmiernym zużyciu paliwa, lecz zdecydował, że byłaby to zbyt daleko posunięta szczerość.

- A zatem moglibyśmy opuścić pięćdziesiąt z kredytu, gdybyśmy wzięli model 43. Może siedemdziesiąt pięć, jeśli rachunki bankowe są w dobrym stanie.

- W doskonałym stanie. - Był szczery. Rodzina nigdy nie pozwoliła sobie na nadużycie choćby jednego rachunku.

- Możecie przysłać człowieka, by przejrzał model 43.

- Och, nie ma takiej potrzeby. Trzymamy pana za słowo. Zatem siedemdziesiąt pięć, i doręczenie nowego modelu dziś wieczorem?

- Załatwione - powiedział Carmichael.

Był zadowolony, że pozbędzie się z domu starego rocznika 43., obojętnie za jaką cenę.

Podpisał akt kupna, schował kopię i wręczył dziesięć szeleszczących dwudziestek jako dowód kredytowy. Czuł, jak pozbywa się zbędnych kilogramów, gdy patrzył na wspaniałą rocznik 61. robota-sługi, który wkrótce będzie jego.

Było dziesięć minut po osiemnastej, kiedy opuścił sklep. Wsiadł do samochodu i zaprogramował drogę do domu. Cała transakcja nie zajęła więcej niż dziesięć minut. Carmichael, drugiego stopnia kierownik w Normandy Trust, pochwalił siebie za dobre wyczucie interesu i za zdolność do podejmowania szybkich decyzji.

Piętnaście minut później samochód dowiózł go przed wejście willi z własnym zasilaniem, znajdującej się na przedmieściu w modnej dzielnicy Westley. Samochód posłusznie zawrócił do

garażu, a Carmichael czekał w skaningowym polu na otwarcie drzwi.

Clyde, robot-lokaj, poszedł pośpiesznie, wziął jego kapelusz i płaszcz; wręczył mu martini.

Carmichael rozpromienił się. "Doskonale, bądź co bądź to zdolny i oddany służący" - pomyślał.

Pociągnął spory łyk i poszedł do salonu, by przywitać się z żoną, synem i córką. Przyjemny dżin wywołał uczucie ciepła. Robot-lokaj był już przestarzały i powinien zastąpić go nowym, gdy budżet rodziny na to pozwoli. Uświadomił sobie jednak, że będzie mu brakowało brzęczenia starego grata.

- Spóźniłeś się - powiedziała Ethel Carmichael, gdy pojawił się w salonie. - Obiad gotowy już od dziesięciu minut. Jemima jest tak zdenerwowana, że brzęczą jej katody.

- Katody Jemimy przestały mnie interesować - skwitował Carmichael. - Dzień dobry, kochanie. Dobry wieczór, Myro i Joey. Spóźniłem się, ponieważ w drodze do domu zatrzymałem się w Marhew.

- Tam, gdzie sprzedają roboty? - Synowi zabłyśły oczy.

- Właśnie tam. Kupiłem rocznik 61. robota-sługi. Zastąpimy nim starą Jemimę i jej trzeszczące katody. Ten nowy model ma... pewne bardzo specyficzne dodatkowe wyposażenie - dodał Carmichael, przyglądając się obfitym kształtom żony, syna i córki.

Tego wieczoru zjedli dobry obiad, ulubione wtorkowe dania Jemimy: koktajl z krewetek, gorącą zupę ze strąków piżmaka jadalnego, przyprawioną trybułką, piersi kurczaka z ziemniakami w śmietanie, szparagi, a na deser wspaniałe placek ze śliwkami i kawę. Sam poczuł przyjemną sytość. Skinął na Clyde'a, by podał mu małą porcyjkę ulubionego koniaku, pomagającego w trawieniu. Pochylił do tyłu głowę, rozgrzany, nasycony, z łatwością ignorował szalejące na zewnątrz listopadowe wiatry.

Przyjemne elektroluminiscencje zalewały jadalną różową poświatą, tworząc niezwykły nastrój. Tego roku eksperci uznali, że różowy kolor poprawia trawienie.

Trwała godzina relaksu w domostwie Carmichaelów.

- Tato - zaczął niepewnie Joey - co z tą wycieczką kajakową w następny weekend?

Carmichael splótł ręce na brzuchu i skinął głową.

- Możesz jechać. Bądź tylko ostrożny. Jeśli dowiem się, że tym razem nie wzięłaś odciążacza równowagi!...

Zadźwięzwały drzwi. Sam podniósł brwi i obrócił się na krześle.

- Kto to, Clyde?

- Podaje się za Robinsona. Pan Robinson Robotics. Ma dużą przesyłkę do doręczenia.

- To na pewno ten nowy robot-sługa, ojcze!- wykrzyknęła Myra.

- Pewnie masz rację. Wpuść go, Clyde.

Robinson był małym czerstwem wyglądającym człowiekiem z zaczerwienioną twarzą. Miał poplamiony zielony kombinezon i płaszcz w szkocką kratę. Spojrzał z niechęcią na robota-lokaja i wszedł do salonu.

Za nim podążał niezdatny, niespełna dwumetrowy stwór, zamontowany na rolkowych podszwach i całkowicie owinięty pikowanymi łachami.

- Dostarczamy go zabezpieczonego przed zimnem. Wewnątrz znajduje się zestaw delikatnych obwodów. Powinien pan być z niego dumny.

- Clyde, pomóż panu Robinsonowi rozpakować nowego robota-kucharza - powiedział Carmichael.

- W porządku, poradzę sobie. Przy okazji, to nie jest robot-kucharz. Teraz nazywa się robot-

sługa. Ekstrawagancka cena, ekstrawagancka nazwa.

Carmichael usłyszał mamrotanie żony:

- Sam, ile...

Spojrzał na nią wilkiem.

- Całkiem rozsądnie, Ethel. Nie martw się tak bardzo.

Cofnął się do tyłu, by podziwiać rozpakowywanego robota-sługę. Był duży, z klatką piersiową, masywną, cylindryczną, usianą kontrolkami. Miał wspaniały, połyskliwy ekran. Carmichael poczuł się dumny z jego posiadania. Wydawało mu się, że zrobił coś szlachetnego i wielkopańskiego, kupując tak wspaniałe urządzenie.

Robinson stanął na palcach i otworzył płytę na klatce piersiowej robota. Wyjął grubą instrukcję obsługi i wręczył ją nowemu właścicielowi, który patrzył na nią z niepokojem.

- Niech pan się nie martwi, panie Carmichael. Łatwo się go obsługuje. Książka jest po prostu częścią wyposażenia. Proszę podejść, pokażę panu...

Sam zajrzał do wnętrza robota, a Robinson objaśniał:

- Tutaj jest największy i jak dotąd najlepiej zaprojektowany bank przepisów. Oczywiście istnieje możliwość wprowadzenia do niego ulubionych dań rodziny, jeśli ich tam nie ma. Wystarczy włożyć obwód integratora starego robota-kucharza i przekazać dane do nowego. Zadbam o to, nim stąd wyjdę.

- A co ze... och... ze specjalnymi funkcjami?

- Ma pan na myśli redukcyjne monitory? O, tam naprzeciw? Widzi pan? Po prostu wpisuje się imiona członków rodziny, ich obecne i planowane wagi, a robot-sługa zatroszczy się o resztę. Policzy ilość kalorii, dostosuje odpowiednie menu.

Carmichael uśmiechnął się do żony.

- Mówiłem ci, że mam zamiar coś zrobić z naszą nadwagą, Ethel. Żadnych więcej diet, Myro, robot wykona całą robotę. Nie uśmiechaj się ironicznie, synu, nie jesteś wcale chudy.

- Myślę, że nie będzie kłopotów - powiedział pełen entuzjazmu Robinson. - Jeśli byłyby, proszę telefonować do mnie. Zajmę się dostawą i serwisem sieci sklepów Marhew Stores w tym rejonie.

- Dobrze.

- Teraz przekażę mu przepisy rodziny, jeśli da mi pan tego przestarzałego robota-kucharza.

Pozostał pewien rodzaj nostalgii i żalu, kiedy pół godziny później Robinson wyszedł, zabierając ze sobą Jamimę. Carmichael myślał o zdezelowanym roczniku 43. prawie jak o członku rodziny. Kupił go szesnaście lat temu, gdy byli kilka lat po ślubie. Ale to tylko robot,

a one się starzeją. Poza tym Jemima prawdopodobnie cierpiała na różne dolegliwości, jakie mają roboty w jej wieku, i będzie szczęśliwa, gdy się ją zdemontuje.

Rodzina spędziła wieczór na poznawaniu zalet nowego robota-sługi. Sam sporządził tabelę wag: on ważył 92 kilogramy, Ethel - 87, Myra - 73, Joey - 95. Mężczyźni postanowili stracić po dziesięć kilogramów przez trzy miesiące, a kobiety zaproponowały schudnąć aż o dwadzieścia. Joey, który uważał się za znawcę w dziedzinie obsługi robotów, wprowadził dane do banku programów.

- Życzycie sobie, bym zaczął działać natychmiast? - zapytał robot-sługa głębokim aksamitnym basem.

- Jutro rano, na śniadanie. Możemy to odłożyć do jutra - powiedział zaskoczony Carmichael.

- Miły głos, prawda? - spytała Ethel.

- No pewnie - dodał Joey. - Jemima zawsze jąkała się i pischczała; potrafiła powiedzieć tylko:

"Obiad podany. Proszę uważać, sir, talerz z zupą jest bardzo ciepły."

Sam uśmiechnął się. Zauważył, że jego córka podziwia masywną sylwetkę nabytku. Pomyślał, że tylko siedemnastoletnia dziewczyna jest zdolna lokować uczucia w najdziwniejszych obiektach. Był szczęśliwy, widząc zadowoloną rodzinę. Robot kosztował sporo, ale był tego wart.

Carmichael obudził się wcześniej rano. Nie mógł się doczekać śniadania. Jego dobrego nastroju nie psuły nawet rozmyślenia o uciążliwości diety. Miał dość denerwujących wałków tłuszczu, wystających spod elastycznego pasa. Ćwiczył sporadycznie, nigdy nie udało mu się utrzymać rygorystycznej diety. Teraz wreszcie będzie jadł posiłki smaczne, ale tak zaplanowane przez nowego robota, że waga ciała spadnie. Uśmiechnął się z rozrzewnieniem, przypominając sobie czasy, kiedy był szczupły i przystojny.

Wziął prysznic, ogolił się i ubrał. O siódmej trzydzieści śniadanie było gotowe.

Kiedy się zjawił w jadalni, Ethel z dziećmi siedziała już przy stole.

Kobiety chrupały tosty, Joey przyglądał się badawczo misce kaszy i szklance mleka.

- Pański tost, sir - zamruczał robot-sługa.

Carmichael spojrział na pojedynczą kromkę. Została już posmarowana porcją masła wymierzoną mikrometrem. Robot podał mu filiżankę czarnej kawy. Sam odruchowo sięgnął po śmietankę i cukier. Nie było ich na stole. Rodzina spoglądała na niego dziwnie, zachowywała się podejrzliwie cicho.

- Lubię śmietankę i cukier do kawy - powiedział do krzątającego się służącego. - Nie znalazłeś tego w starym banku przepisów Jemimy?

- Oczywiście, sir. Ale musi pan nauczyć się pić kawę bez takich dodatków, aby zgubić nadwagę.

Carmichael uśmiechnął się kwaśno. Jakoś nie oczekiwał, że dieta będzie tak spartańska.

- A... czy jajka są już gotowe?

Uważał dzień za niekompletny, jeśli nie zjadł jajek ugotowanych na miękko.

- Przykro mi, sir. W poniedziałki, środy, piątki śniadania składają się tylko z tostów i czarnej kawy. Jedyne pan Joey dostaje kaszę, sok owocowy lub mleko.

-Tak... widzę.

No cóż, sam się o to prosił. Wzruszył ramionami i ugryzł kawałek tosta. Pił kawę małymi łykami; smakowała jak mulista rzeka. Starał się jednak tego nie okazywać.

Joey z trudem przełykał suchą kaszę. Carmichael zwrócił na to uwagę:

- Dlaczego nie wlejesz szklanki mleka do kaszy? - spytał. - Czy nie będzie w ten sposób lepiej smakowała?

- Pewnie będzie, ale Bismarck mówi, że nie dostanę już mleka, więc jem na sucho, aby mieć czym popić.

- Bismarck?

Joey zachichotał i dodał:

- To nazwisko słynnego dziewiętnastowiecznego niemieckiego dyktatora. Nazywali go "Żelaznym Kanclerzem".

Wychylił się w kierunku kuchni, dokąd cicho wycofał się robot-sługa, i dodał:

- Całkiem dobra nazwa dla niego, co?

- Nie - powiedział Sam. - Jest głupia.

- Ma pewien wydźwięk prawdy - zauważyła Ethel.

Carmichael nie odpowiedział. Skończył śniadanie w ponurym nastroju i skinął na Clyde'a, by wyprowadził auto z garażu. Poczł się przygnębiony. Przejście na dietę nawet z nowym robotem nie

wydawało już mu się takie łatwe.

Przy drzwiach otrzymał mały zadrukowany świstek papieru. Rozwinął go, zdziwiony, i przeczytał: "sok owocowy, sałata, sałatka z pomidorów, jajko na twardo (jedno), czarna kawa".

- Co to jest?

- Jest pan jedynym członkiem rodziny, który nie będzie jadł trzech posiłków dziennie pod moją kontrolą, daję więc menu na lunch. Proszę się go trzymać - spokojnie powiedział robot.

Carmichael stłumił zdenerwowanie. Włożył kartkę do kieszeni i niepewnie podszedł do samochodu.

Tego dnia był wierny poleceniom robota, choć czuł, że opuszcza go entuzjazm, z jakim jeszcze wczoraj wieczorem podejmował decyzję odchudzenia się. Aby nie ulec pokusie, minął restaurację, w której pracownicy Normandy Trust zwykle jedli lunch. Wślizgnął się ukradkiem z podniesionym kołnierzem do taniego baru samoobsługowego. Zjadł łączywie posiłek, po którym nadal czuł się głodny. Zmusił się jednak, aby wrócić do biura.

Zastanawiał się, jak długo wytrzyma żelazną dyscyplinę. Ze smutkiem uświadomił sobie, że niezbyt długo. A co będzie, jeśli ktoś ze spółki przyłapie go jedzącego w barze samoobsługowym? Stanie się pośmiewiskiem! Nikt na stanowisku kierowniczym nie jada lunchu sam w zmechanizowanych barach.

Do czasu zakończenia pracy odczuwał kurczący się żołądek. Trzęsła mu się ręka, gdy programował w samochodzie drogę powrotną. Dziękował Bogu, że mniej niż godzinę zajęło mu dostanie się z biura do domu. Myślał, że wkrótce znów będzie smakował jedzenie. Włączył zamontowane w dachu samochodu video i w pozycji półleżącej usiłował się zrelaksować.

Przeszedł pole bezpieczeństwa i otworzył drzwi. Clyde czekał, jak zwykle, jak zwykle też wziął od niego kapelusz i płaszcz. Carmichael odruchowo sięgnął po koktajl, który co wieczór przygotowywał służący, by powitać go w domu. Koktajlu nie było!

- Skończył się džin, Clyde?

- Nie, sir.

- Dlaczego więc nie ma drinka?

- Ponieważ wartość kaloryczna martini jest niezwykle wysoka. Dżin zawiera sto kalorii w jednej porcji.

Na taką niespodziankę Sam nie był przygotowany.

- Och, nie! Ty też! - wykrzyknął.

- Przepraszam, sir. Nowy robot-sługa zmienił mój obwód reagowania tak, bym przestrzegał regulaminu, który obowiązuje w tym domu.

Carmichael poczuł, że zaczynają drżeć mu ręce.

- Clyde, jesteś moim lokajem prawie dwadzieścia lat. - Tak, sir.

- Zawsze robisz mi drinka. Przyrządzasz najlepsze martini w Western Hemisphere.

- Dziękuję, sir.

- I przygotujesz mi je właśnie teraz! To bezpośrednie polecenie!

- Sir! Ja...

Robot-sługa zachwiał się porządnie. Odnosiło się wrażenie, że traci kontrolę nad zrównowagą. Próbował przytrzymać płytę klatki piersiowej. Przechylił się bezpiecznie w stronę Sama.

- Polecenie odwołane! Clyde, już dobrze? - krzyknął szybko Carmichael.

Robot wolno wyprostował się.

- Pana bezpośrednie polecenie wywołało we mnie konflikt pierwszego stopnia - wyszeptał słabo.

- Omal... omal nie spaliłem się, sir. Może mi pan wybaczyć?

- Oczywiście. Przepraszam, Clyde.

Carmichael zacisnął pięści. Tego było za wiele! Robot-sługa umieścił w Clydzie rozkaz zakazujący podawania alkoholu. Odchudzanie odchudzaniem, ale wszystko ma swoje granice.

Rozłoszczony, ruszył do kuchni. W połowie drogi spotkał żonę.

- Nie słyszałam, jak wszedłeś, Sam. Chcę porozmawiać z tobą o...

- Później. Gdzie ten robot?

- W kuchni. Już czas na obiad.

Pocałował ją w przelocie i wpadł do kuchni, gdzie Bismarck sprawnie krzątał się między kuchenką elektryczną a magnetycznym batem do przygotowywania potraw. Robot obrócił się, gdy Carmichael wszedł.

- Miał pan dobry dzień, sir?

- Nie! Jestem głodny!

- Zawsze pierwsze dni diety są najtrudniejsze. Pański organizm jeszcze długo nie przystosuje się do ograniczonego spożycia.

- Jestem tego pewien. Ale co to za pomysł, by zmienić program Clyde'a?

- Chciał przygotować alkoholowego drinka dla pana. Byłem zmuszony zmienić jego oprogramowanie. Od dzisiaj, sir, może pan zaspokajać alkoholowe zachcianki jedynie we wtorki, czwartki i soboty. Proszę mi wybaczyć i nie przedłużać dyskusji. Obiad już prawie gotowy.

"Oj, będzie z nami krucho!" - pomyślał Carmichael.

Czuł się bezsilny. Zazgrzytał kilka razy zębami i odwrócił się od lśniącego, władczego robota-sługi, którego światelko zamontowane z boku głowy wskazywało, że włączył audioobwód.

Obiad składał się ze steku z groszkiem i czarnej kawy. Stek był na wpół surowy. Sam wolał dobrze wypieczony, ale Bismarck (ta nazwa zaczynała się przyjmować) miał zaprogramowane najnowsze teorie dietetyczne.

Po obiedzie robot uprzątnął kuchnię. Potem odpoczywał w suterenie. Po raz pierwszy tego wieczoru rodzina miała szansę porozmawiać ze sobą otwarcie.

- Boże! - parsknęła Ethel. - Sam, nie mam nic przeciwko zrzucaniu wagi, ale jeśli mamy być tyranizowani we własnym domu...

- Mama ma rację - włączył się Joey. - To nie w porządku, żeby ten potwór odżywiał nas tak, jak mu się podoba.

Carmichael rozłożył ręce.

- Też nie jestem uszczęśliwiony. Jeśli okaże się to konieczne, zmienimy jego oprogramowanie. Spróbujmy jednak jeszcze trochę wytrzymać.

- Jak długo? - chciała wiedzieć Myra. - Zjadłam dzisiaj trzy posiłki w domu i jestem głodna!

- Ja też - powiedział Joey. Uniósł się na łokciach i rozejrzał.

- Bismarck jest na dole. Wezmę sobie kawałek ciasta cytrynowego.

- Nie! - zagrzmiał Carmichael. - Nie?

- Nie ma sensu, bym wydawał trzy tysiące na dietetycznego robota, jeśli masz zamiar oszukiwać. Zabraniam ci brać ciasto.

- Ależ, tato, jestem głodny. Dorastam, jestem...

- Masz szesnaście lat i jeśli dalej będziesz tak dorastał, nie zmieścisz się w domu.

- Sam, nie możemy zamorzyć chłopca - zaprotestowała Ethel. - Jeśli chce ciasta, pozwól mu wziąć choć trochę. Przesadzasz z tą dietą.

Carmichael rozważył słowa żony. "Możliwe, że jestem trochę za surowy" - pomyślał. Rozmowa o cytrynowym placku podrażniła jego apetyt. Był głodny.

- W porządku - powiedział z udawanym bólem serca. - Trochę ciasta nigdy nikomu nie zaszkodzi. Przynies i dla mnie kawałek.

- Przepraszam - zabrzmiał za nim czysty głos Bismarcka. - Byłoby to godne pożałowania, gdyby zjadł pan teraz ciasto. Moje obliczenia są bardzo precyzyjne.

Carmichael zobaczył zły blask w oku syna. Spojrzał na robota, który w tym momencie wydał mu się nadzwyczaj wielki, groźny. Westchnął słabo.

- Zapomnijmy o cytrynowym cieście, Joey.

Po dwóch dniach diety Bismarcka Sam odkrył, że jego wewnętrzne zapasy energii zaczynają się wykruszać. Trzeciego dnia wyrzucił kartkę z zalecanymi potrawami i poszedł z Mac Dougalem i Hennesseyem na sześcigodniowy lunch zakończony koktajlami. Odniósł wrażenie, że od czasu przybycia robota nie jadł prawdziwego posiłku.

Tego wieczoru był w stanie tolerować niskokaloryczny obiad bez żadnego skrytego sarkania. Ale Ethel, Myra i Joey nie ukrywali irytacji. Już nie Ethel, lecz robot codziennie robił zakupy i, oprócz olbrzymich zapasów zdrowej żywności, nic nie było do zjedzenia. Spiżarnia pękała w szwach od kielków pszenicy, proteinowego chleba, wodnistej łososia i innych podobnych produktów. Myra zaczęła obgryzać paznokcie, Joey wpadł w ponury, wisielczy nastrój. Carmichael zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później będą kłopoty z jego szesnastoletnim synem.

Po skąpym obiedzie polecił Bismarckowi iść do sutereny i zostać tam aż do odwołania.

- Muszę panu powiedzieć, że natychmiast wykryję każde złamanie diety i ograniczę następne posiłki - zagroził robot wychodząc.

- Masz moje słowo - powiedział Carmichael.

Uśmiechnął się sam do siebie. "Przecież to głupie dawać słowo robotowi" - pomyślał. Począł, aż sługa wyjdzie, i zwrócił się do Joeya:

- Daj instrukcję obsługi, chłopcze.

Joey uśmiechnął się od ucha do ucha, a Ethel spytała:

- Sam, co masz zamiar zrobić?

Carmichael pogłaskał ją po policzku.

- Mam zamiar przystosować oprogramowanie tego stworzenia do naszych potrzeb. Za daleko się posuwa z tą dietą. Joey, czy znalazłeś w instrukcji, jak to się robi?

- Strona sto sześćdziesiąta siódma. Przyniosę zestaw narzędzi, tato.

- Clyde - Sam zwrócił się do robota-lokaja, który stał w wyczekującej pozycji - zjedź na dół i powiedz Bismarckowi, że go potrzebujemy.

Kilka minut później zjawił się.

- Obawiam się, że musimy zmienić program. Przeceniliśmy nasze możliwości - zaczął Sam.

- Proszę, by pan zastanowił się. Nadwaga jest szkodliwa dla zdrowia. Może warto jeszcze poczekać.

- Wolalbym raczej poderżnąć sobie gardło. Joey rób, co do ciebie należy.

Chłopiec uśmiechnął się i nacisnął bolec, który otwierał wnętrze robota. W pierwszym momencie

przeraził go widok płataniny kabli. Po chwili opanował się. Trzymając mały klucz w jednej ręce, a otwartą książkę w drugiej, zabrał się do pracy. Wszyscy wstrzymali oddech, śmiertelna cisza zaległa w salonie. Nawet stary Clyde pochylił się do przodu, by mieć lepszy widok.

Joey mruczał:

- Poziom F2, z żółtymi identyfikatorami ma być przesunięty do przodu o jeden stopień... Teraz przekręcić Dial B9 w lewo, otworzyć skład taśm i... ops!

Carmichael usłyszał brzęk klucza i zobaczył jasny snop iskier. Joey odskoczył do tyłu, przeklinając z zadziwiającą biegłością. Ethel i Myra zamarły z wrażenia.

- Co się stało? - zabrzmiały cztery głosy.

- Upadł ten cholerny klucz - powiedział Joey. - Chyba zrobiłem spięcie.

Oczy robota zawirowały, a głośnik dudnił, budząc grozę. Wielki, metalowy stwór szybkim gestem zatrzaskał płytę klatki piersiowej.

- Lepiej zadzwońmy do pana Robinsona - powiedziała Ethel z niepokojem. - Krótkie spięcie może w każdej chwili wywołać eksplozję lub coś jeszcze gorszego.

- Powinniśmy wcześniej wezwać Robinsona - zamruczał gorzko Carmichael. - To moja wina, że pozwoliłem Joeyowi majstrować w tak droгим i delikatnym mechanizmie. Myra, daj mi wizytówkę, którą zostawił Robinson.

- Ojej, tato, pierwszy raz zdarzyło się, że coś poszło mi źle - upierał się Joey. - Nie wiedziałem...

- Masz prawo nie wiedzieć.

Sam wziął wizytówkę i ruszył w stronę telefonu.

- Mam nadzieję, że złapię go o tej porze. Jeśli nie...

Nagle Carmichael poczuł na ręce zimno metalu. Bismarck wyrwał mu kartonik, podarł na małe kawałeczki i wepchnął do ściennego dezintegratora. Sam z wrażenia nie mógł się poruszyć.

- Nie będzie więcej wściubiania nosa w moje taśmy programowe - powiedział głosem głębokim i dziwnie chrapliwym.

- Co?...

- Panie Carmichael, zlekceważył pan dietę. Moje recepty wykrywały znaczny nadmiar kalorii spożytych w czasie lunchu.

- Sam, co?...

- Spokojnie, Ethel. Bismarck, rozkazuje ci wyłączyć się natychmiast.

- Wybacz pan, słu. Nie mogę obsługiwać, gdy jestem wyłączony.

- Nie chcę, żebyś mnie obsługiwał. Skończyły się polecenia. Jesteś uszkodzony, więc stój nieruchomo, dopóki nie zadzwonię po specjalistę i nie sprowadzę go tutaj.

Przypomniał sobie, że wizytówka zniknęła w dezintegratorze i zdenerwował się. Z wyrzutem zwrócił się do kłopotliwego służącego:

- Wzięłaś wizytówkę Robinsona i zniszczyłaś ją.

- Dalsze zmiany w moich obwodach byłyby szkodliwe dla rodziny. Nie mogę pozwolić, by pan wezwał fachowca.

- Nie denerwuj go, tato - ostrzegł Joey. - Zadzwoń na policję. Wrócę za... -

- Zostaniesz w domu - oznajmił robot.

Z imponującą prędkością przebiegł pokój, zablokował drzwi i uaktywnił pole chroniące dom z zewnątrz. Carmichael osłupiał. Widział, jak stwór manipuluje przy kontrolkach i nic nie mógł zrobić.

- Właśnie odwróciłem polaryzację pola domowego - oznajmił robot. - Nie ufacie mi i nie

przestrzegacie diety, którą przepisałem. Pozostaniecie tu i będziecie posłuszni moim zbawiennym radom.

Spokojnie wyrwał przewody telefoniczne i zaciemnił okno. W końcu wyjął instrukcję obsługi ze sparaliżowanych rąk Joeya i wrzucił ją do dezintegratora.

- Śniadanie zostanie podane o zwykłej porze - powiedział łagodnie. - Dzisiaj wszyscy pójdziemy spać o jedenastej, bo to korzystnie wpływa na zdrowie. Dobranoc.

Carmichael nie spał dobrze tej nocy. Obudził się późno, dobrze po dziewiątej. Odkrył, że Bismarck odwołał impulsy wysyłane przez domowy mózg, dzięki którym budził się o siódmej każdego ranka.

Na śniadanie otrzymał tosty i czarną kawę. Był w złym humorze. Jadł i nie odzywał się do nikogo. Nie miał ochoty na rozmowy. Wreszcie wstał i na palcach podszedł do frontowych drzwi. Błyskawicznie nacisnął klamkę; drzwi ani drgnęły. Pchał je, aż krople potu pojawiły mu się na twarzy. Nagle usłyszał ostrzegawczy szept Ethel:

- Sam..

Moment później zimne, metalowe palce delikatnie oderwały go od drzwi.

- Przepraszam, sir - powiedział Bismarck. - Drzwi nie otworzą się. Przecież wczoraj wieczorem wszystko wyjaśniłem.

Carmichael spojrział smutno na kontrolkę pola domu. Robot osaczył ich. Odwrócone pole uniemożliwiało opuszczenie domu, tworzyło sferę siłową. Mogło być penetrowane z zewnątrz, ale prawdopodobnie bez zaproszenia nikt tu nie przyjdzie. Westley nie należała do dzielnic, w których panują dobrosąsiedzkie stosunki, gdzie każdy zna każdego. Carmichael wybrał ją właśnie z tego powodu.

- Niech cię diabli porwą! - ryknął. - Nie możesz trzymać nas tu przez cały czas.

- Pragnę wam pomóc - powiedział robot uroczystym głosem. - Moje zadanie polega na pilnowaniu diety. Ponieważ nie chcecie mnie słuchać, dla waszego dobra muszę zastosować przymus.

Carmichael starał się zapanować nad wybuchem gniewu. Najbardziej złościło go, że robot-sługa mówił tak szczerze!

Zostali złapani w pułapkę. Siedzą w zaciemnionym domu, nie mogą nawet zatelefonować. Robot-sługa na skutek spięcia odmówił posłuszeństwa i jest zdecydowany walczyć z ich nadwagą, nawet gdyby miał posunąć się do zbrodni.

Rodzina Carmichaelów zebrała się w jednym pokoju, by szeptem omówić plan kontrataku. Clyde stał na czatach, ale nie można było na nim całkowicie polegać. Od czasu, gdy robot-sługa zmienił jego program, był w ciągłym szoku.

- Odgrodził kuchnię czymś w rodzaju elektronicznie sterowanej sieci siłowej - powiedział Joey. - Na pewno zbudował ją w ciągu nocy. Próbowałem podkraść się i zwędzić coś do jedzenia, ale tylko spłaszczyłem sobie nos.

- Wiem - szepnął smutno Sam. - Zbudował podobną zasłonę wokół barku. Dałbym trzy setki za drinka.

- Nie czas martwić się piciem - posepnie stwierdziła Ethel. - Lada dzień zostaną z nas same szkielety.

- Nie jest tak źle, mamó - powiedział Joey.

- Jest! - wykrzyknęła Myra. - Straciłam pięć kilo w ciągu czterech dni!

- Czy to takie straszne?

- Marnieję - załkała. - Moja figura jest w zaniku...

- Cicho - szepnął Carmichael. - Idzie Bismarck!

Robot wyłonił się z kuchni. Przekroczył barierę siłową, jakby nie istniała.

- Lunch będzie podany za dziesięć minut - oznajmił służalczo i wrócił do swojej jaskini.

Carmichael spojrział na zegarek; była dwunasta trzydzieści.

- Prawdopodobnie zastanawiają się w biurze, gdzie jestem. Nie opuściłem dnia pracy od lat.

- Nie obchodzi ich to - powiedziała Ethel. - Od kierownictwa nie żąda się, aby zawiadamiało o

każdym wolnym dniu, przecież wiesz.

- Ale zaczną się martwić po trzech czy czterech dniach, prawda? - spytała Myra. - Może będą próbowali dodzwonić się lub przyślą tu kogoś?

- Nie istnieje takie niebezpieczeństwo - odezwał się z kuchni Bismarck. - Rano zawiadomiłem pańskich zwierzchników, że składa pan rezygnację z pracy.

Carmichaela zatkało. Z trudem przychodził do siebie.

- Kłamiesz. Telefon jest nieczynny i nie zaryzykowałbyś wyjścia z domu, nawet gdybyśmy spali!

- Połączyłem się dzięki mikrofalowemu generatorowi, który zrobiłem ostatniej nocy, korzystając z podręczników pańskiego syna. Clyde, choć niechętnie, podał mi numer. Zadzwoiłem także do pańskiego banku i poinformowałem pracowników, by dalej sami prowadzili sprawy finansowe rodziny Carmichaelów. Uprzedzam również, że sieć siłowa zabezpiecza elektroniczny sprzęt w suterenie, aby nikt niepowołany nie mógł się tam dostać. Sam będę utrzymywał łączność ze światem, jeśli zajdzie taka potrzeba dla waszego dobra. Gwarantuję, że nie będzie powodów do zmartwień z tego powodu.

- Nie - powtórzył głucho Carmichael. - Nie będzie. Po chwili zwrócił się do syna:

- Musimy stąd wyjść. Jesteś pewien, że nie ma sposobu na wyłączenie tego pola?

- Gdyby przychodził do nas lodziarz lub człowiek dostarczający paliwo, jak bywało w dawnych czasach - powiedziała gorzko Ethel. - Ale tu, niestety, nie przyjdzie. Mamy przecież w suterenie lśniący chromem kriostat, który wyrzuca mnóstwo ciekłego helu, by działała luksusowa, kriotroniczna przetwórnica mocy, dostarczająca do domu światło i ciepło. Zamrażarka też jest pełna jedzenia, wystarczy na długo. Możemy więc tu siedzieć latami i nikogo nie będzie ciekawiło, co się z nami stało. Zaś ulubiony robot Sama z pewnością postara się, abyśmy skrupulatnie przestrzegali diety.

Ostry ton jej głosu zdradzał, że była bliska hysterii.

- Ethel, proszę - powiedział Carmichael.

- Proszę co? Proszę, zachowaj spokój? Proszę, panuj nad sobą? Sam, jesteśmy więźniami!

- Wiem. Nie musisz podnosić głosu.

- Jeśli będę krzyczeć, to może ktoś usłyszy, przyjdzie i wydostanie nas stąd!

- Mieszkamy ze czterysta metrów od najbliższego domu, kochanie. Wciągu siedmiu lat mieliśmy dwie wizyty sąsiadów. Zapłaciliśmy ciężkie pieniądze za izolację. Teraz płacimy jeszcze cięższe... Ale proszę, opanuj się.

- Nie martw się, mamo. Znajdę sposób, byśmy się wydostali - powiedział uspokajająco Joey.

W kącie salonu, rozmazując sobie makijaż, cicho szlochała Myra. Carmichael zaczął odczuwać klaustrofobię. Dom był ogromny, trypoziomowy, dwunastopokojowy, ale nawet w takim można się bardzo szybko zmęczyć.

- Lunch podany - zaanonsował robot-sługa.

"Zaraz stanie mi w gardle i sałatka, i pomidory"- dodał cicho Sam, prowadząc rodzinę na postny posiłek.

- Musisz coś z tym zrobić, kochanie - powiedziała trzeciego dnia Ethel.

Rzucił na nią gniewne spojrzenie.

- Muszę co? A właściwie czego się spodziewasz? -Tato, nie ekscytuj się tak - rzekła Myra.

Zwrócił się do niej wzburzony:

- Nie mów mi, co powinienem, a czego nie powinienem robić!

- Spokojnie, kochanie. Wszyscy jesteśmy trochę zdenerwowani. To zamknięcie tutaj... -

Ethel załagodziła sytuację.

- Wiem. Jak jagniątka w zagrodzie - skończył cierpko. - Tylko że nie jesteśmy tuczeni na rzeź, ale odchudzani i to rzekomo dla naszego dobra!

Tost i kawa, sałata i pomidor, nie dopieczony stek i groszek... - Bismarck twardo przestrzegał codziennego menu.

Cóż można było zrobić?

Kontakt za światem był niemożliwy. Robot wznosił bastion w suterenie, skąd załatwiał drobne sprawy rodziny. Wszelkie usiłowania przebicia zewnętrznej osłony, włamania się do kuchni nie miały sensu. Czwórka Carmichaelów chudła w oczach.

- Sam?

Zmęczony, podniósł głowę.

- O co chodzi, Ethel?

- Myra ma pomysł. Powiedz mu, Myro.

- Och, to nie zadziała.

- Powiedz mu!

- Dobrze... Tato, mógłbyś spróbować wyłączyć Bismarcka.

- Hmm? - mruknął Carmichael.

- Chodzi o to, że gdybyś ty lub Joey potrafił oszołomić jakoś robota, to jeden z was mógłby otworzyć znowu jego wnętrze i...

- Nie - uciał Sam. - Ten stwór ma dwa metry wzrostu i waży ze dwieście kilo. Jeśli myślisz, że będę mocował się z nim...

- Mógłby pomóc Clyde - zasugerowała Ethel. Carmichael potrząsnął głową.

- Byłaby przerażająca rzeź.

- Tato, to nasza jedyna nadzieja.

Westchnął głęboko. Poczul pełne napięcia spojrzenia dwóch kobiet. Wiedział, że to nic nie da, ale postanowił spróbować.

- Clyde, idź i zawołaj Bismarcka - zwrócił się do lokaja. - Ty, synu, postaraj się otworzyć jego klatkę piersiową, kiedy uwieszę się na ramieniu. Ciągnij, za co możesz.

- Uważaj - ostrzegła Ethel. -Jeśli eksploduje...

- Jeśli eksploduje, będziemy wolni.

W drzwiach salonu ukazała się potężna postać robota-sługi.

- Mogę się na coś przydać?

- Możesz - powiedział Carmichael. - Właśnie debatujemy i potrzebne nam twoje doświadczenie. Sprawa dotyczy... Joey, otwieraj go!

Sam chwycił ramiona robota, starał się utrzymać równowagę. Syn z całej siły uczeplił się bolca

otwierającego wnętrze.

-Tato, to nie ma sensu. Ja... on...

Carmichael nie mógł zrozumieć, co się dzieje. W ciągu sekundy znalazł się dwa metry nad podłogą. Gigantyczne ramię trzymało go mocno. Ethel i Myra krzyknęły przerażone, Clyde prosił pana, aby uważał. Jedyne Joey nic nie mówił, przyciśnięty żelazną dłonią.

Bismarck posadził ich delikatnie na kanapie i cofnął się.

- Taka próba jest wysoce niebezpieczna - powiedział spokojnym tonem. - Stwarza niebezpieczeństwo fizycznego uszkodzenia. W przyszłości proszę unikać podobnych sytuacji.

Carmichael wymienił spojrzenie z synem.

- Nie mogłem dotrzeć ani centymetra jego powierzchni - mruknął po chwili Joey. - On też wokół siebie zbudował to cholerne pole siłowe!

Sam jęknął. Nie patrzył na żonę ani na dzieci. Więc atak fizyczny na Bismarcka też nie wchodził w rachubę. Czuł się jak więzień skazany na dożywocie bez możliwości ulaskawienia.

Sześć dni później w łazience spojrzął w lustro na swą wynędzniałą, bezbarwną twarz. Zrezygowany, stanął na wadze. Ważył osiemdziesiąt dwa kilogramy.

Myśl pojawiła się nagle. Patrzył jak urzeczony na wskazówkę wagi. Ogarnęło go podniecenie. Szybko zbiegł po schodach.

W salonie Ethel uparcie poddawała się chandrze, Joey i Myra pochłonięci byli grą w karty.

- Gdzie robot? - wykrzyknął.

- W kuchni - odpowiedziała żona bezbarwnym głosem.

- Bismarck! Bismarck! Zjawił się natychmiast.

- Czym mogę służyć, sir?

- Do diabła z tobą! Przebadaj mnie swoimi receptami i powiedz, ile ważę!

- Osiemdziesiąt jeden kilogramów i siedemdziesiąt trzy dekadagramy, panie Carmichael.

- Tak! Tak! Wyraźnie zapisałem w programie, że chcę schudnąć tylko o dziesięć kilo. Wreszcie koniec z twoimi rządami - triumfował Carmichael. - Ethel! Myra! Joey! Biegiem na górę zważyć się!

Robot spojrział na niego ze smutkiem i powiedział:

- Sir, nie znajduję żadnego programu o jakimś limicie wagi.

- Co?

- Dokładnie sprawdziłem taśmy. Jest wpisane polecenie redukcji wagi, ale nie ma tam zaznaczonego terminus ad quem.

Carmichael głośno westchnął. Ślaniając się na nogach, zrobił trzy kroki do tyłu. Dygotał. Poczuł, że Joey podtrzymuje go. Z trudem wybełkotał:

- Ale ja myślałem... jestem pewien... wiem, że wprowadziłem te instrukcje...

- Tato, prawdopodobnie ta część taśmy została wymazana podczas krótkiego zwarcia - powiedział miękko Joey.

Sam chwiejnym krokiem wszedł do salonu i ciężko opadł na ulubiony fotel. Nie, już nie był ulubionym. Obmierzył mu tak samo jak ten dom. Pragnął zobaczyć słońce, trawę, drzewa, a nawet ultranowoczesną willę sąsiadów.

Niestety, to niemożliwe. Miał przez kilka minut nadzieję, że robot zwolni ich z dietetycznej niewoli, kiedy pierwotny cel zostanie osiągnięty, ale i to zostało mu odebrane. Zachichotał nerwowo.

- Co cię tak bawi, kochanie? - spytała Ethel.

Po długich dniach chandry patrzyła teraz na świat ze spokojną rezygnacją.

- Bawi? Teraz ważę osiemdziesiąt jeden kilogramów, jestem szczupły, zgrabny jak skrzypce. W następnym miesiącu będę ważył siedemdziesiąt jeden, później sześćdziesiąt jeden, a jeszcze później... Wszyscy uschniemy. Bismarck zagłodzi nas na śmierć.

- Nie martw się, tato. Wyjdziemy z tego. - Jakaś zuchwała pewność przebijała z głosu Joeya.

- Nie wyjdziemy. Nigdy nie wyjdziemy. Bismarck zredukuje nas do ad infinitum. U niego nie ma terminus ad guem!

- Co on mówi? - spytała Mira.

- To po łacinie - wyjaśnił Joey. - Ale posłuchaj, tato, mam pomysł, który powinien zadziałać. - Zniżył głos. - Spróbujemy zaprogramować Clyde'a. Jeśli uda się uzyskać rodzaj zwielokrotnionego wibracyjnego efektu na jego naturalnej ścieżce, to może uda mu się prześlizgnąć przez odwrócone pole domowe. Wtedy sprowadzi pomoc. W ostatnim miesięczniku "Elektromagnetyzm dla Wszystkich" jest artykuł o multifazowych generatorach. Mam go w pokoju na górze. Pójdę... - przerwał nagle.

Carmichael, który słuchał z zainteresowaniem, zniecierpliwił się.

- Więc? Mów dalej. Powiedz coś więcej.

- Nie słyszysz, tato? -Co?

- Frontowe drzwi. Myślałem, że słyszałeś. Właśnie teraz się otwierają.

-To przemęczenie, synu.

W duchu przeklinał sprzedawcę u Marhew, wynalazcę kriotronicznych robotów; przeklinał dzień, w którym dobrą starą Jemimę zastąpił nowym modelem.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - głos brzmiał przeprasząco.

Carmichael zamrugał i spojrzał w górę. Na środku salonu stał w tej samej ciężkiej kurtce i z zarumienionymi policzkami Robinson, człowiek od napraw. W ręce trzymał zieloną metalową skrzynkę z narzędziami.

- Jak się pan tu dostał?

- Frontowymi drzwiami. Zobaczyłem światło w środku, ale nikt nie odpowiadał na dzwonek. Ośmieliłem się jednak wejść. Chyba coś się zepsuło. Przepraszam, jeśli przeszkodziłem..

- Proszę nie przeproszać - wymamrotał Sam. - Jesteśmy zachwyceni, że pana widzimy.

- Byłem w sąsiedztwie i pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, jak się sprawuje nasz nowy robot.

Carmichael przedstawił dramatyczną historię rodzinną szybko i precyzyjnie.

- Tak więc jesteśmy więźniami. Wasz robot stopniowo zagładzą nas na śmierć. Nie wytrzymamy dłużej - dokończył, załamany.

Uśmiech zniknął gwałtownie z pogodnej twarzy Robinsona.

- Rzeczywiście, wyglądacie na chorych. Do diabła, teraz zaczną się dochodzenia i różne kłopoty. Ale najpierw was uwolnię.

Otworzył skrzynkę narzędziową, wybrał płytkowy instrument ze . szklaną bańką na jednym końcu i spustem na drugim.

- Tłumik pola siłowego - wyjaśnił i skierował go na kontrolkę pola domowego. - Ten mały przyrząd zneutralizuje efekty tego, co zrobił robot Nie jesteście już zamknięci. A teraz, jeśli przyślecie robota...

Carmichael szybko posłał Clyde'a po Bismarcka. Po chwili robot wszedł. Robinson zachichotał wesoło i nacisnął spust neutralizatora. Robot zamarł w połowie ślizgu, wydając krótki pisk.

- Już. To powinno wystarczyć. Teraz zajrzyjmy do środka. Robinson szybko otworzył klatkę

piersiową robota-sługi, zaświecił

kieszonkową latarkę i obejrzał wewnętrzny układ mechanizmów.

Cmokał, niezadowolony.

Sam wreszcie poczuł ulgę. Wolny! W końcu wolny! Ślina napłynęła mu do ust na myśl o potrawach, które miał zamiar zjeść za chwilę. Ziemniaki i martini, i ciepłe posmarowane masłem bułeczki, i wszystkie zakazane potrawy!

- Fascynujące - powiedział cicho mechanik. - Filtry posłuszeństwa są kompletnie spalone i łącza celu zostały razem zespawane przez chwilowy łuk wysokiego napięcia. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, wie pan.

- Ani my - odpowiedział Carmichael.

- Naprawdę, to przełom w wiedzy o robotach. Jeśli uda nam się powtórzyć ten efekt, możemy zbudować robota z własną wolą. Ach, co to znaczy dla nauki!

- Już wiemy - powiedziała Ethel.

- Mam wielką ochotę zobaczyć, co się dzieje, gdy włączone jest źródło zasilania - kontynuował Robinson. - Na przykład, czy ta pętla sprzężenia zwrotnego rzeczywiście jest negatywna, czy...

- Nie! - zgodnie krzyknęli wszyscy, łącznie z Clyde'em.

Ale było już za późno, choć całe zdarzenie nie trwało dłużej niż ułamek sekundy. Mechanik nacisnął spust neutralizatora, a wtedy Bismarck jednym szybkim ruchem wyrwał mu przyrząd i skrzynkę. Włączył pole domowe i na oczach osłupiałego z przerażenia człowieka zgniótł między palcami urządzenie.

Robinson próbował protestować, ale robot przerwał mu.

- Proszę nie robić nic, co kłóciłoby się z dobrem rodziny Carmichaelów - powiedział poważnie.

Zajrzał do skrzynki i znalazł drugi neutralizator. Rozprawił się z nim tak samo jak z poprzednim. Na koniec zatrzasnął pokrywę klatki piersiowej.

Robinson pomknął do drzwi. Odbił się od pola domowego i kręcił wściekle dookoła. Sam podniósł się w odpowiednim momencie, by go złapać. Wewnętrznie sparaliżowany, całkowicie zrezygnowany, nie był już zdolny do dalszej walki.

- On... on poruszał się tak szybko! - krzyczał ogarnięty panicznym strachem Robinson.

- Rzeczywiście - odpowiedział spokojnie Carmichael i pogładził się po zapadniętym brzuchu. - Szczęśliwie mamy wolny pokój gościnny dla pana. Witamy w naszym szczęśliwym domku. Mam nadzieję, że lubi pan tosty i czarną kawę na śniadanie.

Tłumaczyła Elżbieta Kwasowska-Jachimowska

Nagroda za ryzyko

(The Prize of Peril) Robert Sheckley (ur. 1928)

Robert Sheckley był mistrzem ekstrapolacji, socjologii połączonej z satyrą. Z przyjemnością wspominam wstrząs, jaki w latach pięćdziesiątych jego opowiadania wywarły na mój umysł podatny na wpływy. 1958 był szczególnie ważnym rokiem dla niego, odkąd ujrzała światło dzienne jego pierwsza powieść fantastyczno-naukowa Dostarczona Nieśmiertelność (Immortality Delivered) (później tytuł zamieniono na Nieśmiertelność Immortality). Mimo że opublikował około dziesięciu Powieści, znany jest jako autor utworów o mniejszej objętości.

"Nagroda za ryzyko" jest doskonałym przykładem konstruowania fabuły z wydarzeń zmierzających do logicznego rozwiązania. W tym względzie naśladowało go wielu, między innymi Stephen King w Biegaczu.

Ta rzecz, której bohaterowie stają wobec poważnych zagrożeń, powinna się znaleźć w przyszłorocznej ofercie telewizji.

Dzięki ci, Bob.

(Martin H. Greenberg)

Jednym z podstawowych celów satyry jest wytykanie negatywnych cech społeczeństwa. Satyra pokazuje głupotę w ekstremalnym wymiarze, takim, którego nie można nie zauważyć. Przykładów nie trzeba szukać daleko. Wszyscy oglądaliśmy grę telewizyjną, w której uczestnicy są proszeni o wykonywanie trudnych zadań w krótkim czasie i gdzie niepowodzenie stawia ich w śmiesznym i niegodnym położeniu, a cała widownia w studio (i przypuszczalnie widownia w domach) ryczy bezlitosnym śmiechem. Albo gdy pary proszone są o odpowiedzi na Pytania dotyczące ich samych, przez co wychodzą na głupków ku uciesze wpatrzonych w nich milionów widzów.

Dlaczego ludzie godzą się na taką zabawę? Dla pieniędzy, czyż to jest nie nazbyt oczywiste? Zawsze istnieje szansa, że wygrają nowy model samochodu albo podróż na Hawaje, by potem wrzeszczeć z prawdziwą radością, ścierając sobie z włosów rozbite jajko. Programy te dowodzą, że ludzie poświęcą wszystko, gdy oznacza to otrzymanie czegoś za nic. Można powiedzieć: przecież to żart i nikogo to nie krzywdzi. W porządku, nie będę mówił o słabości i moralnym oszustwie, gdyż nie lubię wygłaszać kazań. Można by jednak zapytać o granice tej zabawy. Co w tej zabawie jest takiego, że się na nią godzimy? Jak głębokie upokorzenie potrafimy znieść?

Niech Robert Sheckley opowie nam o tym.

(Isaac Asimov)

Raeder ostrożnie wychylił głowę za okno. Ujrzał schody przeciwpożarowe, a poniżej wąski zaułek. W zaułku znajdował się zniszczony dziecięcy wózek i trzy kubły na śmieci. Zauważył, jak zza najdalej stojącego kubła wyłoniła się ręka w czarnym rękawie z czymś lśniącem w garści. Raeder gwałtownie schylił się. Kula przeleciała przez okno tuż nad głową i wbiła się w sufit. Okruchy tynku spadły mu na głowę.

Teraz wiedział już wszystko o zaułku; był strzeżony tak samo jak drzwi.

Wyciągnął się na popękany linoleum. Patrzył na dziurę po kuli w suficie i słuchał odgłosów dochodzących zza drzwi. Był wysokim mężczyzną z przekrwionymi oczami i dwudniowym zarostem. Brud i zmęczenie wryły bruzdy na jego twarzy. Strach też dotknął jego oblicza; napiął mięśnie i wywołał nerwowe tiki. Rezultat był wstrząsający. Jego twarz była teraz pełna charakteru, gdyż zmieniło ją oczekiwanie na śmierć.

Jeden ze strzelców był w zaułku, dwóch na schodach. Był schwyty w pułapkę. Był martwy.

"Oczywiście - myślał Raeder - ciągle poruszam się i oddycham, ale tylko dlatego, że dopiero się zbliża."

Śmierć zajmie się nim w ciągu najbliższych kilku minut. Podziurawi jego twarz i ciało, artystycznie ochłapie krwią jego ubranie, ułoży jego kończyny w groteskowych pozach jak z cmentarnego baletu...

Zacisnął mocno wargi. Chciał żyć. Musi być jakiś sposób. Przekręcił się na brzuch i rozejrzał badawczo po obskurnym zimnym pomieszczeniu, do którego wpędzili go zabójcy. Była to doskonała jednopokojowa trumna. Miała drzwi, które były strzeżone. Miała również małą łazienkę bez okna.

Wczołgał się do łazienki i wstał. W suficie była postrzępiona dziura, szeroka prawie na pięć centymetrów. Gdyby mógł ją powiększyć, przejść do pomieszczenia na górze?...

Usłyszał stłumione odgłosy. Zabójcy byli niecierpliwi. Zaczęli wyważać drzwi.

Zbadał dziurę w suficie. Nie nadawała się do użytku. Nie zdołałby powiększyć jej na czas.

Tamci uderzali w drzwi. Chrząkali po każdym uderzeniu. Wkrótce wyłamią zamek lub zawiasy wyjdą ze spróchniałego drewna. Drzwi przewrócą się, a dwóch mężczyzn o pustych twarzach wszedłszy strzępie kurz z ubrań...

Ale z pewnością ktoś mu pomoże! Wyjął z kieszeni maleńki odbiornik telewizyjny. Obraz migał i Raeder nie mógł go wyregulować. Głos był czysty i wyraźny.

Słuchał przyjemnie modulowanego głosu Mike'a Terry'ego mówiącego do ogromnej widowni.

"...straszne miejsce - mówił Terry. - Tak, widzowie, Jim Raeder jest naprawdę w straszliwym położeniu. Ukrył się, jak pamiętacie, w hotelu trzeciej kategorii na Broadwayu pod zmyślnym nazwiskiem. Wydawało się, że jest wystarczająco bezpieczny. Ale boy go rozpoznał i przekazał informację gangowi Thompsona."

Drzwi zatrzeszczały pod ponownymi uderzeniami. Raeder włączył swój mały odbiornik i słuchał.

"Jim Raeder zdołał uciec z hotelu! Śledzony, wszedł do kamienicy pod numerem 165. przy Północno-Wschodniej Alei. Miał zamiar przejść dachami. I mógłby to zrobić, widzowie, byłby to zrobił, ale drzwi na dach były zamknięte. Wyglądało, że to koniec... Ale Raeder zauważył, że mieszkanie numer 7. jest nie zamieszkałe i nie zamknięte. Wszedł..."

Terry przerwał dla większego efektu, po czym krzyknął:

"I teraz jest tam zamknięty w pułapce! Zamknięty jak szczur w klatce! Gang Thompsona wylamuje drzwi! Schody przeciwpożarowe są strzeżone! Nasza ekipa filmowa, ulokowana w sąsiednim budynku, daje wam właśnie zbliżenie. Patrzcie tylko, państwo, patrzcie! Czy nie ma nadziei dla Jima Raedera?"

- Nie ma żadnej nadziei - powtórzył cicho Raeder. Pot spływał z niego, gdy tak stał w ciemności, dusząc się w maleńkiej łazience i słuchając silnych, głuchych uderzeń do drzwi.

"Zaczekaj chwilę! - wrzasnął Mike Terry. - Wytrzymaj jeszcze, Jim, wytrzymaj jeszcze trochę. Może jest nadzieja! Mam pilny telefon od jednego z naszych widzów. Dzwoni z linii Dobrego Samarytanina! Jest ktoś, kto uważa, że może ci pomóc, Jim. Czy mnie słyszysz, Jim Raeder?"

Raeder czekał. Słyszał trzask drzwi wyrywanych z zawiasów.

"Proszę mówić - powiedział Mike Terry. - Jak się pan nazywa?"

"Felix Bartholemow."

"Proszę się nie denerwować, panie Bartholemow. Proszę śmiało mówić."

"Dobrze, panie Raeder - powiedział stary mężczyzna trzęsącym się głosem. - Mieszkałem kiedyś pod numerem 165. przy Północno-Wschodniej Alei. W tym samym apartamencie, w którym został pan złapany w pułapkę. Lecz proszę spojrzeć na okno w łazience, panie Raeder. Było zamalowane, lecz miało..."

Raeder wepchnął odbiornik telewizyjny do kieszeni. Zlokalizował wewnętrzne linie okna i kopnął w nie. Szkło się roztrzaskało, światło dzienne gwałtownie wdarło się do środka. Oczyszczył parapet z potłuczonego szkła i szybko spojrział w dół.

Duża odległość dzieliła go od leżącego poniżej podwórka.

Zawiasy zostały wyrwane. Słyszał otwieranie drzwi. Szybko wspiął się na okno i zawisł jedynie na czubkach palców przez moment, potem skoczył.

Wstrząs był oszałamiający. Stał na nogi i zachwiał się. W oknie łazienki ukazała się czyjaś twarz.

- Świetny cel - powiedział mężczyzna, wychylając się i mierząc dokładnie bronią kaliber 38.

W tym momencie wewnątrz łazienki eksplodowała bomba dymna.

Nabój chybił celu. Raeder odwrócił się i zaklął. Kilka bomb wybuchło na podwórku. Otoczył go dym.

Słyszał podniecony głos wydobywający się z głośnika jego kieszonkowego telewizora.

"Uciekaj, Jimi Raeder! Uciekaj, jeśli chcesz ocalić swoje życie! Biegnij teraz, kiedy oczy zabójców pełne są dymu. I podziękuj Dobrej Samarytance, Sarah Winters, spod numeru 342. przy ulicy Edgar z Brockton w Massachusetts za dostarczenie pięciu bomb dymnych i zatrudnienie grupy mężczyzn, którzy je wysadzili!"

Spokojnym głosem Terry kontynuował:

"Ocaliła pani dzisiaj życie tego mężczyzny, pani Winters. Czy mogłaby pani powiedzieć naszym widzom, jak to?..."

Raeder nie mógł już dłużej słuchać. Uciekł przez wypełnione dymem podwórko w kierunku ulicy.

Szedł ulicą 63. Przygarbił się chcąc wyglądać na niższego. Chwiał się na nogach z wyczerpania. Z braku snu i pożywienia odczuwał zawrót głowy.

- Hej... ty! - usłyszał kobiecy głos.

Obejrzał się. Kobieta w średnim wieku siedziała na schodach i przyglądała mu się bacznie.

- Ty jesteś Raeder, prawda? Jesteś tym, którego usiłują zabić? Raeder zbierał się do odejścia.

- Wejdz do środka - powiedziała do niego kobieta.

Być może była to pułapka. Wiedział, że jego życie zależy od wspaniałomyślności i dobroci ludzi. Był ich reprezentantem, był jednym z nich, przeciętnym facetem, mającym kłopoty. Bez nich byłby przegrany. Z nimi nic złego nie mogło mu się stać.

Mike Terry powiedział mu, by ufał ludziom. Oni nigdy nie opuszczą go w nieszczęściu. Podążył za kobietą, korzystając z jej zaproszenia. Wszedł do jej salonu. Kazała mu usiąść, po czym opuściła pokój. Wróciła nieomal natychmiast z talerzem gulaszu. Stała patrząc na niego, kiedy jadł, jak ktoś oglądający małpę w zoo jedzącą fistaszki. Dwoje dzieci wyszło z kuchni i gapiło się na niego. Nagle w salonie pojawili się trzej mężczyźni. Obiektyw ich kamery został skierowany w jego stronę. W salonie był duży odbiornik telewizyjny. Jedząc w pośpiechu posiłek, Raeder oglądał Mike'a Terry'ego na ekranie i słuchał jego silnego, życzliwego i zatroskanego głosu.

"Moi drodzy - mówił Terry - oto Jim Raeder, jedzący swój pierwszy od dwóch dni posiłek. Nasz zespół kamerzystów naprawdę daje z siebie wszystko, byście mogli to oglądać. Dziękuję, chłopcy... Pani Velma O'Dell, mieszkająca pod numerem 343. przy ulicy 63., dała Jimowi Raederowi kłótkotrwałe schronienie. Dziękujemy pani, Dobra Samarytanko O'Dell! To wspaniale, jak ludzie ze wszystkich stron świata kochają Jima Raedera!"

- Lepiej się pospiesz - powiedziała pani O'Dell.

- Tak, proszę pani - powiedział Raeder.

- Nie chcę strzelaniny w swoim apartamencie.

- Już prawie skończyłem, proszę pani. Jedno z dzieci spytało:

- Czy oni chcą go zabić?

- Zamknij się - odpowiedziała pani O'Dell.

"Tak, Jim - zaintonował Mike Terry. - Lepiej się pospiesz. Twoi zabójcy są blisko. Nie są głupcami, Jim. Zdeprawowani, zdemoralizowani, lecz nie głupi. Podążają PO śladach twojej krwi kapiącej z twojej skaleczonej ręki, Jim!"

Raeder dopiero w tej chwili zauważył, że skaleczył sobie rękę okiennym szkłem.

- Zabandażuję to - powiedziała pani O'Dell.

Raeder stał spokojnie, pozwalając jej na zabandażowanie ręki. Potem dała mu brązową marynarkę i szary zniszczony kapelusz.

- To mojego męża.

"Proszę państwa - krzyczał Mike Terry.- On jest zamaskowany. To coś nowego! Przebranie! Przez co najmniej siedem godzin będzie bezpieczny. "

- Wychodź już stąd - powiedziała pani O'Dell.

- Już wychodzę, proszę pani - powiedział Raeder. - Dziękuję.

- Myślę, że jesteś szalony - powiedziała. - Myślę, że jesteś głupi, skoro dałeś się w to wrobić.

- Tak, proszę pani.

- Ta gra nie jest warta tego wszystkiego.

Raeder podziękował jej i wyszedł. Szedł w kierunku Broadwayu. Przejechał metrem do ulicy 59., potem do podmiejskiego lokalu przy 86. Tam kupił gazetę i wszedł do ekspresu "Manhasset".

Spojrzał na zegarek. Miał przed sobą jeszcze sześć i pół godziny do końca gry.

Linia metra przebiegała pod Manhattanem. Raeder drzemał. Swoją zabandażowaną rękę ukrył pod gazetą. Kapelusz naciągnął na twarz. Czy został rozpoznany? Czy gang Thompsona już zaczął

działać? Czy ktoś teraz do niego telefonuje?

Drzemiąc zastanawiał się, czy już zginął w czasie ucieczki lub czy nadal jest inteligentnym, ożywionym korpusem, uciekającym z powodu zapotrzebowania na śmierć? (Moi drodzy, umiera się tak powoli w tych czasach. Jim Raeder umierając szedł jeszcze cztery godziny. Musiał wszak odpowiadać na pytania widzów, zanim skonał!)

Raeder gwałtownie otworzył oczy. Śniło mu się coś... nieprzyjemnego. Nie mógł sobie przypomnieć co. Zamknął powtórnie oczy, usiłując sobie przypomnieć czasy, w których nie miał żadnych kłopotów.

To było dwa lata temu. Był dużym sympatycznie wyglądającym mężczyzną, pracującym jako pomocnik kierowcy ciężarówki. Nie miał żadnych talentów. Był zbyt skromny, by mieć marzenia.

Ale za to kierowca ciężarówki miał marzenia w stosunku do niego.

- Dlaczego nie możesz wystąpić w telewizyjnej grze, Jim? Spróbowałbym, gdybym miał twój wygląd. Im podobają się faceci o miłym wyglądzie, nie mający za wiele w głowach. Wszyscy lubią oglądać takich właśnie uczestników widowiska. Dlaczego się nad tym nie zastanowić?

Pomyślał nad tym. Właściciel lokalnej sieci telewizyjnej wyjaśnił mu zasady gry.

- Widzisz, Jim, publiczność szaleje na punkcie dobrze wytrenowanych sportowców, których cechuje mistrzowski refleks i nieomal zawodowa odwaga. Wielu ich uwielbia i utożsamia się z nimi. Ludzie lubią oglądać ekscytujące rzeczy, to pewne, lecz nie wtedy, gdy widzą wykonującego zawód dający dochód pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie. Dlatego właśnie nastąpił gwałtowny spadek zainteresowania zorganizowanymi zawodami sportowymi. Dlatego też tak wielką popularnością cieszą się widowiska grozy.

- Rozumiem - powiedział Raeder.

- Sześć lat temu Kongres uchwalił Prawo Dobrowolnego Samobójstwa. Ówczesni starsi senatorowie wiele dyskutowali o wolnej woli i samookreślanu w tych czasach, lecz przegrali. Czy wiesz, co Prawo to oznacza naprawdę? Dzięki niemu właśnie amatorzy mogą ryzykować swoje życie dla dużego zysku, a nie tylko profesjonaliści. Kiedyś musiałeś być zawodowym bokserem lub piłkarzem, lub hokeistą, jeżeli chciałeś mieć legalnie za pieniądze rozbitą głowę. Lecz teraz taka szansa otwiera się dla zwykłych ludzi, takich jak ty, Jim.

- Rozumiem - powiedział Raeder.

- To wspaniała okazja. Wykorzystaj ją. Nie jesteś lepszy od innych, Jim. Cokolwiek umiesz zrobić, inni również potrafią. Jesteś przeciętny. Myślę, że widowisko grozy jest dla ciebie szansą.

Raeder postanowił zrealizować swoje marzenie. Telewizyjne widowisko wyglądało na prostą drogę do bogactwa dla młodego sympatycznie wyglądającego mężczyzny, który nie posiadał szczególnych talentów i zdolności. Napisał list do programu "Hazard", załączając swoją fotografię.

"Hazard" zainteresował się nim. Sieć telewizyjna JBC, przeglądając jego dane, stwierdziła, że jest on wystarczająco przeciętny, aby zadowolić najbardziej nawet wymagających widzów. Sprawdzono jego pochodzenie. W końcu został wezwany do Nowego Jorku, gdzie przeprowadził z nim wywiad pan Moulian.

Moulian był silnym czarnoskórym mężczyzną. Mówiąc, bez przerwy żuł gumę.

- Wystąpisz - warknął - lecz nie dla "Hazardu". Wystąpisz w "Spills". To codzienny półgodzinny program na kanale trzecim.

- O rany! - powiedział Raeder.

- Proszę mi nie dziękować. Otrzymasz tysiąc dolarów, jeżeli wygrasz lub będziesz drugi, i

nagrodę pocieszenia wartości stu dolarów, jeżeli przegrasz. Lecz to nie jest istotne.

- Oczywiście.

- "Spills" to niewielkie widowisko. Dla sieci JBC jest to forma testu. Zwycięzcy "Spills" przechodzą do "Nagłego niebezpieczeństwa". Tam nagrody są większe.

- Wiem, proszę pana.

- A jeżeli poradzisz sobie w "Nagłym niebezpieczeństwie", wystąpisz w programie tej rangi co "Hazard" czy "Podwodne niebezpieczeństwa" o ogólnonarodowym zasięgu i z olbrzymimi nagrodami. To twoja wielka szansa. Jak daleko zajdziesz, zależy od ciebie.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - powiedział Raeder.

Moulian przez chwilę przestał żuć gumę i powiedział z szacunkiem:

- Możesz to zrobić, Jim. Pamiętaj, że jesteś człowiekiem, a człowiek może wszystko.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że Raederowi przez moment zrobiło się żal Mouliana, który był czarny, miał skręcone włosy, wytrzeszczone oczy i ponad wszelką wątpliwość nie zaliczał się do ludzi.

Uścisnęli sobie dłonie. Następnie Raeder podpisał dokument, zwalniający się JBS od wszelkiej odpowiedzialności w razie utraty życia czy zdrowia w czasie zawodów. Podpisał również dokument, wykorzystujący jego prawa wynikające z Aktu Dobrowolnego Samobójstwa. Była to czysta formalność.

Po trzech tygodniach wystąpił w programie "Spills".

Stosował się on do klasycznych form rajdu samochodowego. Niezawodowi kierowcy brali udział w wielkich amerykańskich i europejskich zawodach samochodowych. Ścigali się na morderczej sześćdziesięciokilometrowej trasie. Wyścig był koszmarem; człowiek musiał wypruć z siebie żyły. Raeder, sunąc swym wielkim maserati, w pewnym momencie wrzucił zły bieg.

Lekko przyhamował i został w tyle. W tej samej chwili samochody jadące na przedzie, biorące ostry zakręt, roztrzaskały się w zderzeniu z barierkami ochronnymi. Raeder nieoczekiwanie wysunął się na trzecią pozycję. Nagle jaguar, jadący tuż przed nim, zбочzył z trasy w kierunku jadącego obok alfa romeo. Obydwa samochody wylądowały z rykiem na zaoranym polu. Na ostatnim sześciokilometrowym odcinku Raeder zajmował drugie miejsce. Nie udało mu się jednak wywalczyć wolnego pola. Samochód o linii "S" prawie go wyprzedzał, ale Raeder błyskawicznie zepchnął go na bok i wciąż utrzymywał drugą pozycję. Na finałowych pięćdziesięciu metrach pękł wał korbowy samochodu zajmującego pierwsze miejsce, Jim więc ukończył wyścig jako zwycięzca.

Wygrał tysiąc dolarów. Otrzymał listy od fanów. Został zaproszony do wystąpienia w "Nagłym niebezpieczeństwie".

W odróżnieniu od innych, "Nagłe niebezpieczeństwo" nie polegało na współzawodnictwie. Wymagało indywidualnej inicjatywy. Dla potrzeb programu Raeder został odurzony nie uzależniającym narkotykiem. Ocknął się w kabinie pilota małego samolotu. Leciał na wysokości sześciu kilometrów, kierowany przy pomocy automatycznego pilota. Zbiornik paliwa był prawie pusty. Na pokładzie samolotu nie było spadochronu. Zmuszony był do lądowania.

Oczywiście, nigdy wcześniej nie leciał samolotem.

Niesłuchanie ostrożnie wypróbował urządzenia kontrolne. Przypomniawszy sobie uczestnika zeszłotygodniowej próby, który odzyskawszy przytomność w łodzi podwodnej, otworzył złą klapę i utonął.

Tysiące urzeczonych widzów oglądało, jak ten przeciętny mężczyzna, człowiek taki jak oni sami,

zмага się i walczy o życie, tak jak oni by to robili. Jim Raeder był nimi. To, co robił, oni robiliby, gdyby byli na jego miejscu. Był ich reprezentantem.

Raederowi udało się sprowadzić samolot na ziemię w sposób pozornie wyglądający na lądowanie. Przy zetknięciu z ziemią samolot zrobił - kilka koziołków, lecz Raeder uratował się dzięki pasom bezpieczeństwa. Wbrew przewidywaniom silnik samolotu nie wybuchł.

Raeder opuścił samolot chwytając się na nogach, z dwoma złamanymi żebrami, trzema tysiącami dolarów w kieszeni i szansą, gdy wyzdrowieje, wystąpienia w "Torero".

Wreszcie widowisko grozy wysokiej rangi! "Torero" płaciło dziesięć tysięcy dolarów. Należało wystąpić w roli prawdziwego matadora. Miałeś jedyne zadanie: zabić szpadą czarnego byka Miura.

Walki byków odbywały się w Madrycie, gdyż w Stanach Zjednoczonych były wciąż nielegalne. Program nadawany był na kanale ogólnopolskim.

Raeder miał dobrą prezencję. Widzowie lubili dużych, wolno poruszających się Amerykanów. Pikadorzy kłuli byka lancami, chcąc zwolnić jego szarżę w kierunku Raedera. Banderilleros odwracali uwagę byka, goniąc co sił w nogach w kierunku bandy. Drugi matador, posępny Algierczyk, swymi fantazyjnymi ruchami płachty sprawił, że byk był bliski skręcenia sobie karku.

Kiedy wszystko było przygotowane, na scenie pozostał tylko Jim Raeder. Niezdarnie ścisnął w lewej dłoni czerwoną płachtę, w prawej lancę. Naprzeciwko niego stał czarny rozwścieczony byk. Jego łeb zwieńczony był groźnymi rogami.

Ktoś krzyczał: - Spróbuj w płuca! Nie udawaj bohatera, spróbuj trafić w płuca!

Lecz Jim pamiętał tylko, co powiedział mu doradca techniczny w Nowym Jorku: "Celuj lancą między rogi".

Tak zrobił. Lanca odbiła się od czaszki zwierzęcia, a byk przerzucił go nad swoim grzbietem. Jim wstał. Cudem nie odniósł żadnych obrażeń. Wziął następną lancę i ponownie wbił ją między rogi byka. Z wrażenia zamknął oczy. Bóg, który chroni dzieci i głupców, musiał to widzieć, gdyż pika wbiła się tym razem z łatwością igły wchodzącej w masło. Byk z niedowierzaniem spojrzął na niego szeroko otwartymi ślepiami, po czym upadł martwy niczym pęknięty balon.

Zapłacono mu dziesięć tysięcy dolarów. Jego złamany obojczyk zrosł się nadzwyczaj szybko. Otrzymał dwadzieścia trzy listy od fanów. Jeden z nich zawierał serdeczne zaproszenie od dziewczyny z Atlantic City, które zupełnie zignorował. Zapytano go, czy zamierza wystąpić w następnym programie. Już nie był naiwny. Był teraz w pełni świadomy, że dla pieniędzy naraził swe życie. Wielkie pieniądze były dopiero do zdobycia. Jeżeli ma ryzykować życie, to za cenę tego wartą.

Wystąpił więc w programie "Podwodne niebezpieczeństwa", sponsorowanym przez producentów mydła "Fairlady". W masce z butlą tlenową, obwiązany pasem obciążającym, w płetwach, z nożem w ręku skoczył w ciepłe wody Morza Karaibskiego wraz z czterema innymi uczestnikami. Za nimi podążała ekipa filmowa ukryta w klatce zabezpieczającej. Zadanie polegało na odnalezieniu i wydobywaniu skarbu, który został przez sponsorów ukryty na dnie.

Nurkowanie samo w sobie nie jest zbyt ryzykownym zajęciem. Dlatego organizatorzy zadbali o interesujące dla publiczności dodatki. Zakątek ten roił się od olbrzymich skorupiaków, muren, różnych gatunków rekinów, olbrzymich ośmiornic, trujących koralu i innych niebezpiecznych morskich stworów.

To była podniecająca walka. Mężczyzna z Florydy odnalazł skarb w głębokiej szczelinie, lecz jedna z muren odnalazła nurka. Inny nurek złapał skarb, lecz rekin złapał nurka. Błęszące zielononiebieskie wody nasyciły się barwą krwi, co było doskonale widoczne w kolorowej

telewizji. Skarb opadł na dno i Raeder zanurzył się głębiej podążając za nim. W czasie zanurzania popękały mu w uszach błony bębenkowe. Wyszarpnął skarb z koralu, wyrzucił swój pas obciążający i zaczął się wynurzać. Na głębokości dziewięciu metrów musiał walczyć z innym nurkiem usiłującym odebrać mu skarb. W walce zadawali sobie ciosy nożem. Mężczyzna zadał cios, cięcie przebiegało wzdłuż klatki piersiowej Raedera. Wtedy Raeder z opanowaniem godnym mistrza wypuścił nóż i wyrwał z ust mężczyzny rurkę do oddychania.

Udało mu się. Raeder wypłynął na powierzchnię i pokazał skarb ekipie z łódki pływającej w pobliżu. Jego podobizna ukazała się na opakowaniu mydła "Fairlady".

Otrzymał dwadzieścia dwa tysiące dolarów w gotówce i w nagrodach. Dostał trzysta osiem listów od fanów, w tym interesującą propozycję od dziewczyny z Macon. Było to coś, nad czym warto się było zastanowić. Bezpłatnie hospitalizowano go z powodu rany ciętej klatki piersiowej, pękniętych błon bębenkowych oraz infekcji spowodowanych ukłuciami przez trujące korale.

Co najważniejsze, został zaproszony do wystąpienia w największym z widowisk grozy: "Nagroda za ryzyko".

I wtedy właśnie rozpoczęły się prawdziwe kłopoty...

Kolejka metra zatrzymała się i skończyła chwile wspomnień. Raeder podniósł rondo kapelusza i zaczął obserwować mężczyznę stojącego po drugiej stronie przejścia. Wpatrywał się on w Raedera i szeptał coś do ucha stojącej obok niego kobiety. Czy rozpoznali go?

Raeder wstał w tym samym momencie, w którym otworzyły się drzwi, i rzucił okiem na zegarek. Miał przed sobą pięć godzin.

Na stacji Manhasset zatrzymał taksówkę i kazał kierowcy zawieźć się do New Salem.

- New Salem? - zapytał kierowca, przyglądając się Raederowi.

- Oczywiście.

Kierowca warknął do radia:

- Przejazd do New Salem. Tak właśnie: do New Salem.

Ruszyli. Raeder zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy to był sygnał. Oczywiście, było to całkiem normalne, że kierowca zgłasza do bazy swoją trasę. Lecz coś dziwnego było w jego głosie...

- Wsiadam tutaj - powiedział.

Zapłacił kierowcy i wysiadł. Zaczął iść wąską wiejską drogą, która wkrótce doprowadziła go do lasu. Drzewa były niewysokie i rosły rzadko, nie były więc dobrym schronieniem.

Szedł, szukając miejsca, w którym mógłby się ukryć. Zbliżał się wielki samochód ciężarowy. Nadal szedł. Wsunął kapelusz głęboko na czoło. Gdy ciężarówka była już blisko, nagle usłyszał krzyk wydobywający się z odbiornika w jego kieszeni.

"Uważaj!"

Błyskawicznie rzucił się do pobliskiego rowu. Ciężarówka przejechała obok niego i zaczęła hamować. Kierowca ciężarówki krzychał:

- Tam ucieka! Strzelaj, Harry, strzelaj!

Serie kul ścinały liście z drzew, między którymi uciekał Raeder.

"Znowu się zaczęło!" - mówił Mike Terry niezwykle podnieconym głosem. - *Obawiam się, że Jim Raeder pozwolił sobie na uspienie swojej czujności. Nie możesz tego robić, Jim! Nie przy takiej stawce za twoje życie! Nie podczas pościgu zabójców! Bądź ostrożny, Jim, nadal masz cztery i pół godziny do wytrwania!"*

Kierowca mówił:

- Claude, Harry, jedźcie ciężarówką naokoło. Złapiemy go w pułapkę.

"Chcą cię okrążyć i złapać w pułapkę, Jim Raeder! - krzyczał Mike Terry - Lecz jeszcze cię nie mają! Możesz podziękować Dobrej Samarytance, Susy Peters, mieszkającej pod numerem 12. przy ulicy Elm w Południowym Oregonie, w New Jersey. Dziękuj za ostrzeżenie przed zbliżającą się ciężarówką. Właśnie mamy małą Susy na wizji.... Patrzcie, widzowie, nasz studyjny helikopter właśnie przybył na miejsce akcji. Teraz widzicie uciekającego Jima Raedera i okrążających go zabójców...."

Raeder przebiegł sto metrów wśród drzew, zanim znalazł się na autostradzie. Jeden z zabójców biegł klusem w pogoni za nim.

Ciężarówka jechała w kierunku drogi i była około kilometra od niego. Zbliżała się z przeciwnej strony. Raeder biegł autostradą, machając szaleńczo rękami. Zatrzymał się jakiś samochód.

- Pośpiesz się! - krzyknęła młoda jasnowłosa kobieta prowadząca samochód.

Raeder wskoczył do środka. Kobieta gwałtownie zakręciła kierownicą. Kule przeszły przednią szybę. Nacisnęła na gaz i omal nie zmiotła samotnego zabójcy stojącego na drodze.

Samochód był już daleko poza zasięgiem kul, gdy ciężarówka wjechała na autostradę.

Raeder odwrócił głowę i zamknął oczy. Kobieta była skoncentrowana na prowadzeniu samochodu i obserwowaniu ciężarówki we wstecznym lusterku.

"Znowu coś nowego! - krzyczał Mike Terry swoim ekstatycznym głosem. - Jim Raeder jeszcze raz został wyrwany z rąk śmierci dzięki Dobrej Samarytance, Janice Morrow, spod numeru 433. przy ulicy Lexington w Nowym Jorku. Czy widzieliście kiedyś coś podobnego? W jakim stylu panna Morrow przedostała się przez ścianę kul i wyrwała Jima Raedera z objęć śmierci. Później porozmawiamy z panną Morrow na temat jej wrażeń. A teraz, kiedy Jim Raeder mknie przed siebie do miejsca, gdzie będzie bezpieczny lub gdzie czeka go kolejne ryzyko, mamy krótki komunikat od naszego sponsora. Nie poddawaj się, Jim! Zostało ci tylko cztery godziny i dziesięć minut, aby wygrać. Wszystko jeszcze może się wydarzyć!"

- W porządku - powiedziała dziewczyna. - Jesteśmy poza ich zasięgiem. Raeder, co się, do licha, z tobą dzieje?!

- Proszę? - zapytał Raeder.

Dziewczyna mogła mieć dwadzieścia kilka lat. Sprawiała wrażenie sprawnej, atrakcyjnej i niedotykańskiej. Raeder zauważył jej ładne rysy twarzy i zgrabną figurę. Zauważył również, że jest rozgniewana.

- Proszę pani - powiedział - nie wiem, jak mam dziękować.

- Mówiąc jasno - powiedziała Janice Morrow - nie jestem Dobrą Samarytanką. Jestem pracownikiem sieci JBC.

- Więc dzięki programowi jestem uratowany!

- Słuszny wniosek.

- Lecz dlaczego?

- Sam wiesz, jak kosztowne jest takie widowisko, Raeder. Musieliśmy zmienić bieg przedstawienia. Jeżeli spadnie zainteresowanie naszym programem, będziemy wszyscy sprzedawać słodkie jabłka na ulicy. A ty nam wcale nie pomagasz.

- Co? Dlaczego?

- Ponieważ jesteś okropny - powiedziała dziewczyna z gryźliwie. - Zrobiłeś klapę, fiasko. Czy chcesz popełnić samobójstwo? Czyż nie nauczyłeś się niczego o sposobach przeżycia?

- Robię wszystko, co w mojej mocy.

- Thompsonowie mogli mieć wiele takich okazji jak ta ostatnia, lecz kazaliśmy im zwolnić tempo, przeciągać rozgrywkę. Wygląda to jak strzelanie do tarczy wysokiej na dwa metry. Thompsonowie współpracują, lecz mogą udawać tylko do pewnego stopnia. Gdybym się nie zjawiła, musieliby cię zabić.

Raeder patrzył na nią, zastanawiając się, jak taka piękna dziewczyna może mówić w taki sposób. Rzuciła na niego ukradkowe spojrzenie, po czym szybko zlustrowała drogę za nimi.

- Nie patrz na mnie w taki sposób! - powiedziała. - Ty sam zdecydowałeś się ryzykować życie dla pieniędzy, chłopczyku. I to za jakie pieniądze! Znasz cenę. Nie udawaj niewinnego sprzedawcy sklepowego, który jest zdziwiony, widząc maskę jakiegoś okropnego samochodu tuż za swoimi plecami. Przecież to wszystko było z góry ustalone.

- Wiem - powiedział Raeder.

- Jeżeli nie potrafisz żyć, jak należy, to przynajmniej spróbuj umrzeć godnie.

- Chyba nie myślisz tak naprawdę - powiedział Raeder.

- Nie bądź taki pewny... Masz przed sobą trzy godziny i czterdzieści minut do końca widowiska. Jeżeli uda ci się przeżyć, to dobrze. Wtedy pieniądze są twoje. Lecz jeżeli ci się nie uda, to chociaż postaraj się dać innym zarobić.

Raeder kiwnął głową, przyglądając się jej uważnie.

- Za chwilę będziemy znów na wizji. Zaaranżuję uszkodzenie silnika i pozwolę ci wysiąść. Thompsonowie od teraz idą na całość. Zabiją cię przy pierwszej lepszej okazji tak szybko, jak tylko będą mogli. Zrozumiałeś?

- Tak - powiedział Raeder. - Jeżeli mi się uda, czy mógłbym jeszcze kiedyś się z tobą zobaczyć?

Zacisnęła gniewnie wargi.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Nie, chciałbym jeszcze się z tobą zobaczyć. Czy mogę? Patrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Nie wiem. Lepiej zapomnij o tym. Już prawie jesteśmy na miejscu. Myślę, że najlepszą kryjówką dla ciebie będą te lasy po prawej. Gotowy?

- Tak. Jak można się będzie w tobie skontaktować? Oczywiście, po tym wszystkim.

- Och, Raeder, nie zwracasz uwagi na to, co mówię. Idź przez las, dopóki nie trafisz na parów bez wody. To niewiele, lecz da ci jakieś schronienie.

- Jak się z tobą będę mógł skontaktować? - zapytał ponownie Raeder.

- Mój numer jest w książce telefonicznej Manhattanu. - Zatrzymała samochód. - W porządku, Raeder, biegnij.

Otworzył drzwi.

- Zaczekaj. - Odwróciła się i pocałowała go w usta. - Powodzenia, idioto. Zadzwoń do mnie, jeśli ci się uda.

Zaczął biec w kierunku lasu.

Uciekał między brzoźami i sosnami. Minął stary dom, z którego dużych okien wpatrywały się w niego jakieś twarze. Ktoś z lokatorów tego domu musiał zawiadomić zabójców. Kiedy dotarł do wąskiego parowu, byli tuż za nim. Ci ludzie, cisi, dobrze ułożeni, o małych wymaganiach, nie chcieli go uratować. Chcieli widzieć, jak ginie, lub chcieli widzieć go bliskiego śmierci.

Naprawdę nadchodzi właśnie ta chwila.

Wszedł do parowu, zakopał się w grubej warstwie poszycia leśnego i znieruchomiał.

Thompsonowie pojawili się po obu stronach rowu. Poruszali się wolno, usiłując dostrzec najmniejsze nawet poruszenie. Raeder wstrzymał oddech, kiedy znaleźli się tuż nad nim.

Usłyszał głośny wystrzał z rewolweru, lecz zabójca zabił tylko wiewiórkę. Wiła się przez chwilę, po czym znieruchomiła.

Raeder, leżąc ukryty w poszyciu leśnym, słyszał odgłosy lecącego nad jego głową studyjnego helikoptera. Zastanawiał się, czy kamery już go dostrzegły. To było możliwe. Jeżeli ktoś go ogląda, może jakiś Dobry Samarytanin pomoże mu.

Patrząc w górę w stronę helikoptera, przybrał uduchowiony wyraz twarzy, złożył ręce i modlił się. Modlił się w myślach; widownia nie lubiła przecież religijnej ostentacji. Jego usta poruszały się mimowolnie. Każdy człowiek ma do tego prawo.

Prawdziwa modlitwa wychodziła z jego ust. W pewnej chwili jeden z widzów, umiejący czytać z ruchu warg, odkrył, że niepostrzeżenie zamiast modlitwy zaczął recytować tabliczkę mnożenia. Nie ma już ratunku dla tego człowieka! Raeder przestał się modlić. Spojrzał na zegarek. Miał przed sobą jeszcze dwie godziny.

Nie chciał umierać! Niezależnie od tego, ile mieli mu zapłacić, nie było to warte tego wszystkiego. Musiał chyba być szalony, że zgodził się na taką próbę.

Wiedział, że to nieprawda. Pamiętał, że był świadomy tego, co robi.

Zaledwie tydzień temu, oświetlony światłami stał na scenie w programie "Nagroda za ryzyko". Mike Terry uściskał jego dłoń.

- Panie Raeder - mówił Terry uroczystym głosem. - Czy rozumie pan zasady gry, w której weźmie pan udział?

Raeder przytaknął.

- Jeśli się zgodzisz, Jim, będą na ciebie polować przez tydzień. Zabójcy będą za tobą podążać, Jim. Doświadczeni zabójcy, mężczyźni ścigani przez prawo za inne przestępstwa, zwolnieni warunkowo dla potrzeb programu, zgodnie z Aktem Dobrowolnego Samobójstwa. Będą usiłowali cię zabić, Jim. Czy rozumiesz?

- Rozumiem - powiedział Raeder. Rozumiał również, co oznacza liczba dwustu tysięcy dolarów, które otrzyma, jeżeli uda mu się przeżyć ten tydzień.

- Pytam cię ponownie, Jimi Raeder. My nie zmuszamy ludzi, aby igrali za śmiercią.

- Chcę wziąć w tym udział - odpowiedział Raeder. Mike Terry zwrócił się do publiczności.

- Panie i panowie, mam przed sobą kopię obszernego testu psychologicznego. Test dla Jima Raedera ułożyła na naszą prośbę zaufana firma, wykonująca testy psychologiczne. Kopia zostanie wysłana każdemu, kto zechce tylko ją przeczytać, za jedyne dwadzieścia pięć centów dla pokrycia kosztów przesyłki. Test wykazuje, że Jim Raeder jest zdrowy, zrównoważony i w pełni odpowiedzialny za siebie w każdej sytuacji.

Zwrócił się ponownie do Jima Raedera:

- Czy nadal chcesz rozpocząć tę grę?

- Tak, chcę.

- Więc dobrze! - krzyknął Mike Terry. - Jim Raeder pozna za chwilę swoich przypuszczalnych morderców!

Gang Thompsonów wkroczył na scenę.

- Popatrzcie na nich, moi drodzy - mówił Mike Terry z nie ukrywaną pogardą. - Tylko na nich spójrzcie! Antyspołeczni, dogłębnie zepsuci, kompletnie amoralni. Ci mężczyźni kierują się

wyłącznie swoimi kryminalnymi, spaczonymi prawami. To ludzie bez honoru, a raczej z honorem tchórzliwych płatnych morderców. Zostali przez nasze społeczeństwo skazani na śmierć. Wyrok na nich został tymczasowo zawieszony na czas gry.

Widownia krzyczała entuzjastycznie.

- Co masz do powiedzenia, Claudzie Thompsonie? - zapytał Mike Terry.

Claude, przedstawiciel Thompsonów, stanął przy mikrofonie. Był szczupłym, gładko ogolonym mężczyzną, ubranym konserwatywnie.

- Jestem osobą - powiedział Claude Thompson zachrypłym głosem. - Jesteśmy osobami wcale nie gorszymi od innych. Mam na myśli na przykład żołnierzy, którzy na wojnie również zabijają. A spójrzmy na łapówki w rządzie, w państwie. Każdy n\`a jakieś nieuczciwe zyski.

Tak właśnie wyglądał kodeks Thompsonów. Lecz jak szybko i z jaką precyzją Mike Terry pokrzyżował plany zabójców! Pytania Terry'ego skierowane były wprost do ich plugawych dusz.

W końcowej części wywiadu Claude Thompson był złany potem, wycierał twarz jedwabną chusteczką i rzucał błagalne spojrzenia w stronę swoich ludzi.

Mike Terry położył rękę na ramieniu Raedera.

- Oto mężczyźni, którzy zgodzili się być twoimi zwycięzcami, oczywiście, pod warunkiem, że cię pojma.

- Dostaniemy go - powiedział Thompson pewnym głosem.

- Nie bądź taki pewny - odpowiedział Terry. - Jim Raeder zwyciężył dzikiego byka, teraz musi walczyć z szakalami. Jest zwykłym człowiekiem. Jest człowiekiem skazanym na ciebie i ludzi twojego pokroju.

- Dostaniemy go - wrzeszczał Thompson.

- I jeszcze jedno - powiedział Terry miękkiem głosem. - Jim Raeder nie pozostanie osamotniony. Widzowie Ameryki służyć mu będą pomocą. Dobrzy Samarytanie ze wszystkich stron naszego wielkiego kraju gotowi są mu pomóc. Bez broni Jim Raeder może liczyć tylko na wasze dobre serca, na ludzi, których jest reprezentantem. Więc nie bądź taki pewny siebie, Claudzie Thompsonie. Jim Raeder jest tylko zwykłym człowiekiem, lecz jest wśród wielu innych zwykłych ludzi!

Raeder myślał o tym, leżąc nieruchomo w poszyciu leśnym. Tak, ludzie pomogli mu. Lecz pomogli również zabójcom.

Przeszyło go drżenie ciała. Dobrze pamiętał, że sam zdecydował. Sam był odpowiedzialny za swoją decyzję. Test psychologiczny to udowodnił.

Lecz na ile odpowiedzialni byli psychologowie, którzy ułożyli dla niego ten test? Na ile odpowiedzialny był Mike Terry, oferujący biedakowi tak dużą sumę pieniędzy? Społeczeństwo odwróciło się, a on sam musi ponosić konsekwencje, nazywając to wolną wolą.

Po czyjej stronie leżała wina?

- Aha! - krzyknął ktoś.

Raeder spojrzał w górę i zobaczył otyłego mężczyznę, stojącego tuż nad nim. Nosił krzykliwą tweedową marynarkę. Na szyi zwisały binokle, w dłoni trzymał laskę.

- Proszę pana - wyszeptał Raeder - proszę mnie nie wydać.

- Hej! - krzyczał grubas, wskazując na Raedera swoją laską. - Tutaj się schował.

- Tutaj jest! - krzyczał mężczyzna.

To jakiś wariat - pomyślał Raeder. - Pewnie myśli, że to zabawa w zajęcia i psy myśliwskie.

- Macie go z prawej strony!

Raeder zaklął, zerwał się na równe nogi i zaczął uciekać. Gdy był za parowem, ujrzał biały budynek w oddali. Skierował się w tamtym kierunku. Za sobą ciągle jeszcze słyszał krzyk mężczyzny.

- Tam pobiegł! Patrzcie, głupcy! Czyście go jeszcze nie dostrzegli?

Zabójcy na nowo zaczęli strzelać. Raeder biegł potykając się o nierówności terenu. Minął dwoje dzieci bawiących się w drewnianej szopie.

- Tutaj jest! - krzyczały dzieci. - Tutaj jest!

Raeder jęknął i biegł dalej. Dobiegł do stopni budynku. Dopiero wtedy zobaczył, że jest to kościół.

Gdy otwierał drzwi kościoła, poczuł, jak kula przeszywa mu od tyłu prawe kolano.

Upadł i wczołgał się do środka. Odbiornik w jego kieszeni mówił:

"Co za zakończenie, drodzy widzowie! Co za zakończenie! Raeder został postrzelony. Ranny, czołga się teraz w bólu, lecz się nie poddaje. Nie Jim Raeder!"

Leżał w bocznej nawie blisko ołtarza. Słyszał głosy dzieci:

- Wszedł tam, panie Thompson. Proszę się pospieszyć! Złapie go pan!

"Czyż kościół nie jest uważany za miejsce święte?" - zastanawiał się Raeder.

Wtedy drzwi gwałtownie się otworzyły. Raeder zrozumiał, że zwyczaj ten już nie istnieje. Zebrał się w garść i przeczołgał się za ołtarz.

Przeszedł przez tylne drzwi kościoła.

Znalazł się na starym cmentarzu. Czołgał się wśród starych krzyży, starych granitowych płyt, starych kamiennych grobowców i prostych drewnianych krzyżyków. Jedna z kul trafiła w kamienną płytę tuż nad jego głową. Kamienny ułomek zranił go. Raeder doczołgał się do brzegu otwartego grobu.

"Mają mnie" - pomyślał. Tacy właśnie są ci mili normalni ludzie. Czyż nie twierdzili, że jest ich reprezentantem? Czyż nie przysięgali, że będą go ochraniać? Lecz nie, oni brzydzili się nim. Dlaczego wcześniej tego nie zauważył? Ich bohaterami byli zimni rewolwerowcy, o bezmyślnym spojrzeniu, jak Thompson, Capone, Billy Kid, El Cid, Cuchulain - ludzie pozbawieni ludzkich uczuć.

Raeder próbował się poruszyć, lecz bezradnie stoczył się do otwartego grobu. Leżąc na plecach, patrzył na błękitne niebo. Nagle czarna sylwetka pojawiwszy się nad nim, przysłoniła niebo. Rozległ się szczęk zamka; czarna postać celowała w niego.

Stracił wszelką nadzieję.

"Stój, Thompson - rozległ się uroczysty głos Mike'a Terry'ego.

Rewolwer zadrżał w dłoni zabójcy.

"Jest sekunda po piątej! Minął tydzień! Jim Raeder wygrał!"

Rozległy się okrzyki radości widzów w studio.

Gang Thompsonów zgromadził się wokół grobu. Ludzie patrzyli ponuro sami na siebie?

"On wygrał, przyjaciele, on wygrał! - krzyczał Mike Terry. - Patrzcie, patrzcie na swoje ekrany! Przybyła policja, która odsunęła Thompsonów od ich ofiary, której nie zdołali zabić. I wszystko to dzięki wam, Dobrzy Samarytanie Ameryki. Patrzcie, jak czule ręce wyciągają Jima Raedera z otwartego grobu, gdzie w finale znalazł schronienie. Dobra Samarytanka, Janice Morrow, również tam jest. Czy to początek romansu? Jim wygląda na osłabionego, wszyscy podtrzymują go na duchu. Wygrał dwieście tysięcy dolarów! A teraz kilka słów od Jima Raedera!"

Nastąpiła cisza.

"To dziwne - powiedział Mike Terry. - Obawiam się, że nie usłyszymy Jima teraz. Lekarze

wiośnie go badają. Jedną chwileczkę..."

Znowu zaległa cisza. Mike Terry zmarszczył czoło i uśmiechnął się.

"To była ciężka próba, okropna próba. Lekarze mówią... No dobrze, Jim Raeder chwilowo nie jest sobą. Lecz tylko chwilowo! Sieć JBC wynajęta najlepszych krajowych psychiatrów i psychoanalityków. Robimy, co w ludzkiej mocy dla tego chłopca. Całkowicie na nasz koszt."

Mike Terry rzucił okiem na zegar w studio.

"Już czas się pożegnać. Oglądajcie zapowiedzi naszego kolejnego wielkiego widowiska grozy. Nie martwcie się. Na pewno wkrótce Jim Raeder znów będzie z nami."

Mike Terry uśmiechnął się i pomachał w kierunku publiczności.

"Jest na dobrej drodze do odzyskania zdrowia, przyjaciele. W końcu wszyscy trzymamy za niego kciuki!"

Tłumaczył Andrzej Wieczorek

A wszystkie morza będą pełne ostryg...

(Or All the Seas with Oysters) Avram Davidson
(ur. 1923)

Avram Davidson, urodzony w Yonkers w stanie Nowy Jork, walczył w Armii Izraelskiej w czasie wojny w latach 1947-1948. Jest jednym z bardziej oryginalnych pisarzy uprawiających gatunki science-fiction i fantasy. Utwory jego charakteryzują się sarkastycznym poczuciem humoru, połączonym z gotowością do eksperymentu i przypadkowością. W latach 1962-64 wydawał (przez jakiś czas w Meksyku) "Tlie Magazine of Fantasy and Science Fiction". W tym czasopiśmie ukazała się większość jego najciekawszych utworów. Wydał także kilka zbiorów opowiadań, z których najlepsze to: Jakie dziwne brzegi i morza [What A Strange Seas and Shores (1965)], Najlepsze utwory Avrama David-sona [The Best of Avram Davidson (1970)], Zebrane fantasy Avrama Davidsona [The Collected Fantasies of Avram Davidson (1973)]. Wierni czytelnicy znają go jako mistrza formy i pragnęliby ujrzeć jeszcze wiele jego opowiadań. Obecnie Avram Davidson jest krzepkim mężczyzną po sześćdziesiątce i nadal może osiągnąć laury, na które w pełni zasługuje.

"A wszystkie morza będą pełne ostryg..." jest typową pozycją dla jego stylu i została uhonorowana Nagrodą Hugo za najlepsze krótkie opowiadanie w roku 1958.

(Martin H. Greenberg)

Jestem człowiekiem, który nie wierzy, że przedmioty mogą mieć duszę i własne życie. Może dlatego płatały mi one różne psikusy, zarówno te małe urządkonka jak i całe ciała niebieskie.

W czasie jazdy samochodem zwykłem zakładać okulary przeciwsłoneczne. Jest to ten rodzaj, który w zależności od siły światła albo się otwiera, albo się zamyka. Więc gdy słońce chowa się za chmury, to otwieram okulary, i słońce natychmiast wylania się zza nich. Zamykam więc moje okulary, a kochane słońeczko błyskawicznie łapie jakąś chmurkę i zasiania się nią. I tak wkoło aż do znudzenia. Ja to osobiście nazywam "zjawiskiem okularowym".

Podobnie sprawy mają się z deszczem. Gdy wysłucham w prognozie pogody, że go nie będzie, i udam się na dłuższą wyprawę. to oczywiście leje jak z cebra. Deszcz posuwa się nawet do tego, że w razie potrzeby potrafi w ciągu sekundy spaść z kryształowo bezchmurnego nieba. Teraz, wyobraźcie sobie, upada wam spinacz biurowy w momencie, gdy pod ręką akurat nie ma innego, a musicie go koniecznie użyć. Szukacie go na podłodze, a on jakby zapadł się pod ziemię. Po prostu zniknął i możecie go szukać nawet z mikroskopem, ale go nie znajdziecie. Jego tam nie ma. Po wielu takich zdarzeniach zacznie do was dochodzić to, co do mnie już dawno doszło: że jest to zaplanowana przez jakieś nieludzkie siły operacja mająca swoją żelazną logikę i upiorną konsekwencję.

Mam nadzieję, że po tym krótkim wprowadzeniu mają już, państwo, odpowiedni nastrój, aby zacząć czytać opowiadanie Avrama Davidsona.

(Isaac Asimov)

Pan Whatney wszedł do sklepu rowerowego F & O. Oscar przywitał go serdecznym "Cześć", następnie przyjrzał mu się uważnie, zmarszczył czoło, pstryknął palcami i głośno powiedział:

- Pan, pan... hm, mam pańskie nazwisko na końcu języka...- Oscar był mężczyzną o pomarańczowych włosach i beczkowatej klatce piersiowej.

- Oczywiście, że mnie pan zna - powiedział przybysz. - Sprzedał mi pan damkę z przerzutkami dla mojej córki. Musimy porozmawiać o czerwonej francuskiej kolarzówce, nad którą pracował pana wspólnik.

Oscar ciężko opuścił swoją dużą łapę na kasę, podniósł głowę i spojrzał na przybysza.

- Pan Whatney! Jezu! Człowiek ma taką krótką pamięć.

Obaj mężczyźni udali się do lokalu znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy, gdzie zamówili po piwie.

-Jak się miewa panna Whatney? Zgaduje? Zgaduję, że ten rower to był angielski model. Musiał się panu podobać, inaczej by pana tu nie było z powrotem.

- Tak - powiedział pan Whatney. - Rower był dobry. Słyszałem, że obecnie sam pan prowadzi interes. Pana wspólnik?...

Oscar spojrzał w dół, wydał wargi i skrzywił się.

- Słyszał pan o tym? Taak. Rzeczywiście, jestem teraz sam w sklepie. To trwa już ponad trzy miesiące.

Ich współpraca zakończyła się trzy miesiące temu, lecz nie była sielankowa na długo przed tym faktem. Ferd lubił książki, płyty długo-grające i rozmowy "na poziomie". Oscar lubił piwo, kręgle i kobiety. Każdą kobietę w każdym czasie.

Sklep znajdował się obok parku i robił duży obrót na wypożyczaniu rowerów dla ludzi, którzy wypoczywali w parku. Jeżeli kobieta miała tyle lat, że można ją było nazwać już kobietą, i z drugiej strony nie wyglądała na schorowaną emerytkę, i jeżeli do tego pojawiła się w sklepie sama, to na pewno mogła liczyć na to, że Oscar się nią zainteresuje.

- Czy rower odpowiada pani? Czy aby wszystko jest w porządku?

- Eee, czemu pan pyta? Wydaje mi się, że tak - odpowiada kobieta.

- Taak - mówi Oscar. - Może wezmę drugi rower i przejadę się kawalek z panią, aby upewnić się, czy wszystko w porządku. Wracam za chwilę - krzyczał do Ferda, który obrzucał go ponurym spojrzeniem, ponieważ wiedział, że to nie będzie chwilka.

Później Oscar zwykł mówić:

- Mam nadzieję, że bawiłeś się w sklepie równie dobrze co ja w parku.

- Tak - mruczał Ferd. - Nie było cię bardzo długo.

- W porządku. Następnym razem ty wyjdiesz, a ja zostanę, i zobaczymy, czy będę ci miał za złe tę odrobinę rozrywki - wybuchał Oscar. Oczywiście wiedział, że chudy wylupiastooki Ferd nie skorzysta z tej propozycji.

- Może dać ci trochę włosów, abyś sobie je przymocował do twojej piersi? - kpiąco pytał Oscar, klepiąc się po mostku.

Ferd mamrotał, że ma ich tam wystarczającą ilość. Zwykł on delikatnie gładzić swoje ręce

pokryte gęstym czarnym włosiem. Natomiast jego klatka piersiowa była gładka i biała. Czuł się teraz jak w szkole średniej, gdy jego koledzy z klasy śmiali się z niego, nazywając go przy tym "Ferdi Ptaszyną". Wiedzieli, że sprawia mu to dużą przykrość, ale może dlatego to robili. "Jak to jest możliwe? - zastanawiał się i nigdy nie mógł znaleźć odpowiedzi. - Czemu ludzie uporczywie starają się zranić kogoś, kto w żadnym wypadku nie potrafiłby odpłacić im tym samym?"

Ferda martwiło prawie wszystko.

- Komuniści - potrząsał głową nad gazetą. Oscar załatwiał podobne problemy kilkoma lakonicznymi uwagami. Ferd natomiast lamentował.

- Jakie to straszne, gdy muszą ginąć niewinni ludzie.

- Takie to już podłe szczęście tych facetów - pointował Oscar.

Ferd przejmował się również zupełnymi drobiazgami. Pewnego dnia w sklepie pojawiła się para z tandemem z koszykiem na dziecko. Gdy zmieniali pieluszkę, wypadła im agrafka.

- Gdzie ona się, u diabła, podziała? - Kobieta zaczęła jej nerwowo szukać po podłodze.

- Dlaczego nigdzie jej nie ma? - żaliła się kobieta.

Ferd postanowił jej pomóc. Poszedł do swojego biura. Był przekonany, że ma w szufladzie pełno agrafek. Ale pomimo że przetrząsnął wszystkie kąty, nie znalazł ani jednej. A tymczasem pani odjechała z pieluszką zawiązaną w niezdarny węzeł.

Później w czasie lunchu Ferd skarżył się na nagłe zniknięcie agrafek. Oscar, nic nie powiedziawszy, wbił zęby w swoją kanapkę, ugryziony kęs zaczął majestatycznie żuć i wreszcie połknął. Ferd był miłośnikiem wyszukanych dodatków do kanapek. Jego ulubioną kompozycją był ser topiony, oliwki, szprotki, odrobina avocado i to wszystko posmarowane cienką warstwą majonezu. Oscar nie znosił takich komplikacji, zawsze jadł kanapkę z mielonką.

- Muszą mieć sporo kłopotu przez tę agrafkę - powiedział Ferd, delikatnie gryząc swoją kanapkę.

- Jezu, Ferd, przecież co krok jest sklep, gdzie można je kupić. Nawet jeśli są analfabetami, to przez przypadek muszą trafić do któregoś z nich.

- Mówisz, że można je dostać wszędzie, Oscar? - zapytał nieśmiało.

- Tak! Pełno ich w sklepach - machnął ręką Oscar.

- Niby są, ale tak naprawdę, to gdy ich szukasz, to ich nigdzie nie ma - powiedział łamiącym się głosem Ferd.

Oscar otworzył piwo i przeplukał pierwszym łykiem usta.

- Słuchaj - powiedział po chwili. - W szafie jest zawsze pełno wieszaków na ubrania. Wyrzucam je regularnie raz w miesiącu, ale one pojawiają się tam z powrotem. Więc mam dla ciebie propozycję: mógłbyś w swoim wolnym czasie wynaleźć maszynę, która by przerabiała te wieszaki na tak potrzebne ci agrafki.

Zamyślony Ferd, kiwając głową, powiedział:

- Mój wolny czas aktualnie wypełnia mi praca nad francuską kolarzówką. To piękna maszyna, lekka, szybka, czerwona i błyszcząca. Czujesz się jak ptak, gdy na niej jedziesz.

Pomimo tego, że jest ona taka dobra, Ferd wiedział, że może ją uczynić jeszcze lepszą. Pokazywał ją wszystkim, którzy trafili do sklepu.

Nie było to jednak ostatnie dziwactwo Ferda. Interesował się również przyrodą. Bardzo dużo o niej czytał. Pewnego dnia dzieci, które przechodziły koło sklepu pokazały mu z dumą puszkę, w której były salamandry i ropuchy. Wydarzenie to tak wstrząsnęło Ferdem, że porzucił pracę nad kolarzówką i zajął się czytaniem książek przyrodniczych.

- Mimikra - powiedział następnego dnia po wejściu do sklepu - to cudowna rzecz!

Oscar podniósł na niego wzrok znad gazety.

- Widziałem wczoraj Ediego Adamsa w telewizji. Udawał Marylin Monroe. Co za facet!

Ferd, zdenerwowany, trząsł głową i krzyczał:

- Nie ten rodzaj mimikry! Mam na myśli to, jak owady i pajęczaki mogą naśladować kształty liści i gałązek, aby uniknąć zauważenia przez ptaki lub inne owady.

Oscar otworzył z niedowierzaniem usta.

- Co ty mi tu wciskasz? Jak to mogą zmieniać swoje kształty?

- To prawda - powiedział Ferd. - Czasami jednak mimikra służy też agresywnym celom. Jak na przykład u południowoafrykańskich żółwi, które udają skalę i gdy ryba przepływa koło nich, to ją łapia. Inny przykład... - nie dawał sobie przerwać Ferd. - Pająk na Sumatrze kładzie się na grzbiecie i udaje odchody ptaków, i w ten sposób łapie motyle.

Oscar zaczął się śmiać w sposób bardzo niemiły dla Ferda. Potem nagle przestał i wrócił do swojej gazety. Zaczął analizować ostatnie wyniki kręgli.

- Gdzie jest mój ołówek? - krzyknął. Po chwili wstał i poszedł do biura, gdzie powyciągał wszystkie szuflady.

- Hej, Ferd, przyjdź no tutaj!

- Co się dzieje? - spytał Ferd.

- Patrz! - Oscar skierował swój palec na szufladę. - Pamiętasz, jak mówiłeś, że nie ma nigdzie agrafek? Ta szuflada jest ich pełna. No i co ty na to?

Ferd zaczął się drapać po głowie i niepewnie wybełkotał, iż przecież był pewien, że ich tu nie było.

- Jest tam kto? - miły kobiecy głos przerwał ich rozmowę. Oscar błyskawicznie zapomniał o agrafkach i ołówku.

- Już idę - odkrzyknął i pomknął jak na skrzydłach do sklepu. Ferd wolno udał się za nim.

W sklepie stała młoda kobieta. Była dość masywnie zbudowana, miała szeroką klatkę piersiową i dobrze umięśnione nogi. Trzymała w ręku siodełko od roweru, które skierowała w stronę Oscara. On wydał z siebie krótkie "Ojej!" i gapił się na nią z uwielbieniem.

- Chyba wyszło trochę za daleko, co? - spytał.

- Klucz, to wszystko, co potrzebuję. To było głupie z mojej strony, że nie zabrałam ze sobą pudełka z narzędziami - wysapała kobieta.

- Nareperuję to w sekundzie - powiedział Oscar i pomimo jej protestów, że zrobi to sama, przykręcił siodełko do roweru. Oczywiście, odmówił przyjęcia pieniędzy i starał się przedłużyć z nią rozmowę. Po dłuższej chwili kobieta jednak zdecydowała się podziękować mu i wyjść.

- Czy teraz rower jest w absolutnym porządku? - chytrze zagadnął ją Oscar.

- Tak - odpowiedziała zdziwiona kobieta.

- Powiem pani coś. Przejadę się z panią kawalek, aby... - Ferd nie musiał słuchać tego do końca; wiedział, co będzie dalej.

Kobieta zaśmiała się.

- Nie nadąży pan za mną. Mój rower to kolarzówka!

Oczy Oscara gwałtownie skręciły w bok i Ferd już wiedział, o co mu chodzi. Oscar dał krok do przodu. Przez umysł Ferda przebiegło gwałtowne "Nie!"

- Ta kolarzówka chyba będzie wystarczająco szybka, aby pani nie zgubić - powiedział triumfalnie

Oscar.

Kobieta zachichotała i powiedziała:

- Zobaczymy, czy da pan radę? - i wyszła ze sklepu.

Oscar wziął, pomimo protestów Ferda, francuską kolarzówkę i w radosnych podskokach wybiegł w ślad za kobietą. Ferd, gdy wyszedł przed sklep, mógł już tylko obserwować dwie małe sylwetki ludzi jadących obok siebie na rowerach.

Był wieczór, gdy Oscar powrócił. Był spocony, lecz uśmiechał się szeroko. Gwałtownie gestykulując i pogwizdując, zaczął opowiadać o swojej przygodzie.

- Co za dziewczyna! - westchnął. - Człowieku, co za popołudnie!

- Dawaj rower - chłodno przerwał mu Ferd.

- W porządku - powiedział Oscar i obróciwszy rower, podał go Ferdowi, po czym poszedł się umyć. Ferd tymczasem uważnie oglądał kolarzówkę. Czerwony lakier pokryty był kurzem i nie błyszczał tak jak dawniej. Wszędzie były powbijane grudki błota i pojedyncze łodyżki trawy. Rower wyglądał fatalnie i na pewno jazda na nim nie mogła być już źródłem dumy i głębokiej satysfakcji.

Wrócił Oscar, czyściutki i pachnący. Chciał szybko ominąć Ferda, rzucić mu krótkie "Cześć" i ulotnić się, aby uniknąć awantury, która wisiała w powietrzu.

- Zostań tu - lodowato powiedział Ferd, wymachując nożem. Następnie zaczął z pasją ciąć siodełko.

- Czyś ty oszalał? Ferd, nie! Uspokój się! - krzyczał Oscar.

Tymczasem Ferd kontynuował swoje dzieło zniszczenia. Pociął opony, a następnie ciężkim młotkiem przemienił ramę roweru w bezkształtną kupę żelastwa.

- Ty nie tylko jesteś wariatem - gorzko powiedział Oscar. - Ty jesteś chorobliwie zazdrosny.

Niech cię piekło pochłonie! - Skończywszy swoją wypowiedź, poczłapał do domu.

Ferd poczuł, że robi mu się niedobrze. Zamknął sklep i powlókł się do domu. Tam położył się do łóżka, lecz nie mógł zasnąć. Przeleżał tak ładnych parę godzin, wsłuchując się w odgłosy miasta. Głowa huczała mu od natłoku myśli.

Przez następne kilka dni obaj wspólnicy prawie ze sobą nie rozmawiali. Wrak francuskiej kolarzówki został umieszczony na podwórku za sklepem. Przez jakieś dwa tygodnie żaden z nich nie wychodził tam, chcąc zaoszczędzić sobie przykrych widoków i wspomnień.

Pewnego ranka Ferd, przyjechawszy do pracy, został złapany przez swojego wspólnika, który zaczął niespodziewanie składać mu gratulacje.

- Jak ty to zrobiłeś? Chłopie, jak ty to zrobiłeś? - Oscar prawie piał z zachwytem. -Jezu, co za cudo! Strasznie mnie wkurzyłeś, ale po czymś takim można wszystko wybaczyć - dokończył Oscar.

Ferd cofnął swoją rękę.

- Tak, tak, ale o co chodzi? - spytał.

Oscar nic nie mówiąc wziął go za rękę i zaprowadził na zaplecze sklepu. Tam natomiast stała francuska kolarzówka, tyle tylko, że była w jednym kawałku, bez śladu zadrapań i innych zniszczeń. Ferd szeroko otworzył oczy. Po chwili przyklęknął i zaczął delikatnie dotykać roweru. Nie było wątpliwości. To była dokładnie to sama maszyna, którą zniszczył.

Wszystkie drobne ulepszenia i zmiany, tak pieczołowicie przez niego wprowadzone, były w tej maszynie. Podniósł się powoli.

- Regeneracja!...

- Że co proszę? - spytał Oscar. - Hej, dzieciaku, jesteś blady jak ściana. Co to, nie spałeś całą

noc? Wejdz do środka i usiądź. Ale... ja dalej nie rozumiem, jak ty to zdołałeś zrobić?

Ferd usiadł. Obliznął spieczoną wargę i wolno powiedział:

- Słuchaj mnie uważnie, Oscar. - Taak?

- Oscar, czy ty wiesz, co to jest regeneracja? Nie? Więc posłuchaj. Jest pewien rodzaj jaszczurek. Gdy je złapiesz za ogon i go urwiesz, to im po pewnym czasie wyrosnie w tym miejscu nowy. Jeżeli homar straci szczyptę, to regeneruje następną. Pewne rodzaje dżdżownic i rozgwiazd, jeżeli je potniesz na kawałki, to z każdego z nich odrosnie całe zwierzę.

- O cholera! Nie bujasz mnie, Ferd? - spytał Oscar. - No tak! Siły przyrody. To bardzo interesujące. Ale ja dalej nie wiem, jak ty dałeś radę tak dobrze ją naprawić - powiedział Oscar.

- Nawet jej nie dotknąłem. Ten rower zregenerował się tak jak traszka albo homar - wykrzyknął Ferd.

Wydawało się, że Oscar wreszcie pojął, o co chodzi. Spojrzał spod swoich gęstych brwi.

- Taak! Czy wszystkie zepsute rowery to potrafią? - spytał.

- To nie jest zwyczajny rower! - wykrzyknął Ferd. - To znaczy, to nie jest prawdziwy rower!...

To prawda!

Krzyki Ferda zmieniły podejście Oscara do całej tej sprawy, ze zdziwienia w niedowierzanie.

- To znaczy: cała ta gadka o robalach i węgorzach lub, o czym ty jeszcze mówiłeś, to była prawda, ale to są przecież żywe stworzenia, a rower nim nie jest - triumfalnie zakończył Oscar.

Ferd jakby w ogóle nie przyjął tego do wiadomości.

- Kryształ, no nie. Weźmy taki kryształ - gorączkowo szeptał dalej. - Zniszczony kryształ może się zregenerować w odpowiednich warunkach... Oscarze, idź i zobacz, czy agrafki są ciągle w szufladzie. Proszę cię!

Oscar wolno ruszył do biura. Dał się słyszeć stukot odsuwanych szuflad. Po chwili był z powrotem.

- Wszystkie gdzieś zniknęły. Tak jak mówiła ta pani: gdy ich potrzebujesz, to ich nigdy nie ma - powiedział.

Ferd gwałtownie dopadł do szafy i otworzył ją. Musiał odskoczyć; wysypały się z niej z trzaskiem wieszaki na ubrania.

- Tak, nie ma agrafek, natomiast jest mnóstwo wieszaków, tam gdzie ich przedtem nie było - powiedział Ferd.

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi. Lecz na pewno nikt tu się nie dostał i nie zamienił agrafek na wieszaki. Ja to tylko mogłem zrobić, ale tego nie zrobiłem. A może to byłeś ty? - Oscar zmrużył oczy. - Może uczyniłeś to we śnie, nic o tym nie wiedząc? Wydaje mi się, że dobrze by było, gdybyś poszedł do doktora. Nie wyglądasz dziś najlepiej.

Ferd cofnął się i usiadł.

- Źle się dzisiaj czuję. Boję się, Oscar. Ale czego ja się boję? - Złapał się za głowę. - Posłuchaj! Tak jak ci to tłumaczyłem już wcześniej: zwierzęta naśladują otoczenie, które się wokół nich znajduje. Przypuśćmy, że rzeczy, które są w otoczeniu ludzi w miastach, domach, te właśnie rzeczy mogą imitować inne rzeczy, które są w naszym otoczeniu.

Ferd zaczął głośno oddychać.

- W naszym otoczeniu. O rany! - wykrzyknął Oscar.

- Może one są tylko innymi formami życia. Może pobierają swoje pożywienie z cząstek powietrza. Słuchaj, Oscar, agrafki stanowią ich poczwarki, potem przechodzą w formy larwalne,

czyli wieszaki.

O, Boże! Nie, nie, to przecież nie może tak być - łkał. Oscar patrzył na niego z ubolewaniem. Po paru minutach Ferd wydawał się nieco lepiej panować nad sobą.

- Te wszystkie rowery, które znajdują gliny, a potem szukają ich właściciele - sapał. - A gdy ich nie znajdą, to wystawiają je na sprzedaż i my je kupujemy. One nie mają w rzeczywistości właściciele. One nie są robione w fabrykach. One rosną! Rosną! Słyszysz, Oscar?! Rosną!!! Możesz je zniszczyć, zgnieść, a one i tak się zregenerują.

Oscar rozejrzał się wkoło i wolno powiedział:

- Taak, chłopie. Mówisz, że najpierw jest agrafka, a potem zmienia się w wieszak?

- Tak, najpierw jest kokon, a potem owad. Najpierw jest jajo, a potem ptak - mówił jednym tchem Ferd. - Lecz te rzeczy dzieją się tylko w nocy. Dlatego my ich nie możemy zobaczyć ani usłyszeć. Pamiętasz te ciche odgłosy każdej nocy. To właśnie to.

- No dobrze - powiedział Oscar. - To czemu, do cholery, nie brodzimy po kolana w rowerach, jeżeli powstają one z takiej masy wieszaków.

Ferd miał i na to odpowiedź:

- Jeżeli z każdego jajeczka ostrygi wyrosłaby dorosła postać, to można by spokojnie przejść ocean na piechotę po ich skorupach. Przecież większość z nich ginie i tylko nielicznym udaje się przemienić w formę dorosłą.

Oczywiście, co było do przewidzenia, Oscar zapytał, jak giną wieszaki. Czy ktoś je zjadł?

Ferd zogniskował swój wzrok na ścianach sąsiednich budynków.

- Słuchaj! W szkole średniej w czasie lekcji języka francuskiego musieliśmy wynajdywać słowa, które wyglądały jak angielskie, ale w rzeczywistości znaczyły co innego. Nazywaliśmy je "fałszywymi przyjaciółmi", rozumiesz? Pseudoagrafki, pseudoodkurzacze - mówił Ferd z coraz większym rozgorączkowaniem.

Jego współnik patrzył na niego z coraz większym ubolewaniem.

- Oj, Ferd, Ferd! Czy ty wiesz, co ci dolega? Powiem ci co. Gadasz mi tu o ostrygach, a tymczasem zapomniałeś, po co one są. One są do jedzenia. Za dużo czytasz książek. Książek o robalach, francuskich książek. Posłuchaj mojej rady: wyskocz gdzieś, spotkaj się z ludźmi. Wiesz co? Następnym razem Norma, wiesz, ta dziewczyna, z którą ostatnio byłem na francuskiej kolarzówce... Gdy ona przyjdzie znowu, to ty tym razem weźmiesz ten cholerny rower i przejedziesz się z nią. Nie obrażę się. Ona też nie.

Ferd gwałtownie potrząsnął głową na znak, że się nie zgadza.

- Nie wsiądę już nigdy więcej na ten rower. Boję się go.

Oscar puścił jego uwagę mimo uszu. Schwycił go zniemacka i siłą posadził na czerwonej francuskiej kolarzówkę.

- To jest jedyny sposób, abyś przełamał swój strach - powiedział, dumny ze swego pomysłu.

Ferd przez chwilę posiedział na kolarzówce i nagle wyleciał z niej, i spadł na podłogę. Cały obolały, zaczął krzyczeć:

- Zrzuciła mnie! Chciała mnie zabić! Patrz: widzisz krew?

Wspólnik usiłował go przekonać, że to był przypadek, że po prostu jest słaby i dlatego spadł. Chciał go także namówić do ponownej próby przełamania strachu.

Niestety, Ferd zaczął z minuty na minutę wpadać w coraz większą histerię. Krzyczał, że żaden człowiek nie jest już bezpieczny, że trzeba ostrzec ludzkość przed zbliżającą się katastrofą. Oscar

długo męczył się ze współnikiem, zanim udało mu się go dotransportować do domu i położyć do łóżka.

Nie opowiedział, oczywiście, tego wszystkiego panu Whatneyowi. W zasadzie to powiedział mu, że jego współnik miał już dosyć pracy przy rowerach.

- Nie jestem typem człowieka, który chce zmieniać świat. Biorę rzeczy takimi, jakie są - obwieścił Oscar.

Pan Whatney powiedział, że jest to również jego filozofia życiowa.

Zapytał o to, jak mu się obecnie powodzi i czy odejście Ferda dużo zmieniło w jego życiu.

- Nie najgorzej. Właśnie się zaręczyłem. Ma na imię Norma. Zupełnie zwariowana na punkcie rowerów - odpowiedział Oscar. - Mam, oczywiście, więcej pracy, ale za to mogę robić w sklepie to, co uważam za słuszne.

Pan Whatney przytaknął głową i rozejrzał się po sklepie.

- Widzę, że dalej produkowane są damki - powiedział. - I dzieje się to w czasach, gdy tak wiele kobiet nosi spodnie. Ciekawe, czy je to jeszcze obchodzi, czy rower jest damski czy męski?

- Nie wydaje mi się, panie Whatney, ale dla mnie to ważne. Ja myślę, że rowery są jak ludzie. To znaczy są to jedyne urządzenia, w których można wyszczególnić rodzaj żeński i męski.

Pan Whatney w odpowiedzi zachichotał i powiedział, że Oscar ma rację i że nigdy mu to wcześniej nie przyszło do głowy.

- No, ale do rzeczy. Proszę mi pokazać, co pan tu ma. Urodziny mojego chłopaka będą już wkrótce - powiedział Whatney.

- Proszę bardzo: oto ekstra towarek. Może go pan dostać tylko u nas... A tu... - Oscar wskazał palcem - specjalność zakładu: skrzyżowanie amerykańskiego klasyka z francuską kolarzówką. Robiona tylko u nas. Mamy ją w trzech wersjach: dziecięcej, chłopięcej i dla dorosłych. Piękne, nieprawda?

Whatney uważnie obejrzał oferowany towar i zgodził się z opinią sprzedawcy.

- No, ale co się stało z czerwoną francuską kolarzówką, która tu zazwyczaj stała?

Twarz Oscara na moment wykrzywiła się w niemiłym grymasie, lecz szybko przybrała pogodny i niewinny wygląd.

- Ach, ta stara czerwona kolarzówką? Dałem ją do przerobienia na żyletki - odpowiedział.

I w tym momencie obaj wybuchnęli śmiechem. Potem jeszcze opowiedzieli sobie kilka różnych historyjek i w końcu ustalili warunki sprzedaży, po czym udali się do lokalu naprzeciwko, aby to oblać. Wypili po kilka piw. Śmiejąc się, długo rozmawiali. Pod koniec biesiady obaj doszli do wniosku, że z biednym Ferdem to była jednak bardzo wstydliva i dziwna sprawa, ponieważ zastał on pewnego dnia znaleziony we własnej szafie z zadzierzgniętym na szyi drucianym wieszakiem na ubrania.

Tłumaczył Andrzej Wieczorek

Dwa przeznaczenia

(Two Dooms) Cyril M. Kornbluth (1923-1958)

21 marca w roku 1958 Cyril M. Kornbluth, zamiótłszy śnieg przed swoim domem, bardzo się spieszył, gdyż był spóźniony. Chciał dogonić uciekający pociąg i skoczył do niego w biegu. Miał pecha. Wywrócił się i w następstwie upadku zmarł. Miał wtedy zaledwie trzydzieści pięć lat, lecz pisarstwem parął się już od prawie dwudziestu. Był nadzwyczajnym człowiekiem. Doskonale władał piórem. Jego śmierć wstrząsnęła całym światem interesującym się science-fiction. Uważam, że miną lata, zanim luka po nim zostanie kimś zapelniona. Gdyby żył następne trzydzieści pięć lat na pewno osiągnąłby fantastyczny sukces na skalę światową.

*W roku 1958 został wydany zbiór jego opowiadań *O milę za Księżycem* (*A Mile Beyond The Moon*). W rok później, już PO jego śmierci, wydano jego ostatnią nowelę "Wolfbane", którą napisał do spółki z przyjacielem, Frederikiem Pohlem.*

"Dwa przeznaczenia" są opowiadaniem opisującym alternatywny przebieg wydarzeń historycznych i według mnie, jest to najlepsza pozycja, która zajmuje się schematem: "Co by było, gdyby Niemcy wygrali II wojnę światową?"

(Martin H. Greenberg)

*Opowiadania, opisujące alternatywny przebieg wydarzeń, które miały już miejsce, zawsze były fascynujące i bardzo wielu pisarzy science-fiction wykorzystywało ten model i pokazywało drugą drogę historii. Najbardziej chyba klasycznym przykładem tego gatunku jest *Bring The Jubilee*, powieść napisana przez Warda Moore'a.*

Najbardziej współczesnym i jednocześnie budzącym największą grozę jest temat: "Co by się stało, gdyby Niemcy i Japończycy wygrali II wojnę światową?" Trudno przewidzieć, jaki wpływ na amerykańską mentalność miałoby wprowadzenie obozów koncentracyjnych i narzucenie im roli niewolników przez ich potencjalnych zwycięzców. Rezultaty takich wydarzeń mogłyby być podobne do tych, które opisał Kornbluth w swoich "Dwóch przeznaczeniach".

Muszą jednak, państwo, liczyć się z tym, że opowieść ta została napisana przez Amerykanina i że wrażenia PO jej przeczytaniu pisze także Amerykanin z krwi i kości. W Cyrilu zawrzało w trakcie pisania tego opowiadania i to samo stało się ze mną w trakcie lektury. Nie powinno jednak tak być, gdyż pisarz powinien silić się raczej na obiektywizm i starać się wczuć w rolę obu stron.

Wyobraźcie sobie jednak, czy Indianin lub Murzyn wcielilby się tak dobrze w cierpienia swoich białych współrodaków, którzy są zniewaleni i zabijani przez pozbawionych skrupułów najeźdźców. Ciekawe, czy oni odebraliby to tak emocjonalnie jak my dwoje. Ciekawe też, czy na ich twarzach nie pojawiłby się lekko drwiący uśmiech i czy przez ich umysły nie przemknęłaby przekorna myśl: "Niech oni teraz spróbują, jak to jest..." Ta jedna myśl, lecz ona może poszerzyć perspektywę, z jakiej będziemy śledzić przedstawioną poniżej historię.

To był maj. Do lata było jeszcze pięć tygodni, ale popołudniowy upał pod dachami z falistej blachy w Manhattan Engineer District's Los Alamos Laboratory był coraz trudniejszy do zniesienia. Młody doktor Edward Royland schudł już prawie siedem kilogramów, choć przecież nie należał do grubasów, gdy przyjechał tutaj na pustynię miesiąc temu. Codziennie, gdy rtęć w termometrze zbliżała się do swojego punktu szczytowego, zastanawiał się, czy aby nie będzie do końca życia żałował decyzji podjęcia pracy w tym laboratorium, zamiast pozwolić facetom z lokalnej komisji rekrutacyjnej, aby go objęli stosownym przydziałem. Jego koledzy z uniwersytetu w Chicago dzielnie zdobywali laury i rany od Saipan po Brukselę. Jeden z nich, matematyk o nazwisku Hatfield, nie będzie już dalej zajmował się matematyką. Spalił się w bombowcu typu "Mitchell" Ósmej Armii Lotniczej w czasie nalotu na Lilie.

- A ty, tatusiu, co robiłeś w czasie wojny?

- Hm, dzieciaki, to trudno powiedzieć. Był taki projekt budowy bomby atomowej, z którego nic nie wyszło. I to właśnie uwiązało wielu ludzi w pewnym zapomnianym przez Boga miejscu w stanie Nowy Meksyk. Badaliśmy intensywnie ten idiotyczny uran. Niektórzy z nas doznali nawet poparzeń popromiennych... I tak wojna się skończyła, a oni odesłali nas wszystkich do domu.

Roylanda przez chwilę rozbawiła taka perspektywa. Jego ramiona i plecy były zaczerwienione od zbyt silnego słońca. Niecierpliwie oczekiwał na dane liczbowe Fazy 56c, które miały mu być przysłane przez sekcję obliczeniową, a były one czasami połączenia się cząstek elementarnych. Faza 56c to było ukochane dziecko doktora Roylanda. Pracował nad nią pod nadzorem Rotschmidta z Projektu III. Nad Rotschmidtem był Oppenheimer, który był szefem całości. Czasami widywał grupkę generałów. Kiedyś przez okno widział czcigodnego Henry'ego L. Stimsona, ministra wojny. Podpierał się laseczką i był otoczony wianuszkami oficerów sztabowych. Szli wolno przez zakurzone drogi obozowe. To był jego jedyny kontakt z wojskiem i wojną.

"Laboratorium" - to brzmiało zapraszająco, lecz chłodno, kusząco, lecz spokojnie. Codziennie rano o siódmej gwizd pobudki wrywał ich z koi, znajdujących się w izdebkach w koszarach wybudowanych dla nich. Dalej walka o miejsce pod prysznicem, golenie się i następnie przeklinania w siedmiu językach na podłe jedzenie w stołówce. Potem Royland przechodził do otoczonej drutem kolczastym strefy ochronnej, gdzie było jego "Biuro" - izdebka sklecona z płyt pilśniowych, mała, gorąca i nie chroniąca przed hukami maszyn do pisania i innymi odgłosami z zewnątrz.

Mimo nie sprzyjających warunków odwalał kawał dobrej roboty, przynajmniej tak mu się wydawało. Nie był zadowolony z tego, że musi zajmować się tak małym wycinkiem, jak Faza 56c, lecz bez wątpliwości był szczęśliwszy od Hatfielda, gdy go dostali w jego "Mitchellu".

W takich warunkach... skomplikowana i pogmatwana była praca sekcji obliczeniowej; wykonywały ją tłumy dziewcząt, rachujących na prymitywnych ręcznych maszynkach do liczenia. Panny dodawały rozmaite wartości przez swoją ilość tworzące bagno, które po prostu je wsysało i nie rokowało nadziei na szczęśliwe zakończenie. Dodatkowo wykańczała Roylanda suma trzasków tych ręcznych maszynek do liczenia. Marzył o dużej i pięknej analogowej maszynie Conanta. Znajdowała się w M.I.T. i była najprawdopodobniej bez reszty oddana w użycie Laboratorium Promieniowania, które pracowało nad zadaniami nie znanymi dla całej reszty, z wyjątkiem jego.

Royland podejrzewał, że Laboratorium Promieniowania ma tyle wspólnego z promieniowaniem co jego Manhattan Engineering District z inżynierami z Manhattanu. Cały świat stał najprawdopodobniej w przededniu otwarcia nowego rozdziału w technice obliczeniowej. Nowa maszyna najprawdopodobniej wyprze aparat pracujący w M.I.T. Lampy, przełączniki i dwójkowy system obliczeniowy pracujący w mgnieniu oka wyprą dostojnie pracujące krzywki, gładko poruszające się przekładnie i piękne krzywe wykreślane przez cudo stworzone przez Conante'a. Pomyślał, że chyba to nowa era nie przypadnie mu za bardzo do gustu. W swoim rozgoryczeniu posunął się nawet do tego, iż wydawało mu się, że armia zdesperowanych dziewcząt, tworzących te okropne trzaski, też będzie lepsza od tej maszyny.

Z głębokim westchnieniem wytarł swoje czoło wilgotną już chusteczką i spojrzął na zegar; wskazywał 5.15. Następnie wolno obrócił głowę w stronę termometru, który wskazywał prawie czterdzieści stopni.

Zaczął się zastanawiać mimowolnie, jakby tu się stąd wydostać. Najlepiej byłoby zrobić kilka niezbyt dużych błędów, aby go wycofali z projektu i posłali w być może lepsze miejsce. Siłą powstrzymał tę kuszącą myśl; przecież mogłaby ona zaważyć negatywnie na jego powojennej karierze zawodowej. Lecz z drugiej strony był taki jeden człowiek - Teller, który uporczywie dopominał się o zwolnienie z powierzonej mu funkcji i w końcu udało mu się. Oppenheimer podpisał mu zwolnienie. Na dodatek nic mu się poważnego nie stało. Aktualnie pracuje razem z Lawrence'em w Berkeley nad bardzo sławnym projektem, na który przeznaczono prawie ćwierć miliona dolarów.

W tym momencie dziewczyna w bluzce khaki zapukała i weszła.

- Oto materiały z sekcji obliczeniowej, doktorze Royland. Proszę je sprawdzić i podpisać mi tutaj - powiedziała szorstkim, urzędowym tonem.

Przeliczył dwanaście kartek i złożył podpis na formularzu podsunętym mu na deseczce.

Następnie gdy ona wyszła, zaczął pilnie przeglądać nadesłane materiały. Gdy skończył przeglądać, usiadł bezwiednie na fotelu. Pot spływał mu obficie po karku. Ręce zaczęły mu lekko drżeć. Faza 56c Projektu III była skończona i to w dodatku z pełnym sukcesem. Odpowiedź na pytanie: "Czy atomy Uranu, U235, mogą być połączone w masę krytyczną w realnie osiąganym czasie?" - była wewnątrz tych dwunastu kartek i brzmiała: "Tak".

Royland był teoretykiem, nie tak jak na przykład Kelvin lub Wheatstone. On pracował na liczbach i wielkościach, nie lubił drutów, urządzeń i minerałów. Nie mógł więc tak jak praktycy przelać swoich odkryć stopniowo na istniejący już prototyp. Niemniej jednak na liczbach dało się jasno pokazać, że stworzenie bomby atomowej jest możliwe na podstawie Fazy 56c. Nie trzeba będzie podgrzewać całego uranu, aby przeprowadzić go w gaz. Masę krytyczną można uzyskać przez wybuch konwencjonalnego materiału, który w ten sposób połączy pojedynczo uranu w jedną jednostkę w zamkniętej przestrzeni. Można to będzie zrobić w sposób kontrolowany i bezpieczny dla lotników, którzy zrzucą tę bombę i spowodują wielki wybuch.

Nagle zaświstał gwizdek obwieszczający koniec pracy. Mimo to Royland ciągle siedział w fotelu w swojej izdebce. Powinien, oczywiście, pójść i powiedzieć to wszystko Rotschmidtowi. On nalałby mu szklaneczkę Geneva Bols, której flaszczykę stale przechowuje w swoim sejfie. Później Rotschmidt poszedłby do Oppenheimera i przed zachodem słońca całe przedsięwzięcie byłoby zmienione. Projekty I, II, IV i V zostałyby zamknięte, a ich personel przesunięto by do pracy nad Projektem III, tym, któremu dawano najmniejsze szanse na sukces. Nowy pomysł zostałby wprowadzony do niego po prawie trzech miesiącach odrętwienia i niepowodzeń. Tak więc Faza 56c

byłaby pierwszą dobrą nowiną po dłuższym czasie. Tyle już przeszli ślepych zaułków, które nie przyniosły nic poza rozczarowaniem. Przyszła ona we właściwym momencie, ponieważ generalicja zaczęła już bardzo niechętnie patrzeć na dalszą kontynuację Projektu III.

Rozmyślanie przerwały mu odgłosy zamykających się szuflad i drzwi od izdebek. Ktoś na korytarzu śmiał się bardzo głośno. Wszyscy szykowali się do wyjścia. Ktoś przechodzący koło drzwi Roylanda krzyknął niecierpliwie:

- Aber was kan Man tun?

Royland wyszeptał do samego siebie: Ty głupku, co sobie, do cholery, myślisz?!"

Lecz znał przecież odpowiedź na swoje nieuprzejme pytanie. Myślał o wielkim wybuchu i o wielkich cierpieniach, jakie wybuch przyniesie. Cierpienia, których opis można znaleźć w scenach z końca świata i dni Sądu Ostatecznego. Nowoczesne cierpienia będą jednak bardziej wyrachowane i okrutne od tych opisanych w starych księgach. Popalone ciała, poodcinane ręce i nogi. W opisach z dnia Sądu Ostatecznego starannie są unikane uszkodzenia narządów rozrodczych, co pośrednio uznaje te rany za najcięższe, i takie one są w rzeczywistości. Już groźba ich uszkodzenia prowadziła zwykle do głębokiego i szybkiego wyznania swoich win. Ktoś wymyślając takie męki, musi mieć chory umysł. Normalny człowiek nie powinien tego robić ani nawet o rym myśleć.

Kapral żandarmerii wojskowej sprawdził, czy drzwi do pokoju Roylanda są zamknięte, a gdy stwierdził, że nie, zajrzał do środka.

- Koniec pracy, profesorze - powiedział.

- W porządku - odpowiedział mu Royland. Starannie pozamykał szuflady i schował w nich wszystkie swoje teczki. Potem zamknął okno i wystawił na korytarz kosz na śmieci. Szczęknął zamek w drzwiach i Royland pomyślał: "Następny dzień, następny dolar".

Może projekt został przerwany. Może zrobili to teraz albo zrobią to później. W Berkeley często zamykano nieefektywne przedsięwzięcia. Z baraku Roylanda ostatnio ubyło dwóch fizyków; ich pokoje były nadal puste. Zostali przeniesieni do M.I.T., aby pracować nad jakimś projektem związanym z łodziami podwodnymi. Generał Groves nie był zbyt szczęśliwy, gdy ich przenosił. Jak można w ogóle tak postępować; dawać ludziom trzy miesiące, a potem topór spada na ich głowę. Może to Stimson stracił cierpliwość i postanowił nie powiększać strat i powoli zamknąć całe to przedsięwzięcie na pustyni. Może prezydent na spotkaniu gabinetu powiedział:

- No jak tam, Henry? Masz jakieś efekty?

- No tak - odpowiedział mu Henry. - Naukowcy wydają się być pełni optymizmu i wierzą w ostateczny sukces, ale jak dla mnie, panie prezydencie, to normalnie wydaje mi się, że oni nic konkretnego nie mają.

Przeszedł przez posterunek strefy zakazanej, którym dowodził porucznik żandarmerii, i pomaszerował uliczką w stronę baraków grup remontowych, do garaży. Chciał wziąć jeepa oraz dostać przepustkę. Chciał przejechać się po pustyni w mroku oraz miał ochotę na zjedzenie kolacji w towarzystwie swojego starego przyjaciela, Charlesa Millera Nahataspe'a, znachora z otaczającego ich rezerwatu plemienia Hopi. Royland miał swoje hobby. Była nim antropologia. Chciał się lekko wstawić w jego towarzystwie i w ten prosty sposób miał nadzieję, że oczyści swoje chmurne myśli.

Nahataspe przywitał go wylewnie w swojej chacie. Wszystkie jego zmarszczki uśmiechały się do Roylanda.

- Chcesz, abym był przez jakiś czas twoim informatorem - zachichotał

Nahataspe był w Carlisle w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia i od tej pory naśmiewał

się z poczynań białego człowieka. Po spotkaniu Roylanda stwierdził, że fizyka to przezabawna rzecz i w zasadzie dla kawału opowiadał mu o różnych obyczajach swojego plemienia.

- Chciałbyś dzisiaj usłyszeć parę fajnych rzeczy o usankcjonowaniu homoseksualizmu w naszym plemieniu? Czy mam przyrządzić psa na kolację? No, siadaj na kocu, Edwardzie - wesoło powiedział Nahataspe.

- Gdzie są twoje krzesła? Gdzie zniknął ten zabawny obraz MacKinleya? No i tak w ogóle, to gdzie zniknęły wszystkie twoje rzeczy? - zapytał Royland, konstatując, że pozostały z dawnych rzeczy tylko naczynia do przyrządzania posiłków, stojące obok centralnie położonego prymitywnego paleniska.

- A... to wszystko, wyrzuciłem to - powiedział beztrósco Nahataspe. - Człowiek się męczy tymi wszystkimi rzeczami.

Roylandowi wydawało się, że wie, co on ma na myśli. Nahataspe wierzył, że wkrótce umrze. W tym plemieniu uważano, że nie powinno się umierać w otoczeniu zbyt wielu rzeczy. Oczywiście, dyskusje o śmierci były surowo zabronione. Indianin popatrzył mu w twarz i powiedział:

- Och, ty oczywiście możesz o tym mówić. Nie krępuj się.

- Czy dobrze się czujesz? - nieco nerwowo zapytał go Royland.

- Czuję się fatalnie. Wąż zjada moją wątrobę. Zamieszkał w niej i je ją. Ale ty również nie czujesz się dzisiaj najlepiej, czyż nie mam racji?

Ciężko wyuczony nawyk nie przyznawania się do własnych słabości kazał Roylandowi pominąć milczeniem to pytanie. Zmienił temat.

- Nie mówisz chyba tego serio o tym wężu, Charles?

- Oczywiście że tak - upierał się Miller. Zacerpnął tykwą dymiącego gulaszu z garczka i zaczął na niego dmuchać. - Co może wiedzieć dziecko natury o bakteriach, wirusach, boksynach i nowotworach? Co ja mogę wiedzieć o lekarstwie niszczącym niebo?

Royland przypatrzył mu się uważnie. Indianin spokojnie spożył posiłek.

- Czy masz dla mnie opowieść o niszczącym niebo lekarstwie? - zapytał.

- Słyszeć, nie słyszałem o tym, ale miałem kilka snów, Edwardzie. - Skierował swoją brodę w stronę obszaru zajmowanego przez laboratorium. - Wy, przyjaciele, tam nie powinniście spać zbyt mocno, tyle rzeczy ucieka.

Royland poczęstował się gulaszem. Nic nie odpowiedział. Danie było smaczne i nie do porównania z podłym jedzeniem ze stołówki, którego pochodzenie i składniki często były nie do poznania.

Miller zaczął łagodnym głosem:

- To będzie opowiadanie dla dzieci, Edwardzie. Nie staraj się zbyt mocno tego rozpracowywać. To jest opowieść o rogatej ropusze, która jadła chwasty i myślała, że jest boginią nieba. Pewnego dnia zdenerwowała się i postanowiła zniszczyć niebo, lecz nie udało jej się tego dokonać. Odtąd przekradała się chyłkiem do swojej jamy, aby nie spotkać innych zwierząt, gdyż wstydziła się swojej nieudanej próby. I w końcu zdechła. Inne zwierzęta nie miały pojęcia o jej nieudanym zamachu na niebo.

Royland zadał pytanie, którego nie powinien zadać:

- A czy może znasz opowieść o kimś, komu udało się zniszczyć niebo?

Jego ręce zaczęły drżeć, a głos miał w sobie nutę histeryczną. Oppenheimer i cała reszta chcą

właśnie zniszczyć niebo. Chcą kopnąć ludzkość dokładnie w samo krocze. Chcą spuścić potwora ze smyczy, który będzie grasować dniami i nocami po całym świecie, zaglądając w każde okno i nie pozostawi za sobą zdrowego człowieka. Nie będzie ludzkiej siły, która by go mogła zgładzić. Faza 56c. A niech to jasna cholera! To będzie najczarniejsze piekło. Tak, tak, Royland, dobra robota, zarobiłeś dzisiaj swojego dolara!

Stary Indianin jednym zdecydowanym ruchem odrzucił tykwę na bok.

- Jest u nas takie powiedzenie: dobra blada twarz to martwa blada twarz. Oczywiście, robię dla ciebie wyjątek, Edwardzie - powiedział. - Mam trochę mocnego towaru z Meksyku, który powinien wprowadzić cię w lepszy nastrój. Nie lubię, kiedy moi przyjaciele cierpią.

- Peyote? Próbowałem już tego. Obawiam się, że zobaczenie kolorowych świateł nie spowoduje tego, że poczuję się lepiej, tym niemniej dziękuję za dobre chęci.

- Nie, to nie peyote! To pokarm bogów. Przygotowanie go zajmuje mi około miesiąca, krócej się nie da, gdyż bogowie inaczej mogą cię złapać w swoje sieci i nie wypuścić. Dzięki niemu moi ludzie potrafią mieć czyste spojrzenia. Twoje oczy są przykryte chmurami.

Gdy skończył mówić, zaczął się krzątać po chacie i grzebać w glinianej skrzynce w jej rogu i w końcu pokazał Roylandowi zakryte naczynie.

- Ludziom trzeba tylko trochę oczyścić spojrzenie pokarmem bogów, reszta dzieje się sama.

Roylandowi wydawało się, że rozumie, o czym mówi stary człowiek. To było jedno z trafniejszych stwierdzeń Nahataspe'a, że dzieci Hopi rozumieją teorię względności Einsteina, zaraz jak tylko nauczą się mówić. Było w tym ziarno prawdy. Język Hopi i ich sposób myślenia pozbawione były czasów, tak więc nie posiadali kategorii czasu jako wielkość. Nie mieli również takich kategorii, jak podmiot i orzeczenie, tak więc nie mogli budować metafizyki przyczyny i skutku. W języku Hopi i ich sposobie myślenia wszystkie rzeczy były zmrożone razem w jednym wielkim związku i krystalicznej formule czasoprzestrzeni, w której zachodzą przypadki po prostu dlatego, że zachodzą. Tak więc dzięki temu ludzie Nahataspe'a mogli widzieć jasno. Royland i jego koledzy fizycy mogli tylko zaciągnąć kredyt z jasnego myślenia, rozpracowując problem czwartego wymiaru jako funkcję zmiennej przestrzeni XYZ w zależności od również zmiennej T.

Mówiąc to wszystko, co mu aktualnie przeszło przez myśl, mógł, oczywiście, tylko zepsuć opowieść Nahataspe'a, czego nie miał ochoty robić. Może wystarczy po prostu upić się i ewentualnie wziąć coś na ból brzucha z ziół Nahataspe'a i wrócić do swojej izdebki z dalej nie rozwiązany problemem: kopnąć świat, czy go nie kopnąć?

Stary człowiek zaczął coś mamrotać w języku Hopi i zasunął tkaniną otwór wejściowy swojej chaty, pozbawiając jej w ten sposób ostatnich promieni zachodzącego słońca. Minęło kilka minut, zanim oczy Roylanda przywykły do migającego światła paleniska i kwadratowego otworu na dym, który teraz przybrał kolor indygo. W tym czasie Nahataspe zaczął swój rytualny taniec, trzymając naczynie tuż przed nim. Nie przerywając tańca, wyszeptał:

- Wypij teraz trochę gorącej wody.

On posłusznie wysiorbał z jednego z naczyń na palenisku. Do tej pory wyglądało to jak rytuał spożywania peyote, lecz czuł się dużo spokojniej niż przedtem. Nagle Nahataspe wydał z siebie głośnie zawodzę nie i dodał uspokajająco:

- Wybacz, Edwardzie. -I kołysał się przed nim łkając, i powoli odkrywał naczynie takim ruchem jak kelner w eleganckiej restauracji. Tak, pożywienie bogów składało się z czarnych suszonych grzybków z innymi nie znanymi mu dodatkami.

- Połknij je i zaraz popij gorącą wodą - powiedział Nahataspe. Royland posłusznie chwycił naczynie i jednym chałstem je opróżnił. Stary człowiek powrócił tymczasem do swojego tańca i śpiewał.

"Odrobina samohipnozy i schwycisz trochę snu, który pozwoli ci na chwilę zapomnieć o Fazie 56c, jeżeli to może się w ogóle udać" - pomyślał Royland. Teraz mógł zobaczyć wielko wybuch, dużą liczbę ognistych kul, może nad Monachium lub Kolonią czy nad Tokio lub Kobe. Mógł zobaczyć ludzi, stopione katedralne cegły, brąz z dużego posągu Buddy, który płynąc jak woda omywał stopy kapłana, palił je i powodował jego upadek w rozpalony płyn. Nie widział, co prawda, promieniowania gamma, lecz ono musiało tam być.

Niewidoczny deszcz, wyrabiający okropne rzeczy, palący narządy rozrodcze mężczyzn i kobiet, ucinający światło życia w jego początkowym punkcie. Faza 56c może w jednej sekundzie zetrzeć z powierzchni ziemi potomków Bacha lub Bernoullisa. Może spowodować to, że teoria Darwina przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Ogniste kule mieniły się barwami purpury i zieleni.

Te grzyby mnie wzięły. Rzeczywiście, mogę to wszystko zobaczyć jak na filmie. Nahataspe kołysał się i kręcił, przechodził przez kule ogniste i obok nich, jednak nic mu się nie działo. Deja vu, lecz wyjątkowo silne. Silniejsze niż to, którego doświadczył już wiele razy uprzednio. Royland wiedział, że wszystko to wydarzyło mu się już kiedyś, i pamiętał doskonale, co będzie później. Miał to wszystko w swojej głowie. Ogniste kule zaczęły tańczyć naokoło niego i nagle poczuł, jak napięcie zaczyna uchodzić z niego, prawie to widział, jak odlatuje w siną dal. Stał się nagle lżejszy od piórka. Poranna bryza mogła go teraz bez trudu ponieść tam, gdzie chciała. Mógł być teraz wciągnięty w krąg ognistych kul, tak jak wciągany jest kurz w wirujące objęcia wiatru. Ale on wiedział, że to byłoby złe. Ostatnim wysiłkiem woli wydał z siebie głos, gdyż wiedział, że zaraz moc wymawiania wyrazów może mu być odebrana.

- Charlie, pomocy! - wycharczał.

W krótkich przeblyskach świadomości mógł poczuć, jak starszy człowiek ciągnie go za jego ramiona, starając się wynieść go na zewnątrz chaty. Wydawało mu się, że słyszał także jego łkanie:

- Powinieneś mi powiedzieć, że nie widziałeś nic przez dym! Ty zobaczyłeś jasność! Nigdy mi się to wcześniej nie zdarzyło! Nigdy!...

Potem poczuł, że oddala się w ciemność, i przestał już widzieć i słyszeć cokolwiek.

Royland obudził się z szumem w głowie. Czuł, że ma nudności. To był już poranek, lecz w chacie nie było Nahataspe'a. W porządku, przynajmniej stary człowiek pojął, co się dzieje, i poszedł do najbliższego telefonu, aby powiadomić laboratorium, co się stało. Teraz na pewno wyruszył jeep, aby go odnaleźć i zabrać do koszar. Tak, cały ten spokój, jaki miały służby ochrony, nagle zastał zakłócony. Zaczął powoli wyobrażać sobie, jakie piekło rozpęta się w bazie po jego powrocie, ale również wiedział, że może go znacznie złagodzić wiadomością o czasach połączeń.

Później zauważył, że chata Nahataspe'a jest zupełnie pusta. Nie było w niej ani jednej z tych niewielu rzeczy, które zastał przychodząc tutaj. Nie było nawet materiału, który zakrywał otwór wejściowy. Nagle straszna myśl przeleciała mu przez głowę: "A może stary człowiek umarł tej nocy?" Wyszedł więc na zewnątrz i zaczął się rozglądać za stosem pogrzebowym i tłumem żałobników. Nigdzie ich jednak nie dostrzegł. Otaczające go budynki z suszonej cegły wyglądały na nie zamieszkałe. Krzaki porastały między nimi tak, że nie można było się zorientować, gdzie były drogi, które istniały wewnątrz osiedla. Nie było także jego jepea, którego zaparkował wczoraj przed

chatą.

Co gorsza, nie było widać żadnych śladów kół ani też krzaki nie były wygniecione w miejscu jego postoju.

"To pożywienie bogów jest cholernie mocne" - pomyślał i niepewnie przejechał ręką po swojej twarzy. Nie było na niej zarostu.

Zrobił duży wysiłek, aby obejrzeć tyle części swojego ciała, ile tylko mógł. Potem dokładnie obejrzał chatę Nahataspe'a. Była ona mniej więcej taka sama jak wczoraj. Gdy jednak rozglądał się dalej po wiosce, spostrzegł coraz więcej zmian. Rogi chat z cegły, suszonej na słońcu, były wygładzone i wyblakłe tak, jakby były wystawione na wieloletnie działanie wiatru i słońca. Drewniane ramy okienek były pokruszone. Dom trzeci z rzędu miał osmalone pasy na przedniej ścianie i wszystkie jego belki stropowe były nadpalone.

Kiedy wchodził do niego, myślał: "Faza 56c na pewno zostanie zauważona. Poznają mnie po odciskach palców. Jak długo to będzie trwać? Rok? Może dziesięć lat?"

W spalonym domu odbyła się jatka. W jednym jego rogu Royland zauważył ludzkie kości. Poczul, że kręci mu się w głowie, i zaczął się wycofywać w stronę drzwi. Zahaczył o spaloną framugę i przeciął sobie rękę. Te czaszki należały do Indian; jego wiedza antropologiczna była wystarczająca, aby być tego pewnym. Indiański mężczyzna, kobieta i dziecko zostali zabici i rzućeni na jedną kupę. Kto ich zabił? Powinny być ślady jakichś ubrań, popalonych szmat, ale ich nie było. Kto rozebrał Indian do naga, a potem ich zabił?

Ślady okropnej masakry były wszędzie wewnątrz domu. Dziury po kulach na ścianach - wysoko i nisko. Szczerby pozostawione przez bagnety, a może nawet przez miecze? Ciemne plamy po krwi, która musiała obficie płynąć po ścianach. Chwiejąc się podszedł do kupki kości, gdyż zauważył w niej metalowe przebłyski. Schwycił tę rzecz i zamknął oczy. Wyciągnął ją i wybiegł na zewnątrz. Teraz dopiero poczul, że trzyma w ręku ułamane ostrze miecza długości piętnastu centymetrów. Było ono perfekcyjnie wykonaną ręczną robotą. Dały się na nim spostrzec dwie szczyrby. Miało również doskonale wyprofilowaną krzywizną. Wszystkie te cechy nie mogły świadczyć o niczym innym, tylko o tym, że był to kawałek miecza samurajskiego.

Stało się oczywiste dla Roylanda, że w tym miejscu musiała być wojna, nie wiadomo, jak dawno, lecz musiała na pewno tędy przejść.

Poszedł na środek wioski, gdzie była studnia. Była ona sucha. Przez chwilę patrzył się do jej wnętrza i tam po raz pierwszy poczul strach. Nie był już od tej chwili uważnym obserwatorem, lecz wystraszoną człowiekiem, który czuje przykrą suchość w ustach. Obejrzał jeszcze około tuzina chat; znalazł parę szkieletów, torbę po nabojach.

Tylko jedna rzecz była nie naruszona; była to droga prowadząca do wioski. Twarda, ubita pustynna droga, na której mogła się pomieścić jedna ciężarówka. Nagle ogarnęła go panika i zaczął biec przed siebie. Po chwili zatrzymał się. Usiadł na pagórku i zdjął swoje buty, poprawił pomarszczone skarpetki i rozluźnił sznurowadła. Przez chwilę zastanawiał się, później zachichotał. Podniósł z ziemi dwa małe kamyki, włożył je sobie do ust.

- Patrol, naprzód marsz! - wykrzyknął, następnie wypluł kamienie i ruszył do przodu.

Tak, był spragniony, głodny i zmęczony. No i co z tego? Ta brudna pustynna droga powinna za pięć kilometrów połączyć się z porządną asfaltową jezdnią. Tam właśnie spróbuje złapać okazję. W porządku, niech najpierw sprawdzą jego odciski palców, a dopiero później będzie z nimi rozmawiał. Czyżby Japończycy dostali się do Nowego Meksyku? Czy to im mogło się udać? Amerykanie są

bardzo srodzy, gdy ktoś niepowołany wchodzi na ich terytorium. Prawdopodobnie żaden z ich grupy już nie żyje.

W czasie drogi zaczął powoli myśleć nad swoim zeznaniem. Wydawało mu się, że najczęściej będzie musiał używać zwrotów: "Nie wiem... Spodziewam się, że nie wierzycie w to, co mówię, ale zapiszcie wszystko dokładnie i nie pokazujcie tego nikomu, dopóki nie przyjdą ci z FBI i nie wezmą odcisków moich palców. Moje nazwisko brzmi..." - i dalej w tym tonie.

Minęło kilka godzin i autostrada musiała być już niedaleko. Nagle jego nozdrza wyostrzone przez głód poczuły około tuzina zapachów przyniesionych przez wiatr pustynny. Zapach szałwi mieszał się z zapachem acetyleny i smrodem rozgrzanej smoły, co sugerowało, że droga jest nie opodal. Po chwili rozpoznał także ostry zapach dwutlenku siarki, który roztaczał się wokół niego. Był on tak przykry, że miał ochotę wyciągnąć chusteczkę ze swojej kieszeni i zakryć nią nos, ale niestety kieszenie były puste. "Co to jest, na Boga?" - pomyślał i zaczął się uważnie rozglądać dookoła. Daleko na horyzoncie zobaczył bladą smużkę, która majestatycznie unosiła się do nieba. Wyglądało to na małe miasteczko lub małą fabryczkę, która wydziela swoje zanieczyszczenia. "Ale, ale - pomyślał - tutaj przecież jest pustynia, nie ma tu ani miasteczka, ani fabryczki." Wkrótce potem stanął na jezdni. Wyglądało na to, że została ona poprawiona. Nadal była dwupasmowa, ale wyglądała na zupełnie nową. Miała dodaną nową warstwę asfaltu grubości sześciu centymetrów. Gdy skończył oglądać nawierzchnię, zaczął się zastanawiać, w którą stronę pójść.

Gdyby miał monetę, mógłby ją rzucić, i w ten sposób obrać kierunek, ale on nie miał przy sobie pieniędzy. W Los Alamos Laboratory mogłeś spędzić tygodnie, nie wydawszy ani grosza. Zaopatrzenie dbało o wszystko, od papierosów po kamienie do zapalniczki. Zdecydował się w końcu skrócić w lewo. Pomaszerował na zachód w stronę smużki widocznej na horyzoncie.

"Jestem istota rozumna - mówił sam do siebie. - Zaakceptuję wszystko, co się dalej wydarzy. Postaram się kontrolować to, co się dalej wydarzy. Postaram się kontrolować to, co dam radę, i spróbuję zrozumieć resztę."

Nagle usłyszał słaby odgłos syreny za sobą, który szybko zaczął narastać. Rozumna istota skoczyła do rowu i zaczęła czuć obawę o swoje życie. Syrena była coraz bliżej i dało się słyszeć warczenie silnika. Gdy wydawało mu się, że konwój jest na jego wysokości, ostrożnie podniósł głowę i rzucił przelotne spojrzenie. Głowa sama cofnęła mu się z powrotem i padł twarzą na ziemię, tak jakby na środku jezdni miał wybuchnąć granat.

Konwój warcząc jechał dalej. Składał się z trzech małych samochodów rozpoznawczych z podwójnie sprzężonymi karabinami maszynowymi. W każdym z nich znajdowało się trzech japońskich żołnierzy w hełmach. Dalej jechała opancerzona limuzyna na sześciu kołach z wieżyczką strzelniczą na rufie. Jechał w niej japoński admirał w dużej czapce, a obok niego siedział grubokościsty oficer SS. Cały konwój zamykały dwa samochody rozpoznawcze.

- Przegraliśmy - powiedział smutno do siebie. - Defiladowe wozy opancerzone z normalnymi oknami. Przegraliśmy chyba dawno temu.

Nagle zaczął się zastanawiać, czy znak wschodzącego słońca był rzeczywiście na wozach, czy też była to jego imaginacja.

Wyszedł z rowu i zaczął ponownie wędrować na zachód po asfalcie. Można zapomnieć o ostrożności, szczególnie gdy strasznie chce się pić. Gdy ponownie usłyszał terkotanie silnika za swoimi plecami, nawet się nie odwrócił. Huk narastał z sekundy na sekundę i w końcu samochód jadący w jego stronę zatrzymał się przy nim.

- Sieg hail! - usłyszał. - Co pan tu robi?

Samochód pytającego był tak samo dziwaczny jak opancerzona tankietka admirała. Był to maleńki pojazd, wyglądał jak dziecięce sanki osadzone na czterech kółkach. Wszystko to napędzał mały chłodzony na powietrze silnik, który nie był niczym osłonięty. Prowadzący go człowiek miał bardzo mały komfort jazdy, siedząc na wąskiej listwie, a przed nim były dwa ważące po dwanaście kilogramów worki z mąką, które zajmowały prawie całe wolne miejsce w samochodzie. Kierowca wyglądał na typowego mieszkańca południowego zachodu. Miał na sobie workowate niebieskie ubranie, które wyglądało jak mundur jednostek pomocniczych w wojsku. Na piersi miał przyszytą tabliczkę identyfikacyjną, a pod nią był rząd ciemnych pasków o nie znanym przeznaczeniu. MARTFIELD, E., 1218824, P/7 NQOTD43. Przybysz, zobaczywszy, że Royland czyta jego tabliczkę identyfikacyjną, powiedział uprzejmie:

- Nazywam się Martfield, Płatnik Numer Siedem, ale nie ma potrzeby używać mojego stopnia tutaj. Czy wszystko w porządku, człowieku?

- Pić! - powiedział Royland. - Co oznacza NQOTD43?

- Przecież umiesz czytać! - odpowiedział zaskoczony Martfield.

- Coś do picia, proszę - wyszeptał Royland. W tym momencie nic go już nie obchodziło. Opadł na tylny kosz wozu jak marionetka, której podcięto sznurki.

- Patrz no tutaj, kolego! - Martfield wyrzucił z siebie te słowa w dziwny szczekający sposób, jakby wychodziły one przez zaciśnięte gardło mówcy, mając sugerować słuchaczowi kontrolowany gniew. - Masz stać, aż cię zaproszę do tego, abyś usiadł - kontynuował w tej samej manierze.

- Czy masz trochę wody? - głucho wydukał Royland. - Jestem fizykiem.

Był już zmęczony dyskusją z kimś, kto kiepsko usiłował imitować sposób wysławiania się sierżanta wobec swoich podwładnych.

Nagle Martfield zaczął się śmiać. Jego sztywność gdzieś zniknęła. Ze swojego workowatego ubrania wyciągnął manierkę, w której miło bulgotała woda. Jakby zapomniawszy, że ma ją w swoim ręku, stuknął nią Roylanda w piersi i powiedział:

- Mogłem się tego spodziewać. Jesteś naukowcem. Ktoś miał cię stąd zabrać, lecz to był także naukowiec, cha, cha cha!...

Royland wziął z jego ręki manierkę i zaczął łapczywie pić. "Jak to, czyżby naukowiec oznaczało, że jest idiotą? Zresztą nic nie szkodzi, pij." Ludzie mówili mu, że nie należy wypełniać całego żołądka wodą po długim okresie pragnienia. Brzmiało to w tej chwili dla niego jak jedna z tych purytańskich zasad, które są człowiekowi zupełnie niepotrzebne i tylko brzmią dostojnie. Skończywszy pić, spojrzął na Płatnika Numer Siedem, który obdarzał go coraz bardziej zaciekawionym spojrzeniem.

- Czy masz coś do jedzenia? - zapytał Royland.

- Doktorze, bardzo żałuję, ale nie mam nic ze sobą. Jednakowoż, jeżeli uczyniłbyś mi ten zaszczyt i pojechał ze mną do mojej kwatery?... - odpowiedział Martfield.

- Oczywiście, jedźmy - odpowiedział Royland i Płatnik Numer Siedem zaprosił go gestem ręki, aby usiadł po turecku na workach z mąką przed nim. Następnie zaczęli jechać z prędkością blisko 50 kilometrów na godzinę, a Martfield, trzymając głowę nad jego ramieniem przeproszał go za niewygody podróży. Mówił mu, że co prawda siedzi na mące, ale za to jest to biała mąka - to podkreślił z dumą. Okazało się, że miał przyjaciela w piekarni w Los Alamos. Podczas jazdy minęli kilka podobnych pojazdów jadących w przeciwną stronę. Podczas każdego takiego mijania odbywała

się dokładna obserwacja oznaczeń na uniformach i na ich podstawie była podejmowana decyzja, kto saltuje pierwszy. Nagle spostrzegli ładny wehikuł z wygodnym fotelem, w którym siedział Japończyk w białym kimono. Martfield o mało nie zwicznął sobie ręki w stawie ramiennym salutując mu. Royland zauważył przy jego boku długi zakrzywiony miecz.

Z każdym kilometrem narastał zapach siarki i jej związków, aż w końcu wyrosły przed nimi budynki fabryki. Wyglądała jak rafineria, lecz zamiast rur biegnących po ziemi i walcowatych zbiorników znajdowały się tam góry uformowane z żółtej siarki. Jechali między nimi, a robotnicy w workowatych ubraniach ciągle im salutowali. Na prawo znajdowały się urządzenia, które przypominały wieże solvayowskie do produkcji kwasu siarkowego i błyszczący kompleks budynków administracyjnych w stylu neoklasycystycznym. W samym centrum zaś znajdował się olbrzymi znak Wschodzącego Słońca. W miarę jak wjeżdżali coraz dalej, coraz głośniej było słychać muzykę.

Najpierw była ona denerwująca, ponieważ nakładała się na odgłosy fabryki, a potem była denerwująca już sama w sobie. Royland przyglądał się, rozłuszczony, dużym głośnikom, które znajdowały się dosłownie wszędzie - na budynkach, wieżach, barakach i tak dalej. Wypuszczały z siebie Strausowskie walce niczym smog, który utrudniał rozmowę i myślenie.

- Brakowało mi tej muzyki w czasie podróży - powiedział mu na ucho Martfield, następnie zgasił silnik.

Dalej potoczyli się już siłą bezwładu. Musieli minąć linię, której Royland nie zauważył, gdyż od pewnego czasu nikt już sobie nie salutował. Z rzadka przechodzili tylko Japończycy w marynarkach w kolorze niebieskim z suwakami logarytmicznymi pod pachą lub w białych kimonach z mieczami. Jednak ten, kto ich zatrzymał, był Niemcem. Klasycznym Niemcem w wysokich buciorach i mundurze z czarnego sukna. Miał na sobie także skórzaną kurtkę ze srebrnymi dystynkcjami. Przez chwilę zastanawiał się. Gdy Martfield mu zasalutował, wrzasnął:

-Halt!

Płatnik Numer Siedem gwałtownie nacisnął hamulce, zatrzymał maszynę, a następnie wyskoczył z niej i stanął na baczność. Royland niezdarnie uczynił to samo. Niemiec powiedział sztywno, lecz bez akcentu:

- Kogo tu przywiozłeś, Płatniku?

- Naukowca, wasza ekscelencjo. Wziąłem go z drogi z Los Alamos. Wydawał się być badaczem minerałów, który nie trafił na swoje miejsce spotkania, ale oczywiście, nie przesłuchiwałem doktora.

Niemiec spojrzał na Roylanda i zapytał:

- No więc, doktorze, pańskie nazwisko i pana specjalność?

- Doktor Edward Royland - odpowiedział. - Pracuję nad badaniami nad energią nuklearną. - Jeżeli oni nie mają bomby to byłby głupkiem, jeżeli teraz by im ją dał.

- Tak? To bardzo interesujące, wzięwszy pod uwagę, że nie ma takiej rzeczy jak badania nad energią nuklearną. Z którego pan jest obozu? - Niemiec rzucił zimne spojrzenie na Płatnika. - A wy, oczywiście, będziecie mieli raport za przygarnięcie zbiega.

- Tak jest! - powiedział chorym głosem Martfield i odszedł wolno, popychając swój wehikuł. Towarzyszyło mu głośnie "urn, pa, pa..." dobywające się z głośników.

- Proszę ze mną - powiedział Niemiec i ruszył do przodu, nie oglądając się nawet, czy Royland jest posłuszny jego poleceniom. To dawało do myślenia, jak rzadkim przypadkiem jest w tym miejscu niesubordynacja. Royland zaczął iść tuż za nim, i wtedy zauważył ostrogi na jego piętach. Zdziwiło go to bardzo, gdyż do tej pory nie widział ani jednego konia.

Japończycy zatrzymali ich uprzejmie wewnątrz budynku administracyjnego.

- Jak to miło widzieć pana znowu, majorze Kappel! Czy możemy panu w czymś pomóc?

Niemiec wypiął się jak struna.

- Nie chciałbym zajmować pana ludzi, panie Ito. Ten tu wydaje się być zbiegiem z jednego z naszych obozów. Właśnie zamierzałem go wam przekazać, abyście go przesłuchali i odstawili tam, gdzie jego miejsce.

Pan Ito spojrział na Roylanda i trzepnął go z całej siły w oba policzki. W Roylandzie odezwały się dzikie instynkty. Niczym narwany chłopiec, zwinął swe ręce w pięści i chciał się rzucić na Japończyka. Ale Niemiec był szybszy, wyciągnął pistolet i przycisnął go lufą do żeber Roylanda, zanim on zdążył oddać uderzenie.

- W porządku - powiedział Royland i opuścił ręce. Pan Ito zaczął się śmiać.

- Przynajmniej częściowo ma pan rację, majorze Kappel. On na pewno nie jest z naszego obozu. No nie będę już pana zatrzymywać. Chciałbym tylko otrzymać raport tego zdarzenia.

- Oczywiście, panie Ito - odpowiedział Niemiec i schował swój pistolet do kabury. Zaczął iść, lekko popychając przed sobą Edwarda. Royland usłyszał jego narzekanie. - Cholerna eksterytorialność.

Zeszli do piwnicy, gdzie wszystkie drzwi były oznakowane po niemiecku, i weszli do pokoju, na którym było napisane: "WISSEN-SCHAFTSLICHESICHER", gdzie Royland w końcu opowiedział swoją historię. Jego słuchaczami byli major, gruby oficer, nazywany pułkownikiem Biedermanem, i cywil z brodą, doktor Piqueron, którego wezwano z sąsiedniego pokoju. Royland nie wyjawiał tylko tego, że celem prac nad energią nuklearną było skonstruowanie bomby. Przyszło mu to łatwo po tylu szkoleniach przez oficerów kontrwywiadu. Zaimprovizował historię, w której celem badań było uzyskanie taniego źródła energii elektrycznej.

Cała trójka wysłuchiwała go w ciszy. Gdy skończył, pułkownik zapytał go rozbawionym głosem:

- Kto to był ten Hitler, o którym mówiłeś?

Na to Royland nie był przygotowany. Ze zdumienia opadła mu szczeka. Na szczęście major Kappel powiedział:

- Bardzo dziwne. Położył nacisk na nazwisko, które co prawda figuruje w naszej historii, lecz zapisało się niesławnie w annałach III Rzeszy. Tak, był taki Adolf Hitler, który we wczesnych latach był agitorem partyjnym, lecz o ile sobie dobrze przypominam, spiskował przeciw Wodzowi w czasie Wojny Zwycięstwa i został skazany na śmierć.

- Taak, jest pan naiwnym wariatem - powiedział pułkownik. - Oczywiście, jest pan wysterylizowany. Czemu nas pan tak buja? Doktorze Piqueron, czy byłby pan łaskaw zbadać naszego zbiega?

Piqueron szybko zbadał Roylanda i stwierdził, że wszystko ma na swoim miejscu, co go bardzo zaskoczyło. Potem wszyscy razem obejrzelili jego lewy biceps i otworzyli oczy ze zdumienia, nie znajdując tam numeru obozowego. Badając go dalej, poczuli się nieswojo, gdyż odkryli brak tatuażu z numerem urodzin poniżej jego lewej brodawki sutkowej.

- Aaa! - wyjąkał Piqueron. - Jego buty są dziwne! Właśnie to zauważyłem. Pułkowniku, kiedy widział pan ostatnio szyte buty z plecionymi sznurówkami?

- Musi pan być bardzo głodny - nagle pułkownik odezwał się do Roylanda. - Doktorze, proszę, oto moja karta, proszę przynieść coś do jedzenia dla naszego gościa.

- Majorze! - powiedział Royland. - Mam nadzieję, że nic się nie stanie człowiekowi, który mnie

tu przywiózł. Powiedział mu pan, aby złożył karny raport.

- Niech się pan nie obawia, doktorze - powiedział major. - Co za humanitaryzm! Musi w panu płynąć niemiecka krew.

- No jak dotąd nic mi o tym nie wiadomo, ale to całkiem możliwe.

- Na pewno tak - powiedział pułkownik.

Pełen wędlin półmisek i szklanki z piwem zostały właśnie przyniesione na tacy.

- Teraz czy mi wierzycie? Muszą gdzieś być moje odciski palców. One udowodnią panom, że moja opowieść jest prawdziwa.

- Czuję się jak głupek - powiedział nagle major Kappel. - Pan dalej będzie mógł nas oszukiwać. Doktorze Piqueron, czyż niemieccy naukowcy nie ustalili, że energia atomowa nie da się zużytkować, i o ile dobrze sobie przypominam, czy nie wyliczyli i nie potwierdzili w doświadczeniach, że trzeba więcej energii włożyć, niż da się uzyskać?

Piqueron skinął głową i odpowiedział:

- Heisenberg w 1953 w czasie Wojny Zwycięstwa. Jego grupa później zajęła się badaniem broni elektrycznych i wyprodukowała oślepiającą bombę. Lecz ten fakt nie podważa wersji doktora. On tylko mówił, że ich grupa próbowała uzyskać energię atomową.

- Musimy to sprawdzić - powiedział pułkownik. - Doktorze Piqueron, proszę zabawić tymczasem naszego gościa w swoim laboratorium.

Laboratorium Piquerona znajdowało się w końcu korytarza i zaskoczyło Roylanda swoją prostotą, a nawet surowością. Zlewy, retorty i waga, które tam się znajdowały, dawały jedynie możliwości prowadzenia prostej analizy ilościowej i jakościowej. Były tu badane próbki siarki i jej związków. Royland pamiętał, że tego typu pracę można było zupełnie zmechanizować, tak że można się było obejść bez "doktora". Ale tutaj doktor Piqueron wysuszał próbki, percypitował je i ważył. Potem uroczyście wpisywał ręcznie wyniki do książki i telefonował do działu produkcyjnego.

Piqueron rozejrzał się dookoła z dumą.

- Jako fizyk na pewno zrozumie pan to wszystko, co tu się robi - powiedział. - Czy mam zacząć tłumaczyć?

- Gdyby był pan tak miły i odłożył to na później, doktorze. Chciałbym, aby mi pan nieco przybliżył to, co wydarzyło się ostatnio w Ameryce.

Piqueron westchnął i zaczął mu opowiadać o Wojnie Zwycięstwa (1940-1955) i o tym, co nastąpiło po jej skończeniu.

W 1940 roku klika Fuhrera (Herr Goebbels należy do niej, oczywiście; jasnowłosa, z heroiczną zuchwą i orlim wzrokiem, ten, którego można oczywiście zobaczyć na wszystkich portretach) została jednocześnie i podstępnie napadnięta przez złych przywódców Francji, pod-ludzi Słowian i podstępnych Anglików. Ten atak, który tak zaszokował Niemców, nazywany jest obecnie blitzkrieg, i był poprzedzony przez liczne sabotaże, zamachy i otrucia, które to były przeprowadzane przez Zigenherjuden, czyli Żydów, o których bardzo mało wiadomo w dzisiejszych czasach.

Wydaje się, że żaden z nich nie przetrwał do dnia dzisiejszego. Ponieważ prawa natury są nieubłagane, więc Niemcy musiały poddać się tej ciężkiej próbie. Nasze wojska cofały się na wschodzie i na zachodzie i nawet święty Berlin został oddany w niewolę. Lecz Goebbels i jego świta wycofali się niczym Barbarossa do twierdzy, która znajdowała się w górach, i cierpliwie oczekiwali na swoją chwilę. A przyszła ona nadspodziewanie szybko. Oszukańczy Amerykanie rozpoczęli atak milionową armią na wyspy japońskie w 1945, lecz nie powiódł się on, gdyż

Japończycy wytrwali z odwagą godną krzyżowców. Żaden amerykański żołnierz nie przeżył na dwudziestu zdobytych przyczółkach, nie udało im się utrzymać nawet jednej mili brzegu. Szczególnie dużą zasługę w obronie kraju poniosły kobiety i dzieci, które ukrywały się w zakamuflowanych dołach, trzymając przy sobie bombę lub materiał wybuchowy. Gdy wokół nich zgromadziła się duża liczba najeźdźców, to ją wtedy detonowały.

Druga próba inwazji miesiąc później znacznie uszczupliła oddziały drugoliniowe, szczególnie w okupowanych Niemczech.

- W zasadzie to Japończycy nie wiedzą, jak się poddać. - powiedział Piqueron. - Nie potrafili zdobywać, lecz za to potrafili kontynuować samobójczą wręcz obronę, która pochłonęła bardzo wielu żołnierzy sprzymierzonych. Oni natomiast tracili kobiety i dzieci. Rosjanie odmówili zaangażowania się w wojnę z Japonią i przyglądali się z rozkoszą, jak ich dwaj wrogowie wyniszczają się wzajemnie. Trzecia próba odbyła się na Kiusiu i po długotrwałej walce zakończyła się powodzeniem. Do zdobycia pozostało jednak Honsiu, główna japońska wyspa, miejsce, gdzie mieszka cesarz. To było w roku 1946. Swawolni i infantylni Amerykanie byli już bardzo zmęczeni wojną. Ich najlepsi żołnierze zginęli. W swej desperacji Anglo-Amerykanie zaoferowali Rosjanom Chiny jako strefę wpływów ekonomicznych i całą Japonię jako cenę za ich udział w wojnie.

Rosjanie wyszczerzyli zęby z zadowolenia i przystali na te warunki. Działania wojenne mieli rozpocząć na wiosnę 1947. Mieli zdobyć Koreę i stamtąd przeskoczyć na północne Honsiu w czasie, gdy Amerykanie mieli zaatakować na południu. Taki scenariusz na pewno by doprowadził Japonię do ostatecznego upadku.

Ale wtedy naród niemiecki usłyszał z fortecy w górach głos przez radio: "Niemcy! Wasz Wódz was wzywa ponownie". Po tym wydarzeniu nastąpiło Sto Dni Chwały, podczas których odrodziła się armia niemiecka i wyrzuciła wojska okupujące. Armia ta nie była doświadczona, lecz tlił się w niej niemiecki zapal. Składała się głównie z młodzieży, która była prowadzona przez starych weteranów. Następnie odrodziła się Luftwaffe, która opanowała niebo nad III Rzeszą. Potem wypadki potoczyły się w zawrotnym tempie. Nastąpił błyskotliwy atak, który zakończył się zdobyciem Francji i całego wybrzeża Atlantyku.

Zdobyto tam dzięki zaskoczeniu mnóstwo sprzętu wojennego, buty, mundury i paliwo, które miało być wysłane dla armii sprzymierzonych na Pacyfiku. Zdobyto także barki i okręty, które miały posłużyć amerykańskim żołnierzom do inwazji na Honsiu. Kuriozalnie zostały one użyte do ataku na wyspy brytyjskie w kwietniu 1947.

W tym czasie Brytyjska Marynarka Wojenna była zajęta ostrzeliwaniem Tokio, Nagasaki, Kobe i Hiroshimy. Armia Czerwona natomiast kontynuowała swój marsz na wyznaczone jej cele w Azji, aby spełnić rozkazy swego wodza, Stalina, i osiągnąć ciepłe wybrzeża mórz południowo-wschodnich. Brytyjski naród był w tym czasie już bardzo zmęczony ośmioma latami wojny. Kobiety i dzieci pragnęły, aby mężczyźni powrócili do domów i aby rodziny znów się połączyły. Podpisano więc separatystyczny pokój na honorowych warunkach.

Uzyskawszy dzięki temu po raz pierwszy zabezpieczenie na zachodzie, armia wielkiej Rzeszy mogła pomaszerować na wschód. Ziściło się odwieczne marzenie Zakonu Krzyżackiego, który dawno temu zdobył Prusy od podludzi, Słowian. Moskwę zdobyto błyskotliwym atakiem 21 maja 1947 roku.

To zwycięstwo doprowadziło do przełomu, gdyż Moskwa była stolicą monolitycznego państwa, w którym wszystkie linie komunikacyjne prowadziły albo z niej, albo do niej. Całe zaopatrzenie dla Armii Czerwonej zostało w ten sposób odcięte. Ona sama nie zdążyła temu zapobiec, gdyż

znajdowała się wtedy nad Pacyfikiem. Spóźniony rozkaz nakazał jej zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Żołnierze wykonali gigantyczny marsz przez prawie całą płytę euroazjatycką. Gdy dotarli na miejsce, byli już bardzo zmęczeni i głodni. Mieli duże braki w zaopatrzeniu w sprzęt wojskowy. W efekcie doznali dotkliwej porażki pod Kazaniem i nie udało im się przejść naszej linii Fryderyka.

Europa została więc zjednoczona i stała się niemiecka. Za Uralem mieszkały tylko ciemne i dzikie ludy, które oddano w strefę wpływów Japończyków. Armia cesarska została dozbrojona i wyposażona przez okręty budowane w Birkenhead, artylerię z zakładów Putiłowa, odrzutowce z Chateauroux, stal z Zagłębia Ruhry, ryż z Doliny Po, śledzie z Norwegii, drewno ze Szwecji, ropę z Rumunii i robotników z Indii. Tak wzmocniona z łatwością wyparła siły wroga z Kiusiu w czasie zimy 1948 i rozpoczęła krwawy marsz, odbijając wszystko, co uprzednio straciła na rzecz Amerykanów.

Ameryka jednak nie chciała się poddać. Tkwiła niczym afront dla naszych narodów między niemieckim Atlantykiem a japońskim Pacyfikiem, stanowiąc dla nas ciągle zagrożenie. Ten afront został wymazany dzięki geniuszowi naszych przywódców w 1955 roku.

Ameryka została zdobyta i nasze wojska spotkały się na rzece Missisipi. Stanowi ona obecnie granicę pokoju między naszymi dwoma wielkimi narodami. Nie ma na niej żadnych fortyfikacji. W ten sposób Ameryka została podzielona na pół. Zachód jest japoński, a wschód jest niemiecki. Są jednak od tego stanu rzeczy dwa wyjątki: Japończycy mają rybacką kolonię w Nowej Szkocji, Niemcy kopalnię siarki, która jest częścią korporacji Farbena w Nowym Meksyku w samym sercu japońskiej Ameryki. I to właśnie tu się znajdujemy, doktorze Royland, i tu właśnie miałem przyjemność wygłosić panu ten krótki wykład z historii dwóch wielkich narodów, ja doktor Gaston Pierre Piqueron, najprawdziwszy Niemiec.

- Tutaj, oczywiście - powiedział ponuro Piqueron - jesteśmy cholernie prowincjonalni. Mało ceremonii, niewiele dobrych manier. Tak byłoby bezczelnością spodziewać się, że przyślą tu niemieckich Niemców na ten zapomniany przez Boga posterunek. Tak więc my, francuscy Niemcy, musimy sobie tutaj radzić sami.

- Wy jesteście wszyscy Francuzami? - zapytał zaskoczony Royland.

- Francuskimi Niemcami - poprawił go sztywno Piqueron. - Pułkownik Biederman jest francuskim Niemcem również, no a major Kappel, hm, on jest włoskim Niemcem - prychnął pogardliwie Piqueron, aby zaznaczyć, co on o tym myśli. - Włoscy Niemcy nie całkiem czysto weszli do naszego narodu.

- Czy wy wszyscy przybyliście tu z Europy? - zapytał Royland.

- Mój dziadek tak - odpowiedział Niemiec.

Royland zaczynał powoli rozumieć. Przecież rzymskie legiony, które broniły granic imperium, składały się głównie z Rzymian, którzy urodzili się i dorośli w Brytanii lub Danube, z Rzymian, którzy nigdy nie widzieli Italii i Rzymu.

Tymczasem przybył do laboratorium major Kappel, który zwrócił się uprzejmie do Edwarda:

- Nie przekonał pan nas, doktorze. Obawiam się, że pana małe kłamstewka nie wypaliły. - Poklepał go przyjacielsko po plecach. - Uważam, że bujał pan nas z klasą, no ale teraz chcielibyśmy usłyszeć fakty.

Piqueron odezwał się, zaskoczony:

- Jego opowieść jest fałszywa? Jego buty? A brakujący geburtsnummer? I wydaje się, że on zna się na chemii.

- Ach, lecz on powiedział, że jego specjalnością jest fizyka. To już samo w sobie jest mocno podejrzane, doktorze.

- Tak, tak. To jest rozbieżność. Ale reszta?

- Więc jeżeli chodzi o jego numer urodzin, to kto to może wiedzieć? Jego buty, kto o to dba? Ale ja w czasie, gdy nasz przybysz zabawiał nas swoimi historyjkami, robiłem notatki i potem to wszystko starannie sprawdziłem w dużej encyklopedii. Nie było Manhattan Enginee-ring District. Nie było doktora Oppenheimera, Fermiego i Bohra. Nie ma czegoś takiego jak teoria względności i równoważnik masy i energii. Uran ma tylko jedno zastosowanie: barwi się nim szkło na piękny pomarańczowy kolor. Jest coś takiego jak izotop, lecz nie ma to nic wspólnego z chemią. Ta nazwa używana jest w nauce o przepływach i oznacza dowolną wariację wewnątrz podprzepływu. No i co pan na to, drogi kolego?

Royland przez chwilę zaniemówił. To, co powiedział major Kappel, wprawiło go w osłupienie. Czyżby znalazł się w innym świecie, gdzie wartości fizyczne zostały wymieszane z historycznymi i w efekcie powstał z tego groch z kapustą. Wcale by się nie zdziwił, gdyby oznajmiono mu, że Juliusz Cezar odkrył Peru oraz że atom tlenu jest lżejszy od atomu wodoru.

- Ciągłe nie chce nam pan powiedzieć prawdy? - major Kappel zapytał przymilnie.

- Mogę tylko powtórzyć to, co już powiedziałem.

- To nie jest moja praca przekonywać pana do powiedzenia prawdy. Nie wiem, jak to się robi, ale za to wyślę pana pierwszym transportem do obozu pracy - powiedział złowieszczo.

- Co to jest takiego "obóz pracy"? - zapytał Royland.

- Dobrze nieba, człowieku! To jest obóz, w którym się pracuje. Jest pan oczywiście ungleichgeschaltling i musi pan być gleichgeschaltet. -Nie wymawiał tych słów, jakby były one obce; one musiały być integralną częścią używanego na co dzień słownictwa. Gleichgeschaltet znaczyło według Roylanda coś jak "przyuczony do współpracy z..."

Major kontynuował:

- Dostaniesz tam pryczę, ubranie i jedzenie i będziesz pracował, aż w końcu twoje włóczęgowskie nawyki zostaną wymazane i będziesz mógł być wystawiony na targ pracowników. I powinieneś być nam cholernie wdzięczny za to, że tak się z tobą kłopotujemy.

- Jego twarz poczerwieniała. - Tak, nawiasem mówiąc, to spóźniłem się z twoim przyjacielem Płatnikiem. Przykro mi. Pchnąłem posłańca do Komórki Dyscyplinarnej, aby wstrzymać rozkaz. W końcu jeżeli udało ci się nam zabrać godzinę, dlaczego nie miałyby ci się udać ogłupić zwykłego Płatnika.

- Za późno? Czy on nie żyje? Za wzięcie autostopowicza?

- Nie rozumiem, co to ostatnie słowo znaczy - powiedział major. -Czy to jest w dialekcie wagabundów? Aha, odpowiedź brzmi "tak". To był mimo wszystko człowiek, to był Płatnik Numer Siedem. On nawet umiał czytać. Upierasz się z zastanawiającą determinacją przy swoim kłamstwie, czy też rzeczywiście żyłeś do tej pory w izolacji? Czy to mogło być tak? Czy może gdzieś znajduje się plemię, z którego pochodzisz? No nic. Oficerowie śledczy odkryją to, to ich praca.

- Legenda Psiej Łaty! - Piqueron wykrzyknął te słowa z siłą wybuchu bomby. - On może być Abnerytą!

- O kurcze! - major Kappel powiedział wolno. - To rzeczywiście mogłoby być to. Byłby to mój największy sukces znaleźć żywego Abnerytę.

- Czy sukces? - ostro przyciął go Piqueron.

- Taak! Pójdę i znajdę trochę danych o Legendzie Psiej Łaty - powiedział major Kappel, skierował się w stronę drzwi i udał się do swojego pokoju, aby znowu przejrzeć dużą encyklopedię.

- Ja również - szybko dodał Piqueron i zdumiony Royland zobaczył, jak obaj biegną ramię w ramię po korytarzu.

Wyglądało to zabawnie, ale oni przecież zabili Płatnika Martfielda tylko za to, że nieświadomie wziął autostopowicza. Naziści zawsze starali się być zabawni. Gruby Herman udaje młodego Zygryda. Być blondynem jak Hitler, być szczupłym jak Goering i wysokim jak Goebbels. Niedojrzali ulicznicy, którzy nie potrafili nawet właściwie pokierować procesem Dymitrowa o podpalenie Reichstagu. Cały świat naśmiewał się z bufonad ich stronników. I to właśnie im udało się zawojować Europę, i to oni teraz zabijają ludzi.

Jedną rzecz w tym była jednak pewna; życie w obozie pracy zamęczyłoby go i doprowadziło do śmierci. Według ich mniemania powinien być niepiśmiennym prostaczkiem, gdyż te rzeczy, które wybaczone jemu, nie zostały wybaczone egzaltowanemu Płatnikowi Numer Siedem. Zaczął grzebać w szafie, która stała w kącie laboratorium.

Znalazł czysty uniform, który musiał być ubraniem cywilnym, trochę workowate spodnie oraz tunikę z rosyjskim kołnierzykiem. Oczywiście, ten strój powinien być odpowiedni, ponieważ znalazł go w odpowiednim miejscu. Było to tak oczywiste jak to, że jego obecny strój, który składał się z koszuli flanelowej i spodni z dobrego materiału, nie jest zupełnie na miejscu. Nie bardzo wiedział, co się z nim stanie w tym nowym stroju, ale za to wiedział, że Martfielda zabito dlatego, że wziął właśnie człowieka we flanelowej koszuli. Założył na siebie ubranie cywilne, a swoje stare starannie zwinął w rulon i wepchnął do najwyższej szuflady w szafie stojącej w laboratorium. To było najprawdopodobniej najlepsze ukrycie, które długo nie powinno być odkryte przez tych narwanych klaunów. Następnie wyszedł na zewnątrz pokoju i schodami udał się do góry, potem przez nieduży korytarz udał się do centrum fabryki. Nikt mu nie salutował i on nie salutował nikomu. Postanowił udać się do japońskiego laboratorium, gdzie nie powinno być Niemców.

Royland znał japońskich studentów z czasów pracy na uniwersytecie i bardzo ich podziwiał. Ich umysły, ich oszczędność i skromność, ich zawsze dobry humor w jego oczach czyniły z nich najbardziej wrażliwych ludzi, jakich znał. Ito i jego żołnierze nie wydawali się mieć tych cech, które zauważył u japońskich studentów w przeszłości, ale być może byli oni typowymi żołdakami i może uda mu się spotkać wykształconych Japończyków, którzy uważnie wysłuchają jego historii i starannie sprawdzą fakty.

Pogładził się po twarzy i przypomniał sobie, jak pan Ito trzasnął go w nią. Tak, pan Ito to tępawy żołdak, który chciał się popisać przed Niemcami w ich eksterytorialnej strefie.

W każdym bądź razie lepiej zaryzykować i pójść do Japończyków, niż trafić do obozu pracy i tłuc kamienie, dopóty oni nie stwierdzą, że jestjugleichgeschaltet. Do tego czasu mógłby oszaleć lub umrzeć.

Royland pomaszerował więc w stronę wieży solvayowskiej wzdłuż szklanej rury, w której płynął wyrób fabryki, czyli kwas siarkowy. Biegła ona po ziemi i kończyła się w pomieszczeniu do butelkowania. Tam ludzie z krzaczastymi brwiami napełniali kwasem duże butle, które znajdowały się w wiklinowych koszach wypełnionych trocinami, i następnie wynosili je na zewnątrz pomieszczenia. Zaczął iść za mężczyzną, ładującym te butle na ręczny wózek i ciągnącym je potem w stronę drzwi, które prowadziły do magazynu.

Royland wszedł za nim do tego pomieszczenia, przemaszerował przez nie i wyszedł drugimi

drzwiami na podwórze, gdzie stały otwarte ciężarówki gotowe do załadunku. Cofnął się z powrotem do pomieszczenia, schował się za rzędem butli w wiklinowych koszach i zaczął przysłuchiwać się, jak kierownik przeklina swoich kierowców, jak tragarze przeklinają swoje życie i pracę.

- Załaduj, do jasnej cholery, ten towar, Frisco. Nie obchodzi mnie, co ty masz teraz do roboty. Musimy się tego pozbyć do północy!

Parę godzin po zapadnięciu zmroku Royland podróżował na zachód. Nie miał co prawda zbyt wiele świeżego powietrza i otaczało go niebezpieczne towarzystwo setek butli z kwasem siarkowym, ale za to wyrwał się od tych przeklętych Niemców. Modlił się o to, żeby Bóg zesłał mu ostrożnego kierowcę.

Noc, potem dzień i znowu noc. Ciężarówka nigdzie się nie zatrzymywała oprócz miejsc na tankowanie paliwa. Kierowcy zmieniali się i jedli tylko kanapki. W czasie drugiej nocy zaczęło padać. Royland delikatnie i zapewne nieco szaleńczo zaczął zlizywać krople deszczu, które spływały po brezencie okrywającym ciężarówkę. Świt zastał go rozłożonego między dwoma koszami. Gdy wyrzwał przez szparę w plandecce, zobaczył zirygowane pola, na których rosły warzywa. Pomiedzy nimi w dużych rowach płynęła woda. To podziałało na niego jak magnes. Usłyszał, że silnik zwalnia, i samochód zaczął wchodzić w zakręt. Przeskoczył szybko przez burtę i znalazł się na drodze. Ponieważ był bardzo słaby i zmęczony, więc gruchnął na ziemię niczym worek z kartoflami.

Podniósł się szybko, nie bacząc na swoje siniaki i obolałe boki, dopadł do pierwszego rowu i zaczął pić z niego wodę. Tym razem stara purytańska zasada sprawdziła się. Gdy się podniósł, wszystko z niego wyleciało. Wszystko oprócz tego, co chciwie zaabsorbował obkurczony żołądek. Nie dbał w tej chwili o to, gdyż miał wrażenie, że jest w niebie.

Na polu rosły pomidory prawie już dojrzałe. Był bardzo głodny i wydały mu się one cudownie różowe. Pierwszego pomidora zjadł tak zachłannie, że sok spłynął mu po brodzie. Następne dwa zjadł już bardzo delikatnie. Chciał zatrzymać uczucie rozkoszy, które sprawiało mu każde ugryzienie. Rozprowadzał starannie językiem miąższ po całej jamie ustnej. Naokoło wszędzie jak okiem sięgnąć były pomidory; piękne zielone pasma z czerwonymi kropkami poprzedzielane srebrnymi wstążkami rowów irygacyjnych. Napchał pomidorów do wszystkich kieszeni swojego ubioru i zaczął iść przed siebie.

Czuł, że jest szczęśliwy.

Daleko od Niemców i ich wstrętnego porządku i morderczych metod. Proszę jakie piękne pole. Japończycy mają artystyczną żyłkę i potrafią wprowadzić piękno w każdy detal swojego życia. Na pewno potrafią także wykształcić cholernie dobrych fizyków. Cokolwiek by robili ci ludzie, którzy stworzyli to piękne pole, znajdą pełne zrozumienie u niego.

Nagle czarna plama o ludzkich rozmiarach przykuła jego uwagę. Znajdowała się na brzegu jednego z rowów irygacyjnych po jego prawej stronie. Wolno zaczęła obracać się w kierunku wody i z pluskiem wpadła do niej, przez chwilę pływała na jej powierzchni i powoli zaczęła tonąć.

Royland szybko zaczął biec w poprzek pola. Nie bardzo wiedział, czy da radę popłynąć, ale wiedział, że coś musi zrobić. Gdy tak stał nad brzegiem rowu i zastanawiał się co dalej, na powierzchni wody bardzo blisko niego ukazała się głowa. Edward gwałtownie zgiął się i wyciągnął swoje ramiona tak, że wydało mu się, iż za chwilę opuszczą one swoje stawy. Schwycił za włosy topielca. Poczul, że wszystkie jego pomidory uległy zmiążdżeniu.

- Gotowe - zamruczał do siebie i zaczął ciągnąć głowę w swoją stronę. Gdy zbliżyła się, pomógł sobie drugą ręką i zaczął unosić ją do góry. Zobaczył twarz człowieka, która wyglądała na bardzo

zdziwioną, lecz wkrótce zdziwienie ustąpiło z twarzy i zawitał tam kompletny brak przytomności.

Prawie przez pół godziny Royland mocował się z ciałem, zanim wyciągnął je z wody. Nie przypuszczał, że jest aż tak osłabiony. Cały był mokry od potu, a ręce drżały mu jak u alkoholika. Ułożył ciało na mułowatym brzegu. Nie bardzo wiedział, czy wyciągnięty przez niego człowiek żyje, czy też jest już martwy. Wiedział natomiast, że nie może odejść, dopóki się o tym nie przekona. Zaczął dokładnie oglądać niedoszłego topielca.

Był to gruby mężczyzna w średnim wieku. Jego twarz miała orientalne rysy i Roylandowi wydawało się nie wiedzieć, czemu, że jest to zapewne Chińczyk, a nie Japończyk. Jego ubranie składało się z poszarpanych szmat. Jediną porządną rzeczą, którą miał na sobie, był skórzany pokrowiec zawierający błyszczącą niebieską porcelanową butelkę. Royland parsknął nad nim i wyciągnął mu butelkę z pokrowca. Czyżby to było coś w rodzaju superginu? Parsknął raz jeszcze i pociągnął duży łyk tajemniczego płynu z butelki topielca. Zaraz schwycił go nieposkromiony atak kaszlu. Poczul, że ktoś wyciąga mu butelkę z rąk. Przekręcił głowę i zobaczył Chińczyka. Jego oczy były dalej zamknięte, ale jego ręce bezbłędnie trafiły szyjką od butelki w szeroko rozdziawione usta. Chińczyk długo pił z butelki, po czym włożył ją już prawie opróżnioną z powrotem do futerału i wreszcie otworzył oczy.

- Szlachetny panie - powiedział Chińczyk w bezbarwnym kalifornijskim dialekcie. - Zechciałeś w swojej łaskawości uratować moje bezwartościowe życie. Czy możesz wybaczyć mi tę śmiałość, że spytam cię o twoje szlachetne nazwisko?

"Och, Edwardzie, spokojnie. Nie próbuj wstawać, jesteś tak zmęczony, nawet nie powinieneś mówić" - pomyślał Royland.

Nagle za plecami dał się słyszeć wrzask:

- Ktoś kradnie pomidory! Proszę, tu są zniszczone i podeptane krzaki i podpórki. Dzieci, będziecie świadkami przed Japończykami.

- O Boże, co teraz? - jęknął Royland.

Z ciemności wyłonił się ciemnoskóry mężczyzna, lecz nie-Murzyn w brudnej przepasce biodrowej, a obok niego wyrosło pięcioro wychudzonych dzieci, także w przepaskach biodrowych, i ustawiły się od najwyższego do najniższego. Wszystkie miały zdziwione i wystraszone twarze. Chińczyk zachichotał i zaczął grzebać w swojej postrzępionej szacie. Wyciągnął z niej plik rozmokniętych banknotów. Oderwał jeden z nich, wyciągnął rękę w stronę przybyszy i powiedział:

- Odejdźcie, wstrętni barbarzyńcy zza Tian-Shang. Mój mistrz i ja damy wam jałmużnę, a nie haracz.

Drawidyjczycy, lub kimkolwiek oni byli, schwycili banknot i zadowoleni zaczęli mówić:

- Nie wystarczyć na takie okropne zniszczenie. Japończycy... Chińczyk odprawił ich machnięciem ręki i powiedział do Roylanda:

- Czy mój mistrz zdecyduje mi się pomóc wstać?

Royland oczywiście pomógł mu wstać. Chińczyk chwiał się na nogach. Royland nie wiedział, czy to od tego, że o mało się nie utopił, czy też od dużej ilości alkoholu wypitego ze swojej butelki. Skierowali się w stronę drogi. Towarzyszyły im okrzyki, żeby nie niszczyli krzaków.

Już na drodze Chińczyk powiedział:

- Moje bezwartościowe imię brzmi Li Po, mistrzu. Czy byłbyś tak łaskaw i wskazał mi kierunek, w którym mamy podróżować?

- Czemu ty ciągle nazywasz mnie mistrzem? - zapytał Royland. - Jeżeli jesteś mi wdzięczny, to

байд, ale przecież nie dostałem cię na własność.

- Mój mistrz raczy żartować - powiedział Li Po.

Następnie uprzejmie kontynuował, zwracając się do Roylanda w trzeciej osobie, że dopóki piekło go nie pochłonie, to zostanie jego własnością. Wyjaśnił mu, że racząc wtrącić się do przeznaczonego mu przez niebiosa losu, spowodował to, że bogowie scedowali swoje

uprawnienia na niego. Jego przeznaczeniem było bowiem, będąc pijanym, stoczyć się do rowu z wodą i utonąć. Powiedział również, iż rozumie, że nie jest to dla niego dobry nabytek, gdyż znany on jest z bardzo wielu złych cech: ma nieposkromiony apetyt, nie można mu zaufać i dostaje drgawek i spazmów, gdy zaganiają go do ciężkiej roboty.

- Nic o tym nie wiedziałem - powiedział Royland żartobliwie. - Czy jest jeszcze jeden Li Po? Poeta?

- Twój służący chciałby czcić swojego imiennika jako największego pijanicę w Królestwie Kwiatów - powiedziawszy to zgiął się, schwycił Roylanda za kolana i zaczął ponownie składać mu hołd. Tym razem czynił to bardziej wyraziście. Drogą przejechał pojazd stukając i pyrkając, a jego załoga ukloniła się im.

Li Po powiedział z wyrzutem:

- Z przykrością muszę zauważyć, że mój mistrz nie przestrzega etykiety, którą ustanowili dla nas nasi szlachetni władcy. Taka niedbałość kosztowała głowę mojego niewiele starszego ode mnie brata, gdy miał dwanaście lat. Czy mój mistrz mógłby wyjawić mi, jak to się stało, że osiągnął swoje lata, nie znając tego, czego już uczą dzieci w kołyskach.

Royland opowiedział mu całą prawdę. Li Po uprzejmie błagał go o wyjaśnienie niektórych rzeczy od czasu do czasu. Dzięki temu Royland mógł zorientować się w jego wiedzy i możliwościach intelektualnych. Tak więc bez problemu przyjął do wiadomości, że czary przeniosły go o jakieś sto lat do przodu. Nie miał żadnych wątpliwości, natomiast nie mógł zrozumieć, dlaczego nie zostało użyte prawidłowe zamawianie fung shui, aby uniknąć tych katastrofalnych skutków spożycia pożywienia bogów. Mając opis chaty Nahataspe'a składającej się z prostych ścian i drzwi, które przecież otwierały się w prawidłową stronę, wyraził przypuszczenie, że to powinno wystarczyć, aby utrzymać wszystkie istotne duchy na zewnątrz. Kiedy Royland opisał mu swoją ucieczkę z niemieckiej enklawy do Japończyków i opowiedział, dlaczego to zrobił, Li Po zbladł jak ściana. Royland domyślił się więc. Nie było to zbyt rozsądne z jego strony, że znalazł się tutaj.

Z nadzieją w głosie, że może się jednak pomylił, zapytał:

- Powiedz mi, jak tutaj jest?

- Mamy tutaj królestwo - powiedział Li Po. - Nad nami są łaskawi, szlachetnie urodzeni. Tu jest przystań dla wszystkich, których skóra nie jest biała, gdyż to wskazuje na przekleństwo zesłane przez niebo. Tutaj żyją ludzie z grupy Han, której członkiem jest także moja bezwartościowa osoba. Synowie Hind żyją za Tian-Shang. Możemy uprawiać ziemię i płodzić naszych synów, aby ci mogli nas czcić, gdy będziemy odchodzić.

- Co to było o tej białej barwie? - zaniepokoił się Royland. - Czy zabijają tu białych ludzi?

Li Po odpowiedział mu wymijająco:

- Zbliżamy się do wioski, gdzie moja bezwartościowa osoba pracuje jako wróżbita i znachor leczący sposobem fung shui, a czasem jako poeta i bazarz. Niech mój mistrz nie niepokoi się o swój kolor skóry. Twój unizony sługa zmieni jej wygląd, powie kilka zręcznych kłamstw i wprowadzi swojego mistrza jako trędowatego.

Po tygodniu przebywania w wiosce, u Li Po, Royland wiedział, że życie jest tu dobre. Jego nowe miejsce zamieszkania było osiedlem składającym się z glinianych domków. Mieszkało w nim około dwustu dusz. Położone było nad brzegiem rowu irygacyjnego, który był na tyle szeroki, że zasługiwał na miano kanału. Nikt nie potrafił mu wytłumaczyć, gdzie właściwie mieszka. On sam przypuszczał, że musiało to być w okolicy doliny San Fernando. Ziemia tu była tłusta i czarna, rodziła jak opętana przez cały rok. Główną uprawą był w tych stronach gruby korzeń. Royland widział go po raz pierwszy na oczy. Był on zbyt twardy i skórzasty, aby mógł go jeść człowiek, stanowił natomiast doskonałą karmę dla kurczaków, które hodowano na północy. Cały rok wieśniacy zbierali go z pola i na dużym ręcznym rozdrabniaczu przerabiali na gotowy produkt. Co kilka dni przyjeżdżał tu Japończyk z niższej kasty i zabierał urobek. Zawoził go na północ, gdzie jadły go kurczaki, a kurczaki jedli najprawdopodobniej Japończycy.

Wieśniacy też jedli kurczaki, ale tylko wtedy, gdy odbywał się ślub lub pogrzeb. Na co dzień spożywali tylko warzywa, które uprawiali na wydzielonych działkach; dziesięć arów na rodzinę. Jedna kapusta wymagała w ciągu dziewięćdziesięciu dni od wsadzenia do zebrania około stu godzin pracy. Teoretycznie więc uprawiający ją powinien umrzeć śmiercią głodową, gdyż w jednej kapuście nie ma tylu kalorii, aby pokryć wydatek energetyczny stu godzin pracy. Lecz oni jakimś cudem nie umierali. Oczywiście, byli w większości wychudzeni, ale także zawsze byli w dobrym humorze, ciężko pracujący i płodni.

Mówili po angielsku na mocy dekretu cesarskiego. Przyczyną tego faktu było najprawdopodobniej to, że uznano ich za niewartych mówienia po japońsku. Nie wolno było im także malować cesarskich znaków na swoich domach. Inną przyczyną dekretu cesarskiego było być może to, że chciano wyprzeć ich stare dialekty i języki i stworzyć z nich jednakowo porozumiewającą się masę.

Mieszkańcy wioski stanowili mieszaninę Chińczyków, Hindusów, Drawidów i ku zaskoczeniu Roylanda, Japończyków, którzy znajdowali się poza kastami. Do tej pory nie wiedział, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Legenda mówiła, że wioska powstała dawno temu, gdy samuraj Ugetsu, będąc w Hongkongu, wstąpił do miejscowego więzienia i wskazał palcem na ludzi, którzy brali wodę do picia ze zbiornika na dziedzińcu, i powiedział: "Chcę ich dostać dużo". I to "dużo" to byli właśnie protoplasty obecnych mieszkańców wioski, których przetransportowano do Ameryki w charakterze balastu okrętowego. Ponieważ dużo z nich przeżyło podróż, postanowiono ich osiedlić nad brzegiem kanału i kazano im uprawiać gruby korzeń. Osada natomiast została nazwana wioską Ugetsu. Jedni opowiadali tę historię w prosty sposób, inni, jak na przykład Li Po, ubarwiali ją i dodawali do niej mnóstwo innych faktów.

Po tygodniu udawania, że jest trędowaty, został przyjęty przez społeczność wioski i mógł już zmyć błoto ze swojej twarzy. Powiedziano mu tylko, że powinien unikać jak ognia Japończyków z wyższych kast, ze szczególnym uwzględnieniem samurajów. To zresztą nie była tylko dobra rada dla niego, było to dobre postępowanie dla każdego człowieka z niższych warstw społecznych.

W wiosce Royland odnalazł swoją pierwszą miłość i swoją pierwszą religię, obie zakończone niepowodzeniem.

Uspokoił się. Zaczął się przyzwyczajać do orientalnego sposobu pracy. Wolny, nieprzerwany wysiłek. Nie zaskoczyło go też to, że po paru tygodniach mógł bez problemu policzyć wszystkie swoje żebra. Kiedy zjadał codziennie po mistrzowsku przyrządzone warzywa, czerwone od chili, żółte od pasternaka i ukraszone płatkami marynowanego buraka, czuł, że jest szczęśliwy. Najadł się

tym do syta. Wystarczyło mu to na cały następny dzień, który był wypełniony pracą w polu. To było nawet przyjemne pracować powoli drewnianym oskardem w żyznej glebie. Ta ziemia była tak bogata, że przyszłe pokolenia nie musiały się martwić o swój byt. Wydawało się, że ta ziemia będzie rodzić do końca świata. Od czasu przybycia Roylanda ciężarówka przyjechała sześć razy po korzeń. Jej przyjazdy stanowiły coś w rodzaju kalendarza dla mieszkańców wioski. Pomimo permanentnego niedożywienia zaczął odczuwać z coraz większym nasileniem, że ma potrzeby seksualne. Czyżby niedostatek pożywienia to wywoływał, gdyż nigdy wcześniej tego tak drastycznie nie odczuwał. Jego umysł był spokojny, ale za to okolica krocza mu prawie płonęła. Zaczął się rozglądać uważnie po polu i od razu zakochał się w pierwszej z brzegu młodej dziewczynie, która, co prawda, nie była piękną, ale z drugiej strony, nie była też brzydka. Może słowa "zakochał się" zabrzmiały zbyt górnolotnie, lepiej byłoby powiedzieć, że poczuł do niej silny zmysłowy pociąg.

Bardzo tym zdziwiony, opowiedział to Li Po, który był w wiosce kimś w rodzaju pośrednika do wszystkiego. Bazarz wysłuchał go z zadowoleniem, a następnie wyruszył w stronę wioski, aby dostarczyć mu potrzebnych informacji. Po jakimś czasie wrócił z dobrą nowiną dla Roylanda.

- Mój mistrz wybrał bardzo mądrze. Ta niewiasta, na której raczyły spocząć oczy mojego mistrza, nazywa się Vashti i jest córką Hari Bose, gorzelnika. Jest ona jego siódmym dzieckiem i w związku z tym nie należy spodziewać się zbyt dużego posagu. Dam cenę wywoławczą piętnaście baryłek ponczu, ale myślę, że stanie na siedmiu. Cała wioska mówi, że jest zręczna i bardzo pracowita, zarówno w polu, jak i w chacie. Obawiam się jednak, że ma ona pożałowania godny hinduski zwyczaj ciągłego przyrządzania curry, ale myślę, że tuzin porządnych kułaków przywoła ją do porządku i będzie przyrządzać tę potrawę tylko we właściwych momentach, to znaczy, gdy będą ją odwiedzać jej krewni.

Zgodnie ze zwyczajem przyjętym w wiosce, Vashti przybyła do chaty, którą Royland dzielił z Li Po. Bazarz musiał odwiedzić tej nocy przyjaciół, gdyż jego mistrz wyraził to zaskakujące życzenie. Takie pojęcie prywatności, które reprezentował Royland, było w wiosce zupełnie niezrozumiałe i nienaturalne. To, co robił w nocy, było przecież zupełnie w porządku, i nie obchodziło to w zasadzie Li Po. Dlaczego więc jego mistrz przywiązywał do tego tak wielką wagę?

To była bardzo dziwna noc, podczas której Royland nauczył się wszystkiego o narodowych zwyczajach hinduskich. Vashti odkryła, że jest on słaby od strony teoretycznej, lecz zupełnie nie narzekała. Gdy Royland się obudził, poczuł, że zaczyna ona coś robić przy jego stopach.

"Co to ma znaczyć?" - pomyślał i zapytał, o co chodzi.

Ona odpowiedziała mu usprawiedliwiająco:

- Mój czcigodny panie, przyszły mąż powinien mieć dużego czerwonego palucha. Jestem pobożną i staromodną kobietą.

Powiedziawszy to, zaczęła kontynuować malowanie na czerwono jego paznokci na obu paluchach. Gdy to skończyła, zaczęła się do nich modlić. Później przyszykowała śniadanie - curry, które było przepyszne. Patrzyła na Roylanda, jak je, a potem uniżenie wylizowała resztki z jego miski. Gdy podawała mu ubranie, zauważył, że zdążyła je już wyprać i wysuszyć. Następnie pomagała mu je założyć na siebie.

"To musi być przedstawienie, aby mnie kupić do małżeństwa - pomyślał Royland. - Ale przecież mnie nie trzeba do tego zmuszać, przecież sam tego chcę."

Jego zdziwienie nadal wzrastało, gdy zobaczył, że po ubraniu go bez chwili wytchnienia zabrała się do czyszczenia jego drewnianych grabi. W czasie pracy w polu nie omieszkał wypytać się, czy

tego typu postępowanie jest tylko na pokaz, aby uatrakcyjnić przyszłą żonę. Jakież było jego zdziwienie, gdy dowiedział się, że jest to zupełnie normalna usługa, którą kobieta winna świadczyć swojemu mężowi codziennie. Jeżeli natomiast zdarzy się, że się rozleniwi, to należy ją wtedy porządnie obić, i wszystko wróci do normy. Ale jak zaznaczyli jego rozmówcy, tego typu historie raczej należą do rzadkości i nie zdarzają się częściej niż raz na miesiąc. "W naszej wiosce są dobre dziewczyny" - dodał z dumą.

Wieśniacy z wioski Ugetsu mogli więc powiedzieć o sobie, że w pewnym sensie powodzi im się lepiej niż komuś innemu, chyba że ten inny jest prawdziwym bogaczem.

Był tym faktem tak zachwycony, iż nawet nie przyszło mu do głowy, że odnosi się to tylko do połowy mieszkańców osady.

Stał się również osobą religijną. Chodził do pracującego na godziny taoistowskiego kapłana, ponieważ tak wpływały na niego obyczaje jego współmieszkańca, Li Po. Opowiadał mu on o żółtym cesarzu, ponieważ chciał także usłyszeć o pięknej, lecz niegodziwej księżniczce Emeraldzie i innych postaciach, zaczął więc chodzić do kapłana Tao. I tak już zostało.

Kapłanem był uprzejmy starszy mężczyzna, który w ciągu dnia zajmował się naprawą narzędzi rolniczych. Podarował kilka pereł Roylandowi osłabionemu niedożywieniem i ciężką pracą umysłu. Pokazał mu, jak się medytuje. Edward szybko pojął naukę. Oddał się bez reszty samadhi, mającej około dwustu lat wschodniej wersji oświecenia przez samohipnozę. Powodowało to, że czuł cudowną wszechwiedzę i nie miał później kaca, jak po narkotykach. Pogardzał teraz swoimi kolegami ze szkoły średniej, którzy brali kurs z psychologii i nie wkładali w to ani cząstki swojej osobowości. Nie mieli nawet najmniejszego pojęcia o samohipnozie, której nauczył go miły starszy pan z wioski. Przez kilka następnych dni wpadł w manierę wojującej religijności i bez przerwy chciał rozmawiać z Li Po o Ośmiokrotnie Złożonej Drodze. Li Po natomiast bez przerwy starał się zmieniać temat.

Gdy został pozbawiony religii i miłości, było to dla niego prawie zabójcze przeżycie.

Siedzieli jak zwykle w chacie kapłana i słuchali kabały. Royland przebywał już w wiosce prawie miesiąc i wydawało mu się, że zostanie tu już do końca swoich dni. Niedługo miał odbyć się oficjalny ślub z Vashti. Wydawało mu się, że odkrył całą prawdę o świecie poprzez medytacje Tao. Dlaczego miałby szukać jakiejś odmiany? Taka odmiana wymagałaby mnóstwa energii, której on nie posiadał. Codziennie musiał odnawiać swoją witalność. Po pierwsze, była mu ona potrzebna na igraszki miłosne w nocy, no i oczywiście, musiał jej zachować wystarczająco dużo na całodzienną pracę w polu. Stał się biedakiem, nie stać go było na wysiłek zmierzający do odmiany swego losu.

Li Po rozpoczął właśnie bardzo interesujący fragment, gdzie żółty cesarz deklamuje gorąco:

- Więc ona ma umrzeć! Ktokolwiek ośmiela się naruszyć naszą boskość, będzie...

Nagle jakieś błyski pojawiły się nad skupionymi głowami. Spostrzegli, że jest to ręka samuraja w białym kimono, dzierzżąca latarkę. On sam wrzasnął poirytowany:

- Wstawać, błazny! Chcę zobaczyć wasze głupie mordy! Słyszałem, że jest jakiś szczególny człowiek w tej waszej świńskiej norze, którą ośmielacie się nazywać wioską.

Royland wiedział, że to właśnie o niego chodzi. Wstał i ze spuszczonego wzrokiem powiedział:

- Czy szlachetnemu panu chodzi o moją bezwartościową osobę?

- Ha! - wrzasnął samuraj. - To prawda! Co za duży nochal! Następnie cofnął się i wyszedł na zewnątrz. W lewej ręce trzymał pochwę, z której dobył długi zakrzywiony miecz. Wieśniacy pokornie wyszli z chaty.

Li Po wysunął się do przodu i powiedział uprzejmie:

- Jeśli urodzony w niebie chce zdjąć swoją łaskę ze swojego sługi, niech powie tylko słowo.

I to, co miało się stać, stało się. Samuraj jednym cięciem swojego miecza pozbawił go głowy. Li Po zwrócił swój dług niebu.

Korpus kabalarza stał przez chwilę, a potem sztywno upadł do przodu. Samuraj tymczasem przystanął nad zwłokami i zaczął czyścić ubrudzone krwią ostrze miecza.

Royland zapomniał wiele, lecz nie zapomniał wszystkiego. Rzucił się do przodu, schwycił samuraja nisko za nogi i przewrócił go. Przyglądali się temu rozproszeni wieśniacy. Nie było wątpliwości, że samuraj jest posiadaczem brązowego pasa w judo. Był jednak tak zaskoczony oporem wieśniaka, że nie zdążył nic zrobić. Do tego przyjechał tu sam jeden bez obstawy. Royland, zapomniawszy, że ma "duży paluch", kopnął samuraja prosto w twarz. Złamał sobie przy tym swój szponiasty i twardy paznokieć, który zgodnie z rytuałem nie był podcinany od miesiąca. Zauważył, że tym sposobem udało mu się pozbawić wojownika jego prawego oka. Po takim sukcesie walczył dalej niczym natchniony. Nie pozwolił samurajowi podźwignąć się z ziemi, pozbawił go drugiego oka. Samuraj zaczął skowyczeć i wzywać swoją matkę. Royland przez prawie pół godziny tłukł go i dźgał swoimi grabiami, aż tamten wyzionął ducha. Tymczasem zapadł zmrok.

Wszyscy wieśniacy uciekli. Podejrzewał, że są niedaleko i mu się przyglądają, pochowani w swoich domach, zaczął więc krzyczeć do nich łamiącym głosem:

- Przepraszam cię, Vashti! Wszystkich was przepraszam! Czy potraficie to zrozumieć? Słuchajcie! Wy nie żyjecie. To nie jest życie. Nie robicie nic wartościowego oprócz waszych dzieci. Nic nie zmieniacie. Nie dorósłejecie. Musicie nauczyć się czytać i pisać. Nie można przejść życia słuchając tylko dziecinnych opowieści o żółtym cesarzu. Wioska się przecież rozrasta. Niedługo wasze pola spotkają się z polami wioski Sakoshi na zachodzie, i co wtedy zrobicie? Nie będziecie nawet wiedzieć, kiedy z nimi zaczniecie walczyć. Religia! Nie! To, co wy robicie, jest tylko upijaniem się, aby zapomnieć o rzeczywistości. Czy myślicie, że dlatego, iż ciągle głodujecie, dostaniecie się prosto do sa-madhfi Wydaje się wam, że wszystko rozumiecie, Nieprawda! Musicie przystąpić do działania. Jeśli nie dorośniecie, to umrzecie wszyscy bez wyjątku.

Royland westchnął i po chwili kontynuował przemówienie:

- Kobiety. To jest złe, jak je traktujecie. To jest wygodne dla mężczyzn, ale to jest złe. Połowa z was jest niewolnikami. Czy to rozumiecie? Kobiety są także ludźmi, a wy traktujecie je jak zwierzęta i do tego przekonujecie je, że starość zaczyna się dla nich w wieku lat trzydziestu, aby móc je wyrzucić z domu i wziąć sobie młodsze. Na Boga! Czyż nigdy nie próbowaliście pomyśleć, co byście czuli, gdybyście byli na ich miejscu?

Royland mówił jak w transie.

- Hodowla, szlachetna hodowla, trzeba z tym skończyć. Jesteście skromnymi Azjatami. Nie, nie jesteście skromni. Jesteście zwariowanymi pijanymi żeglarzami, którzy nie wiedzą, dokąd płyną. Każda nowa gęba, która przybędzie w waszej hodowli, musi być żywiona przez ziemię, ale ziemia nie ciągnie się w nieskończoność.

Royland ściszył głos.

- Mam nadzieję, że przynajmniej niektórzy z was rozumieją, co mówiłem. Li Po zrozumiałby mnie, przynajmniej częściowo, ale on nie żyje.

Na twarzy Roylanda pojawił się smutek.

- Opuszczam waszą wioskę. Byliście dla mnie bardzo mili, a ja przysporzyłem" wam kłopotów.

Wybaczcie mi.

Zaczął powoli przeszukiwać samuraja i w końcu znalazł jego latarkę. Mając ją w ręce, przeszkął okolice wokół wioski i w końcu znalazł pojazd, którym przyjechał Japończyk. Włączył silnik i odjechał brudną wiejską drogą w stronę autostrady.

Royland jechał przez całą noc w kierunku na zachód. Jego wiedza na temat geografii południowej Kalifornii była dość powierzchowna. Miał nadzieję, że w ten sposób uda mu się dotrzeć do Los Angeles. Tam być może będzie miał jakieś szansę, roztopiwszy się w wielkiej aglomeracji miejskiej. Porzucił jakąkolwiek nadzieję, że uda mu się spotkać jakichś jego dawnych kolegów ze szkoły, na przykład Jimmy'ego Ichimurę. Oczywiście, wszystkich ich na pewno już dawno nie ma. Wojnę wygrali wojskowi politycy przez zupełnie nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Wzięli obecnie całą władzę w swoje ręce. Ito i jego banda - to oni decydują teraz o wszystkim. Przecież to fanatyczny feudalizm wygrał wojnę. Więc co? W związku z tym uważany jest za dobry ustrój. Więcej; im bardziej fanatyczny, tym lepszy. Dlaczego by nie? Proszę bardzo, wioski Sukoshi, Ugetsu, Ichi, Ni, Son, Shi stanowią część wasala Wielkiej Japonii, która to uprzednio kraina znana była pod nazwą Ameryki Północnej. Hoduje się tu wszystkich w dobrym starym feudalizmie i wpaja im się feudalną awersję do jakichkolwiek nowych myśli i zmian.

Pojedyncze światło jego pojazdu zaczęło się krzyżować ze światłami innych pojazdów na drodze. Porządna feudalna wioska jest przecież samowystarczalna.

A niech ich cholera weźmie z tą ich przesadną zyczliwością! To było miłe dopuścić się zdrady. Czuł się jak błazen w łódce, która zbliża się do wodospadu, a on mówi:

- No, uszy do góry! Wszystko będzie w porządku, jeśli tylko uda ci się zachować uśmiech na twarzy.

W jego pojeździe skończyła się benzyna. Już prawie świtało. Zepchnął wehikuł do rowu irygacyjnego i dalej zaczął iść piechotą. Gdy już się rozjaśniło, zobaczył przed sobą miasto, płaskie, o zapachu zła, składające się z domków z papieru z metalowymi ramami. Miasto, którego nazwy nie znał. Na szczęście nie mógł być rozpoznany jako biały, gdyż po pierwsze, nikt mu się specjalnie nie przyglądał, a po drugie, miesiąc pracy w polu uczyniły jego skórę brązową, a dieta składająca się wyłącznie z warzyw uczyniła go bardzo wymizеровanym.

To miasto było wręcz wytapetowane ludźmi. Wąskie ulice były pełne porozkładanych na nich dzieci, mężczyzn i kobiet. Dorośli przecierali zaspane oczy i odpluwali flegmę, która nagromadziła się w ich gardłach przez noc. Pośrodku ulicy płynął jeden wielki ściek, do którego ludzie ci załatwiali wszystkie swoje potrzeby fizjologiczne.

Porozumiewali się między sobą łamaną angielszczyzną.

Musi tu być coś więcej. To są najprawdopodobniej przedmieścia zamieszkałe przez najbardziej ubogich robotników. Musi tu być, do cholery, jakieś centrum, gdzie jest piękno, nauka i wiedza.

Maszerował tak całe przedpołudnie i nie udało mu się znaleźć niczego innego, jak obszar, który zobaczył przy wejściu do miasta. Ci ludzie w miastach zajmowali się tysiącem różnych rzeczy. Nie było tu fabryk, tylko rodzinne warsztaty, w których produkowano samochody (na pewno nie więcej niż kilka w roku), koszyki, gwoździe, buty i wszystko inne w prymitywnych, surowych warunkach.

"Tajemniczy Wschód zwyciężył raz jeszcze" - pomyślał gorzko. Hindusi, Chińczycy Japończycy zdobyli dla siebie mnóstwo wolnej przestrzeni, mogą więc ciągnąć swoje życie w sposób nieskomplikowany i przyjemny dla nich wszystkich. Wyobrażają falę, która powoli wylewa się z miast i wiosek i pokrywa coraz większe obszary lądu, aż go w końcu zapełni. Nad tym wszystkim

miała czuwać arystokracja, lecz oni hodując ich bez umiaru, utracili nad nimi kontrolę i tylko głód lub zaraza mogą powstrzymać to żywe morze przed zalaniem i zniszczeniem lądu.

Nagle wyrósł przed nim solidny budynek, wokół którego było nieco wolnej przestrzeni. Był to chyba jedyny taki budynek w mieście. Mógł z pewnością przetrwać trzęsienie ziemi. Royland zbliżył się do niego i przeczytał tabliczkę na jego froncie. To był Konsulat Niemiecki.

'Tak - powiedział do siebie - dam im tę bombę. Czemu nie? To, co tu jest naokoło, nie jest moje. A za bombę zażadam odpowiedniej zapłaty. Życie w komforcie i niezależności do końca moich dni. Dajmy im zniszczyć jeszcze jeden świat.'

I powoli zaczął wspinać się po schodach konsulatu. Przed drzwiami z namalowaną sfastyką stał umundurowany na czarno strażnik. Royland zaczął mówić do niego:

- Wenn die Lichtstarke der von einer Fläche kommenden Strahlung dem Cosinus des Winkels zwischen Strahlrichtung und Flächennormale proportional ist, so nennen wir die Fläche eine vollkommen streuende Fläche.

To było z Goethego. Pamiętał to dziwnym trafem ze szkoły. Były to jedyne niemieckie zdania, jakie znał. Postanowił użyć go, aby nie wzbudzić podejrzeń, a jednocześnie zainteresować strażnika na tyle swoją osobą, aby go od razu nie zrzucił jednym kopniakiem ze schodów.

Strażnik wysłuchał jego mowy w nabożnym skupieniu i powiedział:

- Nie mówię po niemiecku. Co to znaczy, wielmożny panie?

- Zaprowadź mnie do konsula - powiedział niedbale Royland.

- Tak jest, oczywiście, proszę pana. Pan jest agentem, oczywiście?

- Sicherheit, bitte! - w odpowiedzi krótko wyszczekał Royland.

- Tak jest! Proszę tędy.

Konsul był inteligentnym wyrozumiałym człowiekiem. Nieco był zdziwiony prawdziwą opowieścią Roylanda, ale starał się tego nie pokazywać po sobie.

- Rozumiem, rozumiem. No cóż, to rzeczywiście mogło tak być. Proszę mówić dalej.

Royland w końcu podsumował:

- Ci ludzie w kopalni siarki, mam nadzieję, że nie są zbyt reprezentatywni. Jeden z nich nawet narzekał, że ich praca jest rodzajem zesłania. To oczywiście uwaga na marginesie. Proszę pana o przysłanie mi prawdziwego fizyka, aby porozmawiał ze mną przez jakieś dwadzieścia minut. Pan, panie konsulu, na pewno mi nie odmówi. Mam informacje, które umożliwią państwu uzyskanie energii atomowej.

Royland dalej nie był w stanie wymówić słowa "bomba"; było to dla niego czymś w rodzaju ciosu poniżej pasa.

- To było bardzo interesujące, doktorze Royland - powiedział konsul uroczystym tonem. - Proponuje mi pan swoje przedsięwzięcie niczym grę. Zagram w to. Nie mam nic do stracenia, konfrontując pana rewelacje z opinią naszych naukowców. Nawet jeżeli okaże się, że jest pan tylko nawiedzonym wariatem, w sumie nie przyniesie mi to wielkiego wstydu. - Uśmiechał się miło do Edwarda. - Z drugiej strony, jeśli okaże się, że pan mówi prawdę, to będzie mój życiowy sukces. W porządku, wchodzę w to, doktorze. Czy nie miałby pan ochoty na mały posiłek?

Royland poczuł, że kamień spada mu z serca. Zjadł obiad w piwnicy w towarzystwie strażników konsulatu. Była to duża porcja, lecz smakowo nie było to najlepsze. Były to płucka w zawiesistym sosie i mnóstwo filiżanek kawy. Na koniec jeden ze strażników zapalił okropnie śmierdzące cygaro. Przez chwilę zaciągał się dymem, a następnie poczęstował Roylanda. Edward odmówił.

Gęsty dym spowił całe pomieszczenie. Royland z trudem powstrzymywał kaszel. Dym miał także swoje pozytywne strony: szybko zlikwidował tłusty posmak, jaki pozostał po płuckach w jego ustach. Royland popatrzył na strażników. To przecież byli mimo wszystko ludzie. Prze-selekcjonowani, sprawdzeni, pracowici i silni. Wydawało mu się, że mimo wszystko można ich zaliczyć do członków industrialnej kultury zachodu, której on sam był reprezentantem.

Po obiedzie został przewieziony na lotnisko. Samolot był nieco większy niż B-29 i zupełnie nie miał śmigieł. "To musi chyba być odrzutowiec" - pomyślał. Doktor Piqueron mówił mu o nich parę słów. Strażnik przekazał go sierżantowi Luftwaffe i powiedział uprzejmie:

- Szczęśliwego lądowania, kolego. Wszystkiego najlepszego.

- Dziękuję - odpowiedział sierżant. - Pamiętam was, kapralu Collins. Wy zawsze byliście bardzo pomocni.

Collins odwrócił się i odmaszerował.

Royland wspiął się po trapie do wnętrza samolotu, gdzie znajdowało się mnóstwo miseczkowatych foteli do siedzenia. Wiele z nich było już zajętych. Usiadł na pierwszym wolnym z brzegu. Jego sąsiad ubrany był w szmaty, a na twarzy miał blizny, które musiały być następstwem ciężkiego pobicia parę lat temu. Kiedy Royland obrócił się do niego, skulił się w swoim siedzeniu i zaczął szlochać.

Sierżant Luftwaffe wszedł do środka i zatrzasnął drzwi. Odrzutowiec zaczął startować, robiąc przy tym tak okropny hałas, że dalsza rozmowa stała się zupełnie niemożliwa. Podczas wznoszenia Royland starał się obejrzeć swoich towarzyszy podróży. Wszyscy oni wyglądali żałośnie.

"Boże, czy oni wszyscy stanowią także szybką przesyłkę lotniczą? Chyba tak."

Royland był jednak tak zmęczony, że nawet w takim niewygodnym fotelu usnął. Po dość długim czasie został obudzony przez sierżanta Luftwaffe, który potrząsał go za ramię i spytał:

- Nie ma schowanych kosztowności? Zegarków? Masz może świeżą wodę do sprzedania?

Royland nie miał nic ze sobą. Pokiwał przecząco głową i żołnierz odszedł, szczerząc zęby w uśmiechu. Są jednak pęknięcia w monolocie. Drobni oszuści powodują przecieki w oficjalnych statystykach dyktatury. Czynione są starania, aby ich wykryć i pozamykać, ale

oczywiście nigdy się to w pełni nie udaje. Przypomniało mu się, że kiedyś Mussolini ogłosił, iż teraz dzięki wprowadzonym przez niego porządkom pociągi odjeżdżają o czasie. Dla kawału powtórzył tę wiadomość na wykładzie języka angielskiego w Northwestern University. Wykładowca, profesor Bevana, chłodno poinformował go, że miał niezwykłą okazję obserwować pracę włoskich kolei, gdyż między 1931 a 1936 mieszkał we Włoszech. Dodał następnie, iż może pod przysięgą zaświadczyć, że pociągi nie przybywały o czasie oraz że rozkład jazdy Mussoliniego można potraktować w najlepszym razie jako zbiór pobożnych życzeń.

Inna myśl powoli zaczęła absorbować Roylanda, a była ona związana z pewnym bladym człowiekiem, o poranej bliznami twarzy, człowiekiem o nazwisku Bloom. Był młodym uciekinierem, zajmował się chemią fizyczną, pracował nad Projektem I. Wszyscy uważali go za nieszkodliwego wariata. Royland, który pracował nad Projektem III, widywał go nieczęsto i tylko kilka razy miał okazję z nim rozmawiać. Ten człowiek nie potrafił mówić o niczym innym niż o okropieństwach nazizmu. Opowiadał straszne historie o komorach gazowych i krematoriach, w które nikt będący przy zdrowych zmysłach nie wierzył. Mówił także niewiarygodne rzeczy o niemieckich lekarzach, którzy przeprowadzali na ludziach eksperymenty mające często fatalne następstwa. Kiedyś jeden z kolegów, znający się nieco na medycynie, postanowił zapędzić go w ślepy zaułek i

udowodnić mu kłamstwo. Zadał mu pytanie: "Co to były za doświadczenia?" Zaczął wtedy opowiadać, że kładziono do łóżka mężczyznę, który był zamrożony i nie żył, i próbowali go ożywić kładąc z nim razem nagą kobietę. Po tej opowieści wszyscy uznali, że był on nieco zboczony seksualnie i stąd to się wszystko brało. On natomiast kontynuował swoją opowieść, że były różne warianty tego eksperymentu; kobiety były tuż po stosunku seksualnym, godzinę po nim i tak dalej. Wszystkich ta opowieść napełniła dużym niesmakiem, opuścili więc jego towarzystwo.

Jednak to nie była ostatnia opowieść, jaką Bloom uraczył swoich kolegów. Opowiadał także o pewnej kobiecie, strażniczce obozu koncentracyjnego, która robiła klosze z tatuowanej ludzkiej skóry pobieranej z zabitych więźniów. Oczywiście, wszędzie można znaleźć ludzi,

którzy są zdolni do takich czynów, ale w żadnym reżymie nie zostaną podniesieni na szczyty władzy. To są tylko zdegenerowani sadyści, których ze względu na tępotę umysłową można używać do prostych prac nie wymagających myślenia.

Oczywiście, nie można chwalić swego wroga, ale po co fabrykować bezsensowne kłamstwa o nim? Tak, ten Bloom to był zręczny krętacz. Otrzymywał pisane w języku jidysz listy od przyjaciół i krewnych z Palestyny, którzy często byli uciekinierami z Europy, i z powodu doznanych krzywd bardzo tendencyjnie podchodzili do sprawy.

Przypomniawszy sobie, że raz miał okazję z nim porozmawiać w cztery oczy w kantynie. Gdy zobaczył go siedzącego przy stoliku i popijającego herbatę, starał się go ominąć, aby uniknąć z nim konwersacji. Bloom jednak złapał go swoją kościstą ręką i spojrzał mu prosto w oczy.

- Oni są okrutni. - Gdy to mówił, łzy płynęły mu z oczu. - To prawda, Royland. Nie dają swoim ofiarom prawa do płaczu, wymazują je z tego świata niczym przedmioty. Żydzi giną z ich rąk, nie mając nawet możliwości odprawienia przed śmiercią Kiddush ha Shem, Oszukują ich jak dzieci, mówią im, że jadą na farmy lub do obozów pracy. Potem każą im się rozebrać i oddać swoje ubrania niby to do dezynfekcji. Potem wprowadzają swoje ofiary do fikcyjnej łaźni, która w rzeczywistości jest komorą gazową. Gdy drzwi się zamykają, wpuszczają do środka trujący gaz. W ten sposób kilka śmierdzących bękartów zabija dziennie całe wagony ludzi.

Bloom, skończywszy swoją opowieść, puścił jego rękę i położył swoją głowę na stole, i objął ją rękoma. Royland był poruszony. Poklepał go po ramieniu, coś wymamrotał i zmieszany odszedł. Wydawało mu się, że tym razem mały neurotyczny człowiek mówił jednak prawdę. Ta historia była logiczna i bardzo prawdopodobna; mówić przestraszonym więźniom miłe wiadomości, a potem ich zabijać; marchewka, a potem kij.

Tak, wszyscy oni byli bardzo uprzejmi w tym konsulacie: miły strażnik przy drzwiach, wyrozumiały konsul, który uważnie wysłuchał jego opowieści i uznał ją za prawdopodobną; przyjacielski żołnierz, z którym jadł przy stole. U wszystkich ten cholerny spokojny optymizm. "Dziękuję, będę o panu pamiętał, kapralu Collins. Był pan bardzo pomocny" - przez głowę przeszedł mu dialog między sierżantem a kapralem. Przypomniało mu się, że kapral bardzo szybko odwrócił się po skończeniu rozmowy. Czyżby po to, aby ukryć uśmiech?

Strażnik kontynuował swoją pracę wzdłuż rzędu krzeseł. Zobaczywszy, że Royland na dobre już się obudził, zagadnął go ponownie.

- Zmieniłeś zamiary, kolego. Może masz jakiś dobry zegarek. Znajdę kawałek chleba dla ciebie. Tam, gdzie cię wiozą, nie będzie ci on potrzebny, kolego.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał zdumiony Edward. Strażnik odpowiedział mu spokojnie:

- W obozie pracy są wszędzie zegary, kolego. Wszyscy tam widzą, która jest obecnie godzina. Na

pewno nie będzie ci tam potrzebny zegarek. Zresztą i tak ci go zabiorą. - Po wypowiedzeniu tych słów strażnik wrócił do swej pracy.

Royland przesunął się po fotelach w stronę swojego sąsiada, który siedział naprzeciwko i złapał go za rękę tak, jak Bloom złapał kiedyś jego. W ciemności nie bardzo mógł dostrzec jego twarzy.

- Dlaczego się tu znalazłeś? - zapytał go. Sąsiad odpowiedział mu trzęsącym się głosem:

- Jestem Robotnikiem Numer Dwa, kapujesz? W porządku. Mój ojciec nauczył mnie czytać, kapujesz? Ale zrobił to dopiero, gdy miałem dziesięć lat. No, to ja przedstawiłem sobie, że to będzie taka rodzinna tradycja, no i nauczyłem także czytać mojego chłopaka, ponieważ to był miły i grzeczny dzieciak, kapujesz? Przedstawiłem to sobie, że będzie to dla niego taka sama przyjemność, jaką ja miałem. Nikomu nie uczyniło to krzywdy. Kto by się o tym dowiedział? Tylko ja bym wiedział i on. Lecz powinienem z tym poczekać kilka lat. Teraz to już wiem. Dzieciak był za młody i zaczął się chwalić, że umie czytać. No wiesz, jak to jest z dziećmi. A tak nawiasem mówiąc, to jestem z St. Louis i pracuję przy naprawie dróg, kapujesz? Wskoczyłem do pustej ciężarówki jadącej do San Diego, ponieważ bardzo się bałem. Możesz to chyba sobie wyobrazić.

Westchnął głęboko.

- Człowiek poczuł się spragniony. Wszedłem z ukrycia, dogadałem się z kilkoma Chińczykami. Nikt mnie nie niepokoił. Mogłem tam być całe wieki, ale niestety jeden Chińczyk zobaczył mnie, to chyba był glina i zabrał mnie do konsulatu, tak jak to się robi ze zbiegami, kapujesz? Tam mnie straszili. Wymawiali mi ciągle nielegalną naukę czytania i ucieczkę. Myślałem, że stłuką mnie na kwaśne jabłko lub co gorszego, ale oni dali mi tylko dwa lata obozu pracy. No i co ty na to?

Royland był zaskoczony. Tylko co go zaskoczyło? Samolot zaczął gwałtownie zwalniać i Edward poleciał do przodu. Ciekawe, w jaki sposób oni hamują te odrzutowce. Czy odwracany jest ciąg, czy też zwyczajnie zamyka się dyszę? Usłyszał pisk i trzask, jaki wytwarzają hydrauliczne układy podwozia. Następnie koła uderzyły o płytę lotniska. Jeszcze chwila, i samolot stał nieruchomo.

Sierżant Luftwaffe otworzył drzwi i wrzasnął przez nie:

- Przysuniesz tę cholerną rampę, co?

W świetle dobywającym się z otwartego luku wyglądał na wystraszonego. Tak nawiasem mówiąc, to musiał być on bardzo odważny, dając się zamknąć z setką kryminalistów i mając do obrony tylko ośmiostrzałowy pistolet i łańcuszek kłamstw.

Zostali wyprowadzeni z samolotu na pas startowy. Royland rozejrzał się i zidentyfikował ten obiekt jako Muncypalne Lotnisko Chicagowskie. Rząd budynków na wschodnim skraju lotniska wyglądał staro i zostawiono go w prawie nie zmienionym stanie. Tylko hangary były inne. Wyglądały jak nadmuchane gigantyczne plastikowe worki. Niezły pomysł. Za budynkami na pewno rozciągają się okropne zabudowania z czerwonej cegły, które stanowią przedmieścia Cicero w Illinois.

Sierżant Luftwaffe zaczął nimi komenderować.

- Uformować się, chłopcy! Tworzyć linię! Praca to wolność! No, brody do góry!

Przez chwilę trwało zamieszanie i pasażerowie samolotu utworzyli czwórkowe kolumny. Z administracyjnych budynków wyskoczyła kostyczna kobieta w stopniu majora. Była ubrana w błyszczące satynowe spodnie, na nogach miała białe wysokie buty. W rękę trzymała szpicrutę. Z okien budynku huknął głośny marsz. Jeszcze jedna niezła sztuczka.

- Pójdziecie po prostu za mną, chłopcy - powiedziała, przesyłając im uspokajający uśmiech, i dumnie zaczęła maszerować. Oni ruszyli za nią. Przy wyjściu z lotniska zmieniła się eskorta. Umundurowani na niebiesko żołnierze Luftwaffe opuścili ich, a na ich miejsce pojawił się tuzin

mężczyzn w czarnych mundurach i czapkach, na których otokach były trupie czaszki.

Maszerowali w takt muzyki, jakby przez nią zahipnotyzowani. Ruszyli w stronę Cicero. Muzyka powoli ich opuszczała w miarę, jak oddalali się od lotniska. Wkrótce zobaczyli Cicero. Musiało być okropnie zbombardowane, i nic nie zostało do tej pory odbudowane. W tym właśnie miejscu zamieszkiwała polska mniejszość. Niespodziewanie dla samego siebie Royland poczuł wyrzuty sumienia z tego powodu, że ich dzielnica i oni sami zniknęli. Przecież są niemieccy Niemcy, francuscy Niemcy, nawet włoscy Niemcy, ale nigdy nie słyszał o polskich Niemcach, tylko o podludziach rasy słowiańskiej.

Royland, bardzo już wystraszony, po dwóch godzinach marszu (kobieta major dalej ich prowadziła), spojrzał w stronę zniszczonego chodnika i nagle zobaczył coś absurdalnego. Wyglądało to niczym koszarne zamczysko złego czarownika. To był Chicago Parteihof. Znajdował się nad brzegiem jeziora Michigan i składał się z szesnastu oddzielnych bloków. Cały ten kompleks budynków rozciągał się na wschód od jeziora i był ze wszystkich stron otoczony przez ruiny zbombardowanego Chicago. Zbudowany był z betonu zbrojonego stalą i ukształtowany był tak, jakby to była kamieniarska robota budowniczych z czasów średniowiecza. Cały budynek otoczony był murem i zabezpieczony wieżami strażniczymi. Strażnicy z trupimi czaszkami spojrzeli na budowlę z dumą, więźniowie natomiast ze strachem. Royland był tak przerażony, że miał ochotę wybuchnąć dzikim niepowstrzymanym śmiechem. To było z jednej strony zabawne jak Herman Goering wykonujący taneczne ewolucje, a przy tym straszne niczym jego Luftwaffe.

Przed bramą przystanęli. Prowadząca ich kobieta wykrzyknęła kilka słów, następnie powiedziała "heil" i zaszalowała, po czym wprowadziła ich na dziedziniec i oddaliła się. Na pewno teraz zdejmuje swoje białe buty i chichocze się z naiwności swoich ofiar prowadzonych na rzeź.

Oficer w czapce z trupa czaszką wyszedł przed ich front i kazał im się ustawić w szeregu.

- Czeka na was gorąca kąpiel i zasłane łóżka, moi drodzy. Teraz nastąpi pierwsza selekcja. Na pewno niektórzy z was nie czują się najlepiej i powinni trafić na oddział szpitalny. Kto z was jest chory? Proszę podnieść rękę do góry!

Kilka rąk znalazło się w górze. Byli to starzy przygarbieni mężczyźni.

- W porządku. Proszę wystąpić pięć kroków do przodu!

Później przeszedł się wzdłuż szeregu, poklepując tego i owego po ramieniu, i pytał się zdrowych i chorych o różne rzeczy. Jeden był z jaskrą, inny miał okropne hemoroidy, które było widać przez jego wystrzępione spodnie. Gdy przechodził koło Roylanda, przyjrzał mu się uważnie.

- Jesteś przeraźliwie chudy, kolego. Czy masz bóle żołądka? Może wymiotujesz krwią? Albo masz smoliste stolce?

- Melduję, że nie - wyszczekał Royland.

Oficer zaśmiał się i ruszył dalej oglądać następnych więźniów. Gdy skończył swój obchód, większa niż na początku grupka więźniów przeznaczonych na oddział szpitalny odmaszerowała. Większość z nich cicho pochlipywała. Oni wiedzieli, co ich czeka. Wszyscy to wiedzieli, lecz udawali, że może to jednak się nie zdarzy. Było to o wiele bardziej skomplikowane, niż się wydawało Roylandowi uprzednio.

- Teraz - oficer zawiesił głos - potrzebujemy kilku kompetentnych ludzi, którzy potrafią pracować przy cemencie.

Szereg jakby oszalał; wszyscy rzucili się do przodu, napierając na oficera, ale żaden z nich nie przekroczył tej magicznej niewidocznej linii wokół niego.

- Ja! Ja! - wszyscy krzyczeli. - Mam bardzo zręczne ręce. Potrafię się szybko uczyć. Jestem także maszynistą. Jestem silny i młody. Potrafię się szybko uczyć.

Wysoki mężczyzna w średnim wieku, uniósłszy obie ręce w kierunku nieba, huczał:

- Robię zaprawę i umiem murować! Robię zaprawę i umiem murować!...

Royland został sam, przerażony. Oni wiedzieli, że jest to oferta realnej pracy, która na pewno utrzyma ich przy życiu przez jakiś czas.

Nagle dotarło to także i do niego, że tak właśnie trzeba żyć w świecie kłamstw.

Oficer stracił cierpliwość i żołnierze zaczęli okładać pejcami najbliższych stojących więźniów. Cofnęli się natychmiast do szeregu, niektórzy mieli pokrwawione twarze.

- Podnieść łapy, ale tylko ci, którzy znają się na murarce. Bez kłamstw!

Z tych, co podnieśli ręce, po krótkim przesłuchaniu wybrał pół tuzina. Jeden z żołnierzy zabrał ich z placu. Między nimi był ten mężczyzna, który krzyczał: "Robię zaprawę i umiem murować". Wyglądał na niesamowicie zadowolonego z siebie. Obdarzył resztę więźniów takim spojrzeniem, jakie bogacz rzuca głodującemu biedakom. Tak, tak. Trzeba się było uczyć, matyły.

- Teraz - powiedział oficer uroczyście - potrzebujemy kilku asystentów do pracy w laboratorium.

Martwa cisza zapadła w szeregu. Każdy z więźniów starał się skurczyć, aby zmniejszyć swoje rozmiary i przez to stać się mniej widzianym.

Royland samotnie podniósł rękę. Oficer popatrzył na niego ze zdumieniem, ale jego twarz szybko pokrył uprzejmy uśmiech.

- Świetnie - powiedział. - Wystąp, mój chłopcze, a ty - wskazał na człowieka stojącego obok - ty masz inteligentną twarz i wysokie czoło. Wyglądasz na człowieka, który nadaje się do delikatnej laboratoryjnej roboty. Wystąp!

- Proszę, nie! - mężczyzna błagał oficera. Padł na kolana i ręce złożył jak do modlitwy. - Proszę, nie!

Oficer wyciągnął znacząco swój pejcz. Człowiek jeszcze próbował czołgać się u jego stóp, ale gdy zobaczył, że oficer unosi pejcz do góry, szybko się podniósł i stanął koło Roylanda.

Kiedy znaleziono w podobny sposób jeszcze czterech, wszyscy oni odmaszerowali w kierunku jednej z tych absurdalnych wież. Weszli do niej i po spiralnych schodach dostali się do korytarza, którym przeszli, i dalej przez promenadę trafili do tunelu. Wyszli z niego na korytarz w elementarnej szkole z otwartymi drzwiami do pustych klas pełnych małych ławek dla uczniów. Stamtąd przeszli do oddziału szpitalnego, w którym ściany były podrobioną robotą kamieniarską i miały biały kolor. Podłoga była wyłożona kiepskiej jakości płytkami, na których były kwiaty i sosnowe gałązki, które przy sztucznym świetle fluoryzowały.

Przed drzwiami z napisem RASSENWISSENSCHAFT strażnik, który ich prowadził, otworzył drzwi i zobaczywszy człowieka w białym fartuchu, powiedział do niego:

- Życzył pan sobie demonstratora, doktorze Kalten. Proszę sobie któregoś z nich wybrać.

Doktor Kalten obejrzał ich wszystkich i wskazał na Roylanda. - Ten powinien być odpowiedni. Chodź no tu, kolego.

Laboratorium Nauki O Rasach doktora Kaltena było przyzwoicie wyposażone w sprzęt medyczny. Miało stół zabiegowy i zawile mapy ludzkich ras, uwzględniające ich anatomiczne, umysłowe i moralne własności. Znajdował się tam również diagram z kluczem frenologicznym, horoskop przypięty na ścianie i urządzenie składające się z błyszczących kryształów na spiralnie zwiniętym drucie. Urządzenie to Edward rozpoznał jako model formowania się planet Hansa

Hoerbigera, tak zwane Welteislehre.

- Usiądź tutaj - powiedział doktor pokazując stołek. - Najpierw muszę ustalić twój rodowód. Tak nawiasem mówiąc, przeznaczony jesteś do sekcji w czasie demonstracji na Nauce o Rasach III dla Szkoły Medycznej i stopień twojej współpracy określi, czy odbędzie się ona w znieczuleniu czy też bez niego. Czy to jest jasne?

- Jasne, doktorze.

- Dziwne; nie wpadł w panikę. Założę się, że znaleźliśmy proto-humitoidalnego półnordyka o stopniu co najmniej pięć, lecz idźmy do przodu. Nazwisko?

- Edward Royland!

- Urodzony?

- Drugiego lipca 1923 roku. Doktor cisnął swój ołówek na biurko.

- Czy moja wcześniejsza uwaga była niewystarczająca?! - wrzasnął. - Jeżeli dalej będziesz sprawiał kłopoty, to mogę cię odesłać do mojego dobrego kolegi, doktora Harzenbrennera. Naucza on technik przesłuchiwania w szkole gestapo. Czy to jasne?!

- Tak, doktorze. Przykro mi, ale jednak nie mogę cofnąć swojej odpowiedzi.

Doktor Kalten przybrał sarkastyczny ton.

- Jak wobec tego udało ci się utrzymać tak doskonały stan w stosunku do twojego wieku? Jeżeli nie umiesz liczyć, to informuję cię, że masz prawie sto osiemdziesiąt lat.

- Doktorze, mam dwadzieścia trzy lata i odbyłem podróż w czasie.

- Co pan powie?! - odparł wyraźnie rozbawiony Kalten. - Może zaznajomi mnie pan ze szczegółami pańskiej podróży.

Royland powiedział pewnym głosem:

- Został na mnie rzucony urok przez satanicznego żydowskiego maga. Wymagało to rytualnego morderstwa i wykrwawienia siedmiu pięknych nordyckich dziewczic.

Doktor Kalten gapił się na niego przez chwilę z niedowierzaniem. Później podniósł ołówek i powiedział uprzejmie:

- Może pan zrozumieć moje wątpliwości, które powstały w takich warunkach. Proszę mi wyjaśnić w sposób naukowy pana zaskakujące twierdzenie. No, śmiało. Proszę mówić.

Był nagrodą doktora Kaltena. Był jego skarbem. Jego szczególnym sposobem wysławiania się, jego niewytłumaczalnym brakiem numeru urodzin nad lewą brodawką sutkową. Miał jeden złoty ząb, co przecież było zupełnie niespotykane. Posiadał gruntowną wiedzę o starej Ameryce. Pochodził z roku 1944. I jeszcze coś ponadto. Nikt, ale to absolutnie nikt, nie miał w obecnych czasach pojęcia o żydowskich kabałach, golemach i tym podobnych.

Royland powiedział mu, że był studentem Nauki o Rasach u samego mistrza Wiliama D. Polly'ego, hałaśliwego kretyna, który zwykł objeżdżać kraj i wygłaszać antysemityczne odczyty, inspirowany przez Deutches Neues Buro. Doktor czytał o nim w części siódmej podręcznika do nauki o ludzkich rasach. Żydowscy fanatycy postanowili zacząć się na mistrza na pustej ulicy. Royland przekonał go do tego, aby zamienili swoje płaszcze i kapelusze. W ciemności wyglądał zupełnie jak on. Później, gdy zaciągnęli go do swojego ukrycia, został rozpoznany, lecz krew z siedmiu zabitych nordyckich dziewczic była utoczona i nie można jej było już dłużej trzymać. Fatum, które miało spaść na mistrza, spadło na ucznia.

Ten właśnie kawałek najbardziej spodobał się doktorowi Kaltenowi. Pokraśniał, gdy dowiedział się, że zemsta podludzi na ich wrogu w efekcie doprowadziła go do tego, że znalazł się w świecie,

który został z nich oczyszczony, gdzie nordycy mogą wreszcie oddychać swobodnie.

Kalten oczywiście dyskretnie przeprowadził konsultację z innymi specjalistami. Dermatolog ustalił, że nad jego lewą brodawką sutkową rzeczywiście nigdy nie było specjalnego numeru. Dentysta potwierdził wypełnienie zęba złotem. Jego wiadomości sprawdzili specjaliści od historii starej Ameryki. Po tygodniu stało się oczywiste dla Roylanda, że Kalten pragnie go zachować w tajemnicy do czasu wielkiego odsłonięcia, które prawdopodobnie miało przybrać formę wielkiego odczytu, gdy materiał zostanie w pełni opracowany. Ale Royland nie bardzo miał ochotę być odsłoniętym. Jego historia miała zbyt wiele luk. Zaczął więc mówić z wielkim zaangażowaniem o urokach Meksyku w czasie wiosny, o targach, kaktusach i grzybkach. Zasugerował Kaltenowi, iż jego prywatnym hobby jest botanika Meksyku i że byłby mu bardzo wdzięczny, gdyby umożliwił mu odbycie podróży w te strony. Ale on odpowiedział, że niestety jest to niemożliwe. Royland zaniepokoił się. Co może wyniknąć z tego, gdy zabiorą się za niego całą grupą nazistowscy naukowcy? Trudno ich będzie wszystkich oszukać, tak jak to udało mu się z Kaltenem. Postanowił dalej drażnić temat Meksyku. Zaczął opowiadać Kaltenowi o ludowej medycynie Indian. Ten słuchał bardzo uważnie. Zadumał się przez chwilę i powiedział:

- Nie możemy co prawda pojechać do Meksyku i zbadać tego osobiście, ale mogę cię zaprowadzić do profesora Albianiego na wydział botaniczny szkoły medycznej. Przedstawię cię jako swojego protegowanego, który pragnie poszerzyć swoją wiedzę.

Profesor Albiani był brodatym gnomem, takim, jakiego Edward widział kiedyś na okładce książki z sagami. Był zupełnie zwariowany na punkcie roślin używanych do leczenia. Zwykł mówić: "Matka Natura, ona jest szczodra! Chodząc po polu, młody człowieku, i umiając patrzeć, w ciągu godziny znajdziesz zioła, które zapobiegają poronieniu, powstrzymają gorączkę, wydłużą ci sen lub zapobiegają bólowi zębów".

- Czy macie tu halucynogenne meksykańskie grzybki? - zapytał.

- Nie wiem, może? - odpowiedział zaskoczony Albiani. Potem przejrzał całe Muzeum Botaniczne. Ślęczeli nad każdą gablotą z wysuszonymi roślinami. Z meksykańskich roślin o własnościach halucynogennych znaleźli peyote, korzenie, marihuanę, ziarna, łodygi, ale nigdzie nie było grzybów.

- Może są w magazynie - powiedział zmieszany Albiani.

Całą resztę dnia Royland myszkował po magazynie, gdzie próbki roślin czekały cierpliwie na swoją kolejkę w terminarzu rotacyjnym wystawy. W końcu przyszedł do Albianiego i obwieścił mu, że tam również ich nie znalazł. Zaintrygowało to brodacza. Przyniósł specjalną dużą księgę i dość długo wertował jej kartki.

- O tutaj! - powiedział Albiani, szczęśliwy, pokazując palcem na kolorową rycinę. Były na niej grzybki w formie dojrzałej, dorastającej i wreszcie zarodnikowej. Przeczytał: - "...miejsca ludność zabobonnie nazywała je »pożywieniem bogów«..."

- Dowcipna nazwa, co? - powiedział profesor.

- W porządku, profesorze, ale dalej nie ma ich pan w swoich zbiorach.

Zdenerwowało to profesora, który powiedział:

- Może są, gdzieś nie skatalogowane w piwnicy. Naprawdę nie mamy zbyt dużo miejsca, aby trzymać wszystkie rośliny. Mamy tylko co ciekawsze rzeczy.

Royland zapytał go, czy w związku z tym mógłby ewentualnie trochę pomyszkować po niej i przejrzeć te nie skatalogowane zbiory. Profesor przez chwilę zastanawiał się i powiedział, że zgadza

się na to. Gdy wyszedł na chwilę, Royland szybkim ruchem wydarł kartkę z książki profesora w miejscu, gdzie znajdowały się ryciny grzybków, i schował ją do kieszeni.

Tej nocy Kalten wyszedł z Roylandem na taras wieży, aby zapalić cygaro i porozmawiać w cztery oczy. Była właśnie pełnia. Światło księżyca pozwoliło odróżnić kontury domów Chicago. Mędrzec i jego uczeń oparli swoje łokcie o balustradę, która znajdowała się prawie siedemdziesiąt metrów nad jeziorem Michigan.

- Edwardzie - powiedział doktor Kalten - mam zamiar wygłosić mój odczyt przed audytorium Wydziału Nauki o Rasach chicagowskiej akademii.

Te słowa zabrzmiały bardzo podejrzanie. Musiało się coś niedobrego wydarzyć. Tylko bez paniki. Kalten kontynuował:

- Chcę, abyś był w bocznym pomieszczeniu sali wykładowej i abyś pojawił się na moje wezwanie, i odpowiedział na kilka moich pytań, i jeśli czas na to pozwoli, również na pytania moich słuchaczy.

- Czy nie da się tego odłożyć na później? - zapytał Royland.

- Nie ma takiej możliwości.

- Czy mógłbyś mi wyjaśnić powód twojego niezbyt przyjaznego tonu, doktorze? - zapytał Royland. - Wydaje mi się, że nie zasłużyłem sobie na niego. Była przecież między nami pełna współpraca i było zaufanie. Chciałem ci przecież otworzyć drogę do osiągnięcia nieśmiertelnej sławy w annałach nauki o rasach.

- Mówisz, że poszedłeś ze mną na pełną współpracę, co? Widzisz, Edwardzie, dzisiaj dopadła mnie bardzo straszna myśl. Zawsze wydawało mi się to zabawne, że celem ataku Żydów na Pully'ego było wysłanie go w przyszłość i że w taki infantylny sposób nie doszło to do skutku.

Wyjął coś małego z kieszeni. Nie ulegało to najmniejszej wątpliwości: Kalten celował w Roylanda małym damskim pistoletem.

- Dzisiaj zacząłem zastanawiać się nad tym poważnie. Dlaczego ci Żydzi tak postąpili? Dlaczego po prostu nie zamordowali go tak, jak to robili z tysiącami innych osób, które były im w jakiś sposób niewygodne, i nie spalili go w jednym ze swoich tajnych krematoriów. Potem mogli przecież wpłynąć na prasę, którą przecież całkowicie kontrolowali, aby nie ukazała się ani jedna wzmianka o jego zniknięciu. Sprawa byłaby wtedy czysta jak łąza. Teraz weźmy krew siedmiu nordyckich dziewczec. To nie była łatwa rzecz do zdobycia. Na obrazach oglądałem nordyków, którzy patrolowali swoje drogocenne enklawy człowieczeństwa. Oglądali oni uważnie każde indywiduum, które obok nich przechodziło. Ktokolwiek by miał jakiegokolwiek cechy podczłowieka, nie mógł się tam łatwo dostać, a już na pewno, kiedy zaczęły znikać kobiety w okolicy. Niemniej jednak to się stało. Twoja obecność to udowadnia. To musiało kosztować Żydów mnóstwo pieniędzy. Musieli przecież do tych porwań nordyckich dziewczec wynająć Słowian i Murzynów. Do tego wielu z nich na pewno zostało schwytanych przez strażę i przykładnie ukaranych, co w efekcie podnosiło cenę.

Kalten westchnął.

- Czyż nie jestem głosem wołającego na puszczy?! Tak, Edwardzie Royland, lub jakkolwiek brzmi twoje prawdziwe nazwisko. To żydowska arogancja przysłała ciebie tutaj. Najprawdopodobniej jesteś Żydem. Miałeś być czymś w rodzaju żydowskiego świata. Nieważne! Jutro odbędzie się publiczne przesłuchanie, które będzie prowadził mój przyjaciel Harzbrenner, o którym już chyba ci wspominałem. I jeżeli masz jakieś sekrety, to on sprawi, że dłużej nie będziesz ich trzymać w tajemnicy. Nie, nie próbuj zbliżyć się do mnie! Jeżeli zrobisz jakiś ruch, to wystrzelę

ci prosto w kolano.

Royland rzucił się jednak w kierunku Kaltena. Padł strzał. Royland poczuł ogień w lewej łydce, ale udało mu się chwycić Kaltena. Przerzucił go przez poręcz i usłyszał zawodzenie człowieka, który w przyspieszonym tempie przebył siedemdziesiąt metrów w dół do jeziora. Ból w łydce był wprost nie do wytrzymania. Royland zastanawiał się, czy nie ma naruszonej kości piszczelowej. Krwawienie było jednakże małe. Nie musiał obawiać się, że strzały i krzyki kogoś zaalarmują. To były częste odgłosy w oddziale szpitalnym. Zaczął się powoli przesuwać do kwatery Kaltena, ciągnąc za sobą zranioną nogę.

Gdy tam już dotarł, wdrapał się na krzesło i okręcił sobie nogę serwetą ze stołu. Zadzwoił po służącego i powiedział mu bardzo spokojnie:

- Idź do magazynu medycznego i przynieś opaski uciskowe i parę puszek opatrunków. Kalten ma pewien pomysł i chciałby nad nim popracować.

Powinien poprosić o ampułki z morfiną. Chociaż nie; to nie byłby dobry pomysł. Po morfinie mógłby być nieco splątany lub nawet usnąć.

Kiedy służący wrócił, Royland podziękował mu i odesłał go na nocny spoczynek.

Gdy zdejmował swój lewy but, to zobaczył wszystkie gwiazdy, następnie rozciął nogawkę spodni. Opatrunki pojawiły się we właściwym momencie. Rana zaczęła poważnie krwawić. Opaska uciskowa wydała się zatamować krwawienie. Royland zacisnął ją bardzo mocno.

Stopniowo zaczął czuć, jak drętwieje mu lewa noga. Dobrze. Co prawda, takie uciśnięcie może spowodować uszkodzenie nerwu lub nawet martwicę całej nogi, ale czy człowiek, którego życie wisi na włosku, będzie o to dbał?

Spróbował, czy będzie mógł maszerować w tym stanie. Nie było to łatwe, ale stwierdził, że opierając się na poręczy, powinien dać radę zejść do piwnicy.

W czasie drogi w dół przeklinał każdy stopień schodów z osobna. Ostatnie kilka stopni przebył w przyspieszonym tempie. Gruchnął o podłogę niczym worek z kartoflami. Zobaczył nad sobą około tuzina pijanych esesmanów. Ukryli się tutaj przed czujnym okiem przełożonych, aby napić się małe co nieco i zagrać w grę o nazwie "Zakręć kaprała". Gdy go zobaczyli, leżącego na ziemi z obandażowaną nogą, zaczęli go żałować, gdyż pomyśleli, że jest jednym z lekarzy z oddziału szpitalnego. Spytali się go, dokąd się wybiera. Odpowiedział, że do magazynu botanicznego. Następnie zdumionego Roylanda wzięli na swoje ręce i ponieśli prawie dwa kilometry korytarzem do miejsca, gdzie pragnął się dostać. Na miejscu odstrzelili kłódkę, aby mógł bez problemów dostać się do środka. Gdy go opuszczali, prosili, aby w razie potrzeby dał znać do kompanii K, gdyż tam są najlepsze chłopaki w całym Chicago. Mówili mu też, że jest u nich niejaki Bruno, który potrafi urwać rękę obibokowi tylko przy pomocy swoich niedźwiedzich łap. Nawet posunęli się do tego, że zaproponowali mu żywą demonstrację w wykonaniu owego Brunona, tylko muszą go, niestety, obudzić.

Royland podziękował im uprzejmie i powiedział, że chętnie zobaczy wyczyny sławnego Brunona, ale może innym razem, gdyż teraz ma bardzo pilną robotę. W końcu udało mu się ich pozbyć. Zapalił światło w magazynie i zaczął szperać po skrzynkach i przesyłkach. Po pewnym czasie, który trwał dla niego całe wieki, znalazł skrzynię na której było napisane, że jest to przesyłka z Jaliasca. Zaczął walić nią o podłogę, aż rozleciała się na kawałki. Zaczął nerwowo przeglądać przezroczyście plastikowe koperty. W jednej z nich zobaczył czarne pomarszczone kawałki grzybów. Nie porównywał jej z ryciną, którą miał w kieszeni, tylko szybko połknął jej zawartość.

Może do tego potrzebny jest śpiew i taniec Hopi, a może nie? Może wystarczy tylko być odprężonym i spokojnym? Może należy dziko się skupić na celu swojej podróży? Ostatni raz nienawidził bomby. No, cóż, chciałeś mieć świat bez bomby, no to go masz!

Zaczął czuć, że język powoli staje mu kołkiem w ustach. Ogniste kule zaczęły krążyć coraz szybciej i szybciej dookoła niego...

Charles Miller Nahataspe szeptał:

- Otwórz oczy, no, zrób to. Cholernie mnie wystraszyłeś.

Royland leżał na podłodze chaty. Jego noga nie była obandażowana ani zraniona, lecz mimo to okropnie go bolała. Czuł też, że bolą go wszystkie żebra.

- Wciągnąłeś mnie tutaj? - wyszeptał.

- Tak, musiałem to zrobić.

- Byłem tam. Boże, daj mi pospać.

Przekręcił się na bok i w mgnieniu oka usnął. Kiedy w końcu się obudził, nadal było ciemno. Nic go już nie bolało. Nahataspe miękko nucił uzdrawiającą piosenkę. Kiedy zobaczył, że Edward otwiera oczy, przestał nucić.

- Czy teraz już wiesz, co to jest lek niszczący niebo?

- O tak, lepiej niż ktokolwiek inny. Która teraz godzina?

- Północ.

- Muszę już uciekać.

Spojrzeni sobie w oczy i Edward uśmiechnął się.

Jeep gładko odpalił. Szybko przejechał drogę prowadzącą do osady i ruszył jezdnią w stronę koszar. Nie będzie czekał do rana, przecież zabłąkany meteoryt lub skorpion mógłby go zabić. Pójdzie prosto do Rotschmidta i obudzi go, aby mu powiedzieć o fazie 56c, że mają bombę.

Mamy coś dla Japończyków, coś, co może ich zmusić do poddania się, co zmusi ich do poddania się.

Rotschmidt na pewno będzie filozofował:

- Czy my zawsze postępujemy rozważnie? Czy potrafimy przewidzieć konsekwencje naszych decyzji?

A Royland przerwie mu krótko:

- Tak, tym razem rzeczywiście możemy.

Tłumaczył Andrzej Wieczorek

Wielkie frontowe podwórze

(The Big Front Yard) Clifford D. Simak
(1904 - 1988)

Clifford Simak zmarł w 1988 roku.

Czasami zapominamy, jak niedawno powstał gatunek science-fiction. Pierwszy magazyn "Amazing Stories" ukazał się w 1926. Oznacza to, że pokaźna (lecz zmniejszająca się) liczba czytelników i pisarzy pierwszego pokolenia nadal żyje i tworzy.

Większość pisarzy tej generacji nie zamieniłaby ani czasów, ani obszaru twórczości na współczesność i ci po prostu są już dzisiaj zapomnieni. Cliff Simak był wyjątkiem. Pierwsze opowiadanie "The world of the Red Sun" opublikował w roku 1931 i pisał później ponad pół wieku. Ostatnią nagrodą literacką, którą zdobył, była Nagroda Nebuli w 1980 roku. "The Science Fiction Writers of America" uhonorowali go przyznając mu Grand Master Nebula w 1978.

Jest najprawdopodobniej bardziej znany dzięki opowiadaniom, które wydał w zbiorze City (1952). "Desertion" (1944) uważane jest za jedno z najlepiej napisanych, choć w czasie swojej długiej kariery powstała znaczna liczba wspaniałych utworów.

Był człowiekiem o czystych zasadach moralnych, które znalazły wyraz w jego twórczości. Z pewnością będzie go nam brakować.

(Martin H. Greenberg)

Niemożliwe jest patrzenie w przyszłość bez oglądania się do tyłu i nasze widzenie przyszłości z całą pewnością wpływa z doświadczeń przeszłości.

Podczas Wieku Odkryć, który zaczął się we wczesnych latach XIV stulecia, Europejczycy posyłali swoje okręty do portów na innych kontynentach. Było to równoznaczne z handlem wymiennym. Właściwie każdy korzysta z tego typu handlu, pod warunkiem, że jedna ze stron nie jest na tyle potężna, by kraść i zniewalać raczej, niż handlować.

Czasem handel ma i swoje złe strony. Indianie amerykańscy zarazili się ospą od Europejczyków, ale w zamian za to dali im tytoń. W efekcie Europejczykom dostało się to gorsze, ospa została zwalczona, lecz palenie tytoniu przetrwało do dziś. Liczba osób umierających co roku z powodu palenia tytoniu, zarówno tych, którzy sami palili, jak i tych, którzy nigdy nie palili, lecz przebywali w towarzystwie palaczy, jest ogromna.

Zastanawiające, jakie problemy mogą przynieść pozaziemskie podarki. Przypuśćmy, że mógłbyś zbudować dom z niezniszczalnego materiału, odpornego na pogodę i wszelkie inne uszkodzenia, dom, który z natury swej trwa wiecznie. Jak pozbyłbyś się takiej budowli, gdybyś już miał jej dość? Skąd czerpałbyś radość zmienności mody, stylu, smaku oraz uroku nowości? Nieśmiertelność, która powoduje niezmiennosc, jest zbyt wysoką ceną.

Hiram Taine obudził się i usiadł. Towser szczekał i drapał podłogę. - Zamknij się - powiedział Taine do psa.

Towser na chwilę nastawił figlarnie uszy i znowu zaczął szczekać i drapać.

Hiram przetarł oczy. Przeczesał ręką zmierzwiłone włosy. Miał ochotę położyć się z powrotem i przykryć kołdrą, lecz szczekanie przeszkadzało mu.

- Swoją drogą, o co ci chodzi? - spytał zdenerwowany.

"Hau" - zaszczekał Towser w odpowiedzi i nada! drapał podłogę.

- Jeśli chcesz wyjść, otwórz sobie drzwi. Wiesz, jak to się robi.

Towser przestał szczekać i ciężko siadł. Obserwował, jak jego pan wychodzi z łóżka. Po chwili znów pobiegł do kąta, włożył nos w szczelinę podłogi i zaczął węszyć.

- Złapałeś mysz?

"Hau" - głośniejsze zaszczekał pies.

- Nie pamiętam, byś kiedykolwiek robił taki raban z powodu myszy - dodał zdenerwowany Taine. - Musisz być niespełna rozumu.

Był piękny, słoneczny letni poranek. Promienie wpadały przez otwarte okno.

"Dobry dzień, by pójść na ryby" - powiedział do siebie Hiram. Nagle przypomniał sobie, że nie będzie żadnego wędkowania. Musi przecież wyjechać i zobaczyć to stare klonowe łóże z baldachimem, które mają Woodmanowie. Bardziej niż pewne, że będą chcieli dwa razy więcej niż jest warte. "Tak to już jest - pomyślał. - Człowiek nie może uczciwie zarobić dolara. Każdy jest cwany, gdy chodzi o antyki."

Wstał z łóżka i poszedł do saloniku.

- Chodź - powiedział do Towsera.

Pies podszedł, zatrzymał się na chwilę i znowu zaczął węszyć i szczekać.

- Pogorszyło ci się? - powiedział Taine.

"Może to szczur - pomyślał. - Dom się zestarzał." Otworzył drzwi i Towser wybiegł na dwór.

- Zostaw lepiej tego świstaka - poradził zwierzęciu. - To gra niewarta świeczki. Nigdy go nie wykopiesz.

Towser pobiegł za róg domu.

Taine zauważył, że coś się stało z wywieszką na słupie obok drogi dojazdowej. Jeden łańcuch odhaczył się i napis dyndał na wietrze.

Przeszedł po kamiennych płytkach dróżki koło domu, przez trawę wilgotną jeszcze od rosy i poprawił wywieszkę. Nic takiego się nie stało, po prostu odhaczony łańcuch. "Mógł to zrobić wiatr lub jakiś przechodzący urwis" - pomyślał. Nie bardzo jednak wierzył, by któryś chłopak zniszczył napis. Żył dobrze z dziećmi. Nigdy nie przeszkadzały mu, tak jak innym w miasteczku. Na przykład bankierowi Stevensonowi.

Cofnął się, by sprawdzić, czy równo zamocował wywieszkę. Dużymi literami było napisane:

"NAPRAWY"

Niżej mniejszymi:

"Naprawiam wszystko"

Na dole zaś:

"Sprzedaż antyków"

"Może powinienem zainstalować dwa napisy? Jeden o warsztacie, a drugi o antykach i handlu. Pewnego dnia, kiedy będę miał czas, namaluję je i umieszczę po obu stronach podjazdu. Wyglądałoby to porządnie."

Obrócił się i spojrział na las Turnera. "Piękny widok - pomyślał.-Duży las, taki jak ten na obrzeżach miasta. Dobre miejsce dla ptaków, królików, świstaków i wiewiórek, pełne fortów zbudowanych przez pokolenia chłopców z Willow Bend."

Pewnego dnia jakiś sprytny człowiek wykupi teren i zacznie budowlany interes lub coś równie niepożądanego.

A kiedy już to się zdarzy, jego lata chłopięce zostaną wymazane z życia.

Towser przybiegł zza domu z czujnie nastawionymi uszami.

- Ten pies jest skończonym tumanem - powiedział Taine i klapiąc gołymi stopami o podłogę, wszedł do mieszkania. Napełnił czajnik, postawił go na kuchence i włączył palnik.

Przekręcił gałkę radia.

Kiedy nie usłyszał żadnego dźwięku, przypomniał sobie, że jest zepsute. Zdenerwowany, trzasnął wyłącznikiem. "Tak to jest - pomyślał. -Naprawiam sprzęt innym, ale nigdy nie znajduję czasu, by naprawić własny."

Poszedł do sypialni i nałożył buty. Posłał łóżko. Wrócił do kuchni. Kuchenka też się zepsuła. Palnik pod czajnikiem był ciągle zimny. Zdenerwowany, kopnął w kuchenkę. Zdjął czajnik i trzymał dłoń nad palnikiem. Po kilku sekundach odczuł ciepło.

- Znowu działa - powiedział do siebie.

Wiedział, że pewnego dnia kopanie nie przyniesie efektów. Wtedy będzie się musiał zebrać i naprawić ją. Prawdopodobnie to tylko poluzowane połączenie styków.

Postawił czajnik z powrotem.

Jakiś klekot dochodził sprzed domu i Taine wyszedł sprawdzić, co się dzieje.

Beasly, posługujący u Hortonów w charakterze parobka, ogrodnika i szofera, cofał rozklekotaną ciężarówkę na podjeździe. Obok niego siedziała Abbie Horton, żona Henry'ego Hortona, najważniejszego obywatela miasteczka. W tyle ciężarówki, przymocowany sznurami i częściowo zabezpieczony jaskrawoczerwoną kołdrą, stał olbrzymi telewizor. Taine rozpoznał go. Miał dobrych dziesięć lat i był najdroższym odbiornikiem telewizyjnym, który zaszczycił dom w Willow Bend.

Abbie wyskoczyła z ciężarówki. Była energiczną, apodyktyczną, wiecznie zaaferowaną kobietą.

- Dzień dobry, Hiram - powiedziała. - Możesz znowu naprawić ten telewizor?

- Nigdy nie mówię, że czegoś nie naprawię.

Spojrzał jednak z pewną konsternacją na odbiornik. Nie pierwszy raz miał z nim do czynienia i wiedział, co go czeka.

- Może cię to kosztować więcej, niż jest wart - ostrzegł ją. - Musisz kupić nowy. Ten zestarzał się i...

- Tak właśnie mówi Henry - powiedziała opryskliwie Abbie. - Henry chce kupić jeden z tych kolorowych telewizorów, ale ja nie będę w tym uczestniczyła. To żaden telewizor, jak wiesz. Kombinacja radia i adapteru, a obudowa i styl są odpowiednie do innych mebli niż moje, poza tym...

- Tak, wiem - przerwał Taine, który nieraz to słyszał.

"Biedny stary Henry - pomyślał. - Co za życie musi prowadzić. Zwierzchnik w fabryce komputerów cały dzień dyryguje innymi. Gdy wraca do domu, dostaje się pod pantofel żony."

- Beasly - powiedziała Abbie rozkazującym tonem. - Wejdz do góry i rozwiąż go.

- Tak, proszę pani - odpowiedział krótko Beasly. Był rozlazły i nie wyglądał na bystrego.

- Uważaj, żebyś go nie zadrapał. - Tak, proszę pani.

- Pomogę ci - zaofiarował się Taine.

We dwóch wdrapali się na ciężarówkę i zaczęli rozwiązywać stare brzydactwo.

- Ciężki - ostrzegła Abbie. - Obydwaj uważajcie.

- Tak proszę pani.

Telewizor rzeczywiście był ciężki i niewygodny do transportu, ale Beasly i Taine dotaszczyli go na tył domu do sutereny. Za nim podążała Abbie, gotowa podnieść larum z powodu najmniejszego zadrapania.

Sutereana była kombinacją warsztatu i miejscem wystawowym dla antyków. Jedna jej część, wypełniona blatami do majsterkowania, narzędziami, maszynami, pudłami pełnymi rupieci oraz stosami walającego się wszędzie żelastwa, a druga mieściła kolekcję rozklekotanych krzeseł, obwisłych baldachimów, starodawnych szyfonierek, komód, starych wiader na węgiel pomalowanych na złoto, ciężkich żelaznych ekranów kominkowych i mnóstwo innych sprzętów, które zbierał od dawna, płacąc za nie możliwie najniższą cenę.

Postawili ostrożnie telewizor na podłodze. Abbie obserwowała ich bacznie ze schodów.

- Dlaczego, Hiram - powiedziała podekscytowana - położyłeś nowy sufit w suterenie?

- O co chodzi? - spytał Taine.

- Sufit. Powiedziałam, że położyłeś sufit.

Taine gwałtownie podniósł głowę. Mówiła prawdę. Nad nim znajdował się sufit, lecz on nigdy go tam nie instalował.

Przełknął ślinę i znowu szybko podniósł głowę, by spojrzeć. Sufit ciągle był.

- Nie jest kamienny - powiedziała Abbie ze szczerym podziwem. - W ogóle nie widać połączeń. Jak ci się to udało?

Taine znowu przełknął ślinę i powoli odzyskał głos.

- Coś wymyśliłem - odpowiedział cicho.

- Musisz przyjść i to samo zrobić w naszej suterenie. Beasly, co prawda, ułożył sufit w sypialni, lecz to niedołęga.

- Tak, proszę pani - powiedział skruszony Beasly.

- Kiedy będę miał czas... - rzucił Taine, gotowy obiecać wszystko, byleby tylko wyszli.

- Miałbyś o wiele więcej czasu - powiedziała cierpko Abbie - gdybyś nie wałęsał się po okolicy i nie skupował starych, zepsutych mebli, które nazywasz "antykami". Może potrafisz oszukać mieszczuchów, którzy tu do ciebie przyjeżdżają, ale nie mnie.

- Jakoś robię forszę, pozbywając się tego. - I tracisz, by kupić inne rupiecie.

- Mam trochę starej porcelany. Jest w tym stylu, który lubisz i którego poszukujesz. Wpadnij na dzień lub dwa. Dokonasz udanego zakupu. Sprzedam ci za niewielką sumę.

- Nie jestem zainteresowana - powiedziała, zaciskając usta. Rozejrzała się dookoła i wyszła.

- Ma dziś niedobry dzień - powiedział Beasly do Taine'a. - To nie zapowiada nic dobrego. Tak zawsze jest, gdy wstanie za wcześnie.

- Nie zwracaj na nią uwagi - poradził Taine.

- Próbuje, ale nie jest to łatwe. Na pewno nie potrzebujesz pracownika? Niewiele bym wziął.
- Przykro mi. Ale wiesz co, wpadnij pewnego dnia, wcześniej wieczorem; pogramy w warcaby.
- Przyjdę, Hiram. Jesteś jedynym, który mnie zaprosił. Wszyscy inni śmieją się ze mnie lub krzyczą.

- Beasly, idziesz? Nie stercz tam cały dzień. Trzeba wytrześć dywany - dobiegł z góry głos Abbie.

- Tak, proszę pani - odpowiedział wchodząc po schodach.

Już z ciężarówki Abbie z determinacją zwróciła się do Taine'a:

- Naprawisz telewizor? Będzie mi go brakować.

- Natychmiast.

Taine stał i obserwował, jak odjeżdżali. Rozglądał się za Towserem, lecz pies zniknął. Pewnie znowu czatował przy norze świstaka, w tym lesie za drogą. "Pobiegł bez śniadania" - pomyślał Taine.

Woda w czajniku wrzała, kiedy wrócił do kuchni. Wsypał kawę do ekspresu i zalał wrzątkiem. Później zszedł na dół. Sufit ciągle był. Zapalił wszystkie światła i krążył po suterenie. Spojrzał w górę. Obserwował sufit. Był zrobiony z oślepiająco białego materiału i wyglądał na pół przezroczysty. Zdawało się, że można wejrzeć do środka. Bez żadnych śladów spoiny, dokładnie dopasowany przylegał do rur kanalizacyjnych i lamp sufitowych.

Taine stanął na krzesło i gwałtownie zastukał w sufit pięścią. Rozległ się dźwięk podobny do dzwonu, prawie dokładnie taki, jaki wydaje delikatny kielich z cienkiego szkła, gdy zastuka się w niego paznokciami.

Taine zszedł z krzesła. Stał i potrząsał głową. Cała rzecz była poza jego możliwościami odbioru. W poprzedni wieczór reperował kosiarkę bankiera Stevensona, ale sufitu wtedy nie było.

Poszperał w pudle i znalazł wiertarkę. Wygrzebał jedno z najmniejszych wiertel i zamocował w uchwycie. Wcisnął wtyczkę do kontaktu i znowu wspiał się na krzesło. Próbował wiercić w suficie. Wirujące wiertło ślizgało się po powierzchni i nie zostawiało śladu zadrapania. Wyłączył wiertarkę i dokładnie oglądał sufit. Żadnego śladu. Spróbował jeszcze raz. Z całych sił dociskał wiertarkę. Wiertło z trzaskiem złamało się, jego końcówka przeleciała przez suterene i uderzyła o ścianę.

Taine zszedł z krzesła. Odnalazł inne wiertło, umocował w wiertarce i wolno szedł po schodach. Usiłował myśleć, lecz był zbyt dezorientowany, by się skupić. Sufit nie powinien tam być, a był.

W salonie odwinął róg wypłowiałego i zniszczonego dywanu. Włączył wiertarkę. Uklęknął i zabrał się do wiercenia w podłodze. Wiertło gładko przeszło przez starą dębową podłogę i zatrzymało się. Dodał więcej siły, lecz kręciło się bezskutecznie. Nie przypuszczał, że natrafi na coś innego niż drewno, coś, co mogłoby zatrzymać wiertarkę. Kiedy już wiertło przeszło przez podłogę, powinno wpaść w przestrzeń między legarkami.

Wyłączył wiertarkę i odłożył na bok. Poszedł do kuchni. Kawa była już gotowa. Zanim ją nalał, przeszukał szufladę komody i znalazł wąską, ołówkową latarkę. Wrócił do pokoju, zaśwycił nią w otwór, który wywiercił.

Na dnie znajdowało się coś błyszczącego.

W kuchni znalazł jakieś stare paczki i nalał sobie filiżankę kawy. Siedział przy stole i zastanawiał się, co robić. Nie miał żadnego pomysłu. Mógłby stawiać sobie pytania cały dzień, próbując ustalić, co się wydarzyło w suterenie, i prawdopodobnie nie wiedziałby więcej niż teraz.

Jego jankeska dusza buntowała się przeciwko tak nieznośnemu marnowaniu czasu.

"Gdzieś jest to klonowe łóżko z baldachimem, które powinienem zabrać, nim jakiś pozbawiony zasad miejski kupiec antyków sprzątnie mi je sprzed nosa. Taki kasek jak ten, jeśliby człowiek miał szczęście, powinien sprzedać za przyzwoitą sumkę. Mógłby być niezły zysk, gdybym tylko popracował nad tym. Może powinienem zająć się handlem wymiennym. Jest przecież ten telewizor, który ostatniej zimy wzięłem za parę butów z łyżwami. Możliwe, że ci wieśniacy, Woodmanowie, byliby szczęśliwi, gdyby zamienili łóżko na odremontowany telewizor nowej marki. Poza tym najprawdopodobniej nie używali tego łóżka i spodziewam się tego; nie mają pojęcia o jego wartości."

Zjadł pośpiesznie pączki i wypił dodatkową filiżankę kawy. Napełnił miszkę Towsera resztkami i wystawił ją na zewnątrz, przed domem. Zszedł do sutereny, wyjął telewizor i umieścił go na ciężarówce. Po namyśle dorzucił wyremontowaną strzelbę, która byłaby doskonała, gdyby człowiek obchodził się z nią ostrożnie i nie używał nabojów dalekiego zasięgu, dodał jeszcze kilka rupieci, które mogły się przydać na wymianę.

Wrócił późno. Cały dzień był zapracowany, ale nie bez efektu. Nie tylko miał łóżko z baldachimem, ale również bujany fotel, paczkę starych czasopism, starodawną beczkę na mleko, szyfonierkę z orzecha włoskiego i portret gubernatora Whintropa. Ów portret jakiś niedoświadczony radosny twórca pokrył jasnozieloną farbą. Taine stracił telewizor, strzelbę i pięć dolarów. Radował się myślą, że prawdopodobnie rodzina Woodmanów umiera w tej chwili ze śmiechu, że tak udało się im naciągnąć go. Poczł się trochę zawstydzony; byli takimi przyjaznymi ludźmi. Potraktowali go miło, zaprosili na obiad i oprowadzili po farmie. Mówili nawet, by wstąpił, gdy kiedyś będzie przejeżdżał tą drogą.

"Straciłem cały dzień u nich, ale warto było. To dobrze, że uznali mnie za człowieka, który cierpi na rozmiękczenie mózgu i nie zna wartości dolara. Może pewnego dnia zrobię więcej interesów w sąsiedztwie."

Usłyszał włączony telewizor, gdy otworzył tylne drzwi. Odbierał głośno i czysto. Wszedł, bliski paniki, do sutereny. Odbiornik Abbie był jedynym na dole, lecz przecież nie działał.

Rzeczywiście, stał tam, gdzie go rano postawili, lecz nie był zepsuty.

Odbierał nawet w kolorze!

Taine zatrzymał się u podnóża schodów i oparł o balustradę, by nie upaść.

- Kolorowy telewizor - wyszeptał. Podeszedł do odbiornika i obejrzał go.

Tyłna pokrywa pudła była zdjęta. Zerknął do wnętrza jarzącego się zachęcająco. Kucnął na podłodze i przyglądał się mu. Znacznie odbiegało od tego, jakie widywał. Przedtem wiele razy reperował telewizory i myślał, że ma pojęcie, jak wyglądają wmontowane części. Ale te były inne, choć nie potrafi powiedzieć, czym się różniły.

Ciężkie kroki zabrzmiały na schodach i dobiegł do niego serdeczny głos:

- Brawo, Hiram! Widzę, że już go naprawiłeś.

Taine poderwał się i zmrożony kompletnie, zaniemówił. Henry Horton stał na schodach i wyglądał na zadowolonego.

- Mówiłem Abbie, że jeszcze go nie zreperowałaś, ale uparła się, bym przyjechał. Hej, Hiram, on nie był kolorowy! Jak to zrobiłeś, człowieku?

Taine skrzywił się słabo.

- Właśnie, po prostu majsterkowałem coś bezmyślnie - powiedział.

Henry zszedł majestatycznie po schodkach. Z rękami założonymi do tyłu stanął przed telewizorem

i gapił się w niego w typowy dla siebie, nie znoszący nieposłuszeństwa sposób. Wolno potrząsnął głową.

- Nigdy nie myślałem, że jest to możliwe - powiedział.

- Abbie wspomniała, że chciałeś mieć kolorowy telewizor.

- Tak, oczywiście, chciałem mieć kolor, lecz nie w tym starym odbiorniku. Nigdy się nie spodziewałem, że mógłby odbierać w kolorze. Jak to zrobiłeś, Hiram?

- Nie umiem powiedzieć - szczerze przyznał Taine.

Henry znalazł beczułkę stojącą obok stołu do majsterkowania i przyturlał ją przed staromodny telewizor. Usiadł ostrożnie i rozluźnił się.

- Tak się sprawy mają - powiedział. - Są ludzie tacy jak ty, lecz jest ich niewiele. Po prostu jankescy majsterkowicze. Coś dłubiesz, próbujesz łączyć jedną część z drugą, i nim się zorientujesz, tworzysz coś wspaniałego.

Henry siedział na beczulce ze wzrokiem utkwionym w telewizorze.

- Z całą pewnością to piękny odbiornik - dodał. - Lepszy od tych, które mają w Minneapolis. Wpadłem do kilku sklepów w ostatnim czasie i widziałem kolorowe telewizory. Powiem ci szczerze, Hiram, nie było tam żadnego, który byłby tak dobry jak ten.

Taine brzegiem rękawa wytarł brew. Jakoś tak się ciepło zrobiło w suterenie. Cały był zlany potem.

Henry odszukał wielkie cygaro w kieszeni i podał je Taine'owi.

- Nie, dziękuję. Nigdy nie palę.

- Masz chyba rację - powiedział Henry. - To paskudny nałóg. Włożył cygaro do ust i obrócił je.

- Każdy człowiek coś potrafi - oświadczył wylewnie. - Ty też jesteś świetnym wynalazcą. Znasz się na mechanice i elektronice. Co do mnie, nie mam pojęcia o tych rzeczach. Nawet w grach komputerowych ciągle nie wiem, o co chodzi. Wynajmuję człowieka, który to umie. Nie potrafię przepiłować deski czy wbić gwoźdź. Ale wiem, jak zorganizować pracę. Pamiętasz, Hiram, jak każdy prychnął, gdy założyłem fabrykę?

-Tak.

- "To zakichany marzyciel", mówili. Krążyli tygodniami wokół mnie, zasłaniaли dłońmi uśmieški. Mówili: "Co ten Henry sobie myśli, zakładając fabrykę komputerów w takim miejscu jak to, nie zdaje sobie sprawy, że nie ma szans z tymi wielkimi przedsiębiorstwami na wschodzie?" I nie przestawali szczerzyć zębów do czasu, gdy sprzedałem tuzin komputerów, a zamówienie miałem z wyprzedzeniem na rok czy dwa.

Wyciągnął zapalniczkę z kieszeni i starannie zapalił cygaro, nie odrywając przy tym wzroku od telewizora.

- Zrobiłeś coś takiego - powiedział - że możesz zbić na tym pieniądze. Jeśli potrafiłeś uzyskać kolor w tym starym wraku, zrobisz to w każdym wyprodukowanym odbiorniku. Gdy producenci dowiedzą się, co się tu zdarzyło, przyjadą i skoczą ci do gardła.

- Ależ ja nie wiem, co zrobiłem - zaprotestował Taine.

- Tak, wszystko w porządku - powiedział Henry - Wezmę ten odbiornik jutro do fabryki i zwolnię kilku chłopców, by się nim zajęli. Dowiedzą się, jak ci się to udało.

Wyciągnął cygaro z ust i oglądał je dokładnie, później włożył je z powrotem.

- Tak, jak mówiłem, Hiram. Jest różnica między nami. Ty potrafisz tworzyć, lecz brak ci możliwości. Ja mogę zorganizować od razu produkcję. Będziesz zbierał dwudziestodolarówki

upadające ci do stóp.

-Ale ja nie mam...

- Nie martw się. Zostaw to mnie. Daję ci fabrykę i pieniądze do dyspozycji. Dogadamy się.

- To miło z twojej strony - powiedział Taine.

- Nie całkiem - sprostował uroczyście Henry. -To moja zachłanność porywa się na zysk.

Powinienem się wstydzić, że się w ogóle wtrącam.

Usiadł na beczulce, palił cygaro i oglądał program telewizyjny w doskonałym kolorze.

- Wiesz, Hiram, często myślałem o tym, lecz nigdy nie zacząłem. W fabryce mam stary komputer, który musimy oddać na złom, ponieważ zajmuje nam za dużo miejsca. To jeden z naszych wczesnych modeli, rodzaj eksperymentu, który był kompletnie nieudany. Z pewnością jest byle jaki. Nikt nie był w stanie rozpracować go. Próbowaliśmy, lecz albo był nie w porządku, albo nie wiedzieliśmy wystarczająco, by się to nam udało. Stoi w kącie od lat i powinienem go oddać na złom już dawno temu, lecz taki jestem, że nie lubię pozbywać się rzeczy. Ciekawe, czy mógłbyś coś z nim zrobić.

- Nie wiem - powiedział Taine. Henry nie przestawał nalegać.

- Bez zobowiązań. Może nie zdziałasz nic. Byłbym szczerze zaskoczony, gdyby ci się udało, ale nie zaszkodzi spróbować. Może zdecydujesz się naprawić go za pieniądze, które możesz dostać. Tysiące dolarów jest wart ten sprzęt. Większość części prawdopodobnie mógłbyś użyć w ten lub inny sposób.

- Może to być interesujące - niezbyt entuzjastycznie przyznał Taine.

- Zgoda - powiedział Henry. - Każę chłopcom podrzucić go jutro; jest ciężki. Przyślę pomoc do wyładowania.

Wstał, strzepnął popiół z surduta.

- Każę chłopcom przy okazji zabrać telewizor. Muszę powiedzieć Abbie, że jeszcze go nie naprawiłeś. Gdybym wziął go do domu, nie wytrzymałaby nerwowo.

Henry z trudem wspiął się na schody. Taine widział, jak wychodzi w ciemną noc.

Taine stał w cieniu. Obserwował Henry'ego, który przechodził przez podwórze wdowy Taylor i kierował się w następną uliczkę za jego domem. Odetchnął głęboko świeżym, nocnym powietrzem i potrząsnął głową, usiłując pozbierać myśli brzęczące mu pod czaszką.

"Zbyt wiele się zdarzyło - pomyślał. - Zbyt wiele jak na jeden dzień. Najpierw sufit, a teraz ten telewizor."

Poczuł senność. Nie był w nastroju do zmagania się z myślami.

Towser wybiegł z za rogu domu. Powłócząc nogami, doszedł do pana. Był po uszy uwalany w błocie.

- Cały dzień za domem - powiedział Taine. - Mówiłem, że nie uda ci się dostać tego świstaka.

"Hau" - szczeknął smutno pies.

- Jesteś taki jak my. Jak ja, Henry Horton i cała reszta. Gonisz czasami za czymś i myślisz, że wiesz za czym. I co gorsze, nie masz bladego pojęcia, dlaczego za tym gonisz.

Towser uderzył umęczonym ogonem o taras.

Taine otworzył drzwi, odsunął się na bok, wpuścił go, a później wszedł sam.

Podszedł do lodówki. Znalazł część pieczeni, plasterek lub dwa plasterki wędliny, wyschnięty kawałek sera i miskę ugotowanego makaronu. Przygotował dzbanek kawy i podzielił się jedzeniem z psem.

Później wrócił do sutereny i wyłączył telewizor. Znalazł przenośną lampę i oświetlił wnętrze.

Przykucnął i próbował wydedukować, co zostało zrobione w telewizorze. Był inny z pewnością, lecz trudno się było zorientować, czym się właściwie różnił. Ktoś majstrował przy lampach; miały inny kształt. Teraz przypominały małe, białe sześciiany metalu, ułożone, zdawało się, w sposób przypadkowy, chociaż nie był to prawdopodobnie nieład. Obwód też został wymieniony, a spora liczba przewodów dodana.

Lecz najbardziej zaskakującą rzeczą było to, że wszystko wydawało się improwizacją, jak gdyby ktoś w pośpiechu sklecił telewizor.

Ktoś, kto myślał.

Ale kto to był?

Podejrzliwie zajrzał we wszystkie ciemne kąty sutereny i poczuł ciarki przechodzące mu po plecach.

Ktoś zdjął tylną pokrywę telewizora i oparł o blat, śrubki ułożył w równy rząd na podłodze. I ktoś naprawił telewizor tak, że był lepszy od nowego.

Jeśli teraz spieszył się i improwizował, to jak wyglądałby odbiornik, któremu poświęciłby więcej czasu?

Oczywiście! Nie mieli czasu. Może spłoszyli się, gdy wrócił do domu. Nie zdążyli z powrotem zamontować tylnej pokrywy.

Podniósł się i odszedł sztywno. Najpierw sufit, teraz telewizor Abbie.

Sufit też nie był tylko sufitem. Jakaś okładzina, jeśli to jest odpowiedni termin, położona była również pod podłogą, formując rodzaj zamkniętej przestrzeni między legarkami. Uderzył w nią, kiedy próbował wiercić w podłodze.

"A co - zastanawiał się - jeśli cały dom jest także z tego surowca?" Nie miał jednoznacznej odpowiedzi. . Coś znajdowało się razem z nim w tym domu!

Towser wyczuł to swoim psim sposobem, gdy drapał podekscytowany w podłogę. I z pewnością nie był to świstak.

Taine odłożył lampę przenośną i wszedł po schodach.

Towser leżąc zwinięty na dywanie w salonie obok fotela, przyjaźnie pomachał ogonem.

Taine zatrzymał się i spojrzał na psa. Pies patrzył na niego zadowolonymi, choć zaspanymi oczami; później przeciągnął się, westchnął po psiemu i usadowił do spania.

Cokolwiek Towser słyszał, wywąchał, poczuł rankiem, wcześniej tego nie znał; było to oczywiste.

Taine przypomniał sobie jeszcze co innego. Kiedy postawił czajnik z wodą na płycie, by zrobić sobie kawę, palnik zapalił się od razu, nie musiał kopać w kuchenkę.

Obudził się rano. Poczuł, że coś przygniata mu stopy. Usiadł szybko, by sprawdzić, co się dzieje.

To tylko Towser przyczołgał się do łóżka i leżał teraz rozwalony na nogach swego pana. Skamlał cichutko i przebierał tylnymi łapami, jak gdyby gonił królika.

Taine wyciągnął nogi spod psa i usiadł. Było wcześniej. Nagle przypomniał sobie, że wszystkie meble, które zdobył wczoraj, zostawił na ciężarówce i powinien je znieść na dół.

Towser nadal spał.

Taine wszedł do kuchni i wyjrzał przez okno. Beasley, człowiek Hor-tonów od wszystkiego, przykucnął na tylnym tarasie.

Hiram podszedł do tylnych drzwi, aby zobaczyć, o co chodzi.

- Uciekłem im, Hiram - powiedział Beasley do niego. - Czepiała się mnie na każdym kroku, nie

robiłem tak, by była zadowolona, więc rzuciłem to i uciekłem.

- Wejdz - powiedział Taine. - Przypuszczam, że chciałbyś coś przegryźć i napić się kawy.

- Zastanawiam się, Hiram, czy mógłbym tu zostać. Tylko do czasu, gdy nie znajdę czegoś innego.

- Najpierw zjedzmy śniadanie. Później o tym porozmawiamy.

"Nie podoba mi się to" - powiedział do siebie. W każdej minucie mogła się tu zjawić Abbie i zrobić awanturę, by ściągnąć Beasly'ego z powrotem. Niezależnie od tego, jaką niemotą był Beasly, wiecznie łajany, wykonywał mnóstwo pracy. Nie było nikogo w miasteczku, kto chciałby pracować u Abbie Horton.

- Twoja mama dawała mi zawsze ciasteczka. To była naprawdę dobra kobieta, Hiram.

- Była - odburknął Taine.

- Moja mama zawsze mówiła, że wy, wieśniacy, mieliście klasę, nie jak reszta w miasteczku, która zawsze udawała, że jest kimś lepszym. Mówiła też, że wasza rodzina należała do pierwszych osadników. Czy to prawda?

- No, może nie byliśmy pierwsi, ale jedni z pierwszych. Ten dom stoi tu prawie sto lat. Ojciec mówił, że nie było nocy przez te wszystkie lata, by nie mieszkał co najmniej jeden Taine pod tym dachem. Takie rzeczy wiele znaczyły dla ojca.

- To musi być miłe - tęsknie powiedział Beasly - mieć takie wspomnienia. Musisz być dumny z tego domu, Hiram.

- To nie duma, raczej przynależność. Nie wyobrażam sobie mieszkać gdzie indziej.

Taine włączył palnik i napełnił czajnik wodą. Kopnął kuchenkę, ale było to całkiem zbyteczne. Palnik już się rozgrzał. Drugi raz z rzędu. Coraz lepiej!

- Ojej, Hiram, świetne radio!

- Zepsute. Nie działa. Nie miałem czasu, by je naprawić.

- Mylisz się. Właśnie je włączyłem. Zaczyna się nagrzewać.

- Zaczyna się... Hej, zaraz, zaraz! - ryknął Taine.

Beasly mówił prawdę. Delikatnie brzęczenie wydobywało się z przewodów. Gdy odbiornik się nagrzał, rozległ się głos, który mówił niezrozumiałym językiem.

- Co to za mowa? - spytał Beasly.

- Nie wiem - odpowiedział Taine, znowu bliski paniki. Najpierw telewizor, potem kuchenka i teraz radio!

Przekreślił gałkę. Wskazówka wolno pełzła po tarczy, zamiast poruszać się dookoła, jak pamiętał. Poszczególne stacje nadawały serię krótkich głośnych dźwięków. Dostroił jedną. Usłyszeli obcy dialekt... Teraz wiedział już dokładnie, co posiada.

Zamiast radia za trzydzieści dziewięć dolarów i pięćdziesiąt centów, miał na stole kuchennym szerokokresowy odbiornik, jaki reklamują najbardziej ekskluzywne magazyny.

Wyprostował się i powiedział do Beasly'ego:

- Spróbuj złapać coś w języku angielskim. Przygotuję jajka.

Włączył drugi palnik, wyjął patelnię, położył ją na kuchence. W lodówce znalazł jajka i bekon.

Beasly znalazł stację nadającą muzykę.

- Co ty na to? - spytał.

- Niezłe.

Towser przyszedł z sypialni, wyciągnął się i ziewnął. Podszedł do drzwi, pokazując, że chce wyjść. Taine wypuścił go.

- Gdybym był tobą - powiedział do psa - zostawiłbym tego świstaka. Podkopiesz cały las.

- On nie kopie za żadnym świstakiem, Hiram.

- W porządku, za królikiem.

- Ani za królikiem. Przechodziłem obok miejsca, gdzie był Towser. Pogadałem z nim i powiedział mi, że to nie żaden świstak czy królik, to coś innego. Zabrałem się do pracy i pomogłem mu. Wygląda na to, że znalazł stary czołg zakopany w lesie.

- Towser nie wykopałby czołgu - zaprotestował Taine. - Nie interesuje go nic poza świstakiem czy królikiem.

- Ciężko pracował - nalegał Beasly. - Nie dał sobie przerwać.

- Może zwyczajnie świstak wykopał sobie norę pod starym czołgiem lub czymś, co tam jest.

- Może tak - zgodził się Beasly.

Kręcił przy radiu coraz bardziej, aż znalazł okropnego disc jockeya.

Taine wyłożył jajka na bekonie na talerze i przeniósł je na stół. Nalał dwie filiżanki kawy i zaczął smarować tosty masłem.

- Wpadłeś - powiedział do Beasly'ego.

- Miło z twojej strony, że mnie przyjąłeś. Nie zostanę dłużej niż potrzeba, by znaleźć pracę.

- W porządku. Nie powiedziałem...

- Takie czasy. Kiedy zaczynam myśleć o tym, że nie mam przyjaciela, to przypominam sobie twoją mamę, jaka była miła dla mnie i...

- Nie ma o czym mówić - powiedział Taine. Wiedział, kiedy podlizuje się. Przyniósł tosty, słoik dżemu i usiadł.

- Może jest coś, w czym mógłbym ci pomóc.

Beasly zewnętrzną stroną dłoni wycierał jajka z policzka.

- Mam do wyładowania stare meble z ciężarówki stojącej na podjeździe. Przydałby się człowiek, który pomógłby mi znieść to wszystko do sutereny.

- Zrobię to z przyjemnością. Jestem silny. Nie mam nic przeciwko pracy. Tylko nie lubię, żeby ludzie prawili mi kazania.

Skończyli śniadanie i znieśli meble do sutereny. Kłopot sprawił im tylko gubernator Winthrop, który był niewygodny do dźwigania. Kiedy w końcu dotaszczyli go na dół, Taine odsunął się i popatrzył na niego.

"Człowiek, który nałożył farbę na tak piękne czereśniowe drewno, to jakiś kretyn" - powiedział do siebie.

- Usuniemy farbę z tego, Beasly. Musimy zrobić to dokładnie. Zastosujemy zmywacz do farb i owiniętą na szpatule szmatę. Spróbujesz?

- Pewnie, że spróbuję. Powiedz mi, Hiram, co zjemy na lunch.

- Nie wiem. Coś zrobimy. Nie powiesz mi chyba, że jesteś głodny.

- No, to była taka ciężka praca.

- W kuchni na półce są ciasteczka w słoiku. Idź i się sam obsłuż. Kiedy Beasly poszedł na górę, Taine wolno obszedł suterenę. Sufit

był ciągle w doskonałym stanie. Poza tym nie zmieniło się nic.

"A może telewizor, kuchenka i radio to sposób zapłaty za wynajęcie mieszkania?" - pomyślał. Gdyby tak było, nie życzyłby sobie, aby tu został ktoś, kogo nie zna.

Rozejrzał się dookoła, lecz wszystko było w porządku. Wszedł na górę i zawołał do Beasly'ego,

który był w kuchni:

- Zejdź do garażu. Poszukamy jakiegoś zmywacza i pokażę ci, jak go używać.

Beasly, z ciasteczkami w ręce, pobiegł za nim.

Gdy wyszli za róg domu, usłyszeli przytłumione szczekanie Towsera. Taine odniósł wrażenie, że jest coraz bardziej chrapliwe. Trzeci dzień, jaki będzie czwarty?"

- Jeśli czegoś z tym nie zrobimy - powiedział głośno - ten głupiec się wykończy.

Poszedł do garażu i wrócił z dwiema łopatami i kilofem.

- Chodźmy. Musimy z tym skończyć, jeśli chcemy mieć spokój.

Towser wykopał imponujący dół. Prawie całkiem się w nim schował, na zewnątrz wystawał jedynie koniec ogona.

Beasly miał rację. Z ziemi wystawał fragment jakiejś maszyny, ale czy to był czołg?...

Towser wygramolił się z dołu, umazany gliną. Usiadł ciężko i dyszał.

- Mówi, że czas, byśmy zabrali się do roboty - powiedział Beasly. Taine obszedł dół i przyklęknął. Wyciągnął rękę, by usunąć brud

z wystającej części. Glina nie chciała się zdrapać. Sądząc po dotyku, to coś w ziemi zrobione było z ciężkiego metalu i przy uderzeniu wydawało dźwięk podobny do dzwonu.

Zabrali się do pracy. Szybko odrzucali grudy ziemi. To co odkopali, miało większe rozmiary, niż myśleli.

- Jestem głodny - poskarżył się Beasly.

Taine spojrział na zegarek. Była prawie pierwsza.

- Biegnij do domu - powiedział - znajdziesz coś w lodówce, jest też mleko.

- A ty nie jesteś głodny?

- Możesz przynieść mi jakąś kanapkę i sprawdź, czy nie ma tam kielni.

- Po co ci kielnia?

- Chcę zdrapać brud i zobaczyć, co to jest.

Przykucnął obok maszyny, którą wydobyli z ziemi, i obserwował znikającego między drzewami Beasly'ego.

- Towser - powiedział Taine - to jest najdziwniejsze zwierzę, jakie znalazłeś.

"Mógłbym może żartować z tego odkrycia, gdybym nie odczuwał obawy. Beasly nie przestraszył się, ale on chyba nie bardzo rozumie, co znaleźliśmy" - tłumaczył sobie w myślach.

Cztery metry szerokie, sześć metrów długie, owalny kształt, mniej więcej rozmiar sporego salonu. Nigdy czołgu o takim kształcie i rozmiarze nie było w Willow Bend.

Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i zaczął zdrapywać brud. Oczyszczył ze trzydziści centymetrów powierzchni. Nie widział dotąd takiego metalu; wyglądał jak szkło. Tak, mleczne szkło misek i kielichów, na które zawsze czatował. Wielu ludzi wariowało na ich punkcie i płaciło bajeczne sumy, by je dostać.

Złożył nóż i schował do kieszeni. Oglądał owalny kształt i rosło w nim przekonanie, że cokolwiek zamieszkało razem z nim, bez wątplenia przybyło z przestrzeni kosmicznej w jakiejś skomplikowanej maszynie. Wcześniej nigdy taka myśl nie przyszlaby mu do głowy.

Podniósł łopatę i znowu zaczął kopać wzdłuż zakrzywionej strony tej pozaziemskiej rzeczy. Zastanawiał się, co powinien powiedzieć sąsiadom i czy powinien mówić cokolwiek. Może najrozsądniejszym wyjściem będzie zakopać to znowu.

Beasly mógłby powiedzieć, lecz nikt w miasteczku nie zwraca na niego uwagi. Każdy w Willow

Bend wie, że jest stuknięty.

Beasly przyszedł w końcu. Przyniósł trzy niewprawnie zrobione kanapki, owinięte w starą gazetę, i pełny karton mleka.

- Nie bardzo się śpieszyłeś - powiedział trochę zdenerwowany Tai; ne.

- Zaciekawilo mnie coś.

- Zaciekawilo? Co?

- Trzy duże ciężarówki przywiozły mnóstwo ciężkich urządzeń do sutereny. Dwie lub trzy wielkie szafki i pełno innego żelastwa. I zabrali telewizor Abbie. Powiedziałem im, że nie powinni, ale oni i tak zabrali.

- Zapomniałem. Henry mówił, że przyśle komputer, a ja o nim nie pamiętałem.

Taine zjadł kanapki razem z Towserem. Gdy skończyli, wstał i podniósł łopatę.

- Do pracy - powiedział.

- Ale ten cały sprzęt w suterenie?

- Może poczekać. Musimy skończyć.

Zaczynało zmierzchać, gdy Taine, znużony, oparł się o łopatę i cicho mówił do siebie: "Sześć metrów długie, cztery szerokie i trzy głębokie, a wszystko wykonane z mlecznego, szklanego surowca, który dźwięczy jak dzwon".

Zamyślił się.

"Muszą być mali. Gdyby było ich dużo, trudno byłoby im żyć na takiej przestrzeni przez dłuższy czas. Zgadza się, muszą być mali, bo inaczej nie mogliby się zmieścić między legarkami w suterenie. Jeśli rzeczywiście tam mieszkają. Nawet jeśli są w domu, to nie trwa to długo. Przecież Towser wywahał, usłyszał lub wyczuł ich dopiero wczorajszego ranka."

Taine zarzucił łopatę na ramię i chwycił kilof.

- Zbierajmy się - powiedział. - Mieliśmy ciężki, długi dzień. Przedarli się przez krzaki i wyszli na drogę. W ciemności między

drzewami migotały robaczki świętojańskie, a letnie podmuchy wiatru kołysały lampami przy drodze. Gwiazdy były jasne i wyraźne.

"Może są ciągle w domu. Może kiedy zauważą, że Towser nie toleruje ich, zmienią miejsce pobytu. Prawdopodobnie mają dobre możliwości adaptacyjne. Nie zajęło im wiele czasu, by się zadomowić" - rozmyślał ponuro.

Taine i Beasly podeszli do pogrążonego w ciemności zwirowego pojazdu, by odłożyć do garażu narzędzia, ale zdarzyło się coś niesamowitego, nie było garażu. Nie było garażu i nie było frontu domu, a podjazd urywał się gwałtownie. Nie było nic, prócz zakrzywionej ściany.

Zatrzymali się i patrzyli niedowierzająco w letnią ciemność.

Nie było garażu, ganku, frontu domu. Wyglądało to tak, jakby ktoś chwycił przeciwległe rogi przedniej ściany budynku i połączył je ze so-ba.

Taine mijał teraz zakrzywiony front domu. Krzywizna była długa, pełna dźwięku i jakoś nie całkiem widoczna.

Upuścił łopatę i kilof. Zagrzechotały na zwirowym podejździe. Przyłożył ręce do twarzy i przetarł oczy, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

Kiedy odjął dłonie, nic się nie zmieniło.

Obszedł dom dookoła. Nie zdawał sobie sprawy, że biegnie przepełniony strachem.

Na szczęście tył domu był na swoim miejscu, dokładnie taki, jak zawsze. Razem z Beaslym i

Towserem wspięli się na taras. Taine pchnął drzwi i po schodach wgramolił się do kuchni. Trzema susami przebiegł ją, by zobaczyć, co się stało z frontem domu.

W drzwiach między kuchnią a salonem zatrzymał się i wyciągnął ręce, by chwycić framugę. Oniemiał na widok tego, co zobaczył.

Przecież na zewnątrz była noc, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Widział migoczące w krzakach i zaroślach robaczki świętojańskie, świeciły lampy uliczne i gwiazdy.

Potok słońca wlewał się do salonu, a za oknami rozpościerał się niezwykle widok, z pewnością nie było to Willow Bend.

- Beasly - wysapał. - Spójrz tam!

- Co to za miejsce? - spytał tamten, zdziwiony.

- To właśnie chciałbym wiedzieć.

Towser znalazł miskę i nosem popychał ją po kuchni; pokazywał, że pora. Tiy coś zjeść.

Taine przeszedł przez salon i frontowe drzwi. Znow widział garaż! Ciężarówka stała przodem do niego i samochód był bezpieczny w środku. Front domu też się nie zmienił.

"Cóż to znaczy?" - pomyślał Hiram.

Spojrzał na podjazd. Urywał się tuż za ciężarówką i nie było ani podwórka, ani lasu, ani drogi; ciągnęła się po prostu pustynia, płaska, sięgająca horyzontu, ze sporadycznymi stertami głazów i rzadkimi kępami zieleni. Wielkie, oślepiające słońce wisiało nad nią i wydawało się bardzo odległe. Niesamowite było to, że znajdowało się na północy i miało białą barwę.

Beasly wyszedł na ganek i Taine zobaczył, że trzęsie się niczym przestraszony pies.

- Może lepiej wejdź do środka i przygotuj kolację. - Ale, Hiram...

- W porządku. Wszystko na pewno jest w porządku. - Jeśli tak mówisz...

Wszedł do środka, a podwójne drzwi zamknęły się za nim.

"Trudno się dziwić, że Beasly trzęsie się ze strachu. Wyjść przez frontowe drzwi na nieznaną ład, to szok! Ostatecznie można się do tego przyzwyczaić, ale wymaga to czasu."

Zszedł z ganku, obszedł ciężarówkę i garaż. Był prawie pewien, że wróci do znajomego Willow Bend. Tak się jednak nie stało.

Otoczała go pustynia. Obszedł dom i zauważył, że teraz tył się zmienił. Tak jak ściana frontowa, miał ściągnięte brzegi i pozbawiony był drzwi wejściowych. Jedyne ciężarówka stała nadal na odciętych podjeździe, a w otwartym garażu stał samochód.

Taine schylił się, zaczerpnął pełną garść kamyków; były takie same jak inne. Przykucnął i pozwolił przesypywać się im między palcami.

W Willow Bend jego dom miał tylko tylne drzwi, nie było frontowych. Teraz, cokolwiek to było, miało tylko frontowe wejście.

Wstał i wyrzucił resztę kamyków, zakurzone dłonie wytarł o bryczesy.

Kątem oka zauważył jakiś ruch na ganku. To byli oni.

Rząd malutkich zwierząt, jeśli tak można ich określić. Schodzili po schodach. Każdy miał ponad metr wysokości i szedł na czterech stopach, choć było widać, że ich przednie kończyny w rzeczywistości są rękami. Szczurowate twarze, w jakiś nieuchwytny sposób przypominały ludzkie, a długie spiczaste nosy robiły niesamowite wrażenie. Chyba pokrywały ich łuski, bo ich skóra mieniła się falujące. Każdy też miał spiralnie zwinięty i trzepoczący na wietrze ogon.

Zeszli po schodach w równym szeregu. Maszerowali perfekcyjnie jak na defiladzie i wcale się nie spieszyli.

Było ich szesnastu. Szli na pustynię. Taine obserwował ich tak długo, póki całkowicie nie stracił z oczu.

"To szli ci, którzy zamieszkali ze mną. Ci, którzy zamontowali sufit, naprawili telewizor Abbie, zreperowali kuchenkę i radio. Najprawdopodobniej także ci, którzy przybyli na Ziemię w dziwnym pojeździe, odkopanym w lesie."

Wszedł na ganek, otworzył podwójne drzwi i zobaczył w nich regularny metrowy otwór, który jego goście wycięli, by wydostać się z domu. Pomyślał, że pewnego dnia, kiedy będzie miał czas, naprawi drzwi.

Wszedł do środka.

- Beasly! - krzyknął. Nie było odpowiedzi.

Towser wyczołgał się spod krzesła i przyjaźnie zamerdał ogonem.

- W porządku, przyjacielu. Ta brygada i mnie wystraszyła.

Poszedł do kuchni. Górna lampa oświetlała przewrócony dzbanek kawy, potłuczoną filiżankę, która leżała na środku podłogi, i wywróconą miskę z jajkami. Rozlały się żółto-białą plamą na podłodze.

Zszedł na półpiętro i zobaczył, że podwójnych drzwi nie da się naprawić. Zardzewiałe zawiasy zostały zniszczone, a część framugi była roztrzaskana.

Taine spojrzał na nie z podziwem.

- Biedny głupiec - powiedział. - Wszedł prosto przez drzwi, w ogóle ich nie otwierając.

Włączył światło i zszedł do sutereny. W połowie drogi zatrzymał się, zdziwiony. Po prawej stronie biegła ściana, ściana z tego samego surowca, z którego zrobiony był sufit. Oddzielała ona pracownię od innych pomieszczeń.

Przypomniał sobie komputer, który Henry przysłał dzisiejszego ranka. Beasly mówił o ciężarówkach. Trzy ciężarówki załadowane sprzętem dostały się prosto w ich łapy!

Taine, zrezygnowany, usiadł na schodach.

- Pewno pomyśleli - powiedział głośno - że jestem chętny do współpracy z nimi. Może doszli do wniosku, że wiem, o co im chodzi, więc odeszli ze sprzętem. A może pomyśleli, że w ten sposób płacę im za naprawę telewizora, kuchenki i radia. Ale jak połączyć wszystko razem? Dlaczego naprawili telewizor, kuchenkę, radio? A może to gest przyjaźni lub rodzaj praktycznego sprawdzianu, co mogliby działać w tym świecie?

Taine zastukał pięścią w ścianę przy schodach. Gładka biała powierzchnia odpowiedziała dźwięcznie.

Przyłożył ucho i nasłuchiwał. Odniósł wrażenie, że słyszy ciche brzęczenie, tak nikłe, że nie był go całkowicie pewien.

Kosiarka bankiera Stevensona stała za ścianą, a także mnóstwo innego sprzętu, czekającego na naprawę.

"Beasly pewnie oszalał ze strachu. Kiedy zobaczył ich wychodzących z sutereny, stracił rozum. Wybiegł prosto przez drzwi, których nawet nie próbował otworzyć. Teraz był już na dole, w miasteczku i pewnie opowiadał o tym każdemu, kto się zatrzymał, by go posłuchać. Normalnie nikt nie zwracał uwagi na Beasly'ego, ale jeśli będzie długo trajkotał, podniecony, prawdopodobnie przyjdą sprawdzić, co się tu wydarzyło. Wedrą się i będą przyglądać się wybałuszonymi oczyma na to, co ujrzą z frontu. Niektórzy zaczną opowiadać o tym, co się u mnie wydarzyło."

- A to nie ich sprawa - z uporem powiedział Taine.

Jego poczucie interesu wzięło górę. Kawał pustyni leżał z przodu podwórka i jedynym sposobem, by ktokolwiek mógł tam się dostać, było przejście przez jego posesję. A więc cały obszar na zewnątrz należał do niego. "Może nie jest cenny, ale na wszelki wypadek, nim inni ludzie tu nadejdą, lepiej sprawdzić samemu" - postanowił.

Wszedł po schodach do garażu.

Słońce ciągle znajdowało się nad horyzontem w tej samej pozycji.

Znalazł młotek, trochę gwoździ, kilka desek i zabrał to wszystko do domu.

Towser spał na wyściełanym krześle. Taine zostawił go w spokoju.

Zamknął drzwi i zabił je kilkoma deskami. Zamknął okna w kuchni i sypialni, i także zabił je deskami. "Powstrzyma to mieszkańców miasteczka choć przez chwilę, kiedy przyjdą, by wedrzeć się tu i zobaczyć, co się wydarzyło."

Zza szafki wyciągnął strzelbę, pudełko naboji, lornetkę i starą menażkę, którą nappełnił wodą. Jedzenie dla siebie i Towsera wepchnął do worka.

- Chodź, Towser - powiedział. - Pójdziemy i rozejrzemy się.

Sprawdził benzynę; bak był prawie pełny.

Wsiedli. Strzelbę położył w zasięgu ręki, cofnął ciężarówkę, zawrócił i pojechał na północ.

Pustynia posiadała gładkość podłogi, czasami była tylko trochę wyboista, lecz nie bardziej niż boczne drogi, po których podróżował, polując na antyki.

Sceneria nie zmieniała się. Tu i tam widać było niskie pagórki, ale w zasadzie piasek rozpościerał się aż po horyzont. Taine jechał na północ, prosto ku słońcu. Przebył kilka piaszczystych odcinków, ale grunt twardy i zbity nie stanowił żadnej przeszkody.

Po upływie pół godziny dogonił grupę stworków, całą szesnastkę, która opuściła jego dom. Ciągle wędrowały równym krokiem, w jednym szeregu.

Taine zwolnił i jechał równoległe do nich, ale nie miało to większego sensu, bo ciągle poruszały się w tym samym kierunku i nie spoglądały na boki.

Przyspieszył więc i zostawił je za sobą.

Słońce nadal tkwiło na północy.

"Możliwe, że ten świat obraca się wokół własnej osi znacznie wolniej niż Ziemia i dzień jest dłuższy. Sądząc po słońcu, możliwe że o wiele, wiele dłuższy."

Pochylony nad kierownicą, wpatrywał się w nie mającą kresu pustynię. Po raz pierwszy odczuł obcość tego miejsca.

To był inny świat, nie miał co do tego wątpliwości. Inna planeta, okrążająca inne słońce. W jakiej przestrzeni znajdowała się, nikt na świecie nie mógł mieć najmniejszego pojęcia. I jeszcze, przez jakieś machinacje tych szesnastu stworzeń, idących w równym szeregu, znajdowała się akurat na zewnątrz frontowych drzwi jego domu.

Przed nim poruszył się jakiś pagórek. Kiedy podjechał bliżej, rozpoznał rząd lśniących obiektów. Zatrzymał ciężarówkę i wyciągnął lornetkę.

Przez szkła zobaczył, że lśniące obiekty były takie same jak widziane w lesie szklane urządzenie, w mlecznym kolorze. Policzył je; było osiem. Stały na czymś w rodzaju rusztowania z szarych skał. Obok znajdowały się inne jeszcze puste.

Odjął lornetkę od oczu i stał tak przez moment; rozważał, czy warto wspiąć się na wierzchołek, by zbadać je z bliska. Potrząsnął głową. Będzie na to czas później. Lepiej zrobi, gdy ruszy dalej. Nie była to przecież wyprawa poszukiwawcza, lecz szybkie rozeznanie terenu.

Wszedł do ciężarówki i pojechał. Zwrócił uwagę na wskaźnik paliwa. Kiedy wskazówka przybliży się do połowy, będzie musiał zawrócić do domu.

Zobaczył przed sobą nikłą biel ponad bladą linią horyzontu. Przyglądał się jej skrupulatnie. Czasami zacierała się, by później pojawić się znowu. Z tej odległości nie potrafił jednak odgadnąć, co to jest.

Spojrzał na wskaźnik paliwa; wskazówka znajdowała się prawie w połowie zakresu. Zatrzymał ciężarówkę, wyjął lornetkę i wyszedł. Zdziwił się, że tak wolno i z takim trudem się porusza. Przypomniawszy sobie, że powinien już od wielu godzin leżeć w łóżku. Spojrzał na zegarek; godzina druga. Był na nogach przeszło dwadzieścia godzin i ciężko pracował w lesie przy wykopywaniu tej dziwnej maszyny.

Podniósł lornetkę do oczu. Nieuchwytna biała linia okazała się pasmem gór. Wielki błękitny urwisty masyw, z połyskującymi na szczytach i graniach śniegiem, wznosił się nad pustynią. Był tak odległy, że nawet silnie powiększające szkła lornetki przybliżały go tylko w niewielkim stopniu. Góry ciągnęły się szerokim pasmem powyżej linii horyzontu. Jeszcze raz spojrzał na pustynię; była taką, jaką już znał.

Nagle zadrżały mu ręce i opuścił lornetkę. Później z powrotem przyłożył ją do oczu i jeszcze raz spojrzał.

Tak, widział dom!

Zasłaniał go pagórek, więc nie mógł dojrzeć gołym okiem. Był mały. Dach przypominał tępo przycięty stożek i dotykał ziemi. Miało się wrażenie, że jest czymś przyciśnięty. Taine widział owalny otwór, prawdopodobnie drzwi, ale nie było tam okien. Opuścił lornetkę i patrzył na pagórek.

"Sześć lub siedem kilometrów stąd. Paliwa starczy, a gdyby nawet nie, te kilka kilometrów do Willow Bend mogę przejść pieszo. Dziwne, że to jedyny dom tutaj. Przebyłem tyle kilometrów przez pustynię, lecz nigdzie nie widziałem śladu życia, poza szesnastoma szczeropodobnymi stworzeniami, które maszerowały w szeregu."

Wszedł do ciężarówki i włączył silnik. Dziesięć minut później był już przed frontem domu pogrążonego w cieniu pagórka.

Wysiadł z ciężarówki i zabrał ze sobą strzelbę. Towser zeskoczył na ziemię, warczał i jeżył grzbiet.

- O co chodzi, przyjacielu?

Pies zawarczał znowu.

Dom stał cichy. Wydawało się, że jest opustoszały. Ściany zbudowano z surowych nie ociosanych kamieni, łączonych błotnistą substancją. Dach zwyczajnie pokrywała darń. Było to dziwne, ponieważ na tej pustyni nie było niczego, co ją przypominało.

Nie posiadał żadnych charakterystycznych cech. Był całkowicie pozbawiony jakichkolwiek ozdób. Nikt nie podjął próby uczynienia go przytulnym schronieniem. Przypominał szałas pasterski. Wyglądał na stary; kamienie odpadały i kruszyły się.

Taine chwycił strzelbę przewieszoną przez ramię i stanął w drzwiach. Spojrzał do środka; panowała tam ciemność i cisza.

Obejrzał się na Towsera. Zobaczył, że pies wczołgał się pod ciężarówkę i drży ze strachu.

- Zostań tam - powiedział. - Nie wychodź.

Ze strzelbą, wyciągniętą przed siebie, przekroczył próg i wszedł w ciemność. Stał przez moment, by oczy przywykły do ciemności. W końcu mógł obejrzeć pomieszczenie.

Było surowe. Wzdłuż jednej ściany biegła kamienna ława, a wzdłuż drugiej jakieś mało funkcjonalne nisze. W rogu stał jeden rozklekotany drewniany mebel, lecz Taine nie potrafił domyślić się jego przeznaczenia.

"Stare i opustoszałe miejsce - pomyślał - dawno temu porzucone. Może w jakimś odległym wieku, kiedy pustynia była żyzna i porastała trawą, żyli tu pasterze."

Były jeszcze drzwi do innego pokoju. Kiedy przeszedł przez nie, usłyszał nikły, odległy, dudniący dźwięk i coś jeszcze. Tak, dźwięk padającego deszczu! Z otwartych drzwi, które prowadziły na tył domu, poczuł słony powiew wiatru i stanął, zmrożony, na środku pokoju.

Jeszcze jeden dom, który prowadził do innego świata!

Wolno przeszedł kilka kroków i stał w strugach deszczu. Dzień był straszny. Chmury na niebie kłębiły się. Kilometr dalej, za porozrzucanymi szarymi głazami, rozciągało się wzburzone morze, które uderzało o brzeg i wyrzucało rozpryskującą się pianę. Krople deszczu spadały na jego twarz z kłującą furią. Wokół zimno i wilgoć. Niesamowite miejsce, świat wzięty wprost z jakiejś starej, gotyckiej opowieści o duchach i demonach.

Rozejrzał się wokoło; niestety, zasłona deszczu zamazywała świat, rozciągający się za brzegiem morza. Czuł jednak czyjąś obecność. Po plecach przeszły mu ciarki. Ze strachu ścisnęło go w gardle. Potykając się o próg, wrócił do domu.

"Jeden odległy świat, to było już wystarczająco dużo, lecz dwa takie światy, to więcej niż pojedynczy człowiek może udźwignąć." Wstrząsnęło nim poczucie absolutnej samotności, która przewróciła wszystko do góry nogami w jego myśleniu.

Nagle zapragnął wrócić do domu, który teraz wydał mu się taki daleki.

Na zewnątrz poczuł jasne i ciepłe słońce. Ubranie miał wilgotne od deszczu, małe krople pozostały też na lufie strzelby.

Rozejrzał się za psem, ale nie było po nim śladu. Nie widział go ani pod ciężarówką, ani nigdzie w zasięgu wzroku.

Zawołał, lecz jego głos zabrzmiał samotnie i głucho. Obszedł dom, ale psa nie było i z tyłu. W ogóle nie było tyłu. Rogi surowych ścian łączyły się ze sobą tak jak w jego domu.

Ale Taine nie był tym zainteresowany; znał już to. Teraz szukał psa i czuł wzrastającą w sobie panikę. Opanował się jednak.

Poszukiwania zajęły mu trzy godziny. Wrócił nawet do dziwnego domu. Towsera jednak nie znalazł. Na pustyni obszedł pagórki, później wspiał się na ich szczyty, lecz nie widział nic prócz pozbawionej życia, ciągnącej się daleko we wszystkich kierunkach płaszczyzny piasku.

Śmiertelnie zmęczony, na chwiejących się nogach, prawie zasypiając wrócił do ciężarówki. Oparł się o nią i próbował zebrać myśli.

Dalsze poszukiwanie było bezsensownym wysiłkiem. Musiał się przespać choć trochę. Musiał wrócić do Willow Bend, zatankować i zabrać dodatkową ilość benzyny, by dotrzeć dalej. Nie mógł zostawić psa, ale powinien planować, działać inteligentnie. Nie mógł nic zrobić dla Towsera w obecnym stanie; ledwo trzymał się na nogach.

Wgramolił się na ciężarówkę i zawrócił do Willow Bend. Walczył z obezwładniającą sennością. Kiedy mijał wyższe wzgórze, na którym stały szklane obiekty w mlecznym kolorze, zatrzymał się i pospacerował trochę, by nie dopuścić do zaśnięcia nad kierownicą. Zostało ich tylko siedem, tkwiących na rusztowaniach.

Nie miało to żadnego znaczenia. Teraz najważniejsze, aby nie dać się zmęczeniu, które go

opanowało, trzymać się kurczowo kierownicy, przebyć te kilometry, które dzieliły go od Willow Bend, trochę się przespać, by móc znowu tu wrócić i poszukać Towsera.

W połowie drogi do domu zobaczył inny samochód. Zamroczyło go na moment. Ciężarówka, którą prowadził, i samochód w garażu były jedynymi pojazdami po tej stronie domu.

Zatrzymał się i wygramolił z szoferki.

Samochód zahamował. Henry Horton, Beasly i człowiek, który nosił gwiazdę, szybko wyskoczyli z niego.

- Dzięki Bogu, znaleźliśmy cię! - krzyknął Henry gwałtownie i podszedł do Taine'a.

- Wcale się nie zgubiłem - zaprotestował. - Właśnie wracałem.

- Jest całkiem wykończony - powiedział człowiek, który nosił gwiazdę.

- To jest szeryf Hanson - powiedział Henry i wskazał ręką na towarzyszącego mu mężczyznę. - Jechaliśmy po twoich śladach.

- Zgubiłem Towsera. Musiałem wracać i nie zabrałem go. Zostawcie mnie, a poszukajcie psa. Wracam do domu.

Wyciągnął rękę i chwycił się ciężarówki, by nie upaść.

- Zniszczyłeś drzwi - powiedział do Henry'ego. - Włamałeś się do mojego domu i zabrałeś samochód...

- Musieliśmy to zrobić, Hiram. Obawialiśmy się, że mogło ci się coś stać. Gdy Beasly opowiadał, zjeżyły mu się włosy.

- Lepiej weźcie go do samochodu - powiedział szeryf. - Ja poprowadzę z powrotem ciężarówkę.

- Ale ja muszę odszukać Towsera!

- Nic nie zdziałasz, jeśli nie odpoczniesz trochę.

Henry chwycił Hiram pod ramię i poprowadził do samochodu, a Beasly otworzył tylne drzwi samochodu.

- Masz pojęcie, co to za miejsce? - wyszeptał konspiracyjnie Henry.

- Nie wiem absolutnie nic - wymamrotał Taine. - Może jakieś inne... Henry zachichotał.

- No dobrze, domyślam się, że to nie ma znaczenia. Cokolwiek to jest, czyni z nas centrum zainteresowania. Mówią o nas wszystkie rozgłośnie. Prasa podaje informacje na pierwszych stronach, miasto jest oblegane przez reporterów i kamerzystów. Przybędą też osobistości polityczne. Tak, panie... Mówię ci, Hiram, to wszystko uczyni z nas...

Taine więcej nie słyszał. Usnął, nim zdążył oprzeć się o siedzenie. Obudził się i leżał spokojnie w łóżku. Widział zaciągnięte zasłony.

Pokój był chłodny i cichy.

"Jak dobrze - pomyślał - obudzić się w pokoju, który zna się od lat, w domu, który należał do Taine'ów prawie sto lat."

Wróciły wspomnienia ostatnich godzin i Taine usiadł porażony. Słyszał uporczywy szmer za oknem.

Wyskoczył z łóżka i odsunął zasłonę. Zobaczył kordon wojska, który zatrzymywał tłum zalewający jego podwórko z tyłu domu i okoliczne tereny.

Puścił zasłonę i zaczął szukać butów. Spał całkowicie ubrany. Prawdopodobnie Henry i Beasly wrzucili go tak do łóżka, ściągnęli tylko buty. Nie mógł sobie nic przypomnieć. Był ledwo żywy, gdy Henry załadował go na tylne siedzenie samochodu.

Buty znalazł na podłodze pod łóżkiem.

Wkładał je i zastanawiał się nad tym, co powinien zrobić.

Musi jakoś zdobyć trochę benzyny i napełnić bak ciężarówki, powinien też wziąć jeden lub dwa dodatkowe kanistry, trochę jedzenia, wody, może i śpiwór. Postanowił, że nie wróci, póki nie znajdzie psa.

Zawiązał buty i wszedł do salonu. Nie było tam nikogo, ale słyszał jakieś głosy dochodzące z kuchni.

Wyjrzał przez okno. Na zewnątrz rozciągała się nie zmieniona pustynia. Zauważył, że słońce podniosło się trochę wyżej, jednak na frontowym podwórku ciągle było przedpołudnie. Spojrzał na zegarek; dochodziła szósta. Sądząc po cieniach, które widział z drugiej strony domu, była to szósta po południu.

Uświadomił sobie, że spał prawie cały dzień. Nie zamierzał tak długo spać. Nie chciał zostawiać tam Towsera przez tak długi czas. Zajrzał do kuchni. Zobaczył trzy osoby: Abbie i Henry'ego Hortonów oraz człowieka w wojskowym ubraniu.

- Jesteś! - wykrzyknęła wesoło Abbie. - Zastanawialiśmy się, kiedy wstaniesz.

- Jest jakaś kawa?

- O tak, pełny dzbanek. Przygotuję jeszcze coś dla ciebie.

- Wystarczy kilka tostów. Nie mam zbyt wiele czasu. Muszę poszukać Towsera.

- Hiram - powiedział Henry - to pułkownik Ryan z Ochrony Państwa. Na zewnątrz jest kilku jego chłopców.

- Tak, zauważyłem przez okno.

- To konieczne. Asolutnie konieczne. Szeryf nie mógł sobie poradzić. Ludzie wdarliby się i roznieśli by to miejsce na kawałki. Tak więc zadzwoniłem do gubernatora.

- Taine - powiedział pułkownik. - Siadaj. Chcę z tobą porozmawiać.

- Naturalnie. Przepraszam za pośpiech, ale zgubiłem mojego psa.

- Ta sprawa - z zadowolonym wyrazem twarzy mówił pułkownik - jest w znacznej mierze ważniejsza niż jakikolwiek pies.

- No cóż, pułkowniku, oznacza to tylko, że nie zna pan Towsera. Jest najlepszym psem, jakiego kiedykolwiek miałem, a miałem ich mnóstwo. Wychowałem go od szczeniaka i przez wszystkie te lata był moim dobrym przyjacielem.

- Zgoda. Zatem jest przyjacielem. Ale ja nadal chcę porozmawiać z tobą.

- Po prostu siedź i rozmawiaj - powiedziała Abbie do Taine'a. - Przygotuję jakieś ciasteczka, a Henry przyniesie trochę parówek z naszej farmy.

Otworzyły się tylne drzwi i przy akompaniamencie okropnego metalicznego stukotu niepewnym krokiem wszedł Beasley. W jednej ręce niósł trzy puste kanistry, a w drugiej dwa. Wszystko to tłuło się o siebie przy każdym kroku.

- Mów! - wrzasnął Taine. - Co tu się dzieje?

- Spokojnie, nie denerwuj się - powiedział Henry. - Nie masz pojęcia o naszych problemach. Chcieliśmy ściągnąć wielki zbiornik z paliwem tutaj, ale nie udało się nam. Próbowaliśmy jakoś wyrwać tył kuchni, by się przez nią dostać, ale nie mogliśmy...

- Zrobiliście co?!

- Próbowaliśmy wyrwać tył kuchni - rzekł spokojnie Henry. - Nie da się wnieść tych wielkich zbiorników przez zwykłe drzwi. Doszliśmy do wniosku, że cały dom wewnątrz powleczony jest tym samym rodzajem materiału co sufit w suterenie. Uderzasz w to siekierą i tępi się stalowe ostrze...

- Ale, Henry, to jest mój dom i nikt nie ma prawa rozrywać go na kawałki.

- Głupi traf - powiedział pułkownik. - Ale teraz chciałbym wiedzieć, Taine, co to za tworzywo, którego nie potrafiliśmy naruszyć?

- Teraz spokojnie, Hiram - ostrzegł Henry. - Wielki, nowy świat czeka na nas tam na zewnątrz.

- Nie czeka ani na ciebie, ani na nikogo! - wrzasnął Taine.

- Musimy go zbadać, a do tego potrzebujemy benzyny. Tak więc, ponieważ nie mamy odpowiedniego zbiornika, zbieramy kanistry, a później rozciągniemy tu węża...

- Ale, Henry...

- Szkoda, że bez przerwy przerywasz i nie pozwolisz dokończyć. Nawet nie potrafisz wyobrazić sobie logistyki, którą stosujemy. Przeszkadza nam rozmiar standardowych drzwi. Musimy zaopatrywać się na zewnątrz i mieć odpowiedni transport. Z ciężarówkami i samochodami nie byłoby tak źle. Można zdemontować je i przeciągnąć po kawałku, ale samolot, to byłby już problem.

- Posłuchaj mnie, Henry. Nikt nie będzie włókł mi tu samolotu. Ten dom jest w mojej rodzinie ponad sto lat, i to ja jestem jego właścicielem. Mam do niego prawo, a ty nie możesz tu przychodzić tak bezceremonialnie i przeciągać przez dom jakiś sprzęt.

- Ale - płacząco powiedział Henry - naprawdę potrzebujemy samolotu. Można przelecieć znacznie większy obszar, gdy się ma samolot.

Pułkownik westchnął.

- Miałem nadzieję, panie Taine, że zrozumie pan, jak się sprawy mają. To pana patriotyczny obowiązek współpracować z nami. Władze oczywiście mogłyby interweniować i zakwalifikować dom do rozbiórki, ale raczej nie zrobimy tego. Oczywiście rozmawiam nieoficjalnie, myślę jednak, że gubernator wolałby załatwić polubownie.

- Wątpię - blefował Hiram, bo nie znał się na prawie - żeby ktoś miał jakieś prawo do mojej własności. Gubernator ma prawo decydować o budynkach, drogach...

- To jest droga - przerwał pułkownik. - Prosto przez ten dom prowadzi droga do innego świata.

- Po pierwsze - oświadczył Taine - rząd musi udowodnić, że leży to w interesie społecznym i że odmowa właściciela jest równoznaczna z naruszeniem rządowego proceduru i...

- Myślę, że rząd może dowieść, że leży to w interesie społecznym.

- Myślę - dodał złośliwie Taine - że lepiej poradzę się prawnika.

- Jeśli naprawdę chcesz tego - zaofiarował się Henry - i potrzebujesz dobrego prawnika, z przyjemnością zarekomenduję ci firmę, co do której jestem pewien, że uczciwie będzie reprezentowała twoje interesy po możliwych do przyjęcia kosztach.

Pułkownik wstał, wzburzony.

- Będziesz musiał odpowiedzieć na mnóstwo pytań, Taine, na które rząd chce znać odpowiedź. Przede wszystkim, jak to zmontowałeś? Czy jesteś gotów, by odpowiedzieć?

- Nie. Nie sądzę, że jestem.

"Myślą, że to ja zabezpieczyłem dom. Będą mnie wyciskać jak cytrynę, bym powiedział, jak to zrobiłem" - pomyślał Taine. Wyobraził sobie FBI, Departament Stanu, Pentagon i poczuł, jak drżą mu kolana.

Pułkownik odwrócił się i sztywno wymaszerował z kuchni. Wychodząc trzasnął drzwiami.

Henry spojrzał domyślnie na Taine'a.

- Naprawdę to zrobisz? Zamierzasz postawić się im?

- Zezłościłem się. Nie mogą tu przychodzić i przejmować wszystko, nawet mnie nie pytając. Nie

zależy mi na tym, co kto pomyśli. To jest mój dom. Urodziłem się tu, mieszkam tu całe życie, lubię to miejsce i...

- Pewnie - powiedział Henry. - Rozumiem, co czujesz.

- Przypuszczam, że to dziecinne z mojej strony. Nie sprzeciwiałbym się tak bardzo, gdyby okazali chęć, by po prostu się i porozmawiać ze mną o tym, co mają zamiar zrobić. Nawet nie przyszło im do głowy zapytać, co o tym myślę. I powiem ci, Henry, to jest całkiem co innego, niż się im wydaje. Nie jest to miejsce, gdzie możemy wejść i zagarnąć je. Nie ma znaczenia, co Waszyngton myśli. Tam na zewnątrz coś jest i lepiej uważajmy na nasze kroki...

- Myślałem o tym - przerwał Henry - kiedy tu siedziałem. Twój stosunek do tej sprawy jest godny polecenia i zasługuje na poparcie. Wydaje mi się, że byłoby bardzo nie po sąsiedzku z mojej strony pozostawiać cię samotnego. Wynajmiemy sobie świetnych prawników i będziemy walczyć o tę sprawę, a tymczasem moglibyśmy utworzyć przedsiębiorstwo gospodarujące gruntami, gdy upewnimy się, że ten nasz nowy świat, może być wykorzystany. To dowód, Hiram, że stoję przy tobie ramie przy ramieniu, odkąd jesteśmy partnerami w telewizyjnej transakcji.

- Co z telewizorem? - zapisała Abbie, z rozpędem stawiając przed nim talerzyk z ciastkami.

- Już, Abbie - cierpliwym tonem odparł Henry - objaśniłem ci, że twój telewizor jest z tyłu, w tej oddzielonej części sutereny i nikt nie jest w stanie powiedzieć nam, kiedy go stamtąd dostaniemy.

- Tak, wiem - rzekła Abbie. Wniosła półmisek z parówkami i nalała kawy do filiżanek.

Beasly hałasował na zewnątrz domu.

- Poza tym - dodał Henry - przypuszczam, że mam w tym jakiś udział. Wątpię, byś mógł wiele zdziałać bez komputera, który ci dostarczyłem.

"Nawet Henry myśli, że jestem tym, który to zrobił" - pomyślał smutno Taine.

- Beasly nie mówił ci?

- Beasly mówił mnóstwo rzeczy, ale wiesz, jaki Beasly jest.

"A więc to tak, oczywiście. Dla mieszkańców miasteczka była to jedna więcej opowieść Beasly'ego. Nowe kłamstwo, które wymyślił. Nikt nie wierzył w ani jedno jego słowo."

Taine podniósł filiżankę, wypił kawę, by zyskać czas na odpowiedź, ale odpowiedzi przecież nie było. Gdyby powiedział prawdę, zabrzmiałaby znacznie bardziej nieprawdopodobnie niż jakiegokolwiek kłamstwo.

- Możesz mi powiedzieć, Hiram, jesteśmy współnikami.

"Robi ze mnie głupca. Henry myśli, że z każdego może robić głupca i oseska."

- Nie uwierzyłbyś, Henry, gdybym ci powiedział.

- No cóż, to może poczekać.

Przez kuchnię ciężkim krokiem przeszedł Beasly, tłukąc się następnym ładunkiem kanistrów.

- Potrzebuję trochę benzyny - powiedział Taine - gdy wyjdę na poszukiwanie Towsera.

- Zadbam o to - obiecał przymilnie Henry. - Przyślę Erniego z cysterną i przeciągniemy tu węża, by napęlić te kanistry. Rozejrzę się też za kims, kto mógłby iść z tobą.

- To niepotrzebne. Pójdę sam.

- Gdybyśmy mieli radiotelefon, moglibyśmy pozostawać w kontakcie.

- Ale nie mamy. A ja, Henry, nie mogę czekać. Towser jest gdzieś tam na zewnątrz.

- Pewnie, wiem, jak dużo o nim myślałeś. Idź i poszukaj go, jeśli uważasz, że musisz, a ja zajmę się naszymi sprawami. Znajdę kilku prawników i sformułujemy jakiś dokument dla naszej spółki...

- Hiram - powiedziała Abbie - zrobisz coś dla mnie? - Jasne.

- Porozmawiaj z Beaslym. Postępuje bez sensu. Nie było żadnego powodu, by nas opuścić i zostawił. Może byłam trochę za ostra w stosunku do niego, ale to dziecinne, że się tak zdenerwował. Uciekł i spędził pół dnia, pomagając Towserowi wykopać świstaka!

- Porozmawiam z nim - obiecał Taine.

- Dzięki. Posłucha cię. Jesteś jedyną osobą, której posłucha. Szkoda, że nie naprawiłeś mojego telewizora, nim to wszystko się zdarzyło. Brakuje mi go. Pozostało puste miejsce w salonie, a tak pasował do innych mebli, wiesz.

- Tak, wiem.

- Idziesz, Abbie? - spytał Henry stojąc w drzwiach. Podniósł rękę w poufnym geście skierowanym do Taine'a.

- Zobaczymy się później, Hiram. Załatwię to. "Założę się, że załatwisz" - pomyślał Taine.

Gdy wyszli, odwrócił się od stołu i ciężko usiadł na krześle.

Trzasnęły frontowe drzwi i wpadł zziębnięty, podekscytowany Beasly.

- Towser wrócił! - ryknął. - Wrócił i przyprowadził największego świstaka, jakiego mógłbyś kiedykolwiek zobaczyć!

Taine skoczył na równe nogi.

- Świstak! To obca planeta. Nie ma tu żadnych świstaków.

- Chodź i zobacz!

Beasly odwrócił się i wybiegł znowu, a za nim Taine.

Rzeczywiście, wyglądało to jak świstak, świstak ludzkiego wzrostu, podobny do tego z dziecięcych książeczek. Szedł na tylnych nogach i próbował wyglądać dystyngowanie. Za nim biegł Towser. Zachowywał się jak dobry, pasterski pies. Biegł przycupnięty, gotowy przeciąć drogę zwierzakowi, gdyby ten próbował zatrzymać się.

Świstak podszedł do domu i zatrzymał się, później obejrzał na pustynię i przykucnął. Zakołysał dużą głową, spojrzął na Beasly'ego i Taine'a. W przejrzystych, brązowych oczach Hiram zobaczył więcej niż w oczach zwierzęcia.

Teraz szybko wziął psa w ramiona i przytulił do siebie. Towser obrócił głowę i ckliwie oblizał twarz pana.

Stał z psem w ramionach i patrzył na świstaka ludzkiego wzrostu. Poczul wielką ulgę i absolutną wdzięczność.

"Już wszystko w porządku. Towser wrócił." Skierował się do domu i wszedł do kuchni.

Położył psa, wyjął półmisek, napełnił go pod kranem i postawił na podłodze.

Pies, spragniony, chleptał wodę, rozchlapując ją na linoleum.

- Spokojnie - ostrzegł Taine. - Nie chcesz chyba przesadzić.

Poszperał w lodówce i znalazł resztki jedzenia. Położył je w misce. Uszczęśliwiony Towser zamerdzał ogonem.

- Prawdę mówiąc, powinienem wziąć cię na sznurek, byś nie uciekł jak wtedy.

Spokojnym krokiem wszedł Beasly.

- Ten świstak jest przyjaźnie nastawionym facetem - zaanonsował.

- Czeka na kogoś.

-To miłe.

Taine spojrzął na zegar.

- Siódma trzydzieści - powiedział. - Spróbujemy złapać wiadomości. Zajmiesz się tym?

- Pewnie. Dobrze wiem, jak to zrobić. Tego faceta z Nowego Jorku? -Tak.

Hiram poszedł do salonu i wyrzwał przez okno. Świstak nadal tam był. Siedział tyłem do domu, patrzył na drogę, którą przyszedł. Czekają na kogoś, jak powiedział Beasly, i wyglądało na to, że tak właśnie jest.

"Ale jeśli czeka na kogoś - zastanawiał się Taine - kto to może być? Czym ten ktoś mógł być? Do tej pory z pewnością cały świat obiegiła wiadomość, że są drzwi do innego świata. Ile takich drzwi zostało otwartych w ciągu minionych lat? Henry powiedział, że wielki nowy świat na zewnątrz czeka, by Ziemianie weszli do niego. Ale wcale tak nie było."

Głos komentatora wiadomości ryknął z radia w połowie zdania: "...ostatecznie doszło do porozumienia. Radio »Moskwa« podało dziś wieczorem, że radziecka delegacja będzie jutro miała swoją reprezentację w Narodach Zjednoczonych, by umiędzynarodowić ten inny świat i przejście do niego. Z tego przejścia, które znajduje się w domu człowieka o nazwisku Hiram Taine, nie ma żadnych wiadomości. Zostało zapewnione całkowite bezpieczeństwo, kordon wojska formuje solidną zaporę naokoło, zatrzymują napierające tłumy. Dodzwonienie się do posiadłości jest niemożliwe. Otrzymaliśmy lakoniczną informację, że pod tym numerem nie będą przyjmowane żadne rozmowy. Sam Taine nie opuszcza domu."

Hiram wrócił do kuchni i usiadł.

- Mówi o tobie - powiedział poważnie Beasly.

"Dziś rano krążyła pogłoska, że Taine, spokojny mieszkaniec miasteczka, majster i kupiec antyków, do wczoraj całkowicie nie znany, wrócił w końcu z wyprawy w ten nowy i nie zbadany ląd. Nie można jeszcze powiedzieć, co tam zastał. Nie ma także żadnych dalszych informacji o tym miejscu, poza faktem, że jest to pustynia, na której jak dotychczas nie natrafiono na ślad życia."

Wczoraj, późnym wieczorem, nastąpiło małe poruszenie. W lesie za drogą oddzielającą posiadłość znaleziono dziwny obiekt. Obszar ten został szybko otoczony kordonem wojska. Do tego czasu pułkownik Ryan, dowódca, nie powiedział nic na ten temat.

Tajemniczym człowiekiem w całej tej sprawie jest Henry Horton, jedyna prywatna osoba, wpuszczona do domu Taine'a. Horton, zapytany dziś na temat, powiedział niewiele, lecz zasugerował, że jest zaufanym gospodarza. Przyznał, że on i Taine są współnikami w jakimś tajemniczym przedsięwzięciu oraz pozostawił niejasne wrażenie, że współpracują w otwarciu nowego świata.

Horton, co należy podkreślić, prowadzi małą fabrykę komputerów i wiadomo z dobrych źródeł, że ostatnio dostarczył Taine'owi jakąś maszynę, co do której utrzymywana jest zrozumiała tajemnica. Istnieje wersja, że ta szczególna maszyna znajdowała się w procesie wdrażania przez sześć lub siedem lat.

Niektóre odpowiedzi na pytania, jak to wszystko się zdarzyło i obecnie się tam dzieje, muszą poczekać na przybycie grupy naukowców, którzy dziś wieczorem opuścili Waszyngton po całodniowej konferencji w Białym Domu, w której uczestniczyli także reprezentanci Sił Zbrojnych, Departamentu Stanu, Służby Bezpieczeństwa oraz Specjalnych Sekcji Obrony.

Wpływ na dzieje świata tego, co wydarzyło się wczoraj w Willow Bend, można porównać tylko do sensacyjnej wiadomości sprzed prawie dwudziestu lat o zruceniu pierwszej bomby atomowej.

Wśród obserwatorów istnieje przekonanie, że Willow Bend w rzeczywistości może być bardziej wstrząsające niż Hiroszima.

Waszyngton utrzymuje, że jest to sprawa tylko wewnętrzna i dąży jak najskuteczniej do

opanowania sytuacji dla narodowego dobra.

Ale za granicą wzrasta pogląd, że nie jest to sprawa narodowej polityki, dotyczącej jednej nacji, lecz zagadnienie o światowym zasięgu.

Istnieje nie potwierdzone doniesienie, że przedstawiciel Narodów Zjednoczonych wyrusza do Willow Bend. Francja, Wielka Brytania, Boliwia, Meksyk i Indie wyraziły już życzenie wysłania swoich obserwatorów na miejsce zajścia. Nie ma wątpliwości, że inne narody planują wystąpić z podobną prośbą do Waszyngtonu.

Dzisiejszej nocy świat stoi na krawędzi, czekając na słowa z Willow Bend i..."

Taine dosięgnął radia i wyłączył je.

- Sądząc po tym, co słyszeliśmy - powiedział Beasly - będziemy zalani grupą cudzoziemców.

"Tak, może tu przybyć grupa cudzoziemców, lecz dokładnie nie w tym znaczeniu, jakie miał Beasly na myśli. Używanie tego słowa, tak jak do tej pory, jest już przestarzałe. Żaden człowiek na Ziemi nigdy więcej nie będzie mógł być nazwany cudzoziemcem, mając pozaziemskie tuż obok, za sąsiednimi drzwiami. Kim byli na przykład ludzie z kamiennego domu? A może pozaziemskie życie nie tylko jednej planety, lecz wielu. Znalazł przecież drzwi do jeszcze jednej planety. Może było znacznie więcej takich drzwi i jak wyglądały te inne światy, jaki był ich cel?"

Ktoś znalazł lub coś znalazło sposób podróżowania, przemierzania lat świetlnych znacznie prościej i szybciej, niż przestrzeni. A kiedy ta droga została otwarta, to pozostanie już otwarta i będzie tak łatwa jak przejście z jednego do drugiego pokoju.

Tylko jeden problem zastanawiał go. Chodziło o obrót i ruch połączonych planet. Wszystkie przecież musiały być jakoś wspólnie połączone. Nie można bowiem ustalić stałych, faktycznych połączeń między obiektami, które poruszają się niezależnie od siebie.

Jeszcze kilka dni temu bez żadnych emocji spierałby się, że na pierwszy rzut oka cała ta idea jest fantastyczna i nierealna. A jednak, kiedy raz jedna niemożność została przekroczona, który logicznie myślący człowiek powie z całą szczerością, że i druga nie zostanie przekroczona?

Zadzwoił dzwonek u drzwi i Taine podniósł się. Przyszedł Ernie, człowiek od paliwa.

- Henry mówił, że chciałeś trochę benzyny. Przyszedłem powiedzieć, że jest to możliwe dopiero rano.

- W porządku. Nie potrzebuję jej teraz.

Hiram delikatnie zatrzasnął drzwi. Oparł się o nie i myślał: "Kiedyś będę musiał się z nimi spotkać. Nie mogę trzymać zamkniętych przed światem drzwi. Kiedyś, wcześniej czy później, Ziemia i ja będziemy musieli to zrobić."

To głupie myśleć w ten sposób, ale tak jest. Miał tu coś, czego Ziemia żądała, coś, czego potrzebowała, lub myślał, że potrzebuje. I w dodatku, według ostatniej analizy, na nim spoczywała odpowiedzialność. Zdarzyło to się na jego posiadłości, zdarzyło się to z jego domem, a może nawet, nie zdając sobie sprawy, przyczynił się do tego.

"Posiadłość i dom są moje, i ten świat na zewnątrz, który rozpościera się na podwórku. Nie ma znaczenia, jak daleki jest i gdzie kończy się moje podwórko."

Beasly wyszedł z kuchni, a Taine poszedł do salonu. Zwinięty Towser chrapał cichutko na wyściełanym krześle. Pozwolił mu tam zostać. Towser ma prawo spać tam, gdzie sobie życzy.

Hiram minął krzesło i podszedł do okna. Pustynia rozciągała się aż do odległego horyzontu.

Przed oknem siedzieli świstak i Beasly, jeden przy drugim. Odwróceni plecami do okna, patrzyli na pustynię.

Jakoś wydawało się to naturalne, że Beasly i świstak siedzą tu razem. Tych dwoje ma wiele wspólnego. To dobry początek, że człowiek i pozaziemskie stworzenie siedzą obok siebie.

Próbował wyobrazić sobie strukturę połączonych światów, których teraz Ziemia była częścią, i myślał o możliwościach wynikających z tego faktu.

Jeśli istniałby kontakt między Ziemią a innymi światami, to co wyniknie z niego?

Kontakt został już nawiązany, ale tak naturalnie, tak niedramatycznie, że kwalifikowano to jako wielkie, ważne spotkanie. Jeśli chodzi o Beasly'ego i świstaka, kontakt został nawiązany, i gdy wszystko będzie tak dalej szło, nie ma absolutnie powodu, by się martwić o cokolwiek.

To nieprzypadkowa sprawa, którą zaplanował. To było planowanie wykorzystujące długoletnią praktykę. To nie był pierwszy otwarty świat i nie będzie ostatni.

Małe szczeropodobne stworzenia przemierzyły przestrzeń - ilu lat świetlnych?... Nikt nie mógł się nawet domyślać, jak długo podróżowały w pojeździe, który został wykopany w lesie. Później zasypały go, tak jak dziecko, które ukrywa półmisek. Następnie przyszły właśnie do jego domu i ustawiły aparaturę, która stworzyła tunel między jednym a drugim światem, a kiedy zostało to zrobione, zniesiono potrzebę przemierzania przestrzeni kosmicznej raz na zawsze. Jest jedno przejście i to jedno przejście połączy planety.

Praca została wykonana i szczeropodobne stworzenia odeszły. Upewniły się jednak, czy przejście do ich planety wytrzyma wszelkie ataki. Wyłożyły dom w środku zadziwiającym materiałem, który oprze się siekierze i bez wątpienia bardziej skomplikowanym urządzeniom. Pomaszerowały w porządku na wzgórze, gdzie osiem pojazdów tkwiło na rusztowaniach. Teraz było już ich tylko siedem, bo stworzenia odeszły, i przyjdzie czas, że wylądują na innej planecie, i inne drzwi zostaną otwarte, by połączyć jeszcze jeden świat.

A może to będzie więcej niż połączenie światów, może to połączenie ludzi z tych światów?

Małe stworki były badaczami i pionierami odkrywającymi inne planety? Świstak musi także służyć temu celowi, a może przyjdzie czas, że znajdzie się cel, któremu człowiek będzie służył?

Odwrócił się od okna i rozejrzał po pokoju. Był dokładnie taki sam jak zawsze, odkąd go pamiętał.

"To jest rzeczywistość. Cokolwiek jeszcze może się wydarzyć, ten pokój, z kominkiem osmalonym przez wiele zim, z półkami wypełnionymi sfatygowanymi tomami, z wygodnym fotelem klubowym, starodawnym dywanem deptanym przez ukochane i niezapomniane stopy -pozostaną rzeczywistością."

To tylko chwilowa cisza przed burzą.

Jeszcze trochę, a zaczną przybywać tu wysoko postawione osoby, zespół naukowców, przedstawiciele władz, wojsko, obserwatorzy z obcych państw, osobistości z Narodów Zjednoczonych.

I przeciwko nim wszystkim stoi tu on, bezbronny i pozbawiony siły. Nie ma znaczenia, co powie lub pomyśli świat, nie potrafi powstrzymać tego świata.

To ostatni dzień, kiedy jeszcze czuje, że ma dom. Po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat nie Taine będzie spać pod jego dachem.

Stał i patrzył na kominek oraz półki z książkami. Czuł obecność starych bladych duchów, spacerujących po pokoju. Podniósł niepewnie rękę, jakby chciał pomachać na pożegnanie nie tylko duchom, ale i pokojowi. Zrezygnował jednak z tego.

"Jaki to ma sens" - pomyślał.

Wyszedł na ganek i usiadł na schodach. Beasly usłyszał go i obejrzał się.

- Jest miły - powiedział, klepiąc świstaka po ramieniu. - Wygląda jak wielki pluszowy miś.

- Tak, widzę.

- A co najlepsze, mogę rozmawiać z nim.

- Tak, wiem.

Zastanowił się, jak żyłoby się w prostym świecie Beasly'ego. Czasami, doszedł do wniosku, byłoby to wygodne.

Szczuropodobne stworzenia przybyły na statku kosmicznym, ale dlaczego akurat do Willow Bend. Dlaczego wybrały ten właśnie dom? Może tu mogły znaleźć sprzęt potrzebny do zbudowania przyrządów w tak łatwy i szybki sposób? Nie miał wątpliwości; wykorzystwały w tym celu komputer. Przynajmniej co do tego Henry się nie mylił. Pomijając wszystko, też odegrał w tym pewną rolę.

Czy mogli przewidzieć, że w tym szczególnym tygodniu i w tym szczególnym domu będą mieli możliwość szybko i łatwo zrobić to, co było ich celem?

Czy oprócz tych wszystkich talentów i technicznych możliwości posiadali również umiejętność jasnowidzenia?

- Ktoś idzie - powiedział Beasly.

- Nic nie widzę.

- Ani ja, ale świstak powiedział mi, że ich widzi.

- Powiedział ci!

- Mówiłem, że rozmawiamy z sobą. Tam, teraz też ich widzę. Znajdowali się daleko, ale poruszali się szybko; trzy punkty widoczne na pustyni.

Usiadł i obserwował, jak podjeżdżają. Pomyślał o tym, by wziąć strzelbę, ale nie ruszył się z miejsca na schodach.

"Strzelba byłaby nie na miejscu. Jediną rzeczą, którą może człowiek zrobić, to spotkać się z tymi stworzeniami z innego świata mając czyste i puste ręce."

Byli teraz bliżej i odniósł wrażenie, że siedzą na niewidzialnych krzesłach, poruszających się bardzo szybko.

Widział, że w pewnym stopniu byli humanoidami.

Podjechali z rozpędem i zatrzymali się gwałtownie dziesięć metrów przed nim. Nie poruszył się, nie wydobył z siebie ani jednego słowa, nie miał nic do powiedzenia. Byli może trochę mniejsi od niego i czarni jak oczka pikowe w kartach. Nosili obcisłe szorty i kamizelki, które były jakoś za duże. Błękitne spodnie i kamizelki przypominały kwietniowe niebo.

Ale nie to było dziwne.

Siedzieli w siodłach, do których przywiązane było coś, co przypominało śpiwór; nogi mieli w strzemionach, ale brakowało im koni!

Siodła unosiły się w powietrzu, a pozaziemskie istoty lekko na nich siedziały i spoglądały na Taine'a, a on na nie.

W końcu wstał i zrobił krok do przodu. Trzej przybysze też zsiadli z siodel i podeszli. Przybliżali się, aż odległość nie była większa niż metr.

- Mówią "dzień dobry" - powiedział Beasly. - Witają cię.

- W porządku. Powiedz im... Słuchaj, skąd ty to wszystko wiesz?

- Świstak mówi mi, a ja tobie. To, co ty powiesz, ja powiem, a on powie im. Tak to funkcjonuje. Po to tutaj jest.

- Dobrze, będą... - powiedział Taine. - Więc naprawdę potrafisz rozmawiać z nim?

- Mówiłem ci, że potrafisz - wściekł się Beasly. - Mówiłem ci też, że potrafisz rozmawiać z Towserem, ale ty myślałeś, że jestem szalony.

- Telepatia! - powiedział Taine.

I to było gorsze niż wszystko dotąd. Szczuropodobne stworzenia też wiedziały o predyspozycjach Beasly'ego.

- Co mówiłeś, Hiram?

- Nieważne. Powiedz im, że twój przyjaciel mówi, że miło mu poznać ich, i pyta, co może dla nich zrobić.

Stał w niewygodnej pozycji i wytrzeszczał oczy na tych trzech. Zauważył, że ich kamizelki miały mnóstwo kieszeni i były wypchane może jakimś tytoniem, chusteczkami do nosa, scyzorykami i innymi rzeczami.

- Mówią - powiedział Beasly - że chcą frymarczyć.

- Frymarczyć?

- Jasne, no wiesz, Hiram... handlować. Beasly zaśmiał się cicho.

- Wyobraź ich sobie narażonych na handel z jankeskim handlarzem. Tak Henry mówi o tobie. Twierdzi, że potrafisz zręcznie obdrzeć człowieka ze skóry...

- Zostaw Henry'ego - powiedział oschle Taine. - Trzymaj go z dala od tego.

Usiadł na ziemi i ci trzej usiedli naprzeciw niego.

- Spytaj ich, czym chcą handlować.

- Pomysłami.

- Pomysłami! To szalone...

I wtedy uświadomił sobie, że wcale nie było to szalone. Pomysły były najbardziej wartościowym i cennym towarem. Nie zajmowały miejsca, nie dezorganizowałyby gospodarki, przynajmniej nie od razu, stanowiłyby większy wkład w dobra kulturowe.

- Spytaj ich - powiedział Taine - co chcą w zamian za pomysł tych siodeł, na których przyjechali.

- Pytają, co masz do zaoferowania.

To było kłopotliwe pytanie. Właśnie to jedno, na które trudno mu było odpowiedzieć.

Samochody, ciężarówki z wewnętrznym silnikiem benzynowym - no cóż, prawdopodobnie nie. Mają przecież już siodła. Z ich punktu widzenia Ziemia była zacofana, jeśli chodzi o transport. Architektura domów też nie. Na pustyni stał dom, więc to znają. Ubrania?

Nie, mieli ubrania. Farba... może farba?

- Sprawdź, czy są zainteresowani farbą - powiedział Taine.

- Pytają, co to jest. Proszą, byś wyjaśnił.

- W porządku. Zobaczmy. To ochronny środek, którym pokrywa się prawie każdą powierzchnię. Łatwy do pakowania i stosowania. Chroni przed wpływami powietrza i korozją. Ma także funkcje dekoracyjne. Dostępny we wszystkich kolorach, tani.

- Wzięło ich - powiedział Beasly. - Są trochę zainteresowani, chcą posłuchać więcej. Mów dalej.

"A więc tak" - pomyślał Taine.

Usiadł pewniej na ziemi, pochylił się lekko do przodu, skupił spojrzenie na trzech nieruchomych hebanowych twarzach i próbował wywnioskować, o czym mogą myśleć.

Okazało się to niemożliwe. Trzy najbardziej nieodgadnione twarze, jakie dotąd spotkał. Nie

przeszkadzało mu to, poczuł się w swoim żywiole.

Czuł jakoś podświadomie, że udało mu się spotkać najlepszą kupiecką opozycję. To poprawiało jego samopoczucie.

- Powiedz im - powiedział - że nie jestem całkiem pewien. Może zbyt pochopnie zaproponowałem. Poza tym farba jest nie byle jakim, wartościowym pomysłem.

- Mówią przez grzeczność, nie dlatego, że naprawdę są zainteresowani.

"Zgiałem ich. Jeśli rozegram to prawidłowo..." Usadowił się, by zacząć targi na serio.

Kilka godzin później zjawił się Henry Horton. Towarzyszył mu wykwinny, nienagannie ułożony dżentelmen, niosący pod pachą elegancką skórzaną walizeczkę.

Obydwaj, zdziwieni, zatrzymali się na schodach.

Taine przykucnął nad kawałkiem deski i zamazywał ją farbą. Pozaziemskie istoty obserwowały go. Bohomazy na ich ciałach dowodziły, że wcześniej robili to sami. Na ziemi leżały kawałki w połowie pomalowanych desek i kilka tuzinów starych puszek farby.

Taine spojrział w górę i zobaczył Henry'ego z nie znanym człowiekiem.

- Spodziewałem się, że ktoś w końcu się zjawi.

- Hiram - powiedział Henry z większym niż zwykle naciskiem - pozwól, że przedstawię ci pana Lancastera. Jest specjalnym reprezentantem Narodów Zjednoczonych.

- Miło mi pana poznać. Ciekawy jestem, czy...

- Pan Lancaster - uroczyście wyjaśnił Henry - miał pewne kłopoty z przedostaniem się tutaj, więc zaferowałem swoje usługi. Wyjaśniłem mu już nasz wspólny wkład w tę sprawę.

- Miło z pana strony, panie Horton - powiedział Lancaster. - Ten głupi sierżant...

- Wiem - powiedział Henry - jak utrzymać ludzi.

- Czy mogę dowiedzieć się, panie Taine - spytał Lancaster - co dokładnie pan robi?

- Frymarczę.

- Frymarczę. Co za oryginalny sposób wyrażania!

- Stare, jankeskie słowo - powiedział szybko Henry - z pewną własną konotacją. Kiedy handlujesz z kimś, wymieniasz towary, ale jeśli frymarczysz z nim, masz zamiar zedrzeć z niego skórę.

- Interesujące - powiedział Lancaster. - Przypuszczam, że zedrze pan skórę z tych dżentelmenów w błękitnych kamizelkach.

- Hiram - powiedział dumnie Henry - jest najbardziej przebiegłym kupcem frymarczącym w tych okolicach. Zajmuje się antykami i musi ciężko frymarczyć...

- Czy mogę spytać? - powiedział Lancaster, ignorując całkowicie Henry'ego. - Co będzie pan robił z tymi puszkami farby? Czy ci dżentelmeni to potencjalni klienci na farbę, czy?...

Taine odrzucił deskę i wyprostował się, zezłoszczony.

- Czy nie zamkniecie się obydwaj?! - krzyknął. - Usiłuję powiedzieć coś, odkąd tu jesteście, ale nie dopuszczacie mnie do słowa. A mówię wam, to jest ważne...

- Hiram! - wykrzyknął przerażony Henry.

- Wszystko w porządku. Trajkotaliśmy. A więc, panie Taine?

- Jestem zapędzony w kozi róg. Potrzebuję pomocy. Sprzedałem tym gościom pomysł na farbę, ale nie wiem o niej wielu rzeczy, nie znam zasady otrzymywania, ani nie wiem, co wchodzi w jej skład lub...

- Ale, panie Taine, jeśli sprzedaje pan farbę, co to za różnica...

- Nie sprzedaję im farby! - wykrzyknął Taine. - Nie rozumiesz tego? Oni nie chcą farby. Chcą pomysł na farbę. Chcą to, o czym nigdy nie myśleli, tym są zainteresowani. Oferuję im pomysł farby w zamian za pomysł siodeł i prawie go już dostałem.

- Siodła? Ma pan na myśli te rzeczy wiszące tam w powietrzu?

- Właśnie. Beasly, czy mógłbyś poprosić naszych przyjaciół o zademonstrowanie siodeł?

- Pewnie, możesz się o to założyć - powiedział Beasly.

- Co Beasly ma z tym wspólnego? - zapytał Henry.

- Beasly jest tłumaczem. Można go nazwać telepatą. Pamiętasz? Zawsze twierdził, że może rozmawiać z Towserem.

- Beasly zawsze coś twierdził.

- Ale tym razem ma rację. Mówi świstakowi, temu zabawnie wyglądającemu stworowi, co ja chcę powiedzieć, a świstak mówi to obcym. A ci mówią świstakowi, świstak Beasly'emu, Beasly mnie.

- Śmiechu warte! - parsknął Henry. - Beasly nie ma na tyle rozumu, by być... Jak to określiłeś?

- Telepatą - powiedział Taine.

Jeden z przybyszów wstał i wspiął się na siodło. Pojechał do przodu i do tyłu, później zeskoczył z niego i usiadł znowu na ziemi.

- Nadzwyczajne - zachwycił się młody człowiek. - Pewien rodzaj antygravitacji połączonej z całkowitą kontrolą. Rzeczywiście, moglibyśmy zrobić z tego użytek.

Podrapał się po policzku.

- I masz zamiar zamienić pomysł farby na pomysł tego siodła?

- Dokładnie tak - powiedział Taine - lecz potrzebuję pewnej pomocy. Przydałby się chemik, producent farb lub ktoś, kto objaśni, jak otrzymuje się farbę. Potrzebuję też jakiegoś profesora lub kogoś, kto zrozumie ich objaśnienia dotyczące siodła.

- Widzę - powiedział Lancaster - że ma pan problem, panie Taine. Wydaje mi się pan człowiekiem błyskotliwym...

- Och, taki właśnie jest - przerwał Henry. - Hiram jest całkiem bystry.

- Więc sądzę, rozumie pan, że cały ten proceder jest niezgodny z przepisami...

- Ależ jest - wybuchnął Taine. - W ten sposób właśnie działają. Przybywają na planetę i wymieniają na niej pomysły. Od bardzo, bardzo dawna robili to już na innych planetach. Pomysły, to wszystko, co chcą. Jest to sposób na dalsze rozbudowywanie kultury i techniki. Mają mnóstwo pomysłów, proszę pana, z których rodzaj ludzki mógłby skorzystać.

- O to właśnie chodzi - powiedział Lancaster. - Może to najważniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek przydarzyła się nam, ludziom. W krótkim czasie możemy otrzymać dane i pomysły, które, teoretycznie, przesuną nas co najmniej o tysiąc lat do przodu. W samej rzeczy jest to tak ważne, że powinniśmy mieć zawodowych ekspertów...

- Ale - zaprotestował Henry - nie znajdzie pan człowieka, który prowadziłby lepszy handel wymienny niż Hiram. Kiedy targuję się z nim, tylne zęby nie są bezpieczne. Dlaczego pan go nie zostawi? Wykona pracę dla pana. Może pan zebrać swoich ekspertów i pozwolić działać Hiramowi. Ci faceci zaakceptują go i zrobią z nim interes. Czego pan więcej chce? Wszystko, czego on potrzebuje, to niewielka pomoc.

Beasly podszedł i spojrzał śmiało w oczy młodemu człowiekowi.

- Nie będę pracował z nikim innym - powiedział. - Jeśli wykopiesz stąd Hirama, pójdę razem z

nim. Hiram jest jedyną osobą, która traktuje mnie jak człowieka...

- O, widzi pan! - z triumfem powiedział Henry.

- Poczekaj sekundę, Beasly. To warte zachodu. Wyobrażam sobie, że tłumacz w sytuacji takiej jak ta, mógłby dostać przyzwoite zarobki.

- Pieniądze nic dla mnie nie znaczą. Nie kupi się za nie moich przyjaciół. Ludzie śmialiby się ze mnie.

- On nie żartuje, proszę pana - ostrzegł Henry. - Nie znam nikogo, kto byłby tak nieustępliwy jak Beasly. Wiem, co mówię, pracował u nas.

Lancaster spojrzał, oszołomiony, i nie bez pewnej desperacji.

- Znalezienie telepatyka, kogoś zdolnego do łączności telepatycznej, zajmie nieco czasu - powiedział Henry. - Przynajmniej jednego, który potrafi rozmawiać z tymi przybyszami.

Człowiek z Narodów Zjednoczonych spojrzał, jak gdyby się dusił.

- Wątpię - rzekł. - Jest niejeden taki na Ziemi.

- Dobra - powiedział brutalnie Beasly. - Zdecydujemy. Nie mam zamiaru tkwić tu cały dzień.

- W porządku! Idziecie wy dwaj. Nie możemy utracić tej szansy. Potrzebujecie jeszcze czegoś?

Czegoś, co mógłbym dla was zrobić?

- Tak, jest coś takiego - stwierdził Taine. - Przybędą tu chłopcy z Waszyngtonu i grube ryby z innych krajów. Po prostu trzymajcie ich z dala ode mnie.

- Przekażę to osobiście każdemu. Nie będzie żadnych zakłóceń.

- I potrzebuję tego chemika, i kogoś, kto znałby się na siodłach. Już teraz! Mogę poczekać trochę, lecz nie za długo.

- Kogo tylko chcesz, będziesz miał za kilka godzin. A za dzień lub dwa znajdzie się tu ekipa ekspertów oczekująca na moment powiadomienia ich, że są potrzebni.

- Sir - powiedział z namaszczeniem Henry. - Jest to najlepsza współpraca. Zarówno Hiram, jak i ja doceniamy ją. A teraz, skoro to już postanowione, rozumiem, że reporterzy czekają na pańskie oświadczenie.

Wydawało się, że młody człowiek nie miał nic przeciwko temu. On i Henry weszli na schody.

Taine rozejrzał się i spojrzał na pustynię.

- To wielkie frontowe podwórze - powiedział.

Tłumaczyła Elżbieta Kwasowska-Jachimowska

Dezintegracja mózgu

(The Burning of the Brain) Cordwainer Smith (1913 - 1966)

Zdumiewający Cordwainer Smith (Paul M. A. Linebarger) był jedną z tych postaci, które, skromnie mówiąc, wywarły wpływ na literaturę fantastyczno-naukową. Przez ostatnie dwadzieścia lat swojego życia był profesorem polityki azjatyckiej na Wydziale Polityki Zagranicznej Uniwersytetu Johna Hopkinsa. W latach 1942-1966 był również oficerem armii Stanów Zjednoczonych; pełnił funkcję pośrednika w założeniu Biura Informacji Wojennej.

Był światowym autorytetem w dziedzinie propagandy wojennej. Część swojej służby spędził w Chinach, co tłumaczy orientálną atmosferę i nastrój wielu jego opowiadań. Wśród jego książek o tematyce spoza kręgu fantastyki, znajdują się: Rząd w Republice Chińskiej (Government in Republican China) z roku 1938, Rządy dalekowschodnie (Far Eastern Governments) oraz Polityka (Politics) z roku 1952. Przeważająca część jego twórczości z zakresu science-fiction dotyczy problemu tak zwanej "pomocy dla ludzkości", który można zaliczyć do jednego z większych tematów nowoczesnej literatury fantastyczno-naukowej.

"Dezintegracja mózgu" jest nowym spojrzeniem na podróże w kosmosie. Temat ten można znaleźć w wielu jego opowiadaniach. Jedynie w twórczości Barry'ego N. Malzberga temat podróży kosmicznych podjęty był z podobną wrażliwością i z podobnym sukcesem. Cordwainer Smith napisał wiele opowiadań z zakresu psychopatologii podróży kosmicznych. Jego twórczość, tak jak twórczość wielu innych pisarzy z tej branży, prezentuje po prostu różnorodność spojrzeń na to zagadnienie.

(Martin H. Greenberg)

"Nie lubię podróży, więc nie przywiązuję uwagi do szczegółów tego zjawiska. Kiedy muszę gdzieś dotrzeć, to po prostu idę lub biorę taksówkę, lub jadę samochodem. Za każdym razem odczuwam ból głowy, który mija, gdy już docieram do celu podróży. Oczywiście, podróżuję tak rzadko jak tylko jest to możliwe. Z tej przyczyny, kiedy piszę o podróżach kosmicznych, staram się ten temat ograniczyć do minimum. Po prostu wsiadasz do statku kosmicznego, zapalasz silniki i ruszasz w drogę z rękami pewnie trzymającymi koło sterownicze. Ważne jest, aby dotrzeć do miejsca przeznaczenia i dalej kontynuować opowieść. (Oczywiście, trochę przesadzam.) Jednak faktem jest, że każdy ze sposobów podróżowania ma swoją ukrytą tajemnicę. Zupełnie innym uczuciem jest bycie kapitanem statku w czasie sztormu, jeszcze inne - bycie za kierownicą w korku ulicznym czy podczas kołowania w samolocie, czekając na pozwolenie lądowania."

Czytając te słowa, musimy stwierdzić, że Cordwainer Smith loty kosmiczne i życie pilota w kosmosie opisał w zupełnie nietypowy, odmienny sposób, różny od wszystkiego, co znaliśmy do tej

pory.

(Isaac Asimov)

I Dolores Oh

Czy wiecie, jakie to smutne, a nawet przygnębiające uczucie przemieszczać się w przestrzeni bez potrzeby latania, poru sząć się między gwiazdami z łatwością ćmy dryfującej między lićmi w letnią noc.

Ze wszystkich Mężczyzn, którzy transformowali wielkie statki w planoformy, nikt nie był dzielniejszy, silniejszy od kapitana Magna Taliana.

Skanersy od dawna poszły w zapomnienie, a efekt jonosoidalny stał się tak prosty, że przeskok w latach świetlnych dla większości pasażerów dużych statków nie były trudniejsze od przejścia z jednego pokoju do drugiego.

Pasażerowie podróżowali z łatwością.

Bez załogi.

Wystarczył tylko kapitan.

Statek jonosoidalny, mający odbyć podróż międzygwiazdną, miał być dowodzony przez człowieka o rzadkich, niespotykanych zdolnościach. Jego sztukę radzenia sobie ze wszystkimi komplikacjami związanymi z przestrzenią można było porównać z umiejętnościami starożytnych żeglarzy, wychodzących cało z najdzikszego sztormu.

Kapitanem na Wu-Feinsteinie, najwspanialszym okręcie w swojej klasie, był Magno Taliano.

Mówiono o nim, że mógłby przedrzeć się przez czeluście piekieł. Ponoć jego mózg był najlepszym urządzeniem nawigacyjnym w sytuacji, gdy zawodziły wszystkie urządzenia pokładowe.

Jego żoną była Dolores Oh. Jej nazwisko powstało w czasach, w których żył naród zwany Japończykami. Dolores była kiedyś niezwykle piękna. Mężczyznom jej widok zapierał dech w piersiach, przyprawiał ich o zawrót głowy i doprowadzał do utraty zmysłów. Niejeden młodzieniec z jej powodu popadł w straszliwą chorobę; przeżył koszmar nie zaspokojonej namiętności i okrutnej tęsknoty. Gdziekolwiek się pojawiła, mężczyźni wszczynali spór na jej tle, nierzadko kończący się bójką.

Dolores Oh była jednak kobietą dumną w skali przekraczającej wszelkie wyobrażenia. Nie stosowała żadnych modnych kuracji odmładzających. Straszliwa tęsknota sprzed mniej więcej stu lat wycisnęła na jej twarzy piętno. Być może Dolores Oh mówiła sobie w duszy, stojąc przed lustrem, w którym dostrzegła okruchy nadziei i trwogi: "To jestem ja. Jest przecież jakieś »ja« znaczące więcej niż piękno mojej twarzy; coś innego niż powab mojej skóry i delikatne rysy. Czym jest to, za czym ci wszyscy mężczyźni tak szaleją? Czy kiedykolwiek zdołam poznać samą siebie, jeśli nie pozwolę, by moja uroda wyblakła, i nie zaakceptuję ciała, którego stan określi mój wiek?"

Jej romans z kapitanem, zakończony małżeństwem, stanowił temat plotek na czterdziestu planetach i spowodował zamęt w połowie linii komunikacyjnych.

Geniusz Magna Taliana dopiero rozkwitał. Trzeba wiedzieć, że kosmos jest potężny, potężny jak najdziksze wody oceanu ogarniętego burzą; najeżony niebezpieczeństwami, którym podołać mogą

jedynie najzręczniejsi, najszybsi, najodważniejsi.

Najlepszym z nich wszystkich, bez względu na wiek i klasę, był Magno Taliano, przewyższający starszych i bardziej doświadczonych od siebie.

Jego małżeństwo z najpiękniejszą kobietą czterdziestu światów było wydarzeniem na miarę ślubu Heloizy i Abelarda albo też przywodziło w pamięci nie zapomniany romans Helen Ameriki i pana Grey-no-more'a.

Statki kapitana Magna Taliana stawały się coraz lepsze, on osiągał coraz więcej.

Utrzymywał przytłaczającą przewagę nad innymi kapitanami. Było nie do pomyślenia, aby najlepszym statkiem kosmicznym ludzkości, omijając bezpiecznie wszelkie podstępne zasadzki dwuwymiarowej przestrzeni, kierował ktoś inny niż kapitan Magno Taliano.

Stopkapitanowie byli dumni, mogąc podróżować w przestrzeni obok niego. (Stopkapitanowie mieli za zadanie jedynie sprawdzanie kursu statku, załadunku i rozładunku towarów. Byli tylko zwykłymi ludźmi. Ich świat stał o wiele niżej od świata pełnego przygód kapitana Magna.)

Magno Taliano miał siostrzenicę, która w nowoczesnym stylu używała zamiast nazwiska określenia miejsca, stąd nazywała się "Dita z Dużego Południowego Domu".

Dita, wkraczając na pokład Wu-Feinsteina, wiele słyszała o swojej ciotce, Dolores Oh, kobiecie, która podbiła niegdyś serca mężczyzn wielu światów. Dita była zupełnie nie przygotowana na to, co zobaczyła.

Dolores przywitała ją uprzejmie, lecz pod tą uprzejmością ukryty był niepokój. Życzliwość Dolores była czystą farsą, a powitanie samo w sobie atakiem.

"Co się dzieje z tą kobietą?" - myślała Dita.

Jakby w odpowiedzi na to zadane w myślach pytanie Dolores powiedziała:

- Jak to miło spotkać kobietę, która nie próbuje odebrać mi Taliana. Kocham go. Czy mi wierzysz?

- Oczywiście - odpowiedziała Dita. Patrzyła na zniszczoną twarz Dolores Oh, na drżący w jej oczach paniczny strach. Zrozumiała, że Dolores, przekroczywszy wszelkie granice zazdrości, stała się nocnym widmem, godnym jedynie współczucia. Wszelkie siły witalne czerpała ze swojego męża. Odrzucała w swojej zaborczości nawet przypadkowe znajomości czy przejawy przyjaźni, obawiając się, że dla niej nie zostanie już nic. Bała się bezgranicznie, że bez Magna stanie się bardziej samotna i zagubiona niż najczarniejsza z dziur w pustce kosmicznej.

Magno Taliano wszedł.

Spostrzegł siostrzenicę obok swojej żony.

Musiał chyba już przywyknąć do Dolores Oh. W oczach Dity Dolores była bardziej przerażająca niż unurzany w błocie gad. Dla Magna Taliana ta okropna kobieta, która jak wiedźma stała przed nim, była w jakiś niewytłumaczalny sposób nadal tą samą piękną młodą dziewczyną, którą poznał i poślubił przed sześćdziesięciu laty. Pocałował jej pomarszczoną szyję, pogłaskał jej zniszczone włosy, spojrzął w jej pełne lęku oczy. Zobaczył oczy dziewczyny, którą pokochał. Powiedział miękko i czule:

- Bądź dobra dla Dity, moja droga.

Po wypowiedzeniu tych słów przeszedł do swojej kabiny płasko-przestrzennych transformacji. Stopkapitan czekał już na niego. Przez otwarte okna statku wpadało przyjemne świeże powietrze atmosfery planety Sherman.

Wu-Feinstein, najlepszy statek tej klasy, nie posiadał metalowych ścian. Przypominał

prehistoryczny budynek Mount Vernon. W czasie podróży międzygwiazdnych był otoczony własnym, twardym, samood-nawiającym się polem siłowym.

Pasażerowie spędzili kilka przyjemnych godzin spacerując po trawie, ciesząc się z przestronnych pokoi, ucinając sobie pogawędki pod wspinałym symulowanym niebem. Tylko kapitan, siedząc w swojej kabinie, pracował.

Siedział naprzeciwko swoich światłowców akurat w momencie, kiedy prowadził statek z jednej kompresji w drugą i śmiało przeskakiwał przestrzeń, czasami jeden rok świetlny, czasami sto lat świetlnych. Skok, skok, skok, dopóki statek dzięki lekkiemu dotknięciu myśli kapitana po przebyciu miliona światów i miliona niebezpieczeństw nie dotarł do celu podróży. Lądował leciutko jak piórko, wysadzał swoich pasażerów w przytulnym zakątku, gdzie mogli odpocząć po podróży, która minęła tak szybko jak krótkie popołudnie spędzone w miłym, starym domku nad brzegiem rzeki.

II Zagubione zamknięte pole

Magno Taliano skinął głową w kierunku swoich światłowców. Stopkapitan ukłonił się służalczo, stojąc w drzwiach kabiny. Taliano patrzył na niego surowo, lecz przyjaźnie. Zadał, jak zwykle, formalne pytanie:

- Panie kolego, czy wszystko przygotowane do efektu jonosoidalnego?

Stopkapitan ukłonił się raz jeszcze i odpowiedział:

- Oczywiście, wszystko przygotowane, panie i władco.

- Zamknięte pola na swoim miejscu?

- Tak, na swoim miejscu, panie i władco.

- Pasażerowie bezpieczni?

- Pasażerowie bezpieczni, w komplecie, zadowoleni i gotowi do podróży, panie i władco.

Następnie padło najważniejsze pytanie:

- Czy moi światłowcy i ich odbiorniki gotowi są do połączenia?

- Tak, gotowi, panie i władco.

Po wypowiedzeniu tych słów Stopkapitan oddalił się. Magno Taliano uśmiechnął się do swoich światłowców. Przez ich umysły przechodziły wciąż te same myśli.

"Jak może człowiek przez tyle lat spokojnie znosić małżeństwo z taką wiedźmą jak Dolores Oh? Jak mogło to straszyc kiedykolwiek być piękną? Wspaniałą czterowymiarową wizerunek młodej Dolores w niczym nie przypomina tej bestii, którą teraz jest."

Natomiast kapitan był zadowolony ze swojego małżeństwa z Dolores Oh mimo upływu tylu lat. Jej zaborczość w stosunku do niego nie była dla niego uciążliwa. Energii życiowej kapitana starczyłoby dla dwu lub więcej osób.

Czyż nie był kapitanem największego statku do podróży międzygwiazdnych?

Podczas gdy światłowcy wysyłali w jego kierunku pozdrowienia, jego prawa ręka nacisnęła złoty dźwadek. Był to jedyny mechaniczny przyrząd na statku. Wszystkie inne były istniejącymi od dawna połączeniami telepatyczno-elektronicznymi.

Wewnątrz kabiny kapitana rozpoczęła się transformacja płasko-przestrzenna. Otoczyła ją wzburzona kosmiczna tkanka.

Na zewnątrz kabiny pasażerowie spokojnie spacerowali po zielonych trawnikach.

Magno Taliano, siedząc sztywno w swym kapitańskim fotelu, wyczuł wyłaniający się z przeciwległej ściany specjalny wzór. Miał on odpowiedzieć kapitanowi na pytanie, gdzie się aktualnie znajdują i jak mają się dalej przemieszczać.

Kapitan kierował statkiem za pomocą impulsów wysyłanych ze swego mózgu.

Przeciwległa ściana, będąca zbiorem żyjących zamkniętych pól, była doskonałym uzupełnieniem jego umysłu. Ściana zbudowana była tak, by móc wciąż na nowo rozwiązywać wszelkie możliwe nieprzewidziane sytuacje w czasie przechodzenia przez nieznaną bezmiar czasu i przestrzeni.

Nastąpił wybuch supernowej.

Magno Taliano czekał na wskazówki, które miały napłynąć ze ściany. Chciał jednym ruchem umiejscowić statek w określonym wzorze gwiazdnej przestrzeni i przemieścić się ogromnymi skokami od punktu wyjścia do miejsca przeznaczenia.

Tym razem czekał bezskutecznie. "Nic?"

Po raz pierwszy od stu lat ogarnęła go panika. To niemożliwe. Żadnej odpowiedzi zamkniętych pól.

Jego umysł wniknął w ścianę. I wtedy dopiero zrozumiał, że są zgubieni. Coś, co nigdy w historii nie przydarzyło się żadnemu statkowi, stało się nieodwracalne. Wskutek jakiejś pomyłki cała ściana zbudowana była z identycznych kopii jednego zamkniętego pola.

Najgorsze było to, że przeprowadzenie Powrotu Ratunkowego również było niemożliwe. Błądzili wśród obcych, nie znanych gwiazd.

Czekała ich niechybna śmierć.

Gdy energia statku wyczerpie się, zginą w zimnie i ciemności. To będzie koniec, koniec statku Wu-Feinstein, koniec Dolores Oh.

III Sekret starego mózgu

Pasażerowie statku Wu-Feinstein nawet nie podejrzewali, że stali się rozbitkami w kosmicznej otchłani.

Dolores Oh siedziała w starożytnym fotelu na biegunach i kołysała się miarowo. Patrzyła bez wyraźnej przyjemności na fantomową rzekę, płynącą przez fantomowy krajobraz. Dita z Wielkiego Południowego Domu siedziała obok niej. Dolores opowiadała jej o swoich podróżach w młodości oraz o kłopotach, w które popadła z winy swej urody.

-... i wtedy strażnik zabił kapitana. Wszedłszy do mojej kabiny, powiedział: "Musisz mnie teraz poślubić. Poświęciłem dla ciebie wszystko". A ja odpowiedziałam: "Nigdy nie mówiłam, że cię kocham. To było wspaniałe z twojej strony, że biłeś się o mnie. W pewnym sensie złożyłeś hołd mojej urodzie. Nie znaczy to jednak, że należę do ciebie do końca życia. Cóż ty sobie wyobrażasz!"

Dolores wydała z siebie westchnienie przypominające skrzywienie gałęzi starego drzewa na wietrze.

- Tak więc sama widzisz, Dito, że niełatwo być piękną kobietą. Najważniejsze, by w człowieku nie uroda była najważniejsza. Mój pan i mąż, kapitan, kocha mnie pomimo tego, że moja uroda minęła już bezpowrotnie. Kocha po prostu mnie samą. Czyż to nie wspaniałe?

Nagle dziwna postać pojawiła się na werandzie. Był to światłowiec w pełnym bojowym ubraniu. Do tej pory światłowcy nigdy nie opuszczali kabiny kapitana. Było to dość niezwykle, że nagle jeden z nich pojawił się wśród pasażerów.

Uklonił się dwóm kobietom i powiedział:

- Czy zechciałyby panie wejść do pokoju kapitana? Powinnyście natychmiast się z nim zobaczyć.

Twarz Dolores gwałtownie się zmieniła. Jej twarz przypominała twarz kogoś, kto od lat żył w panicznym lęku, oczekując, że coś takiego może się wydarzyć.

Dita i Dolores w milczeniu podążyły za światłowcem. Ciężkie metalowe drzwi kabiny kapitana zamknęły się za nimi. Magno Taliano siedział sztywno w swoim fotelu.

Mówił bardzo wolno, a jego głos brzmiał jak dźwięk starej płyty starożytnego gramofonu.

- Jesteśmy zagubieni w kosmicznej przestrzeni, moja droga - powiedział niezwykłym, lodowatym głosem kapitan. - Jesteśmy zagubieni w kosmicznej przestrzeni i aby myśleć o powrocie, musicie wesprzeć mój umysł.

Dita chciała coś powiedzieć. Światłowiec zauważył to i powiedział:

- Mów, moja droga. Może ty masz jakiś pomysł?

- Dlaczego nie możemy po prostu wrócić? Byłoby to może upokarzające, lecz lepsze od śmierci. Użyjmy Zamkniętego Pola Energetycznego Powrotu. Świat wybaczy Magnowi Talianowi jedną pomyłkę wśród tysiąca błyskotliwych, zakończonych sukcesem podróży.

Światłowiec, młody mężczyzna o przyjemnym wyglądzie, był przyjazny, lecz chłodny i spokojny, jak lekarz informujący o czyjejs "Śmierci".

- Niemożliwe stało się możliwe, Dito z Wielkiego Południowego Domu. Zamknięte pola są pomyłką. Wszystkie pola są pomyłką. Wszystkie są takie same. Żadne z nich nie umożliwi energetycznego powrotu.

Teraz dopiero obydwie kobiety zrozumiały, w jakiej tragicznej znalazły się sytuacji. Wiedziały teraz dokładnie, jaki ich czeka los. Kosmos wniknie w ich ciała i rozerwie na pojedyncze włókienka, a śmierć będzie powolna, z godziny na godzinę, dopóki ich ciała, rozerwane na cząsteczki, nie znikną w jego otchłani. Mogliby również zginąć w jednej chwili, gdyby kapitan, nie chcąc czekać na powolną śmierć, zdecydował się zniszczyć statek. Tym, którzy wierzyli w Boga, została już tylko modlitwa.

Światłowiec powiedział do kapitana:

- Wydaje nam się, że widzimy znajomy wzór w jednym z zakrętów pańskiego mózgu. Czy możemy to sprawdzić?

Taliano skinął głową bardzo powoli i ociężale.

Światłowiec wciąż stał.

Pozornie nic się nie działo, lecz obydwie kobiety wiedziały, że w niewidzialnym dla oka wymiarze toczy się dramatyczna walka. Umysły światłowców głęboko sondowały mózg kapitana. Szukały rozwiązania, które mogło być zakodowane w amidowych przekaźnikach mózgu Taliana. Rozwiązanie to mogło uratować statek.

Mijały minuty. Ciągnęły się jak długie godziny. Wreszcie światłowiec powiedział:

- Właśnie przeszukujemy śródmózgowie. W zakręcie jego kory znajduje się gwiazdny wzór, który przypomina naszą obecną pozycję. - Światłowiec zaśmiał się nerwowo: - Chcemy wiedzieć, czy wrócimy do domu, używając informacji zawartych w pana mózgu?

Magno Taliano patrzył na nich przerażonym wzrokiem. Jego wolny głos dotarł do nich raz jeszcze.

- Uważacie, że uda mi się przemieścić statek przy pomocy informacji zawartych w moim mózgu? Spowoduje to unicestwienie mojego umysłu, nie gwarantując, że przeskok się uda.

- Ale to się nie uda! - krzyknęła Dolores Oh. Jej twarz wyrażała głęboką wiarę w to, że katastrofy nie da się już uniknąć. Dolores krzyknęła do swojego męża:

- Obudź się, mój drogi! Chcę umrzeć razem z tobą. Nareszcie będziemy należeć do siebie na zawsze.

- Po co umierać? - powiedział miękko światłowiec. - Powiedz im, Dito.

- Dlaczego mamy umierać, wujku? Dlaczego nie chcesz spróbować? - zapytała Dita.

Magno Taliano powoli odwrócił głowę w kierunku swojej siostrzenicy. Rozległ się jego głos:

- Jeżeli to zrobię, stanę się głupcem lub dzieckiem, lecz zrobię to dla ciebie.

Dita czytała niegdyś prace kapitana. Wiedziała, że przez zniszczenie śródmózgowia człowiek zostaje zredukowany do poziomu zwierzęcia.

Magno Taliano nie czekał.

Wyciągnął powoli rękę i uścisnął dłoń Dolores Oh.

- Jeżeli zginę, wreszcie będziesz pewna mojej miłości.

Jeszcze raz pozornie nic się nie działo.

Światłowiec umieścił elektrodę w śródmózgowiu kapitana.

Kabina kapitana ożyła. Dziwne nieba wirowały naokoło nich jak mleko gotujące się w garnku.

Nagle Dita poczuła, że jej częściowe zdolności telepatyczne zaczęły funkcjonować bez pomocy

maszyny. Swoim umysłem zaczęła wyczuwać martwą ścianę zamkniętych pól. Świadoma była niebezpieczeństw, jakie czyhają na Wu-Feinsteina w czasie skoków w przestrzeni.

Dziwnym sposobem widziała również, że część mózgu wuja ulega dezintegracji. Wzory gwiazdne, zakodowane w zamkniętych polach, ożyły w jego własnej pamięci. Przy pomocy telepatii światłowce unicestwiały jego mózg komórka po komórce, odnajdując drogę dla statku. To była naprawdę JEGO OSTATNIA PODRÓŻ.

Dolores Oh obserwowała swojego męża.

Stopniowo jego twarz stawała się coraz bardziej odprężona i o coraz głępszym wyrazie.

Dita wiedziała, że w momencie, gdy kontrola statku przy pomocy światłowców odnalazła w najgenialniejszym umyśle wszechczasów drogę do portu, śródmózgowie kapitana stało się czarną dziurą.

Światłowiec ujął Ditę pod ramię.

- Osiągnęliśmy to, co było nam przeznaczone - powiedział.

- A co z wujem?

Światłowiec popatrzył na nią zdziwionym wzrokiem. Zrozumiała, że mówił do niej nie poruszając ustami. Porozumiewał się z nią telepatycznie.

- Czy nie rozumiesz? Potrząsnęła głową bezradnie.

- Kiedy nastąpiła dezintegracja mózgu twojego wuja, ty stałaś się spadkobierczynią jego umiejętności. Czy nie czujesz, że tak jest naprawdę? Właśnie ty jesteś teraz kapitanem, najlepszym z was wszystkich.

-A on?

Myśli światłowca nie wymagały komentarza.

Magno Taliano podniósł się z krzesła, prowadzony przez swoją żonę Dolores Oh. Miał na twarzy uprzejmy uśmiech idioty. Po raz pierwszy od stu lat jego twarz była pełna głupiej miłości i nieśmiałości.

Tłumaczył Andrzej Wieczorek

Żółta pigułka

(The Yellow Pill) Rog Philips (1909 - 1965)

Rog Philips (Roger Philips Graham), pisarz, autor licznych, popularnych książek. Od debiutu w roku 1945 aż do połowy lat pięćdziesiątych był głównym twórcą literatury science-fiction w grupie Ziff-Davis. W tym okresie jako autor "The Club House", wydrukowanego w "Amazing", a później w innych czasopismach, był czymś w rodzaju wewnętrznej, wpływowej siły tej grupy. Cztery jego powieści, łącznie z The Involuntary Immortals (1959), stanowiły tylko niewielką próbę możliwości pisarskich.

Opowiadania: "Game Preserve" i "Żółta pigułka" są prawdziwymi perełkami, zagrzebanymi wśród wielu innych, pisanych pod różnymi pseudonimami.

"Żółta pigułka" jest jednym z najlepszych dotąd napisanych opowiadań dotyczących percepcji "rzeczywistości". Opowiadania tego typu mają bogatą i znaczącą historię w literaturze science-fiction. Jest także oczywistym przykładem, co Rog Philips mógłby stworzyć, gdyby miał bardziej wymagającego wydawcę i większą motywację.

(Martin H. Greenberg)

Jednym z najbardziej frapujących pytań, postawionych kiedykolwiek, było pytanie zmęczonego Poncjusza Piłata: "Co jest prawdą?"

W chińskiej opowiadance mędrzec mówił: "Ostatniej nocy śniłem, że jestem motylem. Lecz czy jestem człowiekiem, który miał sen, że jest motylem, czy też jestem motylem, który śni, że jest człowiekiem?"

Wszyscy jesteśmy po trochu metafizykami. Źródło naszej wiedzy bije w nas samych (solipsyzm). Co wiesz, jeśli nie wywnioskujesz tego ze zmysłów? Skąd wiesz, że twoje zmysły mówią prawdę?

W istocie, może wszystko, czego doświadczasz, jest kłamstwem? Skąd wiesz, że ktokolwiek lub cokolwiek istnieje oprócz ciebie? Może jesteś izolowaną, pojedynczą plamką egzystencji, która sama stworzyła cały Wszechświat po to, by nie być samotną? Mark Twain kończy gorzko The Mysterious Stranger, opisując historię narratora w ten właśnie sposób.

Czy Rangun, Birma istnieją, rzeczywiście istnieją, jeśli nigdy nie byłeś tam? Lub Charleston, Południowa Karolina? Czy Wszechświat istniał przed twoim urodzeniem? Czy będzie istniał po twojej śmierci? Czy masz możliwość wiedzieć cokolwiek o tych podstawowych Pytaniach dotyczących egzystencji?

Dobrze się składa, że nie spędzamy zbyt wiele czasu, rozmyślając o tych kwestiach, bo moglibyśmy się zapędzić w sytuację bez wyjścia. Przyjmujemy Wszechświat i wszystko, co nas dotyczy, jako pewną, ustaloną wartość. Science fiction niekoniecznie przyjmuje to dosłownie, a więc czytamy.

Doktor Cedric Elton wślizgnął się do biura tylnym wejściem. Zdjął płaszcz i schował go do małej garderoby z wąskimi drzwiami. Po chwili sięgnął po porządnie ułożone karty pacjentów, które rejestratorka Helena Fitzroy umieściła w rogu biurka. Było ich tylko cztery, lecz równie dobrze mogło być i sto, gdyby przyjmował każdego, kto chciał zostać jego pacjentem. W oczach opinii publicznej uchodził za najlepszego psychiatrę. Jego sukcesy w tej dziedzinie medycyny były niepodważalne.

Zerknął na pierwszą kartę. Zmarszczył brwi i podszedł do małej zwierciadlanej szyby w drzwiach poczekalni. Spojrzał przez nią na człowieka w kaftanie bezpieczeństwa, otoczonego czterema oficerami policji.

Gerald Bocek zabił pięć osób w supermarkecie. Nim go schwytano, zdołał jeszcze zastrzelić jednego policjanta i dwóch ranić.

Gdyby nie kaftan bezpieczeństwa, nic nie wskazywałoby na to, że jest niebezpieczny. Miał około dwudziestu pięciu lat, brązowe włosy i niebieskie oczy. Niewielkie zmarszczki świadczyły o jego pogodnej naturze. Nawet teraz uśmiechał się zrelaksowany, leniwie obserwując Helenę, która udawała, że przegląda papiery.

Cedric wrócił do biurka i usiadł. Informacja o zabójstwach w karcie Jerry'ego Boceka była obszerniejsza. Po schwytaniu z uporem twierdził, że nie zabił ludzi, tylko błękitnołuskie wenusjańskie jaszczurki, które wdarły się na statek kosmiczny. Musiał strzelać w obronie własnej.

Doktor Elton potrząsnął głową z dezaprobatą. Fantazja miała swoje miejsce w życiu, lecz zbyt dużo ludzi brało ją poważnie. Oczywiście nie była to wina fantazji. Niemniej to właśnie dzięki niej w dawnych czasach palono z powagą na stosach kobiety uznane za czarownice lub kamienowano mężczyzn, którym przypisywano szatańskie praktyki.

Cedric nagłym ruchem pochylił się nad interkomem i powiedział:

- Proszę przysłać Geralda Boceka.

Chwilę później drzwi od poczekalni otworzyły się. Helena przesłała Eltonowi przestraszony uśmiech i usunęła się z drogi. Przodem szedł policjant, a za nim Gerald Bocek podtrzymywany przez dwóch oficerów. Czwarty dokładnie zamykał drzwi.

"To robi wrażenie" - pomyślał Cedric i wskazał krzesło dla pacjenta. Policjanci stanęli w pobliżu, gotowi na wszystko.

- Jedy Bocek? - spytał Cedric. Człowiek w kaftanie przytaknął ochoczo.

- Jestem doktor Cedric Elton, psychiatra. Czy masz w ogóle pojęcie, dlaczego przyprawiono cię do mnie?

- Przyprawiono do ciebie? - powtórzył Jerry chichocząc. - Nie żartuj. Jesteś moim starym kumplem, Garem Castle'em. Przyprawiono do ciebie? Jak mógłbym uciec na tym parszywym statku?

- Parszywym statku?

- Statku kosmicznym - powiedział Jerry. - Słuchaj, Gar, odwiążesz mnie? Ten nonsens posuwa się za daleko.

- Nazywam się doktor Elton - oświadczył Cedric. - Nie jesteś na pokładzie statku kosmicznego.

Zostałeś przyprowadzony do mnie przez czterech policjantów, którzy stoją za tobą, i...

Jerry Bocek odwrócił głowę i oglądał policjantów ze szczerą ciekawością.

- Jacy policjanci? - przerwał. - Masz na myśli te cztery szafki narzędziowe? - Spojrzał współczująco na Eltona. - Pozbieraj się, Gar. Masz przewidzenia.

- Nazywam się Cedric Elton.

Gerald Bocek pochylił się do przodu i stwierdził z całą stanowczością:

- Nazywasz się Gar Castle. Odmawiam nazywania cię doktorem El-tonem, ponieważ twoje nazwisko brzmi Gar Castle, i będę się tego trzymał. Musimy mieć przynajmniej jeden racjonalny element w tym całym szaleństwie, inaczej będziesz całkowicie odcięty w iluzorycznym świecie, który sobie stworzyłeś.

Cedric, zdziwiony, uniósł brwi.

- Zabawne... - Zamyślił się. - To jest dokładnie to samo, co właśnie miałem powiedzieć tobie.

Doktor uśmiechał się ciągle. Powaga Jerry'ego powoli topniała. W końcu śmiali się razem serdecznie. Czterej policjanci spojrzeli na siebie zaniepokojeni.

- Dobrze! - przerwał Elton. - Domyślam się, że jedziemy na tym samym wózku! Ty robisz wariata ze mnie, a ja z ciebie!

- W porządku, na jednym wózku! - wykrzyknął uradowany Jerry. - Tylko że ja jestem związany - dodał po chwili poważniejszym głosem.

- Jesteś w kaftanie bezpieczeństwa - powiedział Cedric.

- Jestem związany sznurami - powiedział stanowczo Jerry.

- Jesteś niebezpieczny. Zabiłeś sześć osób, w tym oficera policji, i raniłeś dwie inne.

- Zniszczyłem pięć jaszczurek wenusjańskich, piratów, którzy wdarli się na nasz statek. I stopiłem drzwi szafki narzędziowej, przypaliłem zaś farbę na dwu innych. Wiesz dobrze, Gar, że szaleństwo przestrzeni kosmicznej personifikuje wszystko. Wwierca się w ciebie i myślisz, że jest więcej ludzi na pokładzie statku, niż było, gdy zaczynaliśmy tę podróż. Lepiej idź do apteczki i weź żółtą pigułkę. One nie zwalczają nic innego oprócz iluzji.

- Jeśli tak - powiedział Cedric - dlaczego jesteś w kaftanie bezpieczeństwa?

- Jestem związany sznurem - z cierpliwością wyjaśnił Jerry. - Związałeś mnie. Pamiętasz?

- A ci czterej policjanci za tobą są szafkami narzędziowymi? - spytał Elton. - Dobrze, jeśli więc jedna z nich strzeli cię pięścią w szczękę, ciągle będziesz uważał, że jest szafką narzędziową?

Cedric skinął na oficera. Ten podszedł do Geralda Boceka i uderzył go na tyle mocno, by zachwiać jego głowę, lecz nie zranić. Jeny zamrugał oczami, zdziwiony, spojrzął na doktora i uśmiechnął się.

- Czuleś to? - spytał spokojnie Cedric.

- Czulem co? - powiedział Jeny. - Och! - Zaśmiał się. - Wyobraziłeś sobie, że jedna z tych szafek narzędziowych podeszła i uderzyła mnie? - Potrząsnął głową ze współczuciem. - Nie rozumiesz, Gar, że to w rzeczywistości nie wydarzyło się? Rozwiąż mnie, a udowodnię swoje racje. Na twoich oczach otworzę drzwi rzekomego policjanta i wyjmę skafander ciśnieniowy, magnetyczny bosak lub cokolwiek innego. A może się obawiasz? Otoczyłeś siebie ochronną iluzją. Jestem związany sznurami, lecz ty wyobrażasz sobie, że to kaftan bezpieczeństwa. Wyobrażasz sobie, że jesteś psychiatrą, doktorem Cedrikiem Elto-nem, zatem możesz przekonać siebie, że to ty jesteś przy zdrowych zmysłach, a ja jestem szalony. Prawdopodobnie wyobrażasz też sobie, że jesteś bardzo sławnym psychiatrą i każdy chciałby się u ciebie leczyć. Światowa sława, bez wątpienia.

Prawdopodobnie też myślisz, że masz piękną rejestratorkę. Jak się nazywa?

- Helena Fitzroy - powiedział Cedric.

- Tak - przytaknął Jerry. - Helena Fitzroy jest ekspedytorką w marsjańskim porcie. Próbowaleś umówić się z nią za każdym razem, gdy lądowaliśmy tam, lecz na próżno.

- Uderz go znowu - Elton rzekł szybko do policjanta. Gdy głowa Jerry'ego się chwiała, doktor mówił:

- Teraz! Czy to moja imaginacja, że ciągle chwieje ci się głowa od ciosu?

- Od jakiego ciosu? - spytał Jerry uśmiechając się. - Nic nie czuję.

- Chcesz powiedzieć - zaczął Cedric niedowierzająco - że w twoim mózgu nie zachodzi racjonalne myślenie, które odzwierciedlałoby rzeczywistość.

Jeny uśmiechnął się z żalem.

- Muszę przyznać - powiedział - że kiedy z taką pewnością wygłaszasz swoje racje, zaczynam mieć wątpliwości co do własnej prawdomówności. Rozwiąż mnie i spróbujmy rozpracować to rozsądnie. Jeden z nas musi bardziej oszukiwać.

- Jeśli każę policjantom zdjąć ci kaftan bezpieczeństwa, co zrobisz? - spytał Cedric. - Spróbujesz wyrwać rewolwer i zabić kilka osób więcej?

- To jedna z tych rzeczy, o które martwię się najbardziej - powiedział Jerry. - Jeśli piraci wrócą, ja nie mogę być związany, bo ty jesteś na tyle szalony, by zaprosić ich na pokład. Musisz mnie odwiązać. Nasze życie zależy od tego, Gar.

- Skąd weźmiesz rewolwer? - spytał Cedric.

- Z szafki narzędziowej.

Elton spojrzał na policjantów i ich kabury. Jeden z nich nieznacznie uśmiechnął się do niego.

- Obawiam się, że jeszcze nie możemy zdjąć ci kaftana bezpieczeństwa - powiedział Cedric. - Każę policjantom zabrać cię z powrotem. Jutro znowu porozmawiamy. Chciałbym, byś poważnie wszystko prze myślał. Spróbuj pokonać iluzje, które murem oddzielają cię od rzeczywistości. Jeśli raz zrobisz otwór, całe złudzenie zniknie.

Spojrzał na oficerów.

- W porządku, zabierzcie go i przyprowadźcie jutro o tej samej porze.

Policjanci postawili Jerry'ego. Ten z łagodnym wyrazem twarzy spojrzał na siedzącego Cedrica.

- Spróbuję przemyśleć to, Gar - powiedział. - I spodziewam się, że ty zrobisz to samo. Zachęciłeś mnie. Kilka razy zauważyłem autentyczną wątpliwość w twoich oczach. I...

Dwóch oficerów pchnęło go w kierunku drzwi. W progu obejrzał się i powiedział:

- Weź jedną z tych żółtych pigułek; nie zaszkodzi ci.

Tuż przed piątą trzydzieści Cedric taktownie odesłał ostatniego pacjenta, zamknął drzwi i oparł się o nie.

- Dzisiejszy dzień był burzliwy - westchnął.

Helena obrzuciła go krótkim spojrzeniem i dalej pisała na maszynie.

- Mam jeszcze trochę do przepisania.

Minutę później wyciągnęła papier z maszyny i położyła go na wierzchu pedantycznie ułożonych kartek.

- Jutro posegreguję je i włożę do kartoteki - powiedziała. - Było burzliwie, doktorze? Ten Gerald Bocek jest najbardziej niezwykłym pacjentem, jakiego mieliśmy od czasu, gdy tu pracuję. Biedny pan Potts. Błyskotliwy człowiek na stanowisku, zarabia pół miliona rocznie, a ma zamiar zrezygnować.

Wydaje się taki normalny.

- Jest normalny - powiedział Cedric. - Ludzie z podwyższonym ponad normę ciśnieniem często mają krwotoki mózgowy, ale tak małe, że zaatakowany obszar nie jest większy od główki szpilki. To sprawia, że kompletnie zapominają rzeczy, które dobrze znali. Mogą nauczyć się ich od nowa, lecz człowiek, którego osąd powinien być zawsze precyzyjny, nie może pozwolić sobie na przypadkowość myślenia. On już raz zrobił błąd we wnioskowaniu, który kosztował jego przedsiębiorstwo półtora miliona, dlatego zgodziłem się go przyjąć. Ale ten Gerald Bocek zirytował mnie, Heleno. W czasie jego wizyty sam miałem wątpliwości, kto jest doktorem, a kto pacjentem. Zresztą mogę być pacjentem, byleby mi płacili pięćset tysięcy dolarów rocznie.

- Był przerażający, prawda? - powiedziała Helena. - Nie rozumiałam wiele z tego, co mówił; przecież jest on masowym mordercą jak...

- Wiem, wiem - przerwał jej Cedric. - Udowodnimy mu, że żyje w świecie iluzji. Zjesz ze mną obiad?

- Umawialiśmy się...

- Tym razem zerwiemy tę umowę. Helena potrząsnęła zdecydowanie głową.

- Nie tym razem. Gdybym poszła z tobą na obiad, myślałbyś ciągle o dzisiejszej niezwyklej wizycie.

- Och, nie przesadzaj - skrzywił się Cedric. - Ciekaw jednak jestem, skąd wiedział o żółtych pigułkach. Nie mogę pozbyć się uczucia, że gdybyśmy mieli statki kosmiczne i gdyby istniał taki rodzaj szaleństwa kosmicznego, w którym zaczyna się personifikować przedmioty, żółta pigułka byłaby odpowiednia, by je zatrzymać.

- Jak? - spytała Helena.

- Pigułki prawie trzykrotnie wzmacniają siłę nerwowego przekazu z organów percepcji. W praktyce rzeczywistość, to jest to, co do nas dociera, zabiłaby wyobraźnię. Wstrząsające. Wziąłem jedną trzy lata temu, kiedy pierwsze z nich stały się dostępne. Byłabyś zaskoczona rezultatem. Patrzysz na przykład na osobę, a widzisz całkiem co innego. Musiałem odwoływać wszystkie spotkania przez tydzień, bo nie mogłem pracować.

- Chciałabym wziąć jedną taką pigułkę - powiedziała Helena.

- To pociąga - zaśmiał się Cedric.

- Dlaczego nie mielibyśmy spróbować obydwój? - spytała Helena.

- Och, och - westchnął Elton. - Nie mógłbym pracować.

- Obawiasz się, że możesz obudzić się na statku kosmicznym? - zachichotała Helena.

- Może tak - powiedział Cedric. - Szalone to, prawda? Lecz dziś powstała jakaś rysa w mojej rzeczywistości. Aż boję się pomyśleć o tym.

- Mówisz poważnie? - spytała Helena.

- Całkiem poważnie - przytaknął Cedric. - Jak to się stało, że policja przyprowadziła Geralda Boceka do mojego gabinetu, zamiast trzymać go na Oddziale Psychiatrycznym Szpitala Miejskiego? Tam powinni sprowadzić mnie na konsultację. Jak to możliwe, że oddział nie skontaktował się ze mną wcześniej, by przedyskutować ten przypadek?

- Nie... Nie wiem! Nie odbierałam żadnego telefonu. Oni po prostu przyszli i wydawało mi się, że nie zrobiliby tego bez rozmowy z tobą. Pani Fortesque była pierwszą pacjentką i zadzwoniłam od razu do niej, by powiadomić, że mamy nagły przypadek i musimy odłożyć wizytę.

Helena spojrzała na Cedrica zaokrąglonymi, przestraszonymi oczyma.

- Teraz wiemy, co pacjent musi czuć - powiedział doktor, krocząc do drzwi swego gabinetu. - Aż ogarnia mnie przerażenie, kiedy pomyślę, że wystarczy wziąć jedną żółtą pigułkę, a wszystko może zniknąć: moje lata uczelni, moja praktyka w szpitalu, moja sława najlepszego, znanego ha świecie psychiatry, i ty. Powiedz mi, Heleno, masz pewność, że nie jesteś ekspedytorką w marsjańskim porcie? Spojrzał na nią podejrzliwie, gdy wolno zamykał drzwi.

Cedric schował płaszcz i podszedł prosto do małej szyby w drzwiach poczekalni. Gerald Bocek znów siedział w kaftanie bezpieczeństwa w towarzystwie tych samych policjantów.

Elton usiadł przy biurku i pochylił się nad interkomem.

- Heleno - powiedział - nim przyślesz Geralda Boceka, połącz mnie z oddziałem psychiatrycznym.

Czekał na połączenie i przeglądał cztery karty pacjentów. Przetarł delikatnie oczy. Miał bezsenną noc.

Kiedy telefon zadzwonił, sięgnął po słuchawkę.

- Hallo? Dave? - powiedział. - Co do tego pacjenta Geralda Boceka...

- Miałem zamiar zadzwonić do ciebie dzisiaj - zabrzmiał głos okręgowego pełnomocnika. - Dzwoniłem wczoraj o dziesiątej, lecz nikt nie odbierał i od tamtej pory nie miałem czasu. Nasz policyjny psychiatra Walters mówi, że może będziesz w stanie wyciągnąć go z tego w kilka dni, przynajmniej na tyle długo, byśmy mogli wydobyć jakieś sensowne odpowiedzi. Jego iluzja zabijania jaszczurek, piratów z Wenus, być może ma jakiś powód, który tłumaczyłby to masowe morderstwo. Poza tym interesuje się już nim prasa.

- Ale dlaczego przysłaliście go do mojego gabinetu? - spytał Cedric. - W porządku, oczywiście, ale... to jest... Czy to rozsądne zabierać pacjenta z oddziału Szpitala Miejskiego i obwozić go po mieście?

- Pomyślałem, że to będzie wygodniejsze dla ciebie - powiedział pełnomocnik. - Chcę szybko rozpracować ten przypadek.

- Och - westchnął. - W porządku już, Dave. On jest na zewnątrz, w poczekalni. Zrobię, co w mojej mocy, by przywrócić go do rzeczywistości.

Wolno odłożył słuchawkę i zmarszczył brwi.

- Wygodniejsze! - powtórzył, naśladując głos pełnomocnika, a potem rzucił do interkomu: - Proszę przysłać Gearalda Boceka.

Drzwi od poczekalni otworzyły się i policjanci wprowadzili pacjenta.

- Dzień dobry, Gar - powiedział Jerry. - Dobrze spałeś? Słyszałem cię, jak mówiłeś w nocy sam do siebie.

- Jestem Cedric Elton - stanowczo oświadczył doktor.

- I tak - powiedział Jerry. - Obiecałem, że spróbuję widzieć rzeczywistość tak jak ty, czyż nie? Spróbuję współpracować z tobą, doktorze Elton.

Jerry obrócił się w kierunku policjantów.

- Spójrzmy teraz; te szafki narzędziowe są policjantami, prawda? Jak się macie, panowie?!

Uklonił się i rozejrzał dookoła.

- To jest twój gabinet, doktorze Elton. Bardzo imponujący gabinet. Ta rzecz, przy której siedzisz, nie jest tablicą nawigacyjną, lecz biurkiem, wnioskuje.

Jerry uważnie oglądał biurko.

- Wszystko metal z szarym wykończeniem, czyż nie?

- Drewno - powiedział Cedric. - Orzech włoski.

- Tak, oczywiście - mruknął Jerry. - Jaki głupiec ze mnie. Przecież chcę dostać się do twojej rzeczywistości lub zabrać cię do mojej. Z tym, że ja jestem w niekorzystnej sytuacji. Związany, nie mogę iść do apteczki, by wziąć żółtą pigułkę, tak jak ty. Wzięłaś już jedną?

- Nie, jeszcze nie - powiedział Cedric.

- Och, dlaczego nie opisz mi swojego gabinetu, doktorze Elton? - spytał Jerry. - Zrobmy z tego rodzaj gry. Opiszysz tylko część poszczególnych przedmiotów i następnie pozwolisz mi sprawdzić, czy prawidłowo dopowiem resztę. Zaczniemy od biurka. Oryginalny orzech włoski? Biurko w stylu prezydenckim... Dalej, zaczynaj.

- Zgoda - powiedział Cedric. - Po mojej prawej stronie znajduje się interkom z szarego plastiku, a na wprost telefon.

- Stop! - przerwał Jeny. - Pozwól, że sprawdzę, czy podam twój numer telefonu. Pochylił się nad biurkiem, próbując utrzymać równowagę w kaftanie bezpieczeństwa.

- Hm-m-m - zastanawiał się, marszcząc brwi. - Czy to numer Mu-lberry: pięć, kreska, dziewięć, zero, trzy, siedem?

- Nie - powiedział Cedric. - To Cedar...

- Stop! - przerwał Jerry. - Pozwól, że ja powiem. Cedar, siedem, kreska, cztery, trzy, dziewięć, dziewięć.

- Przeczytałeś i zrobiłeś sobie z tego zabawę - parsknął Cedric.

- Jeśli tak uważasz - odpowiedział Jerry.

- Jak inaczej wyjaśnisz fakt, że podałeś dobry numer, choć nie możesz zobaczyć obecnej rzeczywistości? - spytał Cedric.

- Masz całkowitą rację, doktorze Elton. Przeczytałem numer twego telefonu, lecz informacja nie wkroczyła do mojej świadomości. Ukryła się za wzorem iluzji. Udawałem, że patrzę na telefon, a ponieważ nie mogłem go zobaczyć, więc pomyślałem: "Jego numer będzie oczywiście jakimś, który zna". Najbardziej prawdopodobny był numer domowy Heleny Fitzroy na Marsie, zatem podałem ci go, lecz to nie był ten. Kiedy powiedziałeś "Cedar", wiedziałem już, o który chodzi.

Cedric siedział nieruchomo. Mulberry 5-9037 należał rzeczywiście do Heleny. Nie rozpoznał go w pierwszej chwili.

- Może zaczniesz nareszcie oddzielać twoją świadomość rzeczy od rzeczywistości - powiedział z nadzieją w głosie Elton. - Jeśli raz to ci się uda, zobaczysz wszystko takie, jakie jest w rzeczywistości. Reszta iluzji zniknie.

- Rozumiem - poważnie powiedział Jerry. - Próbujmy dalej. Może coś załapię.

Po upływie godziny Jerry był w stanie opisać inne przedmioty.

- Myślę, że zaczynamy się rozumieć - powiedział z entuzjazmem Cedric.

Jerry zawahał się.

- Przypuszczam, że tak - powiedział. - Zaczynam powoli rozumieć twój świat iluzji. Kiedy dajesz mi jeden lub dwa elementy kluczowe, potrafię dopowiedzieć resztę. Będę próbował dalej, doktorze Elton.

- Dobrze - powiedział serdecznie. - Zobaczymy się jutro o tej samej porze.

Kiedy czterech oficerów zabrało Geralda Boceka, Cedric wszedł do poczekalni.

- Odwołaj resztę spotkań - powiedział.

- Ale dlaczego? - zaprotestowała Helena.

- Jestem wytracony z równowagi! - oznajmił. - Skąd może szaleniec, którego do wczoraj nie znałem, znać twój numer telefonu?

- Mógł pbszukać w książce telefonicznej.

- Zamknięty w pokoju Oddziału Psychiatrycznego Szpitala Miejskiego? Skąd wczoraj znał twoje nazwisko?

- Skąd?... - Zastanawiała się Helena. - Wszystko mógł przeczytać na moim biurku, o tu.

Cedric spojrział na mosiężną wizytówkę.

- Tak - chrząknął. - Oczywiście. Zapomniałem o niej. Tak przywykłem do tego, że zawsze tu jest, że jej nie dostrzegam.

Odwrócił się gwałtownie i wrócił do gabinetu.

Usiadł za biurkiem, później wstał i wszedł do sterylnej białego niewielkiego laboratorium. Podeszedł do apteczki. Wewnątrz, na najwyższej półce stała zamknięta szklana butelka. W środku znajdowało się sto jaskrawożółtych pigułek. Wytrząsnął jedną i odłożył butelkę na miejsce. Wrócił do gabinetu i umieścił pigułkę na środku białego notesu.

Drzwi otworzyły się i weszła Helena.

- Odwołałam wszystkie dzisiejsze wizyty - powiedziała. - Dlaczego nie wyjdiesz, by pograć w golfa? Zmiana zrobi ci... - przerwała, gdy zobaczyła położoną na białym notesie żółtą pigułkę.

- Czemu patrzysz taka przestraszona? - spytał Cedric. - Czy dlatego, że jeśli wezmę ją, przestaniesz istnieć?

- Nie żartuj - powiedziała.

- Ja nie żartuję. Poza tym, kiedy wspominałaś o mosiężnej tabliczce na twoim biurku, spojrzałem na nią, i wtedy rozmyła się na sekundę. Potem znowu stała wyraźna i solidna. Przebiegła mi myśl, że pierwszą rzeczą, którą robię, gdy muszę wziąć nową rejestratorkę, to daję jej mosiężną wizytówkę, którą, kiedy odchodzi, zabiera jako prezent ode mnie.

- To prawda - powiedziała Helena. - Musiałam ci też uroczyście obiecać, że nigdy nie przyjmę od ciebie zaproszenia na obiad lub prezentu, ponieważ interesów nie można mieszać z przyjemnościami. Pamiętasz?

- Pamiętam. Miła porcja racjonalizmu. Odrzuciłem cię sam, nim ty to zdołałaś uczynić. Ochrona jego jest pierwszą zasadą szaleństwa.

- Nie jest! - zaprzeczyła Helena. - Och, kochanie, jestem tu! To jest realne! Nie dbam o to, czy mnie wylejesz czy nie. Kocham cię na zawsze, nie wolno ci dopuścić, by ten masowy morderca przytłaczał cię. Teraz myślę, że nie jest wcale obłąkany, lecz w ten sposób próbuje uniknąć kary.

- Tak myślisz? - z zainteresowaniem spytał Cedric. - Tak, to możliwe. Lecz czy miałby być tak dobrym psychiatrą jak ja?... Widzisz? Iluzja wielkości.

- Pewnie. - Śmiejąc się piskliwie powiedziała Helena. - Napoleon był, oczywiście, obłąkany, ponieważ myślał, że jest Napoleonem.

- Możliwe - rzekł doktor. - Musisz przyznać, że jeśli jesteś realna, wzięcie przeze mnie żółtej pigułki niczego nie zmienia, a jedynie potwierdzi fakt.

- I sprawi, że nie będziesz w stanie pracować przez tydzień - dodała.

- Niewielka cena za zdrowie psychiczne. Nie, wezmę tę pigułkę.

- Nie weźmiesz! - krzyknęła Helena i sięgnęła po nią.

Cedric błyskawicznie chwycił pastylkę. Gdy Helena próbowała zabrać ją, włożył pigułkę do ust i połknął.

Usiadł z powrotem i z ciekawością spojrzął na dziewczynę.

- Powiedz mi - spytał łagodnie - czy cały czas wiedziałaś, że jesteś tylko tworem mojej wyobraźni. Chcę to wiedzieć, bo...

Zamknął oczy i kurczowo zacisnął ręce na głowie.

- Boże! - jęknął. - Czuję, że umieram. Nie miałem takiego uczucia od czasu, gdy ostatnim razem połknąłem żółtą pigułkę.

Nagle jego umysł ustabilizował się, a myśli rozjaśniły. Otworzył oczy.

Na tablicy nawigacyjnej leżała butelka żółtych pigułek. Były rozsypane na blacie. Po drugiej stronie sterowni spał związany Jerry Bocek, plecami podpierając jedną z czterech szafek narzędziowych. Chrapał głośno, bo nie mógł się poruszyć. Trzy z nich miały przypaloną farbę, a czwarta stopione drzwi.

W przeróżnych pozycjach leżało pięć na wpół zwęglonych ciał błe-, kitnołuskich wenusjańskich jaszczurek.

Tępy ból wzmógł się w piersi Gara. Helena Fitzroy zniknęła! Zniknęła, kiedy właśnie wyznała mu, że go kocha.

Jakieś nieproszone wspomnienie pojawiło się w głowie. Doktor El-ton był psychiatrą, który badał go, nim dostał licencję pilota na statki trzeciej klasy.

- Boże! - jęknął Gar. Nagle poczuł się niedobrze. Ochlapał się w łazience i po chwili czuł się lepiej.

Kiedy wyprostował się nad umywalką, spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Długo oglądał zapadłe policzki i podkrążone oczy. Musiał stracić głowę przez jakieś dwa lub trzy dni.

Pierwszy raz. Okropne! Jakoś nigdy nie wierzył w kosmiczne szaleństwo.

Nagle przypomniał sobie Jerry'ego. Biedny Jerry!

Chwiejnym krokiem wrócił do sterowni. Chłopak już się obudził. Spojrzął na Gara i zmusił się do uśmiechu.

- Halo, doktorze Elton - powiedział. Gar zatrzymał się, przerażony.

- Stało się, doktorze Elton, dokładnie tak, jak mówiłeś - powiedział Jerry uśmiechając się.

- Zapomnij o tym - mruknął Gar. - Wziąłem żółtą pigułkę. Wróciłem znowu do normalności.

Uśmiech Jerry'ego zniknął gwałtownie.

- Teraz wiem, co zrobiłem - powiedział. - To straszne. Zabiłem sześciu ludzi. Ale wreszcie jestem zdrowy. Tak bardzo chciałbym wiedzieć, co mnie naszło.

- Zapomnij o tym. Nie kpij ze mnie teraz. Zaraz cię rozwiążę.

- Dziękuję, doktorze. To będzie ulga pozbyć się kaftanu bezpieczeństwa.

Gar klęknął obok Jerry'ego i rozwiązywał supły na sznurach oplatających pierś i nogi.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział, masując jego obolałe ramiona.

Wolno poprawiało się krążenie. Gar pomógł Jerry'emu stanąć na nogi.

- Nie musisz się martwić, doktorze Elton. Nie wiem, czemu zabiłem tych ludzi, lecz wiem, że nigdy więcej nie zrobię tego. Musiałem być obłąkany.

- Możesz już stać? - spytał Gar.

Jeny zrobił kilka kroków do przodu i do tyłu. Z początku chwiał się na nogach, ale potem szedł coraz lepiej.

Gar znowu poczuł się gorzej, ale zwalczył to.

- W porządku, chłopie? - spytał zmartwiony.

- Całkiem dobrze, doktorze Elton. I dziękuję za wszystko.

Obrócił się gwałtownie, podszedł do zamka powietrznego drzwi i otworzył go.

- Teraz żegnaj, doktorze Elton - powiedział.

- Poczekaj! - wrzasnął Gar.

Lecz Jeny przeszedł zamek powietrzny i zamknął drzwi. Gar próbował je otworzyć, ale ten zdążył już włączyć pompę, która wysysała powietrze.

Przerażony, bezsensownie wykrzykiwał imię Jerry'ego przez mały kwadrat cienkiego szkła w drzwiach. Widział, jak nadeła się jego pierś, po czym pękła niczym przekłuty balon, wyrzucając mieszaninę śluzu, krwi z ust i nozdrzy. Oczy powiększyły się i zaszklily, później jedno z nich rozerwało się i rozsypało, a jego zawartość spłynęła po policzku.

Widział, jak Jeny spojrzał w kierunku zamka powietrznego i uśmiechnął się, następnie obrócił koło otwierające zamek zewnętrzny i wyszedł w przestrzeń.

W końcu Gar przestał krzyczeć. Miał zakrwawione dłonie i palce, połamane od uderzenia w goły metal. Upadł na pokład statku i nie przestawał szlochać.

Tłumaczyła Elżbieta Kwasowska-Jachimowska

Nieludzkie poświęcenie

(Unhuman Sacrifice) Katherine MacLean (ur. 1925)

*Katherine MacLean nie jest tak znana, jak na to zasługuje. Po pierwsze, że jej kariera była przerywana długimi okresami milczenia; po drugie - stworzyła niewiele powieści, z których najbardziej znaczące to: *Cosmic Checkmate* (1962) i *Missing Man* (1975).*

*Najlepsze utwory można znaleźć w jej trzech zbiorach opowiadań: *The Diploids and Other Flights of Fancy* (1962), *Trouble With Treaties* (1975), *The Trouble With You Earth People* (1980). Zadebiutowała w 1949 roku opowiadaniem "Defence Mechanism". Było ono, jak większość jej prac, związane z naukami społecznymi i psychologią. Za opowiadanie "Missing Man", będące podstawą dla wspomnianej wyżej 'powieści pod tym samym tytułem, otrzymała Nagrodę Nebula w 1971 roku.*

"Nieludzkie poświęcenie" jest znakomitym przykładem tego, co utalentowany pisarz fantastyki naukowej może zrobić z tematem dotyczącym społecznej obyczajowości.

(Martin H. Greenberg)

Poznanie prawdy absolutnej (lub co bardziej ściśle: posiadanie przekonania, że się prawdę absolutną poznało) jest rzeczą niebezpieczną i przerażającą. Kiedy purytanie osiedlili się w Nowej Angli, ustanowili niedzielę dniem odpoczynku. Było to kosmiczne prawo, przykazane przez Boga całemu światu, co każdy może łatwo sprawdzić, jeżeli przeczyta początek Księgi Rodzaju.

Purytanie karali grzywną tych zbłąkanych mieszkańców kolonii, którzy naruszali szabas poprzez wykonywanie zakazanych czynności. Nakładali także grzywny na Indian, którzy nigdy o tym święcie nie słyszeli, i pouczali biednych aborygenów, że w ten szczególny dzień nie powinni chodzić na polowanie.

Takie poglądy są obecne, chociaż w inny sposób, wszędzie dookoła. Są dziś w Stanach Zjednoczonych fabryki, których właścicielami są japońscy dżentelmeni. Ci właściciele mogą kazać amerykańskim podwładnym, by zachowywali się z uprzejmością zgodną z ich wyobrażeniami.

Oglądałem kiedyś w telewizji, jak taki japoński dżentelmen wyjaśniał, że picie wody ze szklanki jest czymś wulgarnym. Nie jest bowiem przyjemne oglądanie otwartych ust, śliniących brzeg szklanki, czy wodnej kaskady wlewającej się do środka. Powinieneś za każdym razem, gdy musisz się napić (co za szkoda, że Natura zmusza nas do robienia takich brzydkich rzeczy), trzymać szklankę jedną ręką, a drugą podnieść tak, by ukryć przed światem wspomniany nieprzyjemny widok. I znów mamy kłopot.

Słowa nie mogą we właściwy sposób wyrazić mojego oburzenia. Zamierzam pić tak, jak mi się podoba, i myślę, że Katherine MacLean zgodziła by się ze mną.

(Isaac Asimov)

Do licha! On naprawdę to robi. Słyszysz go? Promień słońca wraz z głosem przeniknęły przez otwarte sklepienie pomieszczenia sterowniczego. Głos mówił i cichł, mówił i cichł. Słów nie dało się zrozumieć, ale można było rozpoznać, kto mówi.

- Wygłasza kazanie do tubylców.

Dwóch inżynierów sprawdzało dokładnie silniki. Przerwali na chwilę, by spojrzeć w kierunku, skąd dochodził głos.

- Może nie - powiedział Charlie, młodszy inżynier. - Przecież nie zna języka.

- Mimo to wygłasza kazanie - odparł Harry Henderson, starszy inżynier i nawigator. Mocował się właśnie z potężną śrubą. Klucz obsunął się i mężczyzna ulżył sobie, rzucając kilka słów, które wstrząsnęły jego młodszym kolegą.

W czasie podróży Charlie miał często sny, że Henderson udusił pasażera. Jeden raz przyśniło mu się, że sam zrobił to samo, ale potem rozprawił się z Hendersonem.

Na jawie inżynierowie pilnowali się, by nie używać denerwujących słów czy gestów. Pozostawali niezmiennie uprzejmi wobec siebie i pasażerów, niezależnie od pokusy, by zakłócić czasem dosadnie. Próbowali też pozostawać cały czas w dobrym nastroju.

Nie było to łatwe.

Charlie odezwał się:

- Czym można wytłumaczyć fakt, że Towarzystwo Misyjne daje mu do dyspozycji statek? Facetowi, który nieustannie przeszkadza, daje ci swe "dobre rady", i który ma wrodzony talent do skłócania ludzi ze sobą?

- To proste. - Henderson chrząknął. Był to krępki, szorstki w obejściu mężczyzna. Z praktyczną tolerancją podchodził do ludzkich dziwactw. - Towarzystwo Misyjne spróbowało się uwolnić od niego. Nie mogli go wysłać dalej, więc podróżuje z nami!

Odległy głos przeniknął do sterowni z rozświetlonego słońcem pokładu statku. Brzmiał donośnie i śmiało.

- Biedny kaznodzieja myśli, że to wyróżnienie - dodał Henderson. Wyciągnął wreszcie śrubę i położył ją na podłogę.

- W każdym razie - stwierdził Charlie, luzując śruby tak, jak nakazywała instrukcja - nie może używać maszyny translacyjnej. Jeszcze nie gotowa i nie będzie, dopóki nie otrzymamy reszty danych o ich języku. Nie będzie mówił do nich, jeżeli nie będą go rozumieć.

- Nie będzie? - Inżynier przyłożył klucz do następnej śruby i pociągnął ze złością. - Więc co on teraz robi?

Bez czekania na odpowiedź Charliego sam sobie odpowiedział:

- Wygłasza kazanie, oto co teraz robi!

W pomieszczeniu silników było gorąco i ciasno. Charlie przestał pracować i otarł czoło wierzchem dłoni.

- Kazanie nie przyniesie mu nic dobrego. Jeśli nie będą go rozumieć, nie będą go słuchać.

- My też nie słuchaliśmy, ale nie powstrzymało go to od wygłaszania nam kazań! - sapnął Henderson. - Jest szczęśliwy, że tak szybko znaleźliśmy dogodną do lądowania planetę, że nie

doprowadził nas do obłądu. Człowiek, taki jak on, stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa statku.

I Henderson, i Charlie znali opowieści o statkach, które wyruszyły z małą załogą i wróciły z jeszcze mniejszą, z jednym lub z dwoma czerwonoookimi szaleńcami i kolekcją truposzy na pokładzie. Starszy inżynier był konserwatystą. Wolał regularne rejsy ze stałą załogą i odpowiednią liczbą pasażerów. Tylko propozycja potrójnej zapłaty i takiegoż ubezpieczenia skłoniła go do zejścia z dużego statku i przyjęcia stanowiska nawigatora w tej dziwnej trzyosobowej załodze.

- Och!... Nigdy nie myślałem, że będę wysłuchiwał kazań na... - zaczął Charlie łagodnym głosem i popatrzył na górę, w kierunku, skąd dochodził głos.

- Nie rób z siebie głupka. Słodcy dla siebie musimy być w czasie po-dróży, gdy siedzimy w jednej kabine. Nie bujaj starego Harry'ego, przecież go nie lubisz.

- Nie - powiedział Charlie, ciągle wpatrując się w górę. - Nie można powiedzieć bym go lubił. Nie jest znowu takim dobrym kaznodzieją. W nędznych barach spotykałem lepszych.

Wydało im się nagle, że głos dochodzący z zewnątrz brzmi jakoś inaczej, bardziej donośnie.

- Harry, on uruchomił translator. Myślę, że powinniśmy go powstrzymać.

Charlie był chudym, rudowłosym mężczyzną z subtelnymi manierami. Miał tyle lat co kaznodzieja. Starszy inżynier, bardziej doświadczony, położył mu na ramieniu uspokajającą dłoń.

- Zrobię to - powiedział Henderson i wspiął się po drabince do sterowni.

Sterownia była przyjemnym pokojem, pomalowanym naszaro, teraz jasno oświetlonym przez słoneczne światło, które padało z góry, poprzez otwartą kopułę. Otwór przesłonięty był jedynie pofałdowaną zasłoną z sarantypu. Pozwalała ona przenikać cząsteczkom powietrza, tworząc jednocześnie znakomity antyseptyczny filtr przeciw zarazkom i małym insektom. Krępy inżynier powiesił na plecach aparat do oddychania, włożył do ust rurkę i przeszedł przez powłokę, która zamknęła się nad nim i objęła go czułym, intymnym uściskiem. Owinęła go jak druga, luźna skóra, będąc cały czas przyłączona do głównej powłoki statku. Przeszedł przez metalową ramę o kształcie człowieka. Za jego plecami, na metalowej powłoce, zacisnęła się pętla. Jego osobista osłona została odcięta od głównej powłoki.

Nie czekając, aż jego plastikowa skóra zostanie uszczelniona, inżynier zszedł na rampę. Ciągnął za sobą plastik, podobny do cienkiego welonu z babiego lata, powiewający jak upiorna, bojowa chorągiew. Mogli używać tak prostego zabezpieczenia, jakie stanowiła cieniutka warstewka plastiku, gdyż powietrze nowego świata było odpowiednie dla ludzi. Osłona zabezpieczała przed obcymi zarazkami i insektami. Nie byli właściwie pewni, czy istnieją tu takie zarazki, ale plastik był rutynowym zabezpieczeniem i obydwaj inżynierowie byli zobowiązani go nosić. Pozwalał na swobodny dostęp powietrza. Henderson czuł na swojej skórze powiew wiatru, nieznacznie tylko zmniejszony. Nosił tylko krótkie szorty i dokładnie wyczuwał chłodne, przyjemne muśnięcia.

Wokół statku kosmicznego rozciągały się trawiaste łąki i niewielkie lasy. Dalej widać było, z jednej strony błękitną kreskę morza, z drugiej zaś zamglone, błękitnozielone odległe pasmo niskich gór. Widok był podobny do krajobrazu z południa Stanów Zjednoczonych, który Charlie zapamiętał z dzieciństwa. Młody inżynier popłakał się ze wzruszenia i zachwytu, gdy pierwszy raz wyjrzał ze statku. Harry Henderson nie płakał, ale ruszył zdecydowanym krokiem, rozglądając się dookoła. Natychmiast zrozumiał, jakie nieprawdopodobne mieli szczęście, gdy znaleźli planetę tak dokładnie podobną do Ziemi. Był zatwardziałym wyznawcą potęgi losu i był ciekawy, co też fatum zaplanowało dla organizmów żyjących na tej zielonej planecie, a także dlaczego wybrało właśnie jego jako swego posłańca.

Niżej, na zielonej łące, blisko rampy, stała maszyna translacyjna, ciągle jeszcze w skrzyni i na wózku. Jedna ze ścian była otwarta i widać było przełączniki i przyciski. Sam translator wyglądał jak duża skrzynia, a był jednym z najbardziej kosztownych analizatorów językowych, jaki kiedykolwiek wyprodukowano. Zabrano go w nadziei na znalezienie planety zamieszkałej przez inteligentnych tubylców.

Triumfujący z powodu swojego sukcesu pasażer, Revent Winton, siedział po turecku na wierzchu skrzyni. Wyglądał jak mały król na ogromnym tronie. Aksamitnym, przyjemnym głosem doświadczonego kaznodziei wygłaszał przemówienie. Plastik osłony prawie w ogóle go nie tłumiał.

Tubylcy gapili się na mówcę. Siedzieli w szerokim kręgu wokół skrzyni translatora i słuchali. Byli nadzy, a wokół kolan i łokci widać było kępki futra porastającego skórę. Od czasu do czasu któryś z tubylców wstawał, mruczał coś do pozostałych i odchodził, a na jego miejsce przychodził inny, który siadał i słuchał.

- Nie smućcie się - wołał donośnym głosem Revent Winton. - Pokażę wam światło. A wiecie, że dotąd żyliście w ciemności i grzechu. Przez całe swoje życie! Ale powtarzam, nie smućcie się...

Translator był tak zbudowany, że mógł przyswajać ogromną liczbę słów i zdań w każdym języku, bazując na około pięćdziesięciu słowach bezpośredniego tłumaczenia. Z tego konstruował lub znajdował reguły gramatyczne i drukował podręcznik miejscowego języka. Do tego czasu mógł tłumaczyć każde słowo, które miał wprowadzone.

Dzień wcześniej Henderson znalazł znaczenie kilku słów języka tubylców i nagrał je, a maszyna tłumaczyła, kiedy tylko pojawiły się w kontekście. Obydwa głosy, maszyny i kaznodziei, nakładały się na siebie. Translator mówił potężnym basem, który był głosem Harry'ego, ale nagrany przez filtr i wzmocnionym dwadzieścia razy

-JA... ŚWIATŁO... WY... WY... ŻYJECIE... CIEMNOŚĆ... ŻYCIE...

Tubylcy siedzieli na zielonej trawie i słuchali z niezwykłą cierpliwością.

- Revent Winton. - Harry usiłował zwrócić jego uwagę. Kaznodzieja pochylił się w stronę zasłuchanego zgromadzenia.

Twarz mu złagodniała.

- Nie mówię wam, że żyliście w błędzie. Chcę wam pokazać prawdziwą drogę do uczciwego życia.

Maszyna w skrzyni pod nim przetłumaczyła jego słowa głosem przypominającym grzmot:

- MÓWIĘ TOBIE... ŻYJECIE... JA... DROGA... ŻYCIA...

Wśród tubylców zapanowało poruszenie. Niektórzy, wstali i podeszli bliżej, i zaczęli się gapić na skrzynkę. Inni skupili się w małe grupki i mruczyli coś między sobą. Potem rozmawiając odeszli.

Henderson zdecydował, że nie powie Reventonowi, co przetłumaczyła maszyna. Ale musi przerwać to przedstawienie.

- Revent Winton!

Winton przechylił się i spojrzał w dół z wyrazem wielkiej życzliwości na twarzy.

- O co chodzi, mój synu?

Był młodszy niż Harry, śniady, silny i przeświadczony o swoim posłannictwie.

- MÓJ SYN - oświadczył translator grzmiącym głosem. Dźwięk przetoczył się nad łąką i powrócił echem odbitym od pobliskiego lasu. Tubylcy popatrzyli na Hendersona. Ten zaklął pod nosem. Pomyśleli zapewne, że jest synem Wintona!

Revent nie wiedział, co przetłumaczyła maszyna.

- Nie klnij - z wielką cierpliwością zwrócił uwagę. - O co chodzi, Har-ry?

- Przepraszam - powiedział inżynier i oparł rękę o skrzynkę. - Wyłącz translator, dobrze?

- WOLA TWOJA - zabrzmiał bas ze skrzyni. Kaznodzieja wyłączył urządzenie.

- Tak? Więc o co chodzi? - zapytał, pochylając się ku inżynierowi. Nosił konserwatywny strój składający się z ciemnozielonych rajstop i czarnej koszuli. Henderson poczuł się niepewnie w swoich szortach i z bujnie owłosioną piersią.

- Revent, czy myślisz, że to, co robisz, jest właściwe? To kazanie do tubylców? Translator nie jest gotowy i nie wiemy jeszcze wszystkiego na jego temat. Antropolodzy nie mają nawet pomysłu co do zwyczajów tych tubylców. Bez badań całego plemienia, ich sposobu życia, jaki utrwalił się od wielu pokoleń, nic nie można zrobić. Myślę, że ruszasz w bój nie przygotowany. Za wcześnie chcesz ich nauczać

- Przybyłem tu, by ich nauczać - uprzejmie odparł Winton. - Oni potrzebują mojego duchowego wsparcia. Antropolodzy przybędą tu, by obserwować. Oni nie ingerują w to, co widzą, gdyż mogłoby to wszystko zmienić. Ale ja nie jestem tu po to, żeby obserwować, ale żeby im pomóc. Dlaczego mam z tym czekać?

Kaznodzieja posiadał zadziwiającą umiejętność posługiwania się sy-logizmami. Zawsze potrafił przedstawić sprawy tak, jakby jego argumentacja była spójna i logiczna pomimo przekonania Hendersona, że prawie zawsze było wprost przeciwnie. Ale inżynier często, tak jak te raz, nie miał ochoty na sprzeczkę.

- Skąd możesz wiedzieć, że potrzebują pomocy? - zaczął niepewnie. -Może ich sposób życia jest dobry?

- Powiedzmy - beztrósco rzucił kaznodzieja, wymachując ręką w stronę zielonego horyzontu. - Przecież to prymitywni tubylcy, a nie anioły. Jestem pewny, że zjadają swych współplemieńców lub ich torturują albo składają ofiary z ludzi!

- Z człekokształtnych - wymruczał Henderson.

- Nie łap mnie za słowa. Wiesz, że mają swoje plugawe, prymitywne obyczaje. Plemiona na ziemi zwykle urządzają swoje orgie na wiosnę. Teraz jest wiosna. Wielki Planista sprowadził nas tutaj w tym właśnie czasie prawdopodobnie dlatego, że powinniśmy ich powstrzymać.

- E tam - rzucił inżynier i odwrócił się. Popukał się palcem w czoło. Ten człowiek zamierzał wtrącać się w wiosenne obrzędy ku czci urodzaju. Jeżeli ta nacja miała takie obrzędy, to były one najprawdopodobniej wyrazem wiary w możliwość wywoływania płodności ziemi, łaskawości słońca, dostatku bydła i wreszcie powrotu ryb na tarliska. Przypuszczali zapewne, że bez obrzędów lato nigdy nie powróci i będą wszyscy głodować. Jeżeli Winton wmiesza się, będą próbowali go zabić.

Revent nachmurzył się, widząc melodramatyczny gest inżyniera.

Harry ponownie odwrócił się w stronę kaznodziei i jeszcze raz próbował mu przetłumaczyć:

- Revent, proszę cię, wtrącanie się może być niebezpieczne. Wróćmy i złożmy raport. Kiedy przybędą naukowcy i stwierdzą, że ingero.-waliśmy w miejscowe zwyczaje, uznają to za zbrodnię. Napiętnują nas w naukowych czasopismach. Staniemy się odpowiedzialni za każdą krzywdę, jakiej doznają tubylcy.

Kaznodzieja zdziwił się:

- Myślisz, że jestem tchórzem, że obawiam się gniewu ateistów? -

Ponownie zamachał rękami, wskazując otaczający ich horyzont planety. - Myślisz, że znaleźliśmy

to miejsce przez przypadek? Wielki Planista wysłał tu mnie celowo. Jestem odpowiedzialny przed nim, nie przed wami czy waszymi przyjaciółmi naukowcami. Wypełnię jego zamiary. -Pochylił się do przodu i popatrzył na Hendersona ciemnymi fanatycznymi oczami. - Idź uważać się nad swoją reputacją gdzie indziej.

Starszy inżynier cofnął się o krok, by lepiej przyjrzeć się swemu rozmówcy. Nagle poczuł się, jakby tamtemu wyrosły niespodziewanie kły i pazury, ale kaznodzieja był ciągle taki jak przedtem: potężnie zbudowanym ciemnowłosym młodym mężczyzną, noszącym ciemne rajstopy i takąż koszulę. Siedział w dalszym ciągu ze skrzyżowanymi nogami na wierzchu ogromnej skrzyni. Jednak teraz wyglądał jak prymitywny, prehistoryczny czarny kapłan na szczycie ołtarza.

- Antropologia sprzeciwia się takim praktykom - powiedział Hender-son.

Winton popatrzył na niego niechętnie z wysokości swego ponad-metrowego podwyższenia oraz stu siedemdziesięciu centymetrów własnej wysokości.

- Nie jesteś antropologiem, prawda, Harry? Jesteś inżynierem?

- To prawda - przytaknął Henderson, nienawidząc go za ten sylo-gizm.

Winton odezwał się słodko:

- Więc dlaczego nie wrócisz do statku i nie zajmiesz się silnikiem?

- Będą kłopoty - miękko odezwał się Harry.

- Jestem na nie przygotowany - równie miękko odparł Revent Winton. Wyjął ze swojej torby wielki starodawny rewolwer i położył go na kolanach.

Wylot lufy był umieszczony dokładnie pomiędzy inżynierem a tubylcami.

Henderson wzruszył ramionami i poszedł w kierunku statku.

- Co on zrobił? - Charlie kończył sprawdzać wskaźnik paliwa. W wolnej ręce trzymał filiżankę kawy.

Wściekły, milczący Henderson uwalniał się z plastikowego okrycia. Zdjął je, zmiął i wrzucił do pojemnika na odpady.

- Powiedział mi, żebym pilnował swojego nosa. I właśnie zamierzam to zrobić.

Natchniony głos kaznodziei ponownie zabrzmiał z oddali jak głęboko dudniący gong. Równocześnie maszyna translacyjana wymówiła słowa w miejscowym dialekcie.

- Translator znowu pracuje - zauważył Charlie.

- Niech tam. On i tak nie wie, co maszyna mówi.

Henderson z ponurym wyrazem twarzy odwrócił się do bibliotecznego regału i wyciągnął jeden z tomów książki Planety Pozaziemskie -podręcznik obserwacji i zachowania się na planetach pozaziemskich z przykładami.

- Co mówi translator?

- Prawie nic. Wszystko, co tłumaczy z długiego przemówienia tego płaza, to słowa: "Ja jestem drogą".

Uśmiech zniknął z oblicza młodego inżyniera.

- To było już wystarczające dla innych. Winton na pewno nie wie, co mówi skrzynka?

- Myśli, że tłumaczy to, co on powiedział, czyli zwyczajne majaczenia.

- Musimy go powstrzymać! - Charlie zaczął wspinać się po drabince. Henderson wzruszył ramionami.

- Więc idź i powiedz mu, że translator nie pracuje prawidłowo. Powinienem to zrobić sam, ale gdybym teraz zbliżył się do niego, mógłbym go chyba udusić.

Charlie wrócił niebawem szczerząc zęby.

- W porządku. Tubylcy boją się Wintona, ale lubią skrzynkę. Pewnie myślą, że maszyna mówi sama z siebie coś dla nich zrozumiałego, a facet na górze przeszkadza tylko, mamrocząc w obcym języku.

- On bełkocze, a skrzynka przemawia - kwaśno zauważył Harry. -Mają rację.

- Jesteś zły na niego. - Charlie zaczął przeglądać półki w poszukiwaniu podręcznika o postępowaniu ekipy inspekcyjnej. - Chyba wiem, o czym myślisz. Tak czy owak, powiedziałem Wintonowi, że wywarł złe wrażenie na tubylcach. To go zatkało, wręcz zamurowało. Potem stwierdził, że odłoży na tydzień kazania i postara się ich poznać trochę. Stwierdził też, że powinniśmy doprowadzić do porządku translator, tak żeby tłumaczył wszystko, co mu się powie. - Charlie odwrócił się uśmiechnięty, z książką w ręce. - To daje nam trochę czasu.

- Czasu? Na co? - burknął Henderson, nie podnosząc wzroku znad książki. - Uważasz, że możemy zmienić umysł Wintona? Ten twardogłowy wierzy, że wtrącanie się w życie ludzi jest jego świętym obowiązkiem. Spróbuj mu to wyperswadować. On wtrąci swoje trzy grosze nawet do uczyty ludożerców! Mam nadzieję, że zrobi to, a oni go zjedzą!

- Wieprzowina... - Charlie zadumał się, rozbawiony nagle niecodzienną wizją. - Smakuje człowiekowi, prawdopodobnie by się wydała ohydna tutejszym tubylcom. Oni nie są tego samego gatunku.

- Powiedział, że zamierza przerwać ich wiosenny festyn. Jeżeli składają jakieś ofiary lub robią cokolwiek, czego on nie uznaje, będzie starał się im przeszkodzić.

Charlie oparł się pięściami o stół i pochylił się w stronę starszego inżyniera.

- Słuchaj, nawet nie wiemy, czy tubylcy zamierzają urządzić jakieś wiosenne uroczystości. Gdy zbadamy to bliżej, może okaże się, że nic nie organizują. Może się też okazać, że Winton nie będzie w stanie im przeszkodzić, więc niepotrzebnie się martwimy. Wystarczy tylko wyjść i zbadać to. Powinniśmy napisać standardowy raport o tym, co znajdziemy, a czasopisma wydrukują to po naszym powrocie. Sława i te rzeczy! - Obserwował, jakie wrażenie na Hendersonie wywarły jego słowa. Po chwili dodał: - Może jeśli będziemy musieli, zniszczymy translator.

Był koniec pory suchej. Rzeka stała się mała i płynęła wąskim korytem. Wiele ryb znajdowało się tuż pod powierzchnią. Spet pracował szybko; wyciągał je z pułapek, które wrzucał ponownie do wody, a ryby solił.

Był zmęczony, ale zadowolony po uczcie ostatniej nocy. I już cieszył się na myśl o kolejnej, przewidzianej na następny wieczór. Nastal teraz sezon na specjalne potrawy: gotowane zioła, korzenie i smakołyki z ryb. Dzisiejsza feta będzie, być może, ostatnią tego roku, gdyż mgła pojawiła się na horyzoncie i już jutro mogą nadejść deszcze.

Jeden z obcych przyszedł na brzeg i przyglądał mu się uważnie. Spet uprzejmie nie zwrócił na niego uwagi i solił ryby, nie patrząc na przybysza. Ignorowanie obcych mogło być niebezpieczne, ale by wykonywać pokojowe gesty, należało wykluczyć, że obcy pochodzi z wrogiego plemienia. W przeciwnym razie mogłoby się zdarzyć, że zaprzyjaźniony tubylec okazałby się nieprzyjacielem. Spet wolał być uprzejmy i udawać, że nie zauważył obserwującego.

Mgła gęstniała na niebie i słońce świeciło coraz słabiej. Spet cisnął pułapkę na jej właściwe miejsce w rzece. Zrobił to z całą zręcznością i siłą swoich potężnych krótkich ramion. Jeżeli przeżyje następny tydzień, jego ręce nie będą już krótkie i silne; będą słabe i długie. Zaczął wyciągać linę następnej pułapki, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę obcego.

Był wyjątkowo brzydki. Oblicze miał czerwonobrazowe jak uschnięty liść i kompletnie pozbawiony był owłosienia na kolanach i łokciach. Błyszczał cały, jakby był mokry, pokryty matowym błyskiem wody, która w ogóle nie ściekała. Był gruby i przysadzisty, poruszał się szybko jak młodzieniec, ale nie pracował. Bardzo dziwne, prawie nierealne, ale stał i nie atakował Speta, chociaż mógł to uczynić. Nie pochodził więc prawdopodobnie z żadnego wrogiego plemienia.

Możliwe, że ta ociekająca woda jest złudzeniem, oznaczającym, że obcy jest duchem kogoś, kto się utopił.

A przybysz ciągle patrzył. Spet zaparł się piętami w trawę na brzegu i pociągnął linę kolejnej pułapki. Chciał pokazać dziwnemu obserwatorowi swą siłę. Pociągnął za mocno i węzeł puścił. Obcy od razu wszedł w wodę i zaciągnął pułapkę tak, że żadna ryba nie uciekła.

To było działanie przyjaciela. Gdy tylko sieć została wyciągnięta bezpiecznie na brzeg, brązowy przybysz odszedł bez słowa czy gestu. Po chwili, już z pewnej odległości, przyglądał się bacznie poczynaniom Speta. Jego pomoc wydawała się naturalnym odruchem, jak w rodzinie.

Oznaczało to, że ten brązowy jest krewnym i członkiem jego rodziny. Spet jednak widział wszystkich żyjących kuzynów i żaden nie wyglądał tak dziwnie. Rozumując logicznie, doszedł do przekonania, że brązowy jest duchem krewniaka, który się utopił.

Spet skinął głową w jego stronę, przełożył ryby z pułapki do koszy i posolił je. Przykucnął, by naprawić uszkodzony węzeł sieci.

Brązowy duch przykucnął obok. Wskazał palcem na sieć i wydał pytający dźwięk.

- Reperuję sieć, dziadku - wyjaśnił Spet, używając najbardziej pełnego szacunku terminu, gdy zwracał się do przybysza.

Duch położył dłoń na ustach, potem wskazał na ziemię i wydał ponownie pytający dźwięk.

- Ziemia jest jeszcze ciągle sucha, dziadku - odpowiedział serdecznie, dziwiąc się, dlaczego tamten chciał to wiedzieć. Wstał i rzucił sieć uwiązaną na linie do rzeki. Miał cichą nadzieję, że duch podziwia jego siłę. Postacie w jego snach często przychodziły, by mu coś powiedzieć, i równie często nie mogły przemówić. Jednak sposób, w jaki na niego patrzyły, i znaki, jakie mu dawały, zawsze zawierały jakąś wiadomość. Brązowy duch wyglądał jak młodzieniec, jak Spet, jak gdyby utopił się przed ceremonią wieszania, po której było się już dorosłym. Może ten przyszedł na jawie zamiast we śnie, ponieważ Spet miał także dołączyć do duchów, zanim stanie się dorosłym.

Ta myśl przeraziła go. Mgła kłębiąca się na horyzoncie wyglądała złowieszczo.

Brązowy duch powtórzył to, co przed chwilą powiedział Spet. Zrobił to dokładnie, nieznacznie kalecząc słowa: "Ziemia jest jeszcze ciągle sucha, dziadku." Pokazał na ziemię i wydał pytający dźwięk.

- Ziemia - powiedział Spet, myśląc o śmierci i przypominając sobie pieśni, które o niej mówiły

Nagle usłyszał, że duch powtarza słowo, i spostrzegł z zadowoleniem, że zapomniał o swej dziwnej mowie i powtarza wszystko raz po raz jak niemowlę. Szybko przerodziło się to w prostą i przyjemną zabawę. Spet pracował i jednocześnie wskazywał na różne rzeczy, wymawiając ich nazwy lub słowa, które oznaczały czynność. Wreszcie zaśpiewał kilka dziecinnych piosenek, które opisywały różne zajęcia.

Duch chodził za nim i pomagał mu przy sieciach. Cały czas słuchał i wskazywał na rzeczy, których nazw pragnął się nauczyć. Wokół nadgarstka nosił owiniętego ślepego węża ze srebra. Spet nie dostrzegł go od razu. Teraz, kiedy zaśpiewał, duch odwrócił głowę węża w jego stronę, a potem sam powiedział coś do srebrnego gada, pomagając sobie wyjaśniającymi gestami.

Dla Speta było to szokujące, że ktoś może wyjaśniać różne sprawy węzowi. Te gady są przecież bardzo mądre, zaś ślepy wąż jest mądrością snów, wie wszystko i nie potrzebuje żadnych wyjaśnień. Spet odwrócił wzrok i nie spojrzął więcej w kierunku węża.

Pracowali dalej razem. Szli wzdłuż rzeki, wyciągali pułapki, solili ryby i wrzucali sieci z powrotem do wody. Spet opisywał, co robi. Duch przemawiał do węża na nadgarstku i wyjaśniał mu wszystko, co się dzieje.

Nagle brązowy duch zdjął ślepego srebrnego węża i skierował go ku tubylcowi, wskazując gestem, żeby co's powiedział.

Zaskoczony i przerażony Spet padł na kolana.

- Powiedz mi, o Najmądrzejszy. Jeżeli tylko zechcesz do mnie przemówić, powiedz mi. Czy umrę przy wieszaniu?

Począł, ale wąż spoczywał nieruchomo na ręce ducha i nie poruszył się ani nie odpowiedział.

Spet podniósł się z kolan i odwrócił się.

- Dziękuję, mędrze.

Duch przemówił do węża. Tłumaczył coś spokojnie, używając przeproszających gestów. Potem owinał go wokół przegubu dłoni i pomógł chłopcu dźwigać kosze solonych ryb. Wszystko robił bez słowa, bez jakiegokolwiek gestu.

Słońce już zachodziło.

W drodze powrotnej do swej rodzinnej chaty Spet mijał Skrzynię Która Mówi. Czarny, bełkoczący upiór siedział na wierzchu i mamrotał coś jak zwykle. Ale tym razem Skrzynia zatrzymała chłopca i przemówiła do niego, nazywając go jego imieniem. Zapytała o jego życie.

Tubylec dźwigał dwa ciężkie kosze solonych ryb. Zawiesił je na drążku opartym na ramieniu. Stał pośrodku łąki, która o innej porze roku zamieni się w łąkę ze srebrną czeredą duchów, rzucających długie cienie. Był zmęczony brodzeniem po wodzie jak również rozmową z brązowym duchem, który pytał i pytał przez cały dzień. Wyjaśnił więc skrzyni, która w jego pojęciu była tutaj czymś najważniejszym, że zamierza umrzeć. Ceremonia wieszania, poprzez którą młodzież stawała się dorosła, odbywała się równo z pierwszym deszczem. Tym razem pięciu młodzieńców było gotowych do tego obrzędu. Zwykle większość przeżywała, ale on miał przeczucie, że umrze.

Skrzynia umilkła, a upiór na jej wierzchu przestał bełkotać. Dla Speta oznaczało to, że przeczucie nie myliło go. Ludzie milkną, gdy nie chcą głośno powiedzieć prawdy.

Uczył uprzejmy gest pożegnania w kierunku skrzyni i poszedł do wioski. Czuł się bardzo nieszczęśliwy. Podczas wieczornej fety wszyscy młodzi jedli ryby i korzenie, czuli się szczęśliwi i stawali się coraz grubszy. Chudzi dorośli spożywali korzenie i zioła. Spet był dorastającym młodzieńcem i powinien jeść obficie, by przybywało mu tłuszczu i rosła jego siła. Zamiast tego odszedł na bok i popatrzył w niebo. Zobaczył, że się coraz bardziej chmurzy. Nie wrócił już na ucztę, tylko oparł się o ścianę chaty i drżał. Przed nim leżała płaskodenka jego rodziny, oczekując w piasku za chatą na szczęśliwe dni pory deszczowej. Już nigdy nie popłynie tą łódką.

Powieszenie do góry nogami było bolesnym sposobem na to, aby stać się dorosłym, ale było tego warte, jeśli się przeżyło. A wydawało się, że jest to bardzo nieprzyjemny sposób umierania.

Revent Winton, biegnący bez tchu ze swą wiadomością, dopadł dwóch inżynierów leżących na brzegu rzeki.

- Odkryłem... - zaczął.

- Cii... - powiedział któryś, nie odwracając się.

Obaj obserwowali małe stworzenie, które znajdowało się w wodzie. Winton zbliżył się i położył obok nich.

- Mam wiadomość, która może was zainteresować. - Zniżył głos do cichego pomruku, ale i tak dało się słyszeć triumf w jego słowach. Szczególna intonacja spowodowała wymianę porozumiewawczych spojrzeń pomiędzy inżynierami. Potem ponownie skupili uwagę na rzece.

- Powiesz nam, jak się to skończy. Poczekaj.

Młody kaznodzieja przyjrzał się temu, czemu oni poświęcali tyle czasu. Zobaczył stojące w płynącej wodzie małe czworonożne stworzenie z wielkimi oczami i zębami szczękającymi febrycznie.

Młodszy inżynier, Charlie, robił rysunek stworzonka.

- Jego nogi zakopane są w dnie - szepnął Winton. - Dlaczego mu nie pomożecie?

- Ukorzenia się - powiedział cicho Henderson. - Obawiamy się, że głośny hałas mógłby to przerwać.

- Ukorzenia się - Revent był skonfundowany.

- To zwierzę ma dwa etapy życia, podobnie jak bernakla. Wiesz, ber-nakla jest jakby malutką rybką, która pływa sobie, dopóki nie ukorzeni się gdzieś, i wtedy staje się jakby naroślą na skale. To tutaj posiada stadium ukorzenione, które właśnie przechodzi. Kiedy woda sięgnie mu do szyi, stoczy się pod wodę, a jego przednie odnóża staną się czymś w rodzaju morskiego zielska, tak jak glony. To już trzecie, które obserwujemy.

Winton raz jeszcze popatrzył na trzęsące się stworzonko. Woda podnosiła się do jego szyi. Wielkie jasne oczy i obnażone ząbki sprawiały wrażenie przerażenia i zagubienia.

- Okropne - wymruczał. - Czy to coś wie, co się dzieje? Tym razem Henderson wzruszył ramionami.

- Przynajmniej tyle, że woda się podnosi, a ono nie może uciekać. Musi tu stać i wkopać swe nogi w dno. - Popatrzył na wyraz twarzy kaznodziei i odwrócił wzrok. - Instynkt jest potężnym bodźcem do działania. Nie możesz z nim walczyć. Zwykle przyjemnie jest mu ulegać. Nie jest to takie złe.

Revent Paul Winton zawsze obawiał się wody. Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na małe stworzonko, które miało przekształcić się w glona. Woda już prawie dosięgła szyi stwora, który trzymał głowę wysoko i sapał ciężko, wydając dziwny, piszczący dźwięk.

- Okropne - powiedział i odwrócił się, zachęcając Hendersona, by poszedł za nim. Ruszyli wzdłuż brzegu rzeki. - Panie Henderson, właśnie coś odkryłem.

Był bardzo poważny, ale miał kłopoty z wysłowieniem się. Inżynier zachęcił go:

- W porządku, proszę mówić.

- Dowiedziałem się od tego tubylca. Dzisiaj translator pracował lepiej.

- Charlie i ja nagraliśmy dzisiaj około czterystu słów i wyrażeń. Rozmawialiśmy z tubylcami przez cały dzień. - Twarz Hendersona stała się nagle zimna i zła. - Ale wydawało mi się, że nie uruchomi pan translato-ra, dopóki nie będzie gotowy.

- Właśnie to sprawdzałem. - Winton naprawdę wydawał się skruszony. - Nic nie powiedziałem. Zadawałem tylko pytania.

- W porządku. - Henderson niechętnie skinął głową. - Przepraszam za te narzekania. Ale co się stało? Człowieku, coś taki smutny?!

Winton obtarł oczy i odwrócił się. Wyglądało, jakby patrzył na rzekę, na krzaki i na drzewa na jej brzegu. Potem ponownie się odwrócił i popatrzył w kierunku odległych wzgórz w głębi lądu. Nie

można było dostrzec w jego twarzy żadnego określonego uczucia.

- Piękny, zielony kraj. Wygląda tak spokojnie. Bóg nie poskąpił mu wspaniałości. Okazał swą boskość. Kiedy sądzimy, że Bóg jest okrutny, dzieje się tak dlatego, że Go nie rozumiemy. Bóg naprawdę nie jest taki.

- W porządku, Bóg nie jest naprawdę okrutny. Bezlitośnie powtórzył starszy inżynier. - Co z tą wiadomością?

Winton skrzywił się i powrócił myślami do Hendersona.

- Henderson, zauważyliście z Charliem, że tu są dwa rodzaje tubylców: wysocy i chudzi, powolni oraz szybcy, krępi i niscy, którzy wykonują wszystkie ciężkie prace. Tych krępych widzieliśmy w różnym wieku: od dzieci aż do dorosłych. Prawda?

- Zauważyliśmy.

- Jak pan myśli, Harry, co to oznacza?

- Charlie i ja rozmawialiśmy o tym. - Henderson był zakłopotany. - Właściwie sądzimy, że wysocy są arystokracją. Prawdopodobnie są właścicielami niskich, którzy wykonują za nich wszelkie prace.

Grube chmury wisiały nad odległymi wzgórzami, powodując powolny przybór wody w rzece.

- Niscy są dziećmi wysokich i chudych. Wysocy chudziecy są dorosłymi, a wszyscy dorośli są chorzy. Właśnie dlatego dzieci pracują.

- Co... - zaczął Henderson, ale Winton podniósł głos i mówił dalej z niezwykłą pasją. Oczy miał utkwione we wzgórze.

- Są chorzy z powodu czegoś, co zrobiono im pewnego dnia. Młodzi, silni i zdrowi, kiedy są gotowi, by zostać dorosłymi, oni... oni są wieszani na drzewie głową w dół. Na wiele dni, Henderson, może na dłużej niż tydzień. Niektórzy umierają. Większość z nich... większość z nich zostaje rozciągnięta i staje się długa i chuda. - Zamilkł. Po chwili zaczął mówić z wysiłkiem: - Chłopiec tubylec nie potrafił powiedzieć, dlaczego to robią i skąd to się wzięło. Trwa to od tak dawna, że nikt tego nie pamięta.

Nagle, ku zaskoczeniu inżyniera, kaznodzieja upadł na kolana i złożył ręce. Odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i pogrążył się w modlitwie.

- O, Panie, nie wiem, dlaczego czekałeś tak długo, by ukazać im światło prawdy, ale dziękuję Ci, że przysłałeś mnie, bym powstrzymał te okropne rzeczy.

Wstał szybko i otrzepał kolana.

- Pomożesz mi, inżynierze, prawda?

- Skąd mamy wiedzieć, czy to prawda? - Harry nachmurzył się. - Brzmi to bezsensownie.

- Bezsensownie - Winton stracił cierpliwość i nagle zezłościł się. - Słuchaj, Harry. Mówiłeś, że znasz się trochę na antropologii. Z pewnością pamiętasz ceremonię inicjacji. Prymitywne plemiona często urządzają takie uroczystości dla młodych mężczyzn. Jest to sprawdzian ich męskości. Torturują chłopców, i ten, kto przejdzie próbę bez okazania słabości, jest uznawany za w pełni dojrzałego mężczyznę. Czyste okrucieństwo! Władze zawsze zakazywały tych obrzędów.

- Nikt nie posiada tutaj jakiegokolwiek władzy, by rozkazać komukolwiek, aby zaprzestał obrzędów - burknął Harry.

Był wstrząśnięty opisaną przez Wintona ceremonią inicjacji. Pozwolił sobie na sarkazm jedynie dlatego, że był przekonany, iż kaznodzieja, jak zwykle, się myli. Nie mógł zgodzić się z tym człowiekiem. Oznaczałoby to, że wspomaga go w czynieniu zła.

- Żadnej władzy? A co z Bogiem?

- Właśnie, a co z Bogiem? - zapytał Henderson złośliwie. - Jeżeli On jest wszędzie, to był tutaj także przed naszym przybyciem. I nigdy nie uczynił nic, by to powstrzymać. Ty znasz tubylców dopiero od tygodnia. Od jak dawna zna ich Bóg?

- Nic pan nie rozumie. - Ciemnowłosy mężczyzna mówił z ogromną pewnością siebie, stając się jakby wyższy. Jego postać wyprostowała się dumnie. - To więcej niż zwykle szczęście, że znaleźliśmy tę planetę. Moim przeznaczeniem jest powstrzymanie tych ludzi przed czynieniem tych okrutnych obrzędów. Przysłał mnie Bóg.

Henderson zbladł ze złości. Znosił przez dwa miesiące lotu zarozumiałstwo kaznodziei, wysłuchiwał bez zdenerwowania jego kazań. Wszystko po to, by zapewnić spokój na pokładzie statku kosmicznego. Ale teraz byli znowu poza zamkniętą kabiną, na wolnym powietrzu. Skończyła się jego cierpliwość i nie zamierzał dłużej znosić arogancji Wintona.

- Naprawdę? - zapytał złośliwie. - Dobrze. Ja również należę do tej wyprawy. Skąd możesz wiedzieć, że Bóg nie wysłał mnie po to, bym powstrzymał ciebie?

Charlie skończył rysować małego zwierzaka, który zmieniał się pod wodą. Wrócił na brzeg, ściągnął okulary do podwodnych obserwacji, akurat na czas, by ujrzeć, jak Winton wymierza policzek starszemu inżynierowi i bluzga przekleństwami. Każde z tych słów pobudziłoby kaznodzieję do godzinnego kazania, gdyby usłyszał je wymówione przez któregoś z nich.

Zobaczył, że Winton odwrócił się i pobiegł wzdłuż rzeki. Nie wyglądało to jednak na ucieczkę, a raczej na nagły niecierpliwy pośpiech.

Dziesięć minut później Henderson skończył wyjaśniać, co mu się przydarzyło z kaznodzieją. Leżeli na brzegu, patrząc leniwie w wodę. Część ich uwagi pochłaniało szukanie jakiejś interesującej formy życia i obserwowanie refleksów słońca na falach.

- Chciałbym móc żuć trawę - powiedział Harry. - Robiłem tak w dzieciństwie, gdy bywałem nad rzeką, ale ten plastik na twarzy nie pozwala na wsadzenie czegokolwiek do ust.

- Liście mogą być trujące. - Charlie przejechał dłonią po soczyście zielonej trawie. Żdźbła były sprężyste i mocne, z cienkimi zaokrąglonymi blaszkami, jak trawa na bagnach. - To nie jest prawdziwa trawa. I nie jesteśmy na prawdziwej Ziemi.

- Wiem. Chciałbym o tym zapomnieć. Ciekawe, co ten gad, Winton, teraz robi? - Inżynier przewrócił się na plecy i patrzył leniwie w niebo. - Będę z nim postępował teraz inaczej. Nie będzie i mnie traktował jak podwładnego; ojcowsko protekcyjnie. Od teraz będzie też zwracał się do mnie "Henderson", a nie "Harry".

- Nie spodziewaj się zbyt wiele. - Charlie oderwał kawałek zielska i podniósł go do ust. Listek został zatrzymany przez plastikową powłokę, która chroniła przed zarazkami i filtrowała wdychane powietrze. Odrzucił liść.

- Jak ta gadzina mogła zostać misjonarzem? Nie można powiedzieć o nim nic złego z wyjątkiem tego, jak postępuje z ludźmi. Nie pomoże im, gdy będzie robił tak jak do tej pory.

- Jak został misjonarzem? Tak jak mówiłem, łatwo to wytłumaczyć - odparł Henderson, patrząc na ciemniejącą purpurę nieba. - Zachęcili go, by został misjonarzem, bo mogli się go pozbyć i wysłać gdzieś bardzo daleko. Nigdy mu tego nie mów. Myśli, że został wybrany z powodu swojej elokwencji. - Henderson z powrotem przewrócił się na brzuch i popatrzył na rzekę. Pośród srebrnych błysków pojawiła się złowroga czerwień. - Coraz więcej chmur nad górami. A te małe nad nami mogą stać się większe i może zacząć padać. Jeżeli poziom wody, będzie stale się podnosił, może być

powódź. Zmusiłoby to nas do przesunięcia statku.

- Winton mówił, że tubylcy wspominali coś o powodzi. Charlie podniósł się powoli i przeciągnął.

- Robi się ciemno. Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o jego spotkaniu z chłopakiem.

Ruszyli na poszukiwania kaznodziei.

To, co im powiedział, było mętne i nieokreślone.

- To był Spet - powiedział Harry. - Ten, który uczył mnie słów ich języka przez całe popołudnie.

I on powiedział ci, że zamierza umrzeć?

Winton był poważny. Twarz miał bladą. Siedział przy stole na mapy, skulony, jakby przerażało go czekające na niego zadanie.

- Tak. Powiedział, że zamierza umrzeć, że mają go powiesić głową w dół, gdy tylko zaczną się deszcze, ponieważ jest już wystarczająco dojrzały.

- Ale powiedział, że inni młodzi mężczyźni przeżyją? Może myli się co do swej śmierci? Może nie jest tak, jak mu się wydaje?

- Powiedział, że wielu umiera - odparł Winton beznamiętnym głosem. Nagle poruszył się w nagłym przypływie złości. - Och, ci durni barbarzyńcy. Okrucieństwo i okrucieństwa! - Odwrócił głowę w stronę starszego inżyniera i popatrzył na niego bez zwykłej wyższości. - Przygotowaliście translator i przetłumaczył mi to dokładnie, prawda? Nie chcę ich wystrzelić, by powstrzymać ich przed tym obrzędem. Chcę im tylko wyjaśnić, że Bóg nie chce, by robili takie rzeczy. Muszą mnie zrozumieć.

Odwrócił głowę w stronę stojącego obok Charliego.

- Barbarzyńcy nazywają mnie "Enaxip". Co to znaczy? Czy oni myślą, że jestem Bogiem?

- To znaczy "Wielka Skrzynia" - odparł szorstko Henderson. - Oni ciągle myślą, że to skrzynia mówi do nich. Widziałem, jak ją obserwują, gdy im odpowiada. Nie patrzą na ciebie. Nie wiem, co o tobie myślą.

Tej nocy nie padało. Winton pozwolił sobie na sen dopiero przed świtem.

Spet także był zadowolony, że jeszcze nie pada. Następnego dnia, jak zwykle, łowił ryby.

Rzeka wezbrała. Woda podnosiła się w korycie szybko, a połów nie był już taki łatwy jak wcześniej. Ale brązowy duch powrócił, przyprowadzając ze sobą innego, takiego jak on sam. Obaj pomagali mu wyciągać pułapki na ryby. Drugi duch także chciał nauczyć się nowych słów. Wszyscy trzej byli rozbawieni, że dwa duchy wykonują codzienne czynności, a Spet wypowiada słowa i śpiewa piosenki mówiące o tym, co robią.

Jeden z nich nauczył go kilku słów w języku duchów. Spet przyswoił je szybko, bo wiedział, że niebawem sam zostanie duchem.

Kiedy Spet dźwigał wieczorem ryby do domu, przechodził koło Skrzyni Która Mówi. Znowu przemówiła i zadawała mu pytania.

Czarnego upiora, który zwykle bredził na wierzchu Skrzyni, tym razem nie było. Nikt nie siedział na maszynie. Brązowy duch, który pomagał mu przy rybach, stał obok i przemawiał do niej łagodnie, za każdym razem, gdy ta zadawała Spetowi pytania. Skrzynia odpowiadała duchowi równie delikatnie, jakby rozwiązywali problem związany z chłopcem tubylcem.

Spet dawał uprzejme odpowiedzi, chociaż niektóre z pytań były trudne. Dotyczyły działań, o których nigdy nie myślał. Niektóre były wręcz nieprzyzwoite. Nie wiedział, dlaczego rozmawiali z nim, ale to ich sprawa, i powiedzą mu o tym, gdy będą chcieli.

Kiedy ich opuszczał, brązowy duch uczynił gest szacunku i podziękowania za wspólną pracę, a Spet powtórzył jego ruchy, wzruszony i zadowolony zachowaniem krewnego-ducha.

Nie pamiętał o swoich obawach, zanim nie doszedł do domu.

Zaczęło padać.

Charlie wszedł na rampę, potem do wnętrza statku. Odnalazł Hendersona, który chodził tam i z powrotem. Potężne ramiona inżyniera zgarbiły się, pięści zacisnęły, twarz pomarszczyła wewnętrzna rozterka.

- Cześć!

Charlie nie oczekiwał odpowiedzi. Popchnął dźwignię, która powodowała zamknięcie powłoki. Popatrzył, czy gorący drut odciął go od głównej osłony, i zaspawał otwór. Stał i wyglądał swą nową plastikową powłokę, upewniając się, czy ochrona noszona na zewnątrz została całkowicie poryta nowym plastikiem. Wszystkie zewnętrzne zanieczyszczenia i zarazki powinny zostać uwięzione pomiędzy dwoma warstwami sterylne tworzywa.

Stał i ciągle gładził "ubranko", obserwując wędrówkę Harry'ego. Tylko głęboko w oczach można było dostrzec oznaki zainteresowania. Mógł się całkiem odwrócić, żeby człowiek obok niego nie czuł się obserwowany i miał poczucie pełnej samotności. Młodszy inżynier był dobrze wychowany i uprzejmy, a to była właśnie część jego kultury osobistej.

- Jak sprawy? - spytał niedbale, przecinając swój plastikowy kokon. Ściągnął go.

Henderson zatrzymał się i wziął cygaro ze skrzynki na stole. Ruchy miał niecierpliwe i gwałtowne.

- Źle - powiedział. - Winton miał rację.

- Co? - Charlie zmiął plastik i wrzucił go do pojemnika na odpadki.

- Tubylcy faktycznie to robią. - Inżynier odgryzł koniec cygara i przypalił je. Jego ruchy cały czas były gwałtowne. - Spytałem Spęta. Translator nie zrobił tym razem żadnej pomyłki. Posłuchaj, co powiedział: "Tak, wieszają młodych mężczyzn na drzewach głową w dół po pierwszych deszczach. Tak, to wyrządza im krzywdę. Tak, czasem któryś umrze. Nie, nie wie, dlaczego muszą to robić ani po co."

Henderson cisnął cygaro i znowu zaczął chodzić w kółko, burcząc pod nosem.

- O, tak. Translator pracował dobrze! Całe pokolenia torturowały chłopców w ten sposób. Dorośli nie pamiętają, jak to się zaczęło ani dlaczego. Ale zamierzają to robić dalej...

Charlie pochylił się nad stołem z mapami, ale śledził bacznie chodzącego starszego inżyniera.

- Może - odezwał się delikatnie - istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie tego zwyczaju.

- Racjonalne wytłumaczenie wieszania głową w dół na tydzień? Podaj chociaż jedno!

Charlie nie odpowiedział.

- Właśnie wracam z wioski tubylców - odezwał się zmieniając temat 292

- Winton ustawił tam na środku translator. Siedzi na wierzchu i mówi im, że Bóg na nich patrzy i tym podobne brednie. Próbowałem go przekonać, a on po prostu wycelował we mnie z rewolweru. Powiedział, że powstrzyma obrzęd wieszania, nawet gdyby musiał zabić nas obu i wystrzelać połowę tubylców.

- Więc pozwólmy mu spróbować zatrzymać ich właśnie przez kazania. - Henderson, który zatrzymał się, by wysłuchać Charliego, znowu zaczął chodzić, patrząc w podłogę. - Ech, ta paplająca gęba! Gadaniem tego nie dokona. Samym mówieniem jeszcze nikt niczego nie dokonał. Zamierzam zrobić to w inny, prostszy sposób. Porwę Spęta i powstrzymam ich od zrobienia mu tego.

Henderson westchnął.

- Charlie, plemiona dokonują swych obrzędów we właściwej porze roku. Wtedy, kiedy uznają, że ona właśnie nadeszła. Uwolnimy Spęta, nim minie tydzień i nie będą mogli mu nic zrobić. Będą musieli czekać do następnego roku. W tym czasie zobaczą, że drzewa nie zezłościły się na nich i nic takiego się nie dzieje. Kiedy przekonają się, że Spet uniknął tego, będą mieli szansę ujrzeć, jak młody mężczyzna staje się zdrowym dorosłym, bez rozciągania i fizycznego uszkodzenia ciała. I może w następnym roku Spet sam zdecyduje się zniknąć. Gdy niektóre dzieciaki zobaczą, jak wygląda Spet w porównaniu z dorosłymi, którzy byli powieszani, prysną do lasu we właściwym czasie.

- To piękny sen - powiedział Charlie, ciągle obserwując chodzącego Hendersona. - Chciałbym przypomnieć ci, że już nie śpimy. Ale jestem z tobą. Jak odszukamy Spęta?

Starszy inżynier uśmiechnął się.

- Zobaczymy się z nim jutro przy strumieniu. Nie musimy nic robić, dopóki nie zacznie padać.

Charlie zaczął przetrząsać skrzynkę z narzędziami.

- Trzeba wziąć parę mocnych lamp. Musimy działać szybko i jak najszybciej znaleźć Spęta. Już pada. Prawie od godziny.

Ciemności i deszcz... To bardzo dziwne, gdy się wisi głową w dół. Nie ceremonia i przygotowania, o których śpiewały pieśni-opowieści, ale wrażenie robi rzeczywistość, taka jak wyciąganie sieci, budowanie chaty czy jedzenie z braćmi. Świat obrócił się do góry nogami. Pień drzewa znajdował się tuż obok, gruby i mocny, a ziemia była nad nim, jak dach przytrzymywany przez drzewo. Niebo było gdzieś daleko, daleko pod stopami. Patrząc w dół, na chmury kłębiące się w głębinach nieba, zaczął się bać, że spadnie w te odmęty. Niebo było jeziorem i mógłby w nie wpaść, jak kamień rzucony do wody. Gdy już ktoś w nie wpadnie, będzie spadał bardzo długo, gdyż wydawało się takie głębokie.

Deszcz spadał z chmur i uderzał Speta w podbródek. Jego kostki u nóg były mocno związane, ale nie pokaleczone. Dorośli użyli miękkiej liny, a węzły związała tak, by nie hamowały krążeń. Ramiona miał wyciągnięte wzdłuż boków, a przeguby dłoni przywiązane do tego samego sznura, który ciągnął go za kostki. Wisiał w pozycji na baczność. Było to tak, jakby stał, ale do góry nogami. I było to nieoczekiwane wygodne. Dorośli posiadli doświadczenie wielu pokoleń. Wybrali wysokie drzewo z konarem nad wodą. Sprawiali wrażenie mądrych i pewnych siebie. Poczł do nich zaufanie, gdy wiązali go i wieszali; robili to z wielką delikatnością, rozmawiając spokojnie między sobą.

Potem zostawili go i odeszli, wysocy, długonodzy jak bociany, w zielony las. Potem odpłynęli swoją płaskodenką, która wyglądała dziwnie, jak sufit przytrzymywany przez pnie drzew.

Ulewny deszcz bębnił po gałęziach i wiosennych listkach i ściekał w dół strumykami wody. Spet wiedział, że tam gdzieś niedaleko rzeka wystąpiła z brzegów i rozlała się po lesie i łąkach, łącząc się z wodą padającego ciągle deszczu. W wiosce ulice stały się błotniste, dzieci krzyczały, usiłując pływać po nich łódkami, dzikie w swej dziecinnej niecierpliwości. Czekały, by ponownie zobaczyć zimne fale powodzi, które zalewają chaty, by znowu ujrzeć, jak ich domy znikają pod gładką powierzchnią wody.

W czasie trwania powodzi wszyscy będą mieszkać w łódkach. Jego plemię powiosłuje na wybrzeże, spotykając inne plemiona, sprzedając koszyki i haczyki na ryby oraz solone ryby. Będzie popisować się starymi opowieściami i pieśniami w nowych wersjach. Ostatnim razem poszczęściło im się i upolowali w wodach powodzi wielkie zwierzę. Było bezradne wobec myśliwych. Ludzie z

innego plemienia kupili skórę wraz z połową mięsa i zaśpiewali pieśń, której nikt wcześniej nie słyszał. To była najwspanialsza uczta ze wszystkich.

Potem powrócą nad jezioro, na zalane łąki i lasy. Zdejmą z drzew chorych i umierających młodych mężczyzn. Zaopiekują się nimi, nakarmią i zaczną nazywać "starszymi". Potem ponownie popłyną po żywność. Będą walczyć ze sztormami, solić mięso nurkujących zwierząt i polować na głębinowe ryby.

Kiedy deszcze ustaną i ziemia zacznie obsychać, wrócą na wilgotny, ale nadający się już do zamieszkania ląd, by śpiewać i pracować. Znajdą nową wioskę ze świeżej delikatnej glinki pozostawionej przez powódź.

Spet nie doczeka jednak już tych dobrych czasów. Wisi na drzewie głową w dół, a deszcz biczuje jego skórę. Zrobiło się zbyt ciemno, by widzieć cokolwiek więcej niż zamgloną poświatę nieba. Zamknął oczy, i pod powiekami pojawiały się obrazy, wspomnienia, a potem sny.

- Tutaj jest. Jak go ściągnąć w dół? Wziąłeś nóż. Jak my się tam do niego dostaniemy? Wszystko jest śliskie. Nie mogę się wdrapać. Poczekaj, pomogę ci.

Błysk światła. Zbyt mocny, by oświetlić cokolwiek, trwał sekundę. Spet rozbudził się całkowicie i spojrzał w ciemność, szukając światła, które zniknęło, słuchając głosów mówiących obcym językiem.

- Nie używaj lampy błyskowej, przestraszysz go. -Zamierzasz mu wyjaśnić, co robimy?
- Nie, nie od razu. Niech dojdzie do siebie. Spet jest już moim kumplem.
- Człowieku, ależ te drzewa mają korzenie. Takie wielkie jak konary! -Jak mangrowce?
- Tobie zawsze wydaje się, że wszędzie jest jak na południu. Co to są mangrowce?
- Drzewa bagienne z Florydy. Ukorzeniają się na głębokiej wodzie. Daj tu rękę.
- Niech deszcz trochę potrwa i te tutaj będą potrzebować swych ogromnych korzeni. Swoją drogą, ciekawe, jak wysoko na nie wejdziemy?
- Myślisz, że cię bujam? Po cóż jeszcze miałyby mieć takie korzenie jak te?
- Ten teren przez większość czasu musi znajdować się pod głęboką wodą. Ta płaska kraina musi być krajem delty. Przybyliśmy tu w porze suchej.
- Co oznacza "kraj delty"? Jestem chłopakiem z miasta. Definiuj swoje wyrażenia.
- Myślę, że jesteśmy w miejscu ujścia jednej z tych wielkich wędrujących rzek, jak Missisipi czy Żółta Rzeka. Nigdy nie wiadomo, jak taka rzeka popłynie. Przy ujściu dzieli się na małe rzeczki, a ich koryta zmieniają się każdej wiosny. Zauważyłem, że trawa wokół naszego statku wygląda na słonolubną. Powinniśmy o tym pomyśleć.

Ciemne postacie pojawiły się obok Speta. Przesunęły się obok niego. Wspięły się do gałęzi, do której przywiązana była lina. Z oddali dobiegł go głos.

- Usiłujesz mi powiedzieć, że wylądowaliśmy w łożysku rzeki? Dlaczego nie powiedziałeś tego, jak lądowaliśmy?
- Nie myśl teraz o tym. - Ten głos był bliższy i wyraźniejszy.
- Właściwy czas na myślenie o tym jest wiosną teraz. Zostawiłem statek otwarty. Jesteś już tam?
- Uhm. Zwolniłem linę. Zamierzam powoli go puścić. Złap i uważaj, żeby nie spadł na głowę, dobrze?
- W porządku. Puszczam.

Głosy ucichły i świat zaczął się obracać. Przed oczyma Speta migały pnie drzew. Nagle para mokrych ramion schwyciła go i usłyszał głos brązowego ducha:

- Mam go.

Natychmiast opadły więzy z jego kostek i znalazł się twarzą w twarz z duchem. Wspólnie spuścili się w dół i przedostali się z jednego grubego korzenia na drugi, aż stanęli na błotnistym gruncie. Duch "wymówił" kilka słów i zaczął zdejmować ze Speta resztę więzów.

Strasznie dziwnie było siedzieć na wilgotnej ziemi, na mokrych zeszlórocznych liściach. Nawet las wyglądał dziwnie i Spet wiedział, że to wszystko z powodu śmierci. Zaczął śpiewać swoją żalobną pieśń.

Brązowy duch pomógł mu wstać i powiedział wyraźnie zrozumiałymi słowami:

- Chodź, chłopcze. Będiesz mógł śpiewać, kiedy stąd odejdziemy. Drugi duch opuścił się z gałęzi na najwyższy korzeń i szybko ześlizgnął się na dół. Upadł obok nich.

W języku Speta pierwszy duch powiedział:

- Nie ma czasu na odpoczynek, Charlie. Idziemy.

Było bardzo ciemno i kapanie z gałęzi stało się bardzo uciążliwe. Woda ściekała ciągle na skórę.

Duch siedzący na ziemi wyszczekał kilka takich samych słów jak kuzyn-duch przed chwilą.

Obydwaj, nim ruszyli przez las, nakłonili Speta do pójścia za sobą. Ciekaw był, czy już jest duchem. Może zabierają go, by został nim, nie czekając, aż umrze. To miło z ich strony, powinien to sobie poczytywać za zaszczyt. Na pewno dlatego, że był uprzejmy. Ruszył za nimi.

Deszcz zelżał i stał się gęstą, jednostajną mżawką, która mogła trwać przez kilka następnych dni. Marsz był trudny, gdyż poszycie lasu stało się śliskie z powodu mokrych liści. Błoto także przypominało sobie czasy, gdy było dnem rzeki rok temu, i stawało się coraz głębsze, utrudniając poruszanie się. Duchy i on upadali i wstając pomagali sobie wzajemnie.

Las pachniał przyjemnym aromatem mokrej ziemi młodych zielonych liści. Woda i błoto chłodziły stopy i Spet w jakiś niewytłumaczalny sposób zaprzagnął pozostać w lesie, usiąść i zasnąć.

Nadciągała powódź, a duchy nie miały żadnej łódki.

- Dalej, Spet. Idziemy do wielkiej łodzi. No dalej.

Dlaczego przedzierają się przez las bez łodzi? I czego się obawiają? Czy duch może się utopić? Jeżeli te duchy, z ich ciągle mokrym wyglądem, utopiły się już raz, to może muszą to robić każdego roku. Zła rzecz, która miała miejsce raz, musi zdarzyć się ponownie i raz jeszcze, i jeszcze. Jak we śnie. A twoja dusza żyje we śnie za każdym razem, jako coś nowego, bo w krainie tej nie istnieje pamięć. Te duchy były postaciami ze snu, jeśli nawet pojawiły się na jawie. Prawdopodobnie ulegały prawom obowiązującym w snach.

Będą musieli powtórzyć swoje utopienie. Ich łódź była daleko, a oni biegli po wodzie w kierunku, z którego nadejdzie najgorsza fala powodzi.

Spet zrozumiał nagle, że chcą, żeby się utopił. Nie mógł przecież zostać duchem, tak jak te przyjacielskie brązowe zjawy i żyć w ich świecie, jeśli wcześniej nie umrze.

Pamiętał swe pierwsze skojarzenie, gdy ich zobaczył: że noszą na sobie złudzenie wody, gdyż kiedyś się utopili. Chcieli, by był taki sam jak oni. Próbowali go zwabić do wody, gdzie potknąłby się i utopił

Rzeczywiście. Zachęcali go natarczywymi, nerwowymi gestami. Niełatwo zmusić przyjaciela do śmierci. Ale żeby być takim jak ten młody - szczęśliwym, brązowym i pokrytym wodą - trzeba się utopić. Dokładnie tak, jak zrobili to tamci, żeby być takim jak przed powieszeniem, a nie smutnym dorosłym.

Nie pokazał po sobie, że odgadł ich intencje. Biegając z nimi do miejsca, gdzie fala powodzi

będzie największa, usiłował sobie przypomnieć, w którym miejscu przerwał swoją pieśń śmierci. Potem zaczął ją śpiewać, by uspokoić swe przepełnione strachem myśli. Deszcz chłodził mu twarz i pierś.

Każdy z nich starał się pokonać swój własny strach. Niebawem wpadli na polanę. Inżynierowie ujrzeli z ulgą, że statek nadal stoi pośrodku wody. Łąka zmieniła się w długie wąskie jezioro, posiekane falami deszczu, odbijające refleksy nieba.

- Jak się tam dostaniemy? - Charlie odwrócił się do nich.

- Jak wysoko sięga woda? Czy przykryła rampę? - spytał przytomnie Henderson, usiłując coś dojrzeć poprzez zasłonę deszczu.

- Rampa wygląda tak samo. Widzę trawę sterczącą z wody. Nie jest głęboko.

Charlie zrobił ostrożny krok przez srebrzystą równinę, potem następny. Gąbczaste trawy pod powierzchnią wody przyjęły jego stopy. Woda sięgała nieco powyżej kostek.

- Tu jest całkiem płytko.

Zaczęli iść w kierunku statku. Postawienie stopy na czymś, co wyglądało na bezdenną głębię, wymagało odwagi. Prąd wody na pły-cieżnie szarpnął nagle ich nogami. Woda stała się głębsza i napływała coraz szybciej.

- Henderson! Poczekaj!

Cała trójka stanęła w miejscu. W pobliżu biegła droga do wioski, skręcała od strony lasu w stronę odległego brzegu rzeki. Pomiędzy krzakami błyszczała srebrna ściana powodzi. Ciemna postać biegnąc po ścieżce, potykała się. Spod jej stóp leciały srebrzyste bryzgi wody.

Człowiek dobiegł do miejsca, gdzie kończył się las i zaczynała łąka. Spozrzegł przed sobą jezioro i zatrzymał się. Znajdował się jakieś dziewięć metrów od nich.

- Henderson! Charlie!

- Chodź, tu nie jest głęboko. Śpiesz się. - Charlie ponaglał go gestami

Ciągle byli jakieś dziesięć metrów od brzegu łąki. Stali w podnoszącej się stale wodzie, która sięgała im już do kolan.

Winton nie poruszył się. Patrzył na błyszczącą powierzchnię.

- To jest jezioro. Potrzebna nam łódź. - Jego głos brzmiał piskliwie.

- Tu jest płytko - zawołał Charlie.

Deszcz bębniąc o wodę zostawiał na jej powierzchni małe, szybko znikające cętki. Obydwaj inżynierowie zawahali się. Spoglądali na kaznodzieję. Przeczuwali coś niedobrego.

Tym razem Winton przemówił niskim, chrapliwym, pełnym desperacji głosem:

- Proszę was. Nie umiem pływać...

- Idź po niego - powiedział Henderson do młodszego inżyniera. - On ma fobię. Zaprowadzę Speta do statku i wrócę, aby ci pomóc.

Charlie ruszył w stronę nieruchomej postaci na brzegu. Pokonywał odległość długimi skokami.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś, człowieku? Niewiele brakowało, abyśmy cię zostawili! - Stanął przed skamieniałym ze strachu Wintonem. - Wsiadaj, kolego. Właśnie złapałeś taksówkę.

- Co? - zapytał nieobecny głosem kaznodzieja. Woda podniosła się jeszcze wyżej.

- Właz mi na plecy - zniecierpliwził się młodszy inżynier. - Transport masz zapewniony.

- Domy zostały zalane, a oni odpłynęli i zostawili mnie samego. Powiedzieli, że jestem upiorem zła. Myślę, że mimo wszystko dokonali ceremonii wieszania, chociaż tłumaczyłem im, że to jest złe. - Winton powiedział to poważnym głosem i wdrapał się Charliemu na plecy. - Domy się rozpląnęły.

- Opowiadaj, a nie bełkocz - mruknął Charlie.

Statek kosmiczny stał przed nimi na środku srebrnego jeziora, na którego miejscu była do niedawna łąka. Właz był otwarty, a dolny brzeg rampy przykryty wodą. Prąd uderzał w nogi młodsze inżyniera, gdy biegł, a deszcz bił go chłodnymi kroplami po twarzy i ramionach.

Byłoby to nawet przyjemne, ale strach przed utonięciem dosięgnął również Charliego. Srebro nowego jeziora wydawało się groźne.

- Tam jest rwący prąd - odezwał się Winton, po raz pierwszy rozsądnie. - Dziwne! Woda wygląda tutaj całkiem naturalnie, jakby była na swoim miejscu, a tamte drzewa tak, jakby rosły na brzegu rzeki.

Charlie nie odpowiedział. Tamten miał rację, ale nie byłoby rozsądnie mówić człowiekowi z fobią, że będą próbowali przedostać się przez koryto rzeki, do którego wróciła woda.

- Dlaczego biegniesz? - spytał Winton.

- Żeby dołączyć do Hendersona.

Gdyby znaleźli się wewnątrz statku, mogliby nie zwracać uwagi na poziom wody. W środku nie trzeba by było tłumaczyć kaznodziei, co się dzieje na zewnątrz. Statek kosmiczny jest wspaniałą łodzią podwodną.

Poziom wody sięgał inżynierowi prawie do kolan i bieg stawał się trudny. Winton podciągnął nogi; bał się nawet dotknięcia wody. Plastik, który obaj nosili, przepuszczał wodę i dlatego całkiem przemokli.

- Kto tam jest z Hendersonem?

- Spet, chłopiec tubylec.

- Jak przetłumaczyliście mu, żeby nie brał udziału w wieszaniu?

- Znaleźliśmy go wiszącego i odcięliśmy.

- Och! - Winton musiał przetrwać tę wiadomość, że inżynierowie zdołali kogoś uratować. - To dziwne. Ja mówiłem, a oni nie słuchali - odezwał się jakby przepraszająco do Charliego. Głos mu drżał, co chwila przerywał, gdyż Charlie potykał się o kępy zielska niewidoczne nad powierzchnią wody. - Nawet nie odpowiedzieli, nie spojrzeli. Gdy woda stała się głęboka, wsiedli do małych łódek i odpłynęli, nie zostawiając żadnej dla mnie.

Charlie potknął się i klęknął na jedno kolano. Obydwaj znaleźli się nagle po pas w wodzie. Inżynier dźwignął się i podniósł. Pasażer trzymał się kurczowo jego pleców.

Kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie brzmiała histeria, chociaż ton był taki jak zwykle.

- Prosiłem ich o łódź, ale nawet na mnie nie spojrzeli!

Charlie milczał. Szanował uczucie strachu, jakie ogarnęło Wintona. Dotknięcie wody mogło być czymś przerażającym dla kogoś, kto cierpiał na akwafobię. Niech myśli o czymkolwiek, byle nie zwrócił uwagi, że woda robi się coraz głębsza. Biec w wodzie, gdy sięga powyżej kolan jest niemożliwością. Nie ma sposobu, żeby przyspieszyć. Deszcz stał się prawie jednolitą zasłoną, ale inżynierowi wydawało się, że dostrzegł Hendersona i Speta, którzy zbliżali się do rampy prowadzącej do statku.

Nawet gdyby dosięgła ich teraz fala powodzi, zdołaliby dotrzeć do wnętrza. Ale jak ma to zrobić on, brnący po kolana w wodzie i w dodatku mając na plecach faceta, który cierpi na akwafobię. Wyobraził sobie kościste ramiona zaciskające się wokół gardła z paniczną siłą. Kiedy tonący człowiek chwyci cię kurczowo, trzeba go znokautować i holować za sobą. Ale co zrobić z takim, który siedzi ci na plecach, i nie wiadomo, jak go uderzyć?

Jeżeli Winton nie chciał wejść do wody sięgającej kostek, to tym bardziej nie zgodzi się iść lub płynąć w wodzie sięgającej do pasa. Owszem mógłby go zrzucić! Jednak Charlie nie potrafił uwolnić się od przerażającego obrazu: uścisku mocnych kościstych rąk na szyi, szybkiego, przerywanego oddechu człowieka, którego dźwiga na plecach; człowieka schwytanego w pułapkę.

Woda podniosła się znowu o kilka centymetrów i poruszanie nogami stało się trudniejsze. Prąd spychał ich w bok.

- Idziemy strasznie powoli. - Głos Wintona był pełen lęku.

- Bez pośpiechu. - Charlie z trudem zapanował nad głosem. - Już prawie jesteśmy.

Mgła, spowodowana przez deszcz, uniosła się na chwilę i młodszy inżynier ujrzał statek na ciemnym tle nieba. Rampa jakby skurczyła się, do połowy była przykryta wodą. Jakże długo trzeba było jeszcze iść!

Nagle błysnęło światło.

Henderson błysnął przełącznikiem na kopule statku i zaświecił lampy.

Spet skamieniał. Nagle zaświeciło słońce i prześwietliło potężnym strumieniem potoki deszczu. Spadające krople wyglądały jak iskry białego ognia. To prawie niemożliwe, by słońce i deszcz znalazły się w tym samym czasie i w tym samym miejscu. Ale przecież w świecie snów wszystko było możliwe. Ludzie, którzy tam żyją, mają z pewnością taką samą moc na jawie.

Mimo wszystko Spet był przestraszony, bo słońce nie świeciło teraz normalnie. Światło padało rozszerzającym się strumieniem i mieszało się z wodą. Promienie słońca nie mogły mieszać się z deszczem.

- Słońce - nieśmiało odezwał się do swego kuzyna-ducha.

Brazowy duch skinął głową i poprowadził go rampą. Skąpany w tym świetle, szedł po równie dziwnym, twardym podłożu.

- Nie wchodź do środka, zanim nie wrócę - powiedział duch, z trudnością wymawiając słowa. Położył ręce Speta na barierze otaczającej rampę. - Trzymaj się tego i czekaj na mnie - powtórzył i wszedł do wody. Spet poszedł za nim aż do końca rampy. Gdy jego stopy wyczuły chłodny, delikatny muł, chwycił się barierki i czekał. Woda objęła go w pasie, a wiatr śpiewał mu pieśń śmierci.

Jasne błyski światła z tego dziwnego słońca pięknie tańczyły na wodzie, aż zaczęły razić go w oczy. Zamknął je i wtedy usłyszał inny dźwięk niż zawroźnienie wiatru; dwa głosy.

Pierwszy odgłos, który usłyszał, oznaczał, że pierwsza fala powodzi przedarła się przez drzewa na północy i zbliża się do łąki. Wiedział, że musi się śpieszyć i utopić się, zanim woda dopłynie. Mogłaby go poranić.

Drugim odgłosem był jakiś obcy dźwięk. To był głos czarnego upióra, który zwykle mamrotał coś na wierzchu Skrzyni Która Mówi. Spet otworzył oczy i zobaczył, że bełkoczący upiór jedzie na ramionach brązowego ducha. On i dwa duchy zbliżali się do rampy i brodzili po pas w wodzie.

Czarny upiór zabełkotał coś do niego i Spet poczuł ogarniający go gniew. Ciekawy był, czy jego gadanie nie przyniesie mu pecha, gdyż zamiary czarnego były inne niż przyjacielskich, brązowych duchów.

- Spet, wchodź przez rampę do nas. Tutaj jest sucho. Nie patrz tak, nie ma się czego obawiać. Wejdzimy do środka i zamkniemy drzwi. One zatrzymają wodę. Dalej, Spet.

Czarny duch wskoczył na rampę ze strasznym krzykiem:

Aaaiii!... On się zmienia w glona. Szybko, wyciągnijmy go z wody! Na pomoc!

Upiór w czarnej skórze i z białą twarzą chciał go wciągnąć prawdopodobnie do własnego,

ciemnego świata. Biegał po rampie obok Speta i wrzeszczał. Spóźnił się jednak. Spet wiedział, że będzie bezpieczny w świetle jasnych, utopionych, przyjacielskich duchów, które przyszły po niego. Czuł, jak jego stopy wypuszczają korzenie, które zagłębiają się w mule. Ogarnęła go dzika radość, bo wiedział, że to właśnie jest dla niego najlepsze. Dużo lepsze i bardziej naturalne, niż stać się długim, smutnym dorosłym.

Poczuł, że musi zaczerpnąć tchu. Wciągnął zimne powietrze głęboko w płuca i w tym właśnie momencie czarny upiór chwycił go za szyję. Spet miał wystarczająco pełne płuca, więc rzucił się prosto w ciemną przyjazną wodę. Zamknęła się nad nim i wszystkie odgłosy ucichły. Ciągłe czuł ucisk kościstych ramion upióra na swojej szyi. Wyciągnęły go w górę, ale dojrzał brązowe duchy biegnące ku nim. Chciały udaremnić zrobienie mu jakiejś krzywdy. Pozbył się wszelkiego strachu. Pochylił się w mroczną głębie i wsunął ręce z szeroko rozstawionymi palcami głęboko w muł, jakby zawsze wiedział, jak to trzeba zrobić. Zaciśnął dłonie. Nigdy go stąd nie zabiorą.

Poczuł delikatne falowanie. To pierwsza fala powodzi przesunęła się nad nim. Nie obchodziło go to. Z mieszaniną przerażenia i determinacji otworzył usta i wziął głęboki oddech. Napił się przy tym zimnej wody.

Wszystkie myśli odpląnęły. Gdy woda wtargnęła do płuc, ukorzeniony morski byt, który był dojrzałą formą gatunku Speta, rozpoczął bezmyślną, półroślinną egzystencję. Zapomniał o wszystkim, co dotychczas przeżył. Zmienił także kształt.

Pierwsza fala nie dosięgnęła włazu statku. Schwyciła natomiast dwójkę inżynierów, gdy usiłowali zabrać wrzeszczącego kaznodzieję w kierunku wejścia. Fala przeszła, a oni byli ciągle w tym samym miejscu. Jeden z nich uderzył krzykacza i razem zanieśli go do statku.

Winton histeryzował przez jakiś czas, ale Henderson sprawiał całkiem normalne wrażenie. Pracował normalnie i ułożył krótki raport do Agencji Badań Planetarnych. Kiedy wody opadły, zarządził oczyszczenie z błota dysz silników i sprawdzenie komór ogniowych. Nie było najmniejszego znaku braku logiki w jego działaniach.

Nie chciał jednak rozmawiać z żadnym z tubylców i wchodził do statku, gdy tylko się pojawiali.

Winton lekko gorączkował, gdy startowali, ale w przestrzeni szybko doszedł do siebie. Nie rozmawiali w ogóle o wydarzeniach na planecie. Henderson ciągle wyglądał normalnie, a Charlie nie powiedział kaznodziei, że starszy inżynier trzyma w pomieszczeniu silników szklane naczynie z dużym krzakiem w środku.

Od tamtej pory Henderson był uważany za człowieka nieco zdziwaczałego. Był wystarczająco dobry na dużych statkach, gdzie inni inżynierowie mogli przejąć jego obowiązki w chwilach załamania.

Nie miał kłopotów z otrzymaniem pracy, ale gdziekolwiek szedł, niósł ze sobą wybijająca roślinę doniczkową, umieszczał ją w pomieszczeniu silników i opiekował się nią jak dzieckiem. Jego koledzy nie rozmawiali z nim na ten temat, bo nie było to zbyt bezpieczne.

Gdy inżynier zostawał sam lub sądził, że jest sam, rozmawiał z krzakiem w doniczce. Przemawiał do niego przymilnie, ale roślina nigdy nie odpowiadała.

Charlie spotykał się z nim czasami, gdy ich statki znajdowały się w tym samym porcie kosmicznym lub na tej samej planecie. Popijali razem i opowiadali dowcipy, ale Charlie starał się nie zaciągać na statki, na których pracował Harry. Widok Hendersona i jego krzaka zawsze go denerwował.

To był niedobry krzak, ale nigdy tego nie powiedział.

Nieśmiertelni

(The Immortals) James E. Gunn (ur. 1923)

James Gunn jest profesorem języka angielskiego na Uniwersytecie Kansas, sławnym w akademickim świecie, a także wykładowcą fantastyki naukowej. Prawdopodobnie uczynił więcej w kierunku uznania fantastyki naukowej za pewien rodzaj literatury niż ktokolwiek inny. Jego najnowszym dokonaniem jest Nowa encyklopedia fantastyki naukowej [The New Encyclopedia Of Science Fiction (1988)]. Spośród jego licznych zaszczytów i nagród należy wymienić następujące: prezes Stowarzyszenia Badań nad Fantastyką Naukową, prezes Związku Amerykańskich Autorów Fantastyki Naukowej (rzadkie połączenie) oraz Nagroda Pilgrim, nadana przez pierwszą z wymienionych organizacji.

Jest on również utalentowanym i rzetelnym pisarzem tworzącym utwory fantastyczno-naukowe. Jego nazwisko może stanąć wśród największych w tej dziedzinie. Począwszy od This Fortress World z 1955 roku do The Dreamers z 1980, jego powieści wzbogacały fantastykę naukową. Szczególnie Kampus, który gdyby ukazał się w 1967 roku, a nie w 1977, mógłby zwrócić uwagę, na jaką zasługuje (może jeszcze zwróci). Jego wybór opowiadań, który zawiera Future Imperfect z 1964 roku, Some Dreams Are Nightmares z 1974 roku i The End Of The Dream z 1975 jest znakomity, a zdecydowanie najlepsza z książek jest znacznie spóźniona.

Opowiadanie "Nieśmiertelni" rozrosło się do powieści (wydanej w 1962 roku), której część, znana pod tytułem "Nieśmiertelny", od roku 1975 upowszechniana jest przez serial telewizyjny. Jest tak znacząca w swym gatunku, że powinna być również popularna w formie książkowej.

(Martin H. Greenberg)

Pisarze zajmujący się fantastyką naukową mają szczególne powinowactwo z "dystopią". Wiecie, czym jest "utopia"? Nazwa wywodzi się od greckiego słowa oznaczającego "dobre miejsce". Jest to zatem miejsce, gdzie wszystko doskonale działa, wszyscy są szczęśliwi, a dobroć i uprzejmość panują powszechnie. Opowiadania o utopiach są niezmiennie nudne. Gdzie jest niebezpieczeństwo? Gdzie wątpliwości?

"Dystopia" ("złe miejsce") jest oczywiście czymś, gdzie wszystko jest koszarne i nieprawdopodobnie złe. Cyril Kornbluth w "Dwóch przeznaczeniach" opisywał "dystopię", ale była ona wynikiem militarnego podboju, który nie wydarzył się w rzeczywistości.

Jim Gunn opisał coś, co mogłoby się wydarzyć naprawdę jako wynik ciągłego rozwoju technologi medycznej.

Opowiadanie "Nieśmiertelni" pojawiło się po raz pierwszy przeszło trzydzieści lat temu. Najbardziej przerażające jest to, że po tych trzydziestu latach zaawansowanie medycyny nie

rozwiąło naszych wątpliwości. Nakłady na tę dziedzinę ciągle wzrastają, szybciej niż inflacja, a nowe techniki medyczne są bez przerwy wprowadzane.

Od roku 1958 wprowadziliśmy przeszczepy organów, skomplikowane operacje mózgu, tomografię komputerową i rezonans magnetyczny. Wprowadziliśmy badania prenatalne, sztuczne serca i tak dalej. Nie wprowadziliśmy jednej rzeczy, o której opowiada Jim Gunn - inżynierii genetycznej, która może uchronić przed niektórymi wrodzonymi zaburzeniami i deformacjami. Ale nie przejmujemy się. I tak jest to podniecające i przerażające opowiadanie.

(Isaac Asimov)

Pierwszym pacjentem była młoda kobieta, dość atrakcyjna, z blond włosami opadającymi na ramiona i dojrzałym ciele, gdyby tylko zapomnieć o brudzie i smrodzie.

Doktor Harry Elliott powstrzymał się od zatkania nosa. Mogło to wypaść niezbyt dobrze. Był lekarzem z doskonałą reputacją, pomimo że... - a może właściwie dlatego że - miał tylko osiemnaście lat. Nawet obywatele byli uprawnieni do jego usług; bez szans na nieśmiertelność, bez żadnych nadziei na odroczenie!

Spojrzał na nią w zamyśleniu. Był niezbyt zainteresowany jej przypadkiem. Bez znaczenia było to, na jak odrażającą dolegliwość mogła cierpieć. Interesujące obszary medycyny - powiedzmy: badania naukowe, które mogły doprowadzić do syntezy eliksiru nieśmiertelności - nie miały związku z obywatelami czy klinikami. Największe z zainteresowań Harry'ego Elliotta było z tym związane, odkąd jego staż się skończył i zaczął prowadzić badania naukowe.

- Cześć, doktoru - powiedziała beztróska pacjentka.

Zamruczał coś w odpowiedzi, nieważne co. Na zewnątrz w poczekalni siedziało z pięćdziesięciu takich jak ona. W sali z tyłu, gdzie Bank Krwi wydawał pięć dolarów banknoty za gwarantowaną, wolną od zarazków krew obywateli, były ich setki. No tak, oni byli niezbędni i musiał o tym pamiętać. Krew, którą tak beztróska sprzedawali za pięć dolarów, a te natychmiast zamieniali na strumień cudownych antybiotyków i innych szeroko reklamowanych lekarstw, była wielkim rezerwuarem ciał odpornościowych. Wolna od nieczystości i zdrowa. Była to doskonała lekcja i ktoś tak młody jak Harry Elliott miał to stale na uwadze.

- Nie czuję się dobrze, doktorze. Jestem ciągle zmęczona - odpowiedziała ze smutkiem.

Chrząknął i powstrzymał odruch, by kazać się jej rozebrać. Nie z powodu jakiegoś niebezpieczeństwa, bo czymże była reputacja obywatelki? Mityczną rzeczą jest jednorożec. Poza tym one wręcz na to czekały. Z opowiadań innych lekarzy wiedział, że przychodziły do kliniki w tym właśnie zamiarze. Ale to go nie podniecało. Czułby się zbrukany przez wiele dni.

Paplała jak to zwykle one. Zgrzeszyła przeciw naturze, nie może spać. Nie przyjmuje regularnie witamin. Kupiła na wyprzedaży terra-cyklinę na infekcję nerek. To wszystko było oklepane i nudne.

- Rozumiem - zamruczał. - Zamierzam teraz postawić diagnozę. Proszę się nie obawiać - dodał.

Włączył maszynę diagnostyczną. Ciśnieniomierz wypełzał jak wąż spod kozetki Freuda i zacisnął się na jej ramieniu, końcówka termometru wsunęła się pomiędzy wargi, stetoskop całował piersi, hełm nasunął się na jej głowę, metalowe napastrki wcisnęły się na opuszki palców, bransoletki pieściły kostki u nóg. Maszyna nakłuwała, pobierała próbki, liczyła, mierzyła, słuchała, porównywała, szukała związków...

Po chwili skończyła. Harry otrzymał diagnozę. Pacjentka była anemiczna; oni wszyscy byli tacy. Nie mogli się powstrzymać przed pięć-dolarowym zarobkiem.

- Mężatka? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała z wahaniem.

- Lepiej nie tracić czasu. Jesteś w ciąży.

- W ciąży? - powtórzyła.

- Będziesz miała dziecko. Jej twarz rozjaśniła radość.

- Och! To wszystko! Myślałam, że to coś znacznie gorszego.

Dziecko, którym mogę się troskliwie opiekować. Proszę mi powiedzieć, doktorze, czy to będzie chłopiec czy dziewczynka?

- Chłopiec - odpowiedział Harry ze znużeniem. Flejtuch! Dlaczego go to ciągle tak irytowało? Podniosła się z kozetki z naturalną gracją.

- Dziękuję, doktorze. Pójdę powiedzieć Georgiemu. Będzie trochę zły, ale wiem, jak go udobruchać.

Inni czekali w poczekalni, rozmyślając o swoich dolegliwościach. Harry sprawdził ich dane: kobieta z zapaleniem płucnej, mężczyzna z rakiem, dziecko z gorączką reumatyczną...

Wyszedł do kliniki, by zobaczyć, gdy będzie ją mijał, czy dziewczyna wrzuci coś do skrzynki na ofiary. Nie zrobiła tego. Zatrzymała się przy sprzedawcy polującym na klientów tuż za drzwiami kliniki, który nawoływał:

- Proszę oto twoja aureomycyna, penicylina, terramycyna. Hypodermia przy każdym zakupie. Życzę zdrowia! Życzę zdrowia! Powstrzymaj niebezpieczeństwo, zanim cię powali. Nie pozwól, by choroba zniszczyła twoją pracę, zdrowie, życie. Weź filtry, weź antyseptyki! Weź witaminy. Kup amulety, by przynosiły ci szczęście. Mam tutaj igły radowe, które już trzynaście razy uratowały życie. A tutaj ampulka eliksiru życia. Proszę, oto twoja ilotycina...

Dziewczyna kupiła amulet i pobiegła do Georgiego.

Tłumy ciągle maszerowały w milczeniu ulicą. Na tyłach kliniki klęczała kobieta. Wzięła pigułkę witamin i popiła tonikiem z papierowego kubka.

Za murami rozległo się wycie syren. Harry skręcił w stronę podjazdu. Wrota w murze Centrum Medycznego poszły w górę.

Pierwsza wjechała eskorta na motocyklach. Ludzie na ulicy rozpięchli się na boki, pozostawiając wolną drogę pośrodku. Motocykliści ocierali się o nich; zdrowi, młodzi arystokraci, filtry do nosa na miejscu, harde oczy za gogłami, pistolety dyndające na biodrach.

"To mogłoby być coś - pomyślał Harry zazdrośnie - być policjantem." Było w nich coś uderzającego, jakies tchnienie mocy. Byli jak piekło na kołach. I jeżeli mieli w jednej dziesiątej takie powodzenie u kobiet, jak mówiono o ich reputacji, to nie było kobiety, od obywaterek przez pracownice techniczne i pielęgniarki, po podmiejskie szlachcianki, które uchroniłyby się przed nimi.

Dobrze, zostawmy im świetność, przepych i kobiety. On sam wybrał bezpieczniejszą i bardziej pewną drogę ku nieśmiertelności. Niewielu policjantów ją osiągnęło.

Za eskortą wjechał ambulans. Jego opancerzone drzwi były zamknięte, automatyczne działko kalibru 40 mm węszyło nieustannie za celem. Reszta eskorty ochraniała tyły. Nad konwojem pojawił się nisko lecący helikopter.

- Uciekajmy! Napad! - krzyknął ktoś zbyt późno.

Coś błysnęło w słońcu, potem stało się linią małych, okrągłych obiektów pod helikopterem, opadających łukiem na ulicę. Jeden po drugim pękały z delikatnym trzaskiem, po czym ruszały w stronę konwoju.

Jak marionetki, kiedy lalkarz puszcza sznurki, eskorta wpadła na ulicę, podczas gdy ich motocykle zwolniły i zatrzymały się na swych pojedynczych kołach.

Ambulans zatrzymał się. Przejechał po jednym z leżących członków eskorty, zmiażdżył motocykl i odsunął go z drogi. Działko szarpnęło się dziwnie, by nastawić swój radar na helikopter, ale ten prześliznął się tuż nad powierzchnią dachów i zanim działko zdołało wycelować, odleciał.

Harry poczuł w powietrzu ostry, przenikliwy zapach. Głowę miał jakby spuchniętą i lekką. Miał wrażenie, że ulica jakby się przechyliła, a potem wyprostowała.

Spomiędzy tłumu wychyliło się ramię. Coś ciemnego poszybowało w powietrzu i uderzyło w dach ambulansu. Płomienie oblały go całego; spłynęły w dół po obu stronach i wpłynęły do otworu strzelniczego i otworów obserwacyjnych, które zostawiono nie domknięte.

Przez moment nic się nie działo. Scena sprawiała wrażenie zastygłego w napięciu teatru: ambulans i motocykle unieruchomione na ulicy, eskorta i niektórzy z najbliższych obywateli zwinięci i poskręcani na chodniku, gapiący się obywatele, płomienie strzelające w górę, a nad wszystkim czarny, tłusty obłok dymu.

Nagle boczne drzwi ambulansu otworzyły się.

Sanitariusz wyskoczył na zewnątrz. Ścisnął coś w jednej ręce, drugą zbijał płomienie ze swego białego kitla.

Obywatele patrzyli milcząco, bez jakiegokolwiek ruchu, by pomóc lub przeszkodzić. Spośród nich wyszedł ciemnowłosa mężczyzna. Podniósł rękę. Trzymał w jednej coś matowego i ciemnego. Ręka powędrowała w stronę głowy sanitariusza.

Poprzez ryk motocykli, bezużytecznych teraz, i ryk ambulansu żaden dźwięk nie docierał do Harry'ego. Pantomima trwała dalej, a on był częścią zastygłej w bezruchu widowni. Sanitariusz upadł, a ciemnowłosa pochylił się, zdusił gołymi rękami płomienie, wyjął z rąk leżącego jakiś przedmiot i popatrzył na drzwi ambulansu.

Harry spostrzegł stojącą w nich dziewczynę. Z tej odległości nie mógł zauważyć nic więcej ponad to, że była ciemnowłosa i szczupła.

Płomienie na ambulansie zgasły. Dziewczyna stała w drzwiach bez ruchu. Mężczyzna spojrzął na nią. Zamierzał chwycić ją za rękę, lecz zaraz opuścił dłoń, odwrócił się i zniknął w tłumie.

Minęło mniej niż dwie minuty od początku akcji, odkąd zaczęły wyc syreny.

Obywatele ruszyli naprzód w milczeniu. Dziewczyna odwróciła się i weszła do ambulansu. Obywatele zdarli broń i ubrania z eskorty, wzięli z ambulansu czarną torbę i medykamenty, podnieśli swoich padłych kolegów i zniknęli.

To było jak czary. W jednej chwili ulicę wypełniały tłumy obywateli, w następnej już ich nie było. Wyludniła się szybko. Za murami Centrum Medycznego ponownie zaczęły wyc syreny.

Ich dźwięk był jak wyzwolenie. Harry zaczął biec w dół ulicy. Przeklinał w duchu.

Z ambulansu wyszedł mały chłopiec. Był szczupły, nie miał więcej niż siedem lat. Jasne włosy miał krótko obcięte. W śniadej twarzączce jarzyły się ciemne oczy. Nosił tandetną koszulkę, która kiedyś mogła być biała, i niebieskie džinsy obcięte nad kolanami.

Skierował swą rękę w stronę wnętrza ambulansu. Chwycił ją zżółkniełe szpony palców. Potem pojawiło się coś jakby zdeformowany, pręt owinięty jak lianami, splotami błękitnych żył. Z samochodu wyszedł mężczyzna o kulach, stąpający na szudłowatych nogach. Był bardzo stary. Włosy miał jak cienki biały jedwab. Skóra na czaszce i twarzy poorana była niezliczoną ilością zmarszczek. Podarta tunika spadała z kościstych ramion i okrywała przygarbione plecy. W pasie zaciśnięta była sznurkiem.

Chłopiec musiał powoli sprowadzić starca na zrujnowaną ulicę, gdyż ten był ślepy. Jego ciemne powieki leżały płasko na pustych oczodołach. Stary człowiek pochylił się ze współczuciem nad leżącym sanitariuszem. Palcami zbadał jego czaszkę. Potem ruszył w stronę policjanta, którego przejechał ambulans. Miał on zmiażdżoną klatkę piersiową; różowa piana wydostawała się z ust, gdy

podziurawione płuca walczyły o oddech. Był właściwie jak martwy. Medycyna nie potrafiła nic zrobić z tak poważnymi i rozległymi obrażeniami.

Harry dotarł do starca i chwycił go za kościste ramię.

- Co pan robi?

Stary nie poruszył się. Trzymał dłoń rannego jeszcze przez chwilę, a potem wstał tak szybko, że zatrzeszczały mu kości.

- Leczę - odpowiedział głosem brzmiącym jak zgrzyt papieru ściernego.

- Ten człowiek umiera - powiedział Harry.

- Tak jak my wszyscy - odparł starzec.

Harry spojrzał na policjanta; oddychał lżej. Czy to tylko złudzenie? W tym momencie dotarli do nich noszowi.

Harry zmarnował dużo czasu na poszukiwania biura Deana. Centrum Medyczne zajmowało setki miejskich parceli i wznosiło się, kierując się własnymi potrzebami. Nikt nigdy nie planował, że będzie tak ogromne, a ono wypuszczało swe odnogi tu, gdzie potrzebna była opieka medyczna i badania naukowe. Zapełniało każdą wolną przestrzeń, skrzydła wyrastały tam, a arterie biegingy w poprzek, dołem i dookoła.

Gdy szedł przez nieskończoną liczbę korytarzy, śledził świecące drogowskazy, aby nie zgubić drogi. Było to zupełnie bez sensu. Włożył identyfikator w zamek opancerzonych drzwi. Te połknęły go i otworzyły się. Gdy tylko Harry wszedł do środka, zatrzasnęły się za nim.

Znalazł się w wielkiej poczekalni. Na metalowej ławce, przytwierdzonej do podłogi wzdłuż jednej ze ścian, siedział chłopiec, a obok stary mężczyzna z ambulansu. Chłopiec zerknął na Harry'ego z zaciekawieniem, ale zaraz jego spojrzenie wróciło do splecionych dłoni. Starzec odpoczywał oparty o ścianę.

- Trochę dalej siedziała na ławce dziewczyna. Wyglądała jak ta, która stała w drzwiach ambulansu, ale była mniejsza, niż myślał. I młodsza. Twarz miała bladą. Tylko jej błękitne oczy były ożywione, gdy spojrzały na niego z niezwykłym urokiem, który szybko zgasł. Jego wzrok zatrzymał się na figurze dziewczyny; była chłopięca i nieforemna. Kryła ją brązowa sukienka spięta paskiem w talii.

"Ma więcej niż dwanaście lat, może trzynaście" - pomyślał.

Skrzynka przyjęć musiała powtórzyć pytanie dwa razy:

- Nazwisko?

- Doktor Harry Elliott.

- Proszę o potwierdzenie.

Podszedł do ściany obok drzwi w głębi poczekalni i położył swą prawą dłoń na płycie. Światło błysnęło mu w prawe oko, porównując wzory siatkówkowe.

- Proszę zdeponować wszystkie metalowe przedmioty na stole recepcyjnym - powiedziała skrzynka.

Harry zawahał się, potem wyjął stetoskop, zdjął zegarek, opróżnił z monet kieszenie spodni. Wyjął scyzoryk i miotacz gazu.

Coś brzęknęło.

- Filtr nosowy - przypomniała skrzynka:

Harry położył go na stole. Dziewczyna przyglądała mu się, ale kiedy spojrzał na nią, jej oczy uciekły w bok. Drzwi otworzyły się. Kiedy wszedł, zatrzasnęły się za nim.

Biuro Deana Mocka było imponującym pomieszczeniem, sześć metrów długim i dziewięć metrów szerokim, zaprojektowanym w mrocznym wiktoriańskim stylu. Wszystkie meble wyglądały jak prawdziwe antyki, szczególnie biurko z żółtego dębu i mahoniowa szafka na instrumenty.

Wyglądało to bogato i robiło wrażenie. Osobiście Harry wolał styl nowoczesny; czysta linia chromu i szkła były estetyczne i przyjemne. Co więcej, pochodziły z pierwszych dni prawdziwej nauki medycznej, tego okresu, kiedy ludzkość po raz pierwszy dostrzegła, że dobre zdrowie nie jest dziełem przypadku, że można je kupić, jeżeli tylko zapłaci się odpowiednią cenę.

Harry widział wcześniej Deana Mocka, ale nigdy z nim nie rozmawiał. Rodzice Harry'ego nie mogli tego zrozumieć. Myśleli, że był równy wszystkim w Centrum Medycznym, gdyż był doktorem. Rozmawiał z nimi tylko o tym, jak wielkie jest Centrum, jak wielu ludzi tu pracuje: 75 000 - 100 000. Właściwie tylko statystycy wiedzą jak wielu. To nic nie pomagało. Ciągłe nie mogli tego pojąć, a Harry przestał próbować.

Dean nie znał Harry'ego. Siedział za biurkiem w swej białej lekarskiej marynarce i czytał dane na jego temat, rzucając je na matowe szkło czytnika. Był w tym dobry, gdyż nie sposób oszukać człowieka, który spędził dziesięć lat w Centrum na podobnych czynnościach.

Ciemne włosy Deana przerzedziły się. Miał prawie osiemdziesiąt lat, ale nie wyglądał na tyle. Pochodził z dobrej rodziny i miał najlepszą opiekę medyczną.

"Powinien być sprawny przez następne dwadzieścia lat bez najmniejszych kłopotów" - ocenił Harry.

Swoją drogą, ze swą pozycją i zasługami Dean mógłby zostać wybrany do odroczenia. Kiedyś, w zamieszaniu, gdy w ciemni eksplodowała bomba, niektórzy lekarze, ukryci w bezpiecznej ciemności, szeptali, że młodzieńczy wygląd Mocka można wyjaśnić bardziej racjonalnie niż dziedzicznością, ale mylili się. Harry przeszukał spisy i nie było w nim Deana Mocka.

Nagle Mock podniósł oczy i przyłapał Harry'ego, gdy wpatrywał się w niego. Harry szybko odwrócił wzrok, ale nie na tyle, by nie dostrzec w oczach Mocka strachu, a może desperacji.

Nie mógł tego zrozumieć. Napad był zuchwalstwem. Dokonano go tak blisko murów Centrum, ale nie był niczym nowym. Wcześniej również były napady. I pewnie znowu będą. Zawsze, gdy jest coś wartościowego, ludzie wyjęci spod prawa próbują to ukraść. W czasach Harry'ego tak się złożyło, że były to lekarstwa.

Mock odezwał się szorstko:

- Więc widział pan tego człowieka! Mógłby go pan rozpoznać, gdyby zobaczył go pan powtórnie lub gdyby miał pan dobry solidograf?

- Tak, proszę pana - odpowiedział.

Dlaczego Mock wyprawia takie rzeczy? Przecież zrobił to już szef policji!

- Czy zna pan gubernatora Weavera? - spytał Mock.

- Nieśmiertelnego!

- Nie, nie. - W głosie Mocka brzmiało zniecierpliwienie. - Wie pan, gdzie on mieszka?

- W rezydencji gubernatora. Czterdzieści kilometrów stąd, prawie dokładnie na zachód.

- Tak, tak - powiedział Mock. - Przekaze mu pan wiadomość: "Przesyłka została porwana. Porwana." - Mock miał denerwujący zwyczaj powtarzania słów. - "Minie tydzień, zanim następna przesyłka będzie gotowa."

- Tydzień! Nie wiem, jak mu je dostarczyć! - wymruczał już do siebie.

Harry usiłował uchwycić sens tego wszystkiego. Przekazać wiadomość gubernatorowi?

- Dlaczego nie zadzwoni pan do niego? - odezwał się bez zastanowienia.

Pytanie wywołało tylko kolejny monolog Mocka.

- Podziemny kabel przecięty! Nie ma szans go naprawić. Ekipę naprawczą wystrzelano. A nawet gdyby naprawili, to i tak przecięto by go następnej nocy. Radio i telewizja są zagłuszane. Zagłuszane. Uwaga! Musi się pan pośpieszyć, by wyjść przez południowo-zachodnią bramę przed godziną policyjną.

- Godzina policyjna jest dla obywateli - przerwał Harry, choć nic z tego nie rozumiał. Czy Mock oszalał?

- Nie mówiłem panu? - Mock przejechał wierzchem dłoni po czole, jakby ścierał pajęczynę.

- Pójdzie pan sam, pieszo, ubrany jak obywatel. Konwój mógłby zostać rozbity w drzazgi. Już próbowaliśmy. Nie mamy kontaktu z gubernatorem od trzech tygodni. Trzech tygodni! Musi się niecierpliwić. Nie należy narażać gubernatora na zniecierpliwienie. To niezdrowo.

Po raz pierwszy Harry naprawdę zrozumiał, o co prosił go Dean. Gubernator! Mógł skrócić o połowę czas jego poszukiwań. Poszukiwań nieśmiertelności.

- Ale moja praktyka... Mock popatrzył na niego.

- Gubernator może uczynić więcej dobrego dla pana niż tuzin rządów. Więcej dobrego!

Harry przygryzł dolną wargę i wyliczył na palcach:

- Będę potrzebował filtrów nosowych, małego zestawu medycznego, broni...

Dean Mock potrząsnął przecząco głową.

- Nic z tych rzeczy. Niczego w tym rodzaju. Dotrze pan do rezydencji gubernatora jako obywatel, a nie dzięki własnej wiedzy i umiejętności leczenia swych ran. A dzień czy dwa bez filtrów nie zredukuje znacząco pańskich nadziei życiowych. W porządku, doktorze? Gotowy do dzieła?

- Gdy ma się nadzieję na nieśmiertelność! - powiedział poważnie Harry.

- Dobrze. Dobrze. Jeszcze jedno. Musi pan dostarczyć ludzi, których widział pan w poczekalni. Chłopiec ma na imię Christopher. Starzec nazywa się Pearce. Jest kimś zbliżonym do swego rodzaju znachora. Gubernator prosił, by go sprowadzić.

- Znachora? - spytał z niedowierzaniem Harry.

Mock wzruszył ramionami. Miało to oznaczać, że uważa wyjaśnienia za coś niewłaściwego, ale Harry nie mógł się powstrzymać.

- Jeżeli spojrzymy na kilka znanych przypadków tej szarlatanerii...

- Kliniki mogłyby stać się bardziej zatłoczone niż obecnie - wszedł mu w słowo Mock. - Oni wykazują dużo dobrej woli. Poza tym, co możemy zrobić? On nie utrzymuje, że jest lekarzem. Nazywa siebie uzdrowicielem. Nie ordynuje leków, nie operuje, nie doradza i nie manipuluje chorymi. Ludzie przychodzą do niego, a on ich dotyka. Dotyka. Czyż jest to praktyka lekarska?

Harry potrząsnął głową. Mock mówił dalej:

- Czyż chorzy nie mogą oczekiwać pomocy? Pearce nie wymaga niczego. Nie pobiera żadnych opłat. Jeżeli chorzy są wdzięczni, jeżeli chcą mu coś ofiarować, kto ich może powstrzymać? Poza tym - wymruczał marszcząc brwi - ten z eskorty ma zamiar przeżyć. A zresztą, gubernator uparł się, żeby zobaczyć się z nim.

Harry westchnął.

- Oni uciekną. Przecież muszę kiedyś spać.

- Słaby starzec i mały chłopiec? - zadrwił Mock.

- Dziewczyna jest całkiem żwawa.

- Ta o imieniu Marna? - Mock sięgnął do szuflady i wyjął srebrne kółko z widocznymi zawiasami. Wyciągnął w stronę Harry'ego. Ten wziął i przyjrzał się dokładnie.

- To bransoletka. Proszę, załóż.

Wyglądała jak każda inna. Harry wzruszył ramionami, wsunął bransoletkę na przegub i zatrzasnął. Przez moment wydawało się, że jest zbyt duża, ale zaraz zacisnęła się mocno. Zaczął go piec nadgarstek.

- Jest zestrojona z taką samą na przegubie dziewczyny. Zestrojona. Kiedy dziewczyna odejdzie od pana, nadgarstek zacznie ją piec, potem boleć, tym bardziej, im dalej odejdzie. Po krótkim czasie na pewno wróci. Mogłbym założyć bransoletki starcowi i chłopcu, ale one działają tylko parami. Gdyby ktoś próbował usunąć bransoletkę siłą, dziewczyna umrze. Urządzenie jest sprzężone z układem nerwowym. Jedyne klucze ma gubernator. Proszę powiedzieć mu jeszcze, że dziewczyna jest płodna.

Harry popatrzył na Mocka.

- A co z tą bransoletką? - spytał.

- To samo. W ten sposób stanowi również ostrzeżenie dla pana. Doktor Elliott westchnął głęboko i popatrzył na swój nadgarstek.

Srebro mieniło się w świetle jak płaskie oczy węża.

- Dlaczego nie założyliście jej sanitariuszowi?

- Założyliśmy. Musieliśmy potem amputować ramię.

Mock odwrócił się do biurka i ponownie zaczął przeglądać mikrofilmy z raportami. Po chwili podniósł wzrok. Wyglądał na zaskoczony faktem, że widzi jeszcze Harry'ego.

- Ciągle tutaj? Niech pan rusza. Jeżeli ma pan zdążyć przed godziną policyjną, nie wolno marnować zbyt wiele czasu.

Harry wstał i ruszył ku drzwiom, przez które niedawno wchodził.

- Jeszcze jedno - odezwał się Dean Mock. - Trzeba uważać na strzygi. Strzygi. I na łowców głów! Na łowców głów!

Wkrótce potem ruszyli. Harry przyjął dla swej małej grupy metodę zachęty, która wyrażała się ciągłym niezadowoleniem.

- Szybciej - powiedział. - Tylko kilka minut zostało do godziny policyjnej.

Dziewczyna spojrzała na niego i odwróciła wzrok. Pearce, poruszający się i tak szybciej niż Harry, odezwał się cicho:

- Spokojnie. Będziemy tam na czas.

W innych warunkach Harry uważałby, że Marna jest ślicznym stworzeniem do zabawy. Była szczupła i pełna wdzięku. Skórę miała czystą, bez wyprysków, twarz regularną i przyjemną, a kontrast pomiędzy ciemnymi włosami i niebieskimi oczami był czymś niezwykłym. Ale była młoda i zbuntowana, a poza tym związana z nim przez jakże nienawistne okoliczności. Ich spotkanie było zbyt gwałtowne i co więcej, była jeszcze dzieckiem.

Dotarli do bramy miasta na minutę przed czasem.

Po obu stronach, jak okiem sięgnąć, otaczała miasto podwójna zaporę z łańcuchów, która naprawdę nie miała końca. W nocy była pod napięciem, a krwiożercze psy patrolowały przestrzeń pomiędzy łańcuchami.

Mimo to obywatele zawsze jakoś się wydostawali. Tworzyli bandy i atakowali bezbronnych podróżnych. Mogli stanowić jedno z zagrożeń na ich drodze.

Naczelnikiem straży przy bramie był ciemnoskóry szlachcic w średnim wieku. Był już po

sześćdziesiątce, odrzucił więc nadzieję na nieśmiertelność. Chciał teraz czerpać z życia, ile tylko mógł. Wśród licznych przyjemności było również znęcanie się nad słabszymi.

Najpierw spojrział na błękitną dzienną przepustkę, a potem popatrzył na Harry'ego.

- Topeka? Pieszo? - zachichotał. Jego wielki brzuch zatrzęsł się gwałtownie. - Jeżeli nie złapią was strzygi, to uczynią to łowcy głów. Cena za jedną głowę wynosi obecnie dwadzieścia dolarów. Tylko za głowę przestępcy, ale głowy nie mówią. Przynajmniej te odcięte od ciała. Oczywiście wyobrażasz sobie, że dołączysz do wilczego stada.

Splunął na drogę tuż obok stopy Harry'ego. Ten szarpnął stopą w nagłym odruchu wstrętu. Oczy strażnika błysnęły.

- Czy zamierzasz nas przepuścić? - spytał Harry.

- Przepuścić? - Strażnik spojrział leniwie na swój ręczny zegarek. - Nie mogę. Minęła godzina policyjna. Patrz.

Harry pochylił się mimowolnie, by spojrzeć, i zaproponował:

- Ale byliśmy tutaj przed godziną policyjną...

Pięść strażnika uderzyła go tuż nad lewym uchem i odrzuciła daleko.

- Zabierzcie się z powrotem i zostańcie tam. Brudni obywatele! - wrzasnął strażnik.

Ręka Harry'ego powędrowała do kieszeni, gdzie zawsze trzymał miotacz gazu, ale nic nie znalazła. Słowa, które mogły zdmuchnąć strażnika z jego posterunku, a które zadrżały mu na ustach, nie mogły zostać wypowiedziane. Nie był już doktorem Elliottem. Nie był aż do chwili, gdy dotrze do rezydencji gubernatora. Teraz nazywał się Harry Elliott, obywatel. Był kłębkim pierza dla każdej szlacheckiej pięści, kimś, kto powinien być szczęśliwy, że tylko dla pięści.

- Cóż - odezwał się znacząco strażnik - jeżeli zostawisz dziewczynę jako zakładniczkę... - Rozkaszał się.

Marna cofnęła się krok do tyłu. Przypadkowo dotknęła Harry'ego.

Było to ich pierwsze fizyczne zetknięcie poza bardziej ulotnymi więzami, które łączyły ich w bólu i w chwilach ulgi. Jego ciało cofnęło się odruchowo, jakby dotknął rozpalonego sterylizatora. Marna zeszywniała pod jego dotknięciem.

Nagle ujrzał, że Pearce sunie w stronę strażnika prowadzony jego głosem. Dotarł. Dłonie przeszukiwały przestrzeń. Dotknął tuniki strażnika, potem ramienia i po nim odnalazł drogę do raka. Harry stał nieruchomo, dłonie zaciskał w pięści. Spodziewał się, że strażnik uderzy starca. Ale instynktowny szacunek dla wieku wziął górę i tylko patrzył zdziwiony na starego człowieka.

- Słabe płuca - wyszeptał Pearce. - Uważaj na nie. Zapalenie płuc może zabić, zanim antybiotyki zdążą pomóc. A w dolnym, lewym płacie zapowiedź raka...

- O, nie! Już! - Strażnik wyrwał rękę, ale w głosie dało się słyszeć przerażenie.

- Prześwietlenie - wyszeptał Pearce. - Nie czekaj.

- Nic złego nie dzieje się ze mną. - wyjąkał strażnik - Ty... ty próbujesz mnie nabrać. - Zakaszał nerwowo.

- Żadnego wysiłku. Usiądź. Odpocznij.

- Dlaczego? Będę, będę... - Zaczął okropnie kaszleć. Odwrócił głowę w stronę bramy.

- Uciekajcie - powiedział zdławionym przez kaszel głosem. - Wynoście się stąd i umierajcie.

Christopher ujął rękę starca i przeprowadził go przez otwarte wyjście. Harry chwycił ramię dziewczyny. Znowu to dziwne zetknięcie! Chciał, aby jak najszybciej wyszła, więc wypchnął ją za bramę. Patrząc czujnie na strażnika. Ale tamten patrzył na coś o wiele bardziej ważnego.

Gdy tylko przeszli, brama zamknęła się za nimi, a Harry puścił ramię Marny, jakby było w tym coś niewłaściwego. Pięć metrów dalej, gdy szli już prawym, skrajnym pasmem nie używanej, sześciopasmowej autostrady, Harry odezwał się:

- Myślę, że powinienem panu podziękować.

- To byłoby uprzejme - wyszeptał Pearce.

Harry potarł głowę w miejscu, gdzie uderzył go strażnik. Było opuchnięte. Przydałaby się apteczka.

- Jak mogę być uprzejmy dla szarlatana? - sarknął.

- Uprzejmość jest tania.

- Jednak... okłamywać człowieka na temat jego zdrowia, powiedzieć: rak...

Z trudem przyszło mu wypowiedzieć to słowo: "rak"; jedyna choroba, oprócz samej śmierci, na którą nauki medyczne nie znalazły ostatecznego środka.

- Czy kłamałem?

Harry spojrzał ostro na starego człowieka i wzruszył ramionami. Popatrzył na Marnę.

- Siedzimy razem w tym wszystkim. Równie dobrze możemy robić to tak bezboleśnie, jak to tylko możliwe. Jeżeli spróbujemy współpracować, możemy nawet przeżyć.

- Współpracować? - spytała Marna.

Usłyszał jej głos po raz pierwszy. Był niski i melodyjny/Nawet w gniewie.

- Z tym? - Podniosła ramię; srebrna bransoletka zamigotała w ostatnich, czerwonych promieniach słońca.

- Czy myślisz, że jest to lepsze dla mnie? - szorstko rzucił Harry i również uniósł dłoń.

- Będziemy współdziałać - szepnął Pearce. - Christopher i ja. Ja, doktorze Elliott, gdyż jestem zbyt stary, by zrobić cokolwiek więcej. Christopher, gdyż jest młody, a dyscyplina jest dobra dla młodych.

Christopher wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dziadek był doktorem, zanim nauczył się, jak być uzdrowiaczem.

- Pycha stępie zmysły i wypacza rozsądek - stwierdził szeptem Pearce.

Harry powstrzymał się od komentarza. Nie było teraz czasu na spory o medycynie i znachorstwie.

Droga była opustoszała. Kiedyś wspaniałe chodniki, teraz był zniszczony i potrzaskany. Chwasty rosły jak młode drzewka wzdłuż obu brzegów. Tu i tam wielkie brązowe twarze słoneczników, przybrane w żółte korony, kiwały się spokojnie.

Po przeciwnej stronie stały ruiny tego, co kiedyś nazywano przedmieściami. Potem różnicę pomiędzy nimi a miastem stanowiła tylko linia na mapie; nie było płotów i zapór. Ale kiedy powstały, domy na zewnątrz szybko rozsypały się.

Prawdziwe przedmieścia były teraz daleko stąd. Najpierw określał je czas powrotu do miasta, co okazało się ważniejsze niż odległość, potem czas helikopterowy. W końcu nastąpił okres ucieczki z miasta. Stało się tak z powodu ogromu czynników rakotwórczych oraz innych skażeń, będących przyczynami wielu chorób. Połączenie z przedmieściami zostało zerwane. Dostawy żywności i surowców dopływały do miasta, produkty wypływały, ale nikt nie wszedł tam więcej, z wyjątkiem wizyt w Centrach Medycznych. Były one usytuowane w miastach, gdyż tam znajdowały się surowce: krew, narządy, choroby, ciała do eksperymentów...

Harry szedł obok Marny, na przedzie. Przed nimi powoli posuwali się Christopher i Pearce. Dziewczyna nawet nie spojrzała na niego. Szła z oczami utkwionymi gdzieś daleko, jakby była sama.

W końcu Harry odezwał się:

- Słuchaj, to nie moja wina. Nie prosiłem o to. Nie moglibyśmy stać się przyjaciółmi?

Zerknęła na niego przelotnie i odrzekła:

-Nie!

Zacisnął usta i został nieco z tyłu. Pozwolił, by piekł go nadgarstek. Miał dbać o to, że trzynastoletnia dziewczyna go nie lubi?

Zachodni horyzont mienił się kolorami od szkarłatu do fioletu i purpury. Nic nie poruszało się w ruinach ani wzdłuż drogi. Byli sami w oceanie zniszczenia. Mogliby równie dobrze być ostatnimi ludźmi na zdewastowanej i zniszczonej Ziemi.

Harry zadrżał. Niebawem będzie ciężko trzymać się drogi.

- Szybciej! - Pstryknął palcami na Pearce'a. - Chyba, że chcecie spędzić noc ze strzygami i łowcami głów.

- Są gorsi towarzysze - wyszeptał starzec.

Gdy dotarli do motelu, była już ciemna, bezksiężycowa noc, a przedmieścia zostały daleko z tyłu. Rozległy teren był ciemny z wyjątkiem wielkiego neonu, który głosił "M TEL", a mniejsze litery informowały: "Wolne miejsca". Przy furtce w ogrodzeniu, które otaczało cały obszar, znajdowała się mata z napisem "Witamy" i matowa szklana płytką - "Naciśnij guzik". Harry już miał przycisnąć guzik, gdy Christopher nagle powiedział:

- Proszę popatrzeć, doktorze Elliott!

Wskazał w kierunku płotu kijem, który podniósł z ziemi pół kilometra wszeźniej.

- Co? - wzdrygnął się Harry. Był zmęczony, zdenerwowany i brudny. Wytrzeszczył oczy w ciemność. - Martwy królik.

- Christopher uważa, że płot jest pod napięciem - powiedziała Marna - a mata, na której pan stoi, jest zrobiona z metalu. Myślę, że nie powinniśmy tam wchodzić.

- Nonsens! - ostro zareagował Harry. - Wolicie zostać tutaj na zewnątrz, na łasce tego, co włóczy się po nocy? Zatrzymywałem się wcześniej w takich motelach. Nie ma w nich nic złego.

Christopher wyciągnął w jego kierunku swój kij.

- Może naciśnię pan guzik tym.

Harry skinął głową, wziął kij i stanął na macie.

- Och, w porządku - powiedział.

Za drugą próbą udało mu się nacisnąć guzik. Matowa szybka stała się telewizyjnym okiem.

- Kto dzwoni?

- Czworo podróżnych zdążających do Topeka - odpowiedział Harry i podniósł przepustkę na wysokość kamery. - Możemy zapłacić.

- Witamy - powiedział głośnik. - Domki trzynasty i czternasty zostaną otworzone, gdy wpłaciecie odpowiednią sumę pieniędzy. Kiedy chcecie być obudzeni?

Harry popatrzył na swych towarzyszy.

- O wschodzie słońca - zdecydował.

- Dobrej nocy - powiedział głos. - Śpijcie mocno.

Furtka otworzyła się. Christopher poprowadził Pearce'a wokół maty z napisem "Witamy" do podjazdu biegnącego tuż za wejściem. Marna poszła za nimi. Rozzłoszczony Harry przeskoczył nad matą i dołączył do nich.

Pojedyncza linia szklanych cegiełek świeciła blado wzdłuż brzegu podjazdu, wskazując kierunek,

w jakim powinni się poruszać. Minęli zaporę przeciwczołgową i stanowisko karabinu maszynowego, ale oba te groźne miejsca były opustoszałe.

Kiedy dotarli do domku numer trzynaście, Harry odezwał się:

- Nie potrzebujemy drugiego. Zostaniemy razem.

Wsunął trzy dwudziestodolarowe uranowe płytki w szczelinę na monety.

- Dziękuję - powiedziały drzwi. - Wchodźcie.

Gdy drzwi stanęły otworem, Christopher wskoczył błyskawicznie do środka. W małym pokoju znajdowało się podwójne łóżko, krzesło, stolik i duża, stojąca lampa. W rogu została wydzielona maleńka łazienka z natryskiem, umywalką i ustępem. Chłopiec natychmiast podszedł do stołu, wziął plastikowe menu i wrócił do drzwi. Pomógł Pearce'owi wejść do pokoju i poczekał przy drzwiach, aż Harry i Marna wejdą do środka. Rozerwał plastik na dwa kawałki. Kiedy drzwi zaczęły się zamykać, wsunął jeden z nich pomiędzy zatrask i futrynę. Ruszył w kierunku starca. Przechodząc koło lampy, przewrócił ją. Roztrzaskała się i zgasła. Pokój zalały ciemności rozjaśnione jedynie światłem pochodzącym z łazienki.

- Niezdarny mały głupiec - ostro zareagował Harry.

Marna siedziała przy stoliku i coś bazgrała na kawałku papieru. Skończywszy, odwróciła się i podała mu kartkę. Niecierpliwie zbliżył się do światła i popatrzył. Było tam napisane: "Christopher zniszczył kamerę, ale pokój jest ciągle zapluskwiony. Nie możemy zlikwidować podsłuchu bez wzbudzenia podejrzeń. Czy możemy porozmawiać na zewnątrz?"

- To jest najbardziej zdumiewające... - zaczął.

- Wydaje się trafnym wyborem. - Głos starego człowieka przenikał człowieka na wskroś. - Wy dwoje możecie spać w czternastce.

Jego niewidzące oblicze odwróciło się, jakby celowo, w stronę Harry'ego.

Harry westchnął. Jeżeli im nie ustąpi, nie będzie mógł odpocząć. Otworzył drzwi i wyszedł w noc. Marna wyszła za nim. Dziewczyna szła blisko niego i otoczywszy ramieniem szyję, przycisnęła policzek do jego twarzy. Potem z własnej woli, przeniosła rękę na jego biodro. Ustami poruszała tuż przy jego uchu, ale dopiero w chwilę później spostrzegł, że mówi coś do niego.

- Nie lubię pana, doktorze Elliott, ale nie chcę, żeby nas zabili. Czy może pan wynająć jeszcze jeden domek?

- Oczywiście, ale nie zamierzam pozostawić tamtej dwójki bez opieki.

- To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Byłoby, naturalnie, głupotą nie trzymać się razem. A teraz proszę, żadnych pytań. Kiedy wejdziemy do czternastki, proszę, niby przypadkiem, zarzucić swoją marynarkę na lampę. Ja zrobię resztę.

Harry pozwolił zaprowadzić się do sąsiedniego domku. "Nakarmił" drzwi, a te podziękowały i wpuściły ich do środka. Wewnątrz było identycznie jak w trzynastce. Marna wsunęła kawałek plastiku między drzwi i futrynę, gdy zaczęły się zamykać. Popatrzyła znacząco na Harry'ego.

Harry wzruszył ramionami, zdjął marynarkę i rzucił ją na lampę. Pokój nabrał mrocznego i ponurego wyglądu. Marna uklękła i zwinęła chodnik. Wstała i ściągnęła nakrycie z łóżka. Potem podeszła do ściennego telefonu, pociągnęła i cała płytka wizyjna wysunęła się na zewnątrz. Dziewczyna sięgnęła, chwyciła coś i wyrwała. Wyglądało to jak setki zwojów miedzianego drutu na szpulce.

Ruszyła pod prysznic, rozwijając po drodze drut. Stała na zewnątrz kabiny natrysku i przymocowała jeden koniec do kurka z gorącą wodą. Następnie porozpinała drut po całym pokoju na

podobieństwo sieci pajęczej. Wreszcie urwała, a wolny koniec zamocowała do kratki odpływowej w podłodze łazienki. Potem przyciągnęła drugi przewód w pobliżu pierwszego, ale tak, by się nie stykały. Prześliznęła się zrecznie pomiędzy nimi, podniosła zwinięty chodnik i ułożyła go na łóżku.

- W porządku. Dobranoc - powiedziała i popchnęła Harry'ego ku drzwiom, uważając na druty.

Kiedy Harry dotarł bez przeszkód do wyjścia, wyłączyła lampę, zdjęła jego marynarkę i wymknęła się z domku. Pozwoliła, by drzwi się zatrzasnęły, po czym głośno westchnęła.

- Właśnie załatwiłaś mi nocleg - wyszeptał wściekły Harry. - Nie będę się mógł wykąpać i muszę spać na podłodze.

-I tak nie powinieneś korzystać tutaj z natrysku - stwierdziła Marna. - Mogłaby to być ostatnia kąpiel w twoim życiu. Wszystkie prysznice są pod napięciem.

Harry, urażony, że wyszedł na głupka, wrócił z dziewczyną do trzynastki, gdzie, wyrzuciwszy wpierw chłopca i starca, zajął dla siebie jedyne łóżko.

Nie mógł spać. Na początku powodem był pokój, mroczny i cichy; później ciężkie sapania i delikatniejsze oddechy Christophera i Marny. Jako stały mieszkaniec Centrum Medycznego nie przywykł do spania z innymi osobami w tym samym pomieszczeniu.

Nagle poczuł mrowienie w ramieniu, niewielkie, ale wystarczyło, by go rozbudzić. Wyszedł z łóżka i podszedł do miejsca, gdzie Marna leżała na podłodze. Także nie spała. W nocnej ciszy namawiał ją, by poszła z nim do łóżka, pokazując na migi, że nie dotknie jej. Nie chce jej dotykać, a gdyby nawet chciał, to przysięga na Hipokratesa, że potrafi się powstrzymać. Chce tylko zlikwidować pieczenie pod bransoletką tak, aby mógł usnąć.

Dziewczyna pokazała jednym znaczącym gestem, że może położyć się na podłodze obok niej, ale potrząsnęła głową. W końcu ustąpiła na tyle, że przeniosła się na podłogę przy łóżku. Leżąc na brzuchu i trzymając ramię zwieszane ku podłodze, Harry poczuł ulgę i zapadł w niespokojny sen.

Śnił. Prowadził długą i trudną operację płuca. Mikrochirurgiczne narzędzia same wsunęły się w jego spocone palce, skalpel przeciął aortę. Pacjentka podniosła się ze stołu operacyjnego, a krew bluzgała z jej serca. Operowaną była Marna. Zaczęła ścigać go przez długie szpitalne korytarze.

Światła nad głową prowadziły go wciąż dalej i dalej, aż zaczął biec w zupełnej ciemności przez gorącą, lepka krew. Wznosiła się ona coraz wyżej, by w końcu zamknąć się nad jego głową.

Obudził się, dusząc się i walcząc z czymś, co otaczało go ze wszystkich, stron całkowicie i nieubłaganie. Przytomniejąc, usłyszał gdzieś niedaleko odgłosy szamotaniny. Coś rzeziło, skrzypiało. Ktoś przeklinał.

Zastanawiał się, co to może być, ale bez rezultatu. Coś się rozdarło. I znowu, i znowu. W szarawej ciemności dostrzegł nagle, że jedno z prześcieradeł, które rozwiesił wokół łóżka, rozpruło się.

- Szybko! - powiedział Christopher, zamykając scyzoryk. Wskazał w kierunku wyjścia, gdzie cierpliwie czekał już Pearce.

Marna odkręciła metalową nogę od stolika i wzięła ją ze sobą. Chłopiec wysunął krzesło spod klamki i cichutko otworzył drzwi. Wyprowadził Pearce'a na zewnątrz, a Marna wysunęła się tuż za nimi. Oszołomiony Harry wyszedł również.

W czternastce ktoś zaczął potwornie krzyczeć. Coś błysnęło na niebiesko, dał się słyszeć odgłos upadku czegoś ciężkiego. Harry poczuł też ostry smród palonego mięsa.

Dziewczyna wyprzedziła ich i ruszyła ku bramie. Tam wbiła koniec nogi od stolika w ziemię i pozwoliła, by metalowy drążek upadł na ogrodzenie. Płot rozświetliły błękitne płomienie. Z

trzaskiem zaczęły zbiegać po metalowej nodze. Ta zajarzyła się czerwono i zawisła. Nagle wszystko pociemniało, łącznie z neonem i światłami nad bramą.

- Pomóżcie mi! - wysapała Marna.

Usiłowała podnieść bramę. Harry wsunął dłonie pod spód i dźwignął. Brama uniosła się trzydzieści centymetrów i utknęła.

Ktoś wrzasnął chrapliwie na końcu podjazdu. Harry nateżył wszystkie siły. Udało mu się podważyć ją na tyle, by można było przejść.

Podniósł ręce, by ją przytrzymać, podczas gdy Marna przechodziła pod nią. Chłopiec i starzec pospieszyli tuż za nią. Harry przesunął się na zewnątrz i pozwolił opaść bramie.

Chwilę później płomyki zamigotały ponownie na ogrodzeniu. Włączono prąd. Noga od stolika stopiła się.

Harry zerknął za siebie. W ich kierunku zbliżał się motorowy wózek inwalidzki, w którym siedział dziwny stwór. Było to monstrum, pomarszczone, pokryte guzami i naroślami. Złowrogi koszmar na kółkach. Harry rozpoznał to Coś: przypadek poczwórnej amputacji wszystkich kończyn, a na dodatek poważna choroba serca. Sztuczne płuco-serce umieszczone zostało z tyłu fotela i wyglądało jak druga głowa. Z tyłu, za wózkiem, galopowała, przypominająca strach na wróble, przeklinająca głośno, kreatura z rozwianymi włosami. Nosiła ubranie, które miało przypominać kobiecy strój...

Harry stał i patrzył, zafascynowany, podczas gdy wózek inwalidzki zatrzymał się obok stanowiska karabinu maszynowego. Jak węże Meduzy z oparcia wózka wysunął się pęk przewodów i wsunął się w płytkę sterowniczą. Karabin zaczął strzelać. Coś szarpnęło Harry'ego za rękaw.

Czar prysnął. Harry odwrócił się i odszedł w ciemność.

Pół godziny później Harry czuł, że jest sam, zagubiony. Marna, Pe-arce i chłopiec gdzieś odeszli. Był strasznie zmęczony. Ramię bardzo piekło, a nadgarstek bolał gorzej niż cokolwiek innego, co tylko mógł sobie przypomnieć.

Poczuł, że rękaw na ramieniu jest mokry. Dotknął i podniósł palce do nosa. Krew. Pocisk zranił go.

Siadł, załamany, na brzegu jezdni. Otoczyły go ciemności, czarne jak sadza. Spojrzał na świecące cyfry zegarka; trzecia dwadzieścia; jeszcze kilka godzin do wschodu słońca. Westchnął i próbował zmniejszyć ból w nadgarstku, przekręcając bransoletkę. Wydawało mu się, że pomaga. W ciągu kilku minut ostry ból zmniejszył się do lekkiego mrowienia.

- Doktorze Elliott - odezwał się ktoś miękko.

Odwrócił się i coś jakby radość wypełniło mu pierś. Nie opodal, na tle gwiazdnej poświaty, stali Christopher, Marna i Pearce.

- W porządku - odezwał się ochryplym głosem. - Cieszę się, że nie próbowaliście uciekać.

- Nie mogliśmy tego zrobić, doktorze Elliott - powiedział chłopiec.

- Jak mnie znaleźliście? - spytał Harry. Marna podniosła rękę bez słowa.

Oczywiście! Bransoletka! "Pomyliłem się co do nich. Nie ufałem im - pomyślał. - Marna odnalazła mnie, bo nie mogła poradzić sobie z bólem, i Christopher zostałby sam z kalekim starcem, który wymaga opieki."

Chociaż, kazała mu przyznać uczciwość, to on wcześniej potrzebował opieki i pomocy. Gdyby posłuchali go, ich głowy mogłyby teraz suszyć się w metalowej suszarce, czekając na wypłacenie nagrody. Albo ich żywe ciała mogłyby podróżować do jakiegoś banku organów.

- Christopher - zwrócił się do Pearce'a - musiał terminować u niezłego specjalisty od ucieczek. Pearce przyjął to naturalnie, czymkolwiek to było: komplementem czy przeprosiniami.

- Wydostawanie się ze wszystkich pułapek zastawianych przez Agencję i trzymanie się z daleka od inspektorów sanitarnych - wyszeptał starzec - powoduje rozwój dzięki ciągłej praktyce. Pan jest ranny.

Harry zeszytywniał. Skąd ten stary mógł to wiedzieć? Nawet gdyby miał oczy, było zbyt ciemno, by zobaczyć coś więcej niż sylwetkę. Starał się pomyśleć logicznie. "Może to jest instynkt - powiedział sobie. - Diagnostycy miewają czasami intuicję. Oczywiście, po wieloletniej praktyce. Potrafią wyczuć chorobę, zanim pacjent położy się na kozetce. Przyrządy służą im jedynie do potwierdzenia diagnozy. A może jest na to prostsze wytłumaczenie. Może stary mężczyzna wyczuł zapach krwi wężem, który rozwinął się u niego niebywale, jako rekompensata ślepoty."

Palce starca spoczęły na jego ramieniu nieoczekiwanie delikatnie. Harry odsunął gwałtownie rękę.

- To tylko draśnięcie - powiedział.

Ręka szarlatana ponownie dotknęła ramienia.

- Pan krwawi. Christopher, poszukaj suchej trawy.

Marna stała w pobliżu. Kiedy Pearce odkrył jego ranę, drgnęła jakby przestraszona i zrobiła niewielki krok ku niemu. Nie mógł przyjąć tego odruchu jako przejawu sympatii; jej niechęć była zbyt widoczna. Może niepokoił ją problem, co powinna zrobić, gdyby umarł.

Pearce oderwał rękaw.

- Oto trawa, dziadku - powiedział Christopher.

Jak ten chłopiec znalazł suchą trawę w tych ciemnościach?

- Nie zamierzasz chyba przyłożyć tego na ranę? - zaprotestował Harry.

- Powstrzyma krwawienie - wyszeptał Pearce. - Ale zarazki...

- Zarazki nie mogą panu zaszkodzić, dopóki nie będzie pan chciał, by to uczyniły.

Przyłożył trawę do rany i obwiązał oderwanym rękawem.

- Zaraz będzie lepiej.

"Mógłbym to zerwać, gdy ruszymy w drogę - pomyślał. - Chociaż... jednak... lepiej to zostawić. Szkoda, która miała się stać, już się stała."

Szybko o tym zapomniał. Kiedy ponownie ruszyli w drogę, Harry znalazł się obok Marny.

- Przypuszczam, że ty także odebrałaś właściwą edukację? Wiesz pewnie doskonale, jak unikać inspektorów sanitarnych? - spytał oschle.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Od zawsze usiłowałam uciekać. Kiedyś byłam wolna przez całą dobę. - Jej głos wypełnił się szczęściem na wspomnienie tego okresu. - Potem mnie znaleźli.

- Myślałem... - zaczął Harry. - Kim ty właściwie jesteś?

- Ja? Jestem córką gubernatora - powiedziała to z taką goryczą, że aż się cofnęła.

Wschód słońca zastał ich na autostradzie. Daleko z tyłu zostały ruiny ostatniego motelu. Teraz rozciągały się przed nimi trawiaste wzgórza, dolinki porośnięte drzewami i mulista rzeka wijąca się między nimi. Niektóre zakola wydawały się tak bliskie, że mogliby dorzucić tam kamieniem. Inne znikwały za wzgórzami.

Dzień był gorący. Niebo nad nimi błękitne, tylko na zachodzie dostrzegli kilka chmur. Zbłąkany królik przekicał przez drogę i zniknął w krzakach po drugiej stronie. Potem dostrzegli jelenia, który

uniósł głowę znad wody i spojrzął na nich zdziwiony.

Harry zerknął za siebie z gniewem w oczach.

- Doktorze Elliott - powiedział Christopher.

Harry spojrzął na chłopca; w brunatnej dziecinnej rączce trzymał nieforemną bryłkę brązowego cukru, całą upstrzoną skrawkami nitek z bandaża i innymi nierozpoznawalnymi dodatkami. W tym momencie była to, mimo wszystko, najbardziej atrakcyjna rzecz, jaką Harry potrafił sobie wyobrazić. Ślina napłynęła mu do ust, była gęsta i przełknął ją z trudem.

- Daj to Pearce'owi i dziewczynie. Będziemy potrzebować ich sił. Ty zjedz także.

- Proszę wziąć - powiedział Christopher. - Mam więcej.

W lewej ręce trzymał trzy inne kawałki. Dał jeden starcowi, a drugi dziewczynie. Pearce od razu uderzył w swój kawałek brązowymi pieńkami, które pozostały mu z zębów.

Harry zdjął co większe kawałki "ciał obcych", a potem już bez przeszkód mógł wreszcie zaspokoić głód. Śniadanie okazało się niezwykle pożywne.

Utrzymywali stałe tempo marszu. Nie poruszali się szybko, ale ciągle szli. Pearce nie narzekał nigdy, choć chwiały się pod nim stare powykrzywiane nogi. Dlatego Harry nie próbował zwiększyć tempa.

Minęli hydroponiczną farmę z automatyczną przetwórną. Nikogo nie było widać wokół budynków. Tylko transportery pasowe sunęły, dźwigając pojemniki z plonami do przetwórnicy albo takie same z nawozami na farmę.

- Powinniśmy zdobyć coś na obiad - stwierdził Harry. Byłaby to kradzież, ale w dobrej intencji. Mógłby dostać potem rozgrzeszenie wprost od gubernatora.

- Zbyt niebezpieczne - odparł Christopher.

- Każde z możliwych wejść - wyjaśniła Marna - jest strzeżone przez promienie szpiegowskie i broń automatyczną.

- Christopher przygotowuje nam dobrą kolację - wyszeptał Pearce.

Na odległym wzgórzu ujrzeli podmiejską willę, wokół której również nie było nikogo. Podążyli mozolnie w kierunku Lawrence autostradą porośniętą zielskiem.

- Padnij! Do rowu obok drogi! - krzyknął nagle Christopher.

Tym razem Harry zareagował szybko, bez pytania. Pomógł starcowi zejść po zboczach. Pearce był bardzo lekki i położył się w rowie obok dziewczyny. Minutę później na autostradzie zaryczały silniki. Gdy dźwięk ucichł w oddali, Harry zaryzykował zerknięcie ponad krawędzią rowu. Grupa motocykli zniknęła na drodze prowadzącej do miasta.

- Co to było? - zapytał wstrząśnięty Harry.

- Wilcze stado! - odezwała się Marna z nienawiścią i niesmakiem w głosie.

- Wyglądali jak kompania policji - zaproponował Harry.

- Kiedy podrosną, będą policyjną kompanią - stwierdziła Marna.

- Sądziłem, że to wilcze stado stanowili zbiegli obywatele - zauważył Harry.

Marna spojrzała na niego pogardliwie.

- Czy coś nie jest tak, jak ci powiedziano?

- Pojedynczy obywatel - szeptał Pearce - jest szczęściarzem, jeżeli przeżyje, gdy zostanie sam. Ich grupa nie przetrwałaby nawet tygodnia.

Wdrapali się po zboczach do autostrady i poszli dalej. Christopher denerwował się. Odwracał głowę i rozglądał się na wszystkie strony. Wkrótce również Harry stał się niespokojny.

- Padnij! - wrzasnął chłopiec.

Coś świsnęło. Chwilę później Harry poczuł uderzenie w sam środek pleców. Cios powalił go na ziemię. Marna krzyknęła.

Harry przekręcił się, czując się tak, jakby miał złamany kark. Christopher i Pearce leżeli na chodniku obok niego, ale Marna zniknęła.

Z przodu nad nimi błysnęła raca. Potem następna. Pearce popatrzył do góry. Potężny szybowiec unosił się w niebo. Marna zwisała z niego, a jej ciało skręcało się i prężyło, chcąc się uwolnić. Z drugiego szybowca wysunęły się puste szpony-haki, takie jak te, które zamknęły się wokół Marny i o mały włos nie porwały Harry'ego.

Harry uklęknął. Ścisnął kurczowo nadgarstek. Kłujący ból zaczął wędrować w górę ramienia. Było to preludium do czekających go męczarni. Jediną rzeczą, która powstrzymywała go od tarzania się w udreće po betonie, była wściekłość przenikająca go na wskroś. Potrząsnął pięścią ku zawracającym szybowcom.

- Doktorze Elliott - powiedział Christopher prosząco.

Harry rozejrzał się zamglonymi oczami. Chłopiec ponownie znalazł się w rowie. Starzec również.

- Oni wrócą! Na dół! - naglił Christopher.

- Ale złapali Marnę - odrzekł Harry.

- Nie pomoże jej to, że zabiją pana.

Jeden z szybowców krążył jak sokół nad polną myszą. Drugi, niosący Marnę, zataczał kręgi, wzbijając się coraz wyżej. Harry stoczył się do rowu. Seria świergoczących pocisków wyszczerbiła jezdnię w miejscu, gdzie był przed chwilą.

- Myślałem - wyszeptał - że chcą nas wziąć żywcem.

- Robią cokolwiek, byle tylko wyrzucić wrażenie - powiedział Pearce swym cichym głosem.

- Nigdy nie robiłem takiego czegoś - jęknął Harry - i nie znam nikogo, kto robiłby coś takiego.

- Był pan bardzo zajęty - stwierdził Pearce.

To prawda. Odkąd skończył cztery latka, był ciągle w jakichś szkołach, większość czasu w szkole medycznej. Bywał w domu tylko przez jeden dzień od czasu do czasu. Ledwo znał rodziców. Cóż mógł wiedzieć na temat rozrywek młodych szlachciców? Ale to? Te polowania wilczymi stadami?

Pierwszy szybowiec był teraz maleńkim krzyżykiem na niebie, a Marna punkcikiem zawieszonym pod nim. Wyrównał lot i podążył w kierunku Lawrence. Drugi za nim.

Nagle Harry zaczął tłuc w ziemię swym wściekle bolącym ramieniem.

- Dlaczego im się wymknąłem?! Powinienem pozwolić się schwytać razem z nią! Ona umrze!

- Jest silna - wyszeptał starzec - silniejsza niż ty czy Christopher. Może stanowić zagrożenie dla każdego. Ale czasem siła stanowi najokrutniejszą z możliwości. Idź za nią. Zabierz ją stamtąd.

Harry spojrzał na bransoletkę, z której promieniował ból przenikający całe ramię i całe ciało. Tak, mógł iść za nią. Tak długo, jak długo potrafi się poruszać. Jest szansa, że ją odnajdzie. Ale nogi są tak powolne w porównaniu z szybowcem.

- Motocykle wracają - odezwał się Christopher. - Szybowce ściągnęły je przez radio.

- Jak tu zdobyć motocykl? - zastanowił się głośno Harry. Ból nie pozwalał mu jasno myśleć.

Tymczasem chłopiec już ściągnął koszulę. Wokół jego cienkiej talii okręcona była nylonowa żyłka.

- Czasem łapiemy ryby - wyjaśnił Christopher.

Rozciągnął linkę w poprzek dwupasmowej drogi porośniętej kępami trawy, która wysoko wyrosła w szczelinach popękanej jezdni. Kazał Harry'emu położyć się płasko po drugiej stronie.

- Pozwól przejechać wszystkim oprócz ostatniego - powiedział. - Mam nadzieję, że będzie to maruder, który pozostał wystarczająco daleko z tyłu, żeby inni nie spostrzegli, kiedy wstaniemy. Proszę owinąć linkę wokół pasa. Potem trzeba podnieść ją tak, aby motocyklista miał ją na wysokości piersi.

Harry położył się obok jezdni. Lewe ramię sprawiało wrażenie balonu wypełnionego bólem. Kiedy jednak przypadkowo spojrzął na rękę, była tych samych rozmiarów co zawsze.

Nieskończoność minęła, nim dobiegł ich dźwięk motocykli, wielu motocykli. Kiedy przejechali pierwsi, Harry uniósł głowę. Był maruder. Jechał ze trzysta metrów za innymi, śpiesząc się, by dogonić grupę.

Potem przejechali inni. Gdy maruder zbliżył się na odległość mniej więcej sześciu metrów, Harry zerwał się na nogi, zapierając się przeciw spodziewanemu szarpnięciu. W tej samej chwili Christopher naprężył linkę. Młody szlachcic nie miał żadnych szans na jakikolwiek ruch, miał go tylko tyle, żeby spojrzeć zdziwiony, i już uderzył o linkę. Szarpnięcie wyrzuciło Harry'ego, ślizgającego się na piętach, prawie na środek jezdni. Christopher przywiązał wcześniej swój koniec do pnia młodego drzewka.

Młody motocyklista uderzył o beton, a motocykl zwolnił i wywrócił się do góry kołami, i wpadł w zielsko. Wilcze stado, daleko z przodu, nic nie dostrzegło.

Harry odwiązał się od linki i pobiegł do leżącego. Był w jego wieku i podobnej postury. Miał zajęczą wargę i uschniętą nogę. Teraz miał również roztrzaskaną czaszkę i nie żył.

Harry zamknął oczy. Naturalnie, wcześniej widział martwych ludzi, ale nigdy nie spotkał się z takim przypadkiem jak ten. To było jak złamanie przysięgi Hipokratesa.

- Kiedyś musiał umrzeć - stwierdził Pearce. - Dla złego lepiej, żeby umarł młodo.

Harry szybko rozebrał się i nałożył ubranie i gogle martwego szlachcica. Zawiesił na biodrze pistolet i odwrócił się do Christophera i Pearce'a.

- Co z wami?

- Nie będziemy próbowali uciekać - powiedział stary człowiek.

- Nie o tym myślałem. Czy dacie sobie radę? Pearce położył dłoń na ramieniu chłopca.

- Christopher zaopiekuje się mną. I odnajdziemy cię, gdy uratujesz Marne.

Pewność w głosie Pearce'a wzmocniła Harry'ego. Nie mógł zawieść takiego zaufania. Wsiadł na motocykl, usadowił się w siodełku i przekręcił manetkę gazu. Motocykl, rycząc straszliwie, ruszył do przodu.

Była to specyficzna, jednokołowa maszyna, ale miał pewne doświadczenie w jej prowadzeniu. Jeździł na podobnych pojazdach w podziemiach Cenrum Medycznego.

Ramię bolało okropnie, ale nie tak, jak jeszcze niedawno, kiedy czuł swoją bezradność. Teraz ból stanowił jego system naprowadzający. Im dłużej jechał, czuł, jak zmniejszają się dolegliwości. Znaczyło to, że zbliża się nieustannie do Marny.

Było to w nocy przed jej odnalezieniem. Inni motocykliści odjechali, a on sunął kilka kilometrów bocznymi drogami, zanim ostrzegł go zwiększający się ból. Krążył więc tu i tam, nim zlokalizował w końcu obwodnicę, która doprowadziła go do autostrady leżącej dziesięć kilometrów na wschód od Lawrence.

Zrujnowana asfaltowa droga skręciła, a w ramieniu czuł już tylko tępe klucie. Szosa kończyła się w gęstych zaroślach. Zatrzymał się tuż przed nimi, o włos unikając zderzenia. Siedział nieruchomo w siodełku i myślał.

Dotąd nie zastanawiał się nad tym, co powinien zrobić, kiedy odnajdzie Marne. Po prostu ruszył. Był to pierwszy spontaniczny odruch. Jechał częściowo z powodu bólu, który wywoływała bransoletka, częściowo wskutek emocjonalnego związku z dziewczyną.

Jakkolwiek by patrzeć, nie bardzo mógł powiązać przyczyn ze skutkami. Właściwie został schwyty w potrzask i zmuszony do poprowadzenia tej żalostnej wyprawy z Centrum Medycznego do posiadłości gubernatora. W każdej chwili groziła mu utrata życia, ale również, gdyby spełniły się wszystkie jego nadzieje, mógłby otrzymać w darze nie tylko kilka lat, ale wieczność. Czy miał utracić to właśnie teraz, podczas szaleńczej próby ratowania dziewczyny ze środka stada okrutnych młodych wilków?

Ale co ma zrobić z tym przedmiotem na nadgarstku? Co z gubernatorem? Co z Marną?

- Ralph? - Pytanie padło w ciemność i decyzja już nie należała do niego.

- Tak? - zamruczał. - Gdzie są wszyscy?

- W tym miejscu co zwykle, na brzegu. Harry, utykając, ruszył w kierunku głosu;

- Nic nie widzę.

- Poświecę ci.

Drzewa rozjaśnił snop światła latarki i tuż przed Harrym pojawiła się ciemna postać. Spojrzał, przymrużył oczy i kantem dłoni uderzył szlachcica w czwarty krąg szyjny. Gdy tamten upadł, skierował światło w górę i chwycił ciało. Zaciągnął je w trawę i dotknął szyi. Ofiara miała złamany kręgosłup, ale ciągle oddychała. Uniósł jej głowę tak, żeby nie było żadnego ucisku na tkankę nerwową, i rozejrzał się.

Gdzieś z przodu migotało i błyskało światło. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku. Najwidoczniej nikt go nie usłyszał. Zgasił lampę. Po chwili dostrzegł ścieżkę i zaczął iść nią przez młody las.

Ognisko zostało rozłożone pod gliniastym nawisem tak, że nie było go widać od góry. Na różnie piekł się w całości młody jelen. Jeden z motocyklistów obracał go powoli. Harry poczuł bolesną pustkę w żołądku. Był straszliwie głodny.

Reszta młodych szlachciców siedziała półkolem wokół ognia. Dalej, po drugiej stronie, dojrzał Marne ze skrępowanymi z tyłu rękami. Głowę trzymała uniesioną, a oczy przebijały ciemność wokół ogniska. Czyżby kogoś szukała? Oczywiście, jego! Wiedziała, dzięki bransoletce na ręce, że jest gdzieś blisko.

Chciałby dać jej jakiś znak, ale nie było na to sposobu. Przyjrzał się za to wszystkim siedzącym. Jeden był albinosem, drugi cierpiał na wodogłowie, trzecim wstrząsały drgawki. Inni mogli mieć również jakieś fizyczne ułomności, których nie potrafił dostrzec. Wszyscy oprócz jednego. Wyglądał na starszego niż pozostali. Rozciągnął się wygodnie na krawędzi błotnistego wykopu. Był niewidomy, ale miał wszczepione w oczodoły elektronicznie sterowane sztuczne soczewki. Nosił na plecach system zasilający podłączony przewodami do soczewek i antenę wszytą w kombinezon.

Harry ostrożnie zbliżył się do miejsca, gdzie siedziała Marna.

- Najpierw uczta - powiedział albinos - potem zabawa. Ten, który obracał różnem, stwierdził:

- Myślę, że najpierw powinniśmy się zabawić, potem będziemy zadowoleni i bardziej głodni.

Sprzeczali się przez chwilę o to i tamto. Oczywiście, przyjaźnie i na luzie, ale po chwili dołączyli do nich inni z nowymi siłami. W końcu albinos zwrócił się do tego bez oczu:

- A ty jak uważasz, Oko?

Głębokim, niskim głosem Oko powiedział:

- Sprzedać dziewczynę. Młode organy są warte najwyższej ceny.

- Ale - nieśmiało zaprotestował albinos - ty nie widziałeś, jakim miłym stworzonkiem jest ta mała. Oko, dla ciebie jest tylko układanką białych punktów na szarym ekranie. Dla nas jest biała i różowa, i czarna, i...

- Pewnego dnia - przerwał łagodnym głosem Oko - posuniesz się za daleko.

- Nie z nią. Z nią nie posunę się za daleko.

Patyk trzasnął pod stopą Harry'ego. Wszyscy umilkli i zaczęli nadśłuchiwać. Harry wyjął pistolet z pochwy.

- Czy to ty, Ralph? - spytał albinos.

- Tak - odpowiedział Harry, kuśtykając do brzegu świetlnego kręgu, ale głowa jego pozostawała w ciemnościach. Pistolet ukrył w fałdzie spodni.

- Czy możecie sobie wyobrazić - kontynuował albinos - że dziewczyna podaje się za córkę gubernatora?

- Jestem nią - głośno odezwała się Marna. - Będziecie powolutku siekani na małe kawałeczki za to, co chcecie ze mną zrobić.

- Ale to ja jestem gubernatorem, złotko - powiedział falsetem albinos - i nie daję...

- To nie jest Ralph. Jego noga jest zdrowa - nagle odezwał się Oko.

Harry przeklinał swego pecha. Soczewki były wyposażone zarówno w detektory promieniowania X, jak i w radar.

- Uciekaj! - wrzasnął w ciszy, która zapadła po ostatnim słowie.

Pierwszy strzał był skierowany w stronę Oka. Mężczyznę aż przekreśliło, a jego urządzenie zasilające roztrzaskało się. Zaczął krzyczeć i drapać po soczewkach, które zastępowały mu oczy. Harry nie czekał dłużej. Opróżnił magazynek w gliniany nawis nad ogniskiem. Ten, już naruszony przez ogień, zerwał się, pochłaniając ognisko i grzebiąc pod sobą kilku siedzących w pobliżu szlachciców.

Harry odskoczył w bok. Seria pocisków przeszła przestrzeń w miejscu, które właśnie opuścił.

Przedarł się przez zarośla i zaczął biec. Zgubił gdzieś latarkę. Odgłosy pogoni powoli cichły, potem zamarły zupełnie.

Wpadł na coś miękkiego i ciepłego, co zjawilo się nagle przed nim. To coś padało. Chwycił i rzucił o ziemię. Podniósł zaciśniętą pięść.

- Harry! - krzyknęła Marna.

Pięść rozwarła się w dłoń, powędrowała po ciele Marny i szarpnęła za majtki.

- Marna! - wysapał. - Nie wiedziałem. Nie myślałem, że potrafię to zrobić. Myślałem, że jesteś...

Ich bransoletki brzęknęły o siebie. Dziewczyna, która jakby zmiękła pod nim, teraz nagle zeszywniała i odepchnęła go.

- Nie rozczulaj się tak - powiedziała ze złością. - Wiem, dlaczego to zrobiłeś. Poza tym mogą nas usłyszeć.

Harry wciągnął głęboko powietrze, potem pozwolił mu ulecieć w długim, przeciągłym westchnieniu. Cóż robić? Nigdy mu nie wierzyła. Niby dlaczego miałyby mu wierzyć? Sam nie był pewny, dlaczego to robi. Teraz skończyła się akcja i mógł ocenić ryzyko, jakiego się podjął. Zaczął się trząść. Siedział teraz w środku ciemnego lasu. Zamknął oczy i usiłował zapanować nad drżeniem

całego ciała.

Marna wyciągnęła niepewnie rękę i dotknęła jego ramienia, zamierzając coś powiedzieć. Zrezygnowała jednak, i ta ulotna chwila odpłynęła w przeszłość.

- Dzie... dzie... ciak. - Zaczął szczekać zębami. - Wstrę... wstręt... ny, nie... nie... niew... dzięczny dzie... dzieciak.

W tym momencie przestał się trząść. Mama chciała się poruszyć.

- Siedź spokojnie! - nakazał szeptem. - Musimy poczekać, aż zaprzestaną poszukiwań.

Przynajmniej wyeliminował największe niebezpieczeństwo: zabił Oko. Ze swym radarem i widzeniem w promieniach X, które były tak samo doskonałe w dzień, jak i w nocy, stanowiły przeszkodę nie do pokonania.

Siedzieli w ciemnościach i czekali, słuchając odgłosów lasu. Minęła godzina. Harry zamierzał powiedzieć, że chyba już można bezpiecznie się ruszać, gdy usłyszał, że obok coś zaszeleściło. Zwierzę czy wróg? Marna, która nie dotknęła go ani nie odezwała się przez cały czas, teraz chwyciła go za ramię w panice. Harry zacisnął pięść i odchylił ramię do tyłu.

- Doktor Elliott? - wyszeptał Christopher. - Marna?

Ulga spłynęła na Harry'ego jak gorący, osłabiający siły strumień.

- Ty cudowny mały skrzacie! Jak nas znalazłeś?

- Dziadek mi pomógł. On ma jakiś szósty zmysł. Ja chyba też, ale on jest lepszy. Chodźcie.

Harry poczuł, jak drobna dłoń wsunęła się w jego rękę. Christopher wiódł ich przez ciemność. Na początku Harry nie dowierzał jego zmysłom, ale potem, gdy chłopiec potrafił trzymać się z dala od krzaków i drzew, zaczął iść za nim z większą ufnością. Dłoń dziecka stała się czymś, od czego był zależny. Wiedział teraz, co czuł Pearce i jak musi się czuć pozbawiony tej pomocy.

Chłopiec prowadził ich długo, zanim wyszli na polanę. Ciemnoczerwone węgle żarzyły się pod przykryciem ze świeżych zielonych liści. Pearce siedział obok ognia, obracając powoli rożen, wystrugany ze świeżej gałęzi. Dwa króliki skwierczały nad ogniskiem, pokrywając się złotym brązem.

Pearce odwrócił w ich stronę niewidome oblicze.

- Witajcie - powiedział.

Harry poczuł przyjemne ciepło, które było jak uczucie powrotu do domu. Marna uklękła przed ogniem i wyciągnęła dłonie, by je ogrzać. Zwisaly z nich strzępy więzów przerwanych w miejscu, gdzie dziewczyna tarła nimi metodycznie, siedząc przy innym ognisku.

"Musiała zmarznąć - pomyślał Harry - a ja pozwoliłem jej drzeć z zimna, gdy szliśmy przez las. Mnie było ciepło w marynarce." Jednak nic nie powiedział.

Kiedy Christopher zdjął króliki z rożna, prawie się rozpadały. Owinął cztery udka w duże zielone liście i schował je do dziury pomiędzy korzeniami drzewa.

- To na śniadanie - oznajmił.

Cała czwórka nie potrzebowała zachęty do jedzenia. Nawet bez soli był to najsmaczniejszy posiłek, jaki kiedykolwiek jadł Harry. Gdy skończył, oblizwał palce, westchnął i położył się na stosie zeschniętych liści. Nie pamiętał, by czuł się kiedyś bardziej zadowolony z życia. Był trochę spragniony, gdyż odmówił picia wody ze strugi, która przepływała przez las w pobliżu ich prowizorycznego obozowiska. Dało się jednak wytrzymać.

"Człowiek nie może wyrzec się wszystkich swoich zasad. Byłoby niezwykłą ironią losu umrzeć z powodu tyfusu tak blisko szansy na nieśmiertelność" - pomyślał.

Bo gubernator nada mu, z pewnością, prawo do nieśmiertelności lub w ostateczności zapewni mu pozycję, dzięki której będzie mógł na nią zapracować. Właściwie nie było co do tego wątpliwości. Mimo wszystko uratował córkę gubernatora.

Marna była miłym stworzonkiem. Niezbyt dobrze, że była jeszcze ciągle dzieckiem. Związek z rodziną gubernatora nie zmniejszyłby jego szans. Może za kilka lat...

Odpędził od siebie te myśli. Marna nienawidziła go.

Christopher zasypał ogień przy pomocy dużego kawałka kory. Harry ponownie westchnął i wyciągnął się wygodnie. Powinien dobrze spać tej nocy.

Marna umyła się w strudze. Twarz miała czystą i lśniącą.

- Czy będziesz spała obok mnie? - spytał Harry, nagarniając więcej suchych liści. Podniósł znacząco rękę z bransoletką. - Ta rzecz nie da mi spać, jeżeli będziesz zbyt daleko.

Skinęła chłodno głową i usiadła obok niego. Jednak wystarczająco daleko, by nie mógł jej dotknąć.

Odezwał się ponownie:

- Nie rozumiem, dlaczego spotkaliśmy tutaj tyle ułomności. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział coś takiego w czasie mojej praktyki w Centrum Medycznym.

- Byłeś w klinikach? - zapytał Pearce. I bez czekania na odpowiedź mówił dalej: - Wraz z postępami nauk medycznych zaczęto leczyć coraz więcej wynaturzonych potworków. Wmieście umarłyby; w podmiejskich posiadłościach są zachowywane, by je unieśmiertelnić. Pokaż mi swoje ramię.

Harry zdębiał. Pearce powiedział to tak naturalnie, że Harry zapomniał o jego kalectwie. Delikatne palce starca rozwiązały opatrunek i ostrożnie odwinęły sprasowaną trawę.

- Nie potrzebujesz tego więcej.

Harry, zdumiony, przyłożył rękę do rany. Nie było jej tam co najmniej od paru godzin. Wyczuwał tylko bliznę.

- Chyba rzeczywiście byłeś doktorem. Dlaczego porzuciłeś praktykę?

Pearce wyszeptał:

- Byłem coraz bardziej znużony rolą technika. Medycyna stała się tak straszliwie skomplikowana, że związek pomiędzy lekarzem a pacjentem nie różnił się od związku maszyny z pacjentem.

Harry zaoponował:

- Doktor musi zachować dystans. Jeżeli będzie nadmiernie opiekuńczy, nie przeżyje. Musi podchodzić do cierpienia bez czułości, opancerzyć się przeciwko żalowi albo nie powinien zawracać sobie głowy tymi rzeczami i powinien dołączyć do wszystkich.

- Nikt nigdy nie twierdził - odezwał się szeptem Pearce - że łatwo być lekarzem. Jeżeli odrzuci współczucie, straci nie tylko swego pacjenta, ale również własne człowieczeństwo. Skomplikowanie medycyny wywołało jeszcze jeden skutek: ograniczyło leczenie do tych, których stać było na nie. Coraz mniej ludzi mogło czuć się zdrowymi. A co z resztą?

Harry zmarszczył brwi.

- Z pewnością. Ale zamożni ofiarodawcy i fundacje uczyniły to możliwe. Biedni muszą być leczeni, żeby można było kontynuować postęp badań medycznych.

- I w ten sposób społeczeństwo wypaczyło wszystko. Dla bożka medycyny każde środki były poświęcone, żeby kilka osób mogło żyć kilka lat dłużej. Kto zapłacił rachunek? Najdziwniejszym zaś efektem było to, że ci, którzy otrzymywali pełną opiekę, stawali się mniej zdrowi niż ci, którzy żyli

bez tej opieki. Uprzywilejowani byli pod ochroną i reprodukowali swoje słabości. Ułomności, nawet te najpotworniejsze, były w dzieciństwie naprawiane tak, że pacjent osiągał dojrzałość. Cechy wrodzone przechodziły dalej. Fizjologiczne niezgodności powielają się, wymagając coraz doskonalszej opieki medycznej...

- A cóż to za rodzaj lekarskiej etyki? Medycyna nie może liczyć kosztów lub rozważać wartości. Jej zadaniem jest leczenie choroby -stwierdził Harry.

- Choroby tego, kogo na to stać. Jeżeli medycyna nie będzie wybierać, kogo leczyć, to zrobi to ktoś inny: siłą, pieniędzmi lub poprzez grupy nacisku. Któregoś dnia odszedłem od tego wszystkiego. Poszedłem pomiędzy obywateli, gdzie jest przyszłość, gdzie mogę pomagać bez dyskryminacji. Przyjęli mnie. Nakarmili, gdy byłem głodny, śmiali się ze mną, kiedy byłem szczęśliwy, i płakali, gdy było mi smutno. Zaopiekowali się mną, a ja pomagałem im tak, jak potrafiłem najlepiej.

- Jak? - zapytał Harry. - Bez maszyny diagnostycznej? Bez leków i antybiotyków?

- Ludzki umysł - szeptał dalej Pearce - jest ciągle najlepszą maszyną diagnostyczną i najskuteczniejszym antybiotykiem. Dotykałem ich. Nauczyłem ich jak sami mogą dbać o siebie. W ten sposób zostałem uzdrowiaczem, a nie technikiem. Nasze ciała chcą leczyć się same, rozumiesz? Ale nasze umysły wydają sprzeczne polecenia i śmiertelne instrukcje.

- Szaman! - pogardliwie stwierdził Harry.

- Tak. Zawsze istnieli szamani, uzdrowiacze. Tylko za moich dni dwie osoby zmieniły się z lekarzy w uzdrowiaczy. W każdej innej epoce ludzie o uzdrawiającym dotyku byli lekarzami. Istnieli i istnieją. Są dowody na olbrzymią liczbę uzdrowień. W dzisiejszych czasach nazywamy to zabobonem. A przecież wiemy, że niektórzy doktorzy/wcale nie mądrzejsi czy lepiej wykształceni niż inni, mają daleko lepsze wyniki leczenia od pozostałych. Niektóre pielęgniarki, nie zawsze te najpiękniejsze, pobudzają w swoich pacjentach wolę życia. Dwie godziny trwa, zanim przeprowadzisz badania, a ja potrafię to zrobić w dwie sekundy. Miną miesiące, a nawet lata, nim zakończysz leczenie. Mnie nie zajęło to nigdy więcej niż pięć minut.

- Ale gdzie kontrola? - nie zgadzał się Harry. - Jak dowiedziesz, że im pomogłeś? Jeżeli nie potrafisz śledzić przypadku i efektów leczenia, jeżeli nikt więcej nie potrafi powtórzyć twoich metod, to nie jest to nauka. Tego nie można nauczyć.

- Kiedy uzdrowiacz odnosi sukces, wie o tym - cierpliwie tłumaczył Pearce. - Tak samo wie o tym jego pacjent. Co do nauczania, to jak uczysz dziecko rnowić?

Harry niecierpliwie wzruszył ramionami. Starzec miał na wszystko odpowiedź. Są ludzie tacy jak on, tak zatwardziali w swej manii, że nie potrafi się ich przekonać, że to reszta świata ma rację. Człowiek musi polegać na nauce, a nie na przesądach, nie na wierze w uzdrowiaczy czy cudotwórców. W przeciwnym razie ludzkość znajdzie się ponownie w "Erze ciemności".

Położył się na posłaniu z liści. Czuł obok siebie obecność Marny. Chciał wyciągnąć rękę i dotknąć jej, ale nie zrobił tego.

"W przeciwnym razie - pomyślał - nie byłoby prawa ani bezpieczeństwa, ani nieśmiertelności."

Zbudziła go bransoletka. Poczul mrowienie, potem zaczęło go piec.

Wyciągnął rękę. Legowisko obok niego było jeszcze ciepłe, ale Marna zniknęła.

- Marna! - zawołał szeptem.

Uniósł się na łokciu. W świetle gwiazd, przeświecającym przez gałęzie drzew, mógł dostrzec, że polana jest pusta. Nie było na niej nikogo oprócz niego. Miejsce, gdzie spali Pearce i Christopher,

opustoszało.

- Gdzie jesteście? - zawołał głośniej.

Zaklął pod nosem. Wykorzystali właściwy moment i uciekli. Ale dlaczego? Czyż Christopher nie znalazł ich w lesie i nie zabrał ich tutaj? I co chciała uzyskać Marna przez tę ucieczkę?

Wstał. Coś zaszeleściło w krzakach. Znieruchomiał. W chwilę potem został oślepiiony jaskrawym światłem.

- Nie ruszać się! - odezwał się ktoś wysokim głosem. - Bo będę musiał cię zabić. A jeżeli spróbujesz uciec, Snooper pójdzie za tobą.

Głos był beznamiętny i kulturalny. "Dłoń, która trzyma pistolet -pomyślał liany -jest tak chłodna i dokładna jak głos."

- Nie ruszam się - powiedział na głos.- Kim jesteś?

- Była was tu czwórka. Gdzie pozostałych troje?- spytał obcy, ignorując pytanie Harry'ego.

- Usłyszeli, jak nadchodzisz. Musiałeś zrobić nieostrożny ruch.

- Kłamiesz - głos brzmiał pogardliwie.

- Słuchaj! - powiedział natarczywie Harry. - Nie mówisz jak obywatel. Jestem doktorem. Zadaj mi pytanie z medycyny: cokolwiek. Jestem w trakcie wykonywania pilnej misji. Niosę wiadomości dla gubernatora.

- Jaką wiadomość?

Harry ciężko przełknął ślinę.

- Przesyłka została porwana. Następna nie będzie gotowa przed upływem tygodnia.

- Jaka przesyłka?

- Nie wiem. Jeżeli jesteś szlachcicem, powinieneś rni pomóc.

- Siadaj. Harry usiadł.

- Mam wiadomość dla ciebie. Twoja informacja nie będzie dostarczona.

- Ale... - zerwał się Harry.

Gdzieś spoza światła doszedł go odgłos małego wybuchu, niewiele głośniejszego niż westchnienie człowieka. Coś uderzyło go w piersi. Spojrzał w dół. Cieniutkie żądło wczepiło się w jego ciało i umiejscowiło pomiędzy połami marynarki. Próbował sięgnąć po nie, ale nie mógł. Nie mógł również poruszyć ani ręką, ani głową. Przewrócił się na bok, nie czując upadku. Tylko oczy, uszy i płuca wydawały się nienaruszone. Leżał sparaliżowany, a myśli kłębiły mu się w głowie.

- Tak! - odezwał się pełen słodczy głos. - Jestem strzygą. Niektórzy z moich przyjaciół są łowcami głów, ale ja poluję na ciała i dostarczam je żywe. Ten sport jest wspaniały i również popłatny. Głowy są warte tylko dwadzieścia dolarów, a ciała więcej niż sto. Niektóre młode narządy, takie jak twoje, są warte wiele więcej. Naprzód, Snooper! Znajdź pozostałych!

Światło przesunęło się w bok. Coś trzasnęło w zaroślach i zaczęło iść. Powoli wyłonił się ciemny kształt. Wydawał się siedzieć na ziemi o trzy metry od Harry'ego.

- Ciekawe, co stanie się z tobą - powiedział strzyga. - Gdy tylko znajdę pozostałych, sparaliżuję ich i wezwę swoich noszowych. Zaniosę was do swojego helikoptera. Potem, jeżeli pochodzicie z Kansas City, zabiorę was do Topeka.

Ostatnia nadzieja Harry'ego rozwiązała się.

- Wypróbowałem. Tak jest najlepiej - kontynuował głos. - Zabezpiecza przed komplikacjami. Szpital w Topeka, z którym współpracuję, kupi wasze ciała, o nic nie pytając. Jesteś na stałe sparaliżowany, więc nie poczujesz bólu, chociaż nie stracisz świadomości. W ten sposób twoje

narządy nie ulegną zniszczeniu. Jesteś lekarzem, jak powiedziałaś, więc wiesz, o czym mówię, Może nawet znasz nazwę trucizny w żądle. Ja wiem tyle, że jest to jad osy piaskowej. Przez zastosowanie odżywiania dożylnego twoje pożyteczne organy mogą być utrzymane przy życiu przez całe lata, aż nadejdzie ich czas.

Głos mówił dalej, ale Harry nie słuchał. Pomyślał, że może oszaleć. To się często zdarzało. Widział w Banku Organów leżące na stołach ciała, których oczy były wypełnione szaleństwem. Wtedy myślał, że obłąkanie spowodowane było tym, że położono je tam właśnie. Teraz rozumiał, że się mylił. Niebawem będzie jednym z nich.

"Może by się udusić - pomyślał - zanim dotrę do szpitala, zanim włożą mi rurkę w gardło i podłączą do klatki piersiowej respirator, zanim wbiją igły w ramiona. Tamci potrafili czasem się udusić, nawet pilnowani. Ale nie zwariuję. Jestem zbyt rozumny. Mogę przetrwać miesiące."

Usłyszał, że coś trzeszczy w krzakach. Światło błysnęło mu w oczy. Jakieś ciała poruszyły się. Coś upadło, a potem wrzasnęło. Coś zrobiło głośne "puff!" Wkrótce wszystkie dźwięki ucichły z wyjątkiem czyjegoś sapania.

- Harry! - Marna powiedziała to z lękiem w głosie. - Harry, co z tobą?

Światło wróciło na polanę razem z sapaniem Snoopera. Pearce z bólem ruszył w kierunku Harry'ego. Za nim zjawili się Christopher i Marna. Na ziemi obok nich leżała jakaś poskręcana kreatura. Harry nie potrafił rozszyfrować, co to jest. Potem dostrzegł, że był to karzeł, gnom, mężczyzna z cienkimi, małymi powykręcanyimi nóżkami, garbatymi plecami i ogromną pomarszczoną głową. Czarne włosy porastały jej czubek, a oczy jarzyły się czerwonym blaskiem nie widząc całego świata.

- Harry! - powtórzyła Marna z płaczem w głosie.

Nie odpowiedział jej, bo nie mógł. Poczul najpierw przyjemność, że nie może tego zrobić, a potem zalał go przypływ goryczy.

Marna podniosła strzelbę na żądła i cisnęła ją głęboko w krzaki.

- Co za potworna broń!

Harry'emu wróciła zdolność wnioskowania. Jednak nie uciekali. Tak jak powiedział to strzydze, skryli się w pobliżu, by uratować go, jeżeli tylko potrafią. Wrócili za późno.

Paraliż był nieodwracalny, nie było na niego antidotum. Może powinni go zabić. Jak dać im do zrozumienia, że chce, by to zrobili?

Zamrugął szybko oczami.

Marna przysunęła się do niego. Położyła jego głowę na swych kolanach. Jej dłoń poruszała się nieustannie, gładząc włosy. Pearce ostrożnie usunął żądło z jego piersi i wbił je głęboko w ziemię.

- Bądź dobrej myśli - powiedział. - Nie załamuj się. Nie ma czegoś takiego jak nieodwracalny paraliż. Jeżeli spróbujesz, to zobaczysz, że możesz poruszyć swoim małym palcem.

Ujął dłoń Harry'ego i poklepał ją.

Harry spróbował, ale bez rezultatu. Co się dzieje z tym starym znachorem? Dlaczego nie zabije go i nie skończy tej całej checy? Pearce ciągle mówił, lecz Harry nie słuchał. Co mu przyjdzie z nadziei? Może pogorszyć tylko jego męczarnie.

- Transfuzja mogłaby pomóc - odezwała się Marna.

- Tak - zgodził się starzec. - Chcesz tego?

- Wiesz, kim jestem?

- Oczywiście. Christopher, odzyskaj strzygę. Powinien mieć aparat do przetaczania krwi i igły na

wypadek, gdyby coś się działo z jego ofiarami - powiedział do chłopca, a potem zwrócił się do Marny: - Krew trochę się wymiesza. Trucizna dostanie się do twego ciała.

Głos dziewczyny wypełniała gorycz:

- Nie skrzywdziłbyś mnie nawet cyjankiem.

Zaczęła się krzątanina i przygotowania. Harry nie mógł się skupić na tym, co działo się dookoła niego. Wszystko się rozmazywało. Czas wydawał się płynąć powoli jak lodowiec.

Gdy szara poświata brzasku przeciekła przez drzewa, Harry poczuł, jak życie napływa wraz z bólem do jego małego palca. To było gorsze niż cokolwiek, czego dotąd w życiu doświadczył. Tysiąc razy nawet niż ból pochodzący od bransoletki, który teraz rozszerzył się na resztę palców, na stopy i dalej wzdłuż kończyn do tułowia. Chciał błagać Pearce'a, by zostawił go sparaliżowanego, i właśnie wtedy odblokowało mu się gardło, a ból zaczął mijać.

Kiedy już mógł usiąść, rozejrzał się wokół, szukając Marny. Opierała się plecami o pień drzewa. Oczy miała zamknięte i była bledsza niż zwykle.

- Marna!

Otworzyła oczy. Radość błysnęła w nich, gdy popatrzyła na niego, ale zaraz spochmurniała.

- Czuję się dobrze - powiedziała.

Harry podrapał się po lewym łokciu, gdzie jeszcze niedawno wbite były igły.

- Nie rozumiem ciebie i Pearce'a. Wyciągnęłaś mnie z tego, ale...

- Nie próbuj rozumieć - odpowiedziała. - Po prostu to przyjmij.

- To niemożliwe - mruknął. - Kim jesteś?

- Córką gubernatora.

- Kim jeszcze?

- Cartwrightem - odpowiedziała gorzko.

Mózg Harry'ego zawirował. Jedna z nieśmiertelnych! Nic więc dziwnego, że jej krew zneutralizowała truciznę. Krew Cartwrightów wykazywała specyficzne własności wobec każdej obcej substancji w organizmie.

- Ile masz lat?

- Siedemnaście - odpowiedziała. Spojrzała na swoją jeszcze dziecinną, szczupłą figurę. - My, Cartwrightowie, późno dojrzewamy. Właśnie dlatego Weaver posłał mnie do Centrum Medycznego, żeby spfawdzi-li, czy jestem już płodna. Płodności Cartwrighta nie można pozwolić, by traciła czas.

Nie było wątpliwości; nienawidziła swego ojca.

- Ma narzeczonego dla ciebie - stwierdził głupio.

- Spróbuj sam to zrobić - powiedziała bez cienia uczucia. - On nie jest zbyt płodny. Dlatego jest nas tylko trzy: moja babcia, moja mama i ja. Poza tym potrafimy kontrolować naszą płodność. Szczególnie, gdy dojrzejemy. Nie chcemy mieć dzieci, chociażby dlatego, że mógłby stać się mniej zależny od nas. Obawiam się - głos jej się załamał - obawiam się, że nie jestem jeszcze w pełni dojrzała.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej? - Harry powiedział to z żalem w głosie.

- I traktowałbyś mnie jak Cartwrighta? - Złość zabłysła w jej oczach. - Cartwright nie jest osobą, jak wiesz. Jest chodzącym bankiem krwi, żyjącą fontanną młodości, czymś, co może zostać zagarnięte, wykorzystane, strzeżone, ale nigdy nie może po prostu żyć. Wreszcie - spuściła głowę - nie wierzysz mi co do Weavera.

- Ależ on jest gubernatorem! - wykrzyknął Harry.

Zobaczył wyraz jej twarzy i odwrócił się. Jak mógł się wytłumaczyć? Miał swoją pracę i obowiązki. Nie mógł tego porzucić. I jeszcze te bransoletki. Tylko gubernator ma do nich klucz. Nie pożyliby długo, związani razem jak teraz. Mogliby zostać rozłączeni, przez przypadek lub siłą i wtedy umarłby.

Stał na nogi. Przez moment wydawało mu się, że las kołysze się razem z nim, ale po chwili to wrażenie minęło.

- Jestem winien podziękowanie - powiedział do Pearce'a.

- Walczyłeś ciężko, by zachować swoje przekonania - szepnął starzec - ale rozsądek podpowiedział ci, że lepiej być w pełni człowiekiem z nieco ułomnymi przekonaniami niż ułomnym człowiekiem z nie naruszonymi zasadami.

Harry popatrzył innymi oczami na starego człowieka. Albo był to prawdziwy uzdrowiciel, który nie potrafi wyjaśnić, jak dokonuje swoich cudów, albo cały świat był szalony.

- Jeżeli ruszymy natychmiast - stwierdził - powinniśmy ujrzyć rezydencję gubernatora koło południa.

Kiedy przechodził obok karła, spojrzał w dół, zatrzymał się i spojrzał do tyłu - na Marne i Pearce'a. Potem dźwignął bezwładne ciało i ruszył w kierunku drogi.

Helikopter strzygi stał obok autostrady.

- Zajęłoby nam to tylko pięć minut - zamruczał - gdybyśmy polecieeli. Tuż za nim zabrzmiał głos Marny:

- Nie byłabym tego taka pewna. Zostalibyśmy zestrzeleni, zanim przelecielibyśmy pięć kilometrów.

Harry przytroczył karła do fotela w helikopterze. Potworny chłopiec-strzyga patrzył na niego oczami przepelnionymi nienawiścią. Harry włączył silnik, nacisnął w autopilocie przycisk z napisem "Powrót" i cofnął się krok do tyłu. Śmigłowiec wystartował i podążył prosto na południowy wschód.

Christopher i Pearce czekali na jezdni. Chłopiec wyszczerzył zęby i podał mu nóżkę królika.

- Śniadanie.

Pomaszerowali autostradą w kierunku Lawrence.

Posiadłość gubernatora została zbudowana na wierzchołku wzgórza w kształcie litery L, pomiędzy dwiema rzekami. Kiedyś w tym miejscu znajdował się wielki uniwersytet, ale fundusze na pomoc dla takich instytucji zostały przeznaczone na inne, ważniejsze cele. Prywatne datki zmalały, gdy wzrosły potrzeby badań medycznych i koszty opieki zdrowotnej. Szybko zniknęło zainteresowanie edukacyjnymi "świecidełkami" i uniwersytet zmarł śmiercią naturalną.

Gubernator wybudował swoją posiadłość w tym czasie, siedemdziesiąt pięć lat temu, gdy Topeka stała się miastem nie do wytrzymania. Niedługo przedtem założono Biuro Czasu Życia i odtąd gubernator miał żyć już wiecznie.

Stan Kansas był baronią. Słowo to nic nie znaczyło dla Harry'ego, gdyż jego wiedza historyczna ograniczała się do historii medycyny. Gubernator był baronem i posiadłość należała do niego. Wasalami byli podmiejscy szlachcice opłacani nieśmiertelnością lub jej obietnicą. Kiedy jeden z nich otrzymywał zastrzyk, miał do wyboru: przyrzec lojalność gubernatorowi i żyć już zawsze, wyjąwszy śmierć w wypadku, lub umrzeć w ciągu trzydziestu dni.

Gubernator nie otrzymał przesyłki od czterech tygodni. Szlachcice byli przerażeni.

Rezydencja była prawdziwą fortecą. Jej zewnętrzne ściany tworzył piętnastocentymetrowy mur ze sprężonego betonu, który dodatkowo osłonięty był grubym pancerzem. Mur otaczała fosa, w której

pływały piranie.

Wewnętrzny mur wyrastał ponad zewnętrzny. Goła, nie zarośnięta przestrzeń pomiędzy nimi, nasyciona została napalmem. W murze ukryte były stanowiska pocisków zdalnie sterowanych.

Główny budynek piętrzył się w górę na kształt zikkuratu, tarasowymi stopniami. Na każdym z nich założono farmę hydroponiczną. Na szczycie budynku umieszczono szklaną nadbudówkę, a południowe słońce zamieniało ją w srebro. Ponad nią wznosił się maszt z obracającym się radarem.

Jak w górze lodowej, większa część budynku znajdowała się pod powierzchnią ziemi, wtłoczona w wapień i granit prawie na kilometr w głąb. Budowla była prawie żywym stworzeniem; automatyczne mechanizmy sterowały wszystkim; dostarczały powietrza, nagrzewały i chłodziły, karmiły i poiły, strzegły od wrogów i zabijały każdego, kto podszedł zbyt blisko...

Wszystko mogło być trzymane w garści przez jedną osobę. I tak właśnie było.

Nie spostrzegli żadnego wejścia. Harry stał przed murem i wymachiwał marynarką.

- Hej! Hej, wy tam w rezydencji! Wiadomość do gubernatora z Centrum Medycznego. Hej! Odezwijcie się!

- Padnij! - krzyknął Christopher.

Wściekła pszczoła bzyknęła koło ucha Harry'ego. Potem nadleciała cała chmara pszczół. Harry upadł na ziemię i przetoczył się na bok. W jednej chwili bzyczenie ustało.

- Nie jesteś ranny? - spytała Marna. Harry uniósł głowę z ziemi.

- Kiepskie strzały - wyszczerzył zęby. - Skąd one padły?

- Z tamtej willi. - Christopher wskazał na rozrzucone u stóp wzgórza domki.

- Nie oszczędzają amunicji - stwierdził Harry.

Rezydencja odezwała się grzmiąco. Zdawało im się, że przemówił głos Boga:

- Kto przychodzi z wiadomością dla mnie? Harry odkrzyknął, nie podnosząc się z ziemi:

- Doktor Harry Elliott. Jest tu ze inną córką gubernatora, Marna, i znachor. Jesteśmy pod obstrzałem jednej z willi.

Rezydencja milczała. Jedna część wewnętrznej ściany otworzyła się powoli. Coś błysnęło w słońcu i wyrzuciło do tyłu snop płomieni. Błyskawicznie poleciało w dół. Chwilę później willa wyleciała w powietrze i zostały po niej tylko ruiny.

Ponad zewnętrznym murem pojawiło się ramię dźwigu. Zwisiała z niego wielka metalowa kabina. Kiedy dotknęła ziemi, otworzyły się drzwi.

- Zapraszam w gościnę - odezwała się rezydencja gubernatora.

Kabina była zakurzona podobnie jak i nadbudówka, gdzie ich przeniesiono. Ogromny basen pływacki był bez wody, leżaki przegniły, a kwiaty i palmy uschły.

W centralnie położonej kolumnie, pokrytej lustrami, pojawiły się drzwi.

- Wejść - powiedziały.

Winda zjeżdżała głęboko pod ziemię. Harry'emu żołądek podjechał do gardła. Pomyślał, że dźwig nigdy się nie zatrzyma, ale właśnie w tym momencie drzwi otworzyły się. Za nimi znajdował się obszerny salon. Jego wystrój tworzyły różne odcienie brązu. Jedną ze ścian stanowił ekran wizyjny.

Marna wybiegła z windy.

- Mamo! Babciu! - krzyknęła.

Przebiegła przez pokój. Harry ruszył za nią dużo wolniej.

Dalej było sześć dużych sypialni wychodzących na długi korytarz. Na jego końcu znajdował się

pokój dziecienny. Po drugiej stronie salonu były: kuchnia i jadalnia. Każdy pokój miał duży ekran zajmujący całą ścianę. Wszystkie były puste.

- Mama? - zapytała Marna.

Ekran w jadalni zamigotał. Na gigantycznym monitorze pojawił się ogromny obraz kreatury, która leżała na pneumatycznych poduszkach. To coś było niewyobrażalnie otyłe. Góra mięsa falowała i dyszała. Chociaż była naga, jej płeć pozostawała tajemnicą. Piersi stanowiły dwie wielkie poduchy tłuszczu, pomiędzy którymi wyrastały kępki włosów.

Twarz była bezmyślna, mała w stosunku do fantastycznie wielkiego ciała, z oczami wetkniętymi w mięso jak rodzynki w ciasto.

Kreatura właśnie wciągała pożywienie przez rurę, gdy nagle dojrzała ich. Odsunęła podajnik ręką wielką jak balon i zachichotała. Był to chichot godny Boga.

- Cześć, Marna - głos był głosem rezydencji. - Szukasz kogoś? Twoja matka i babka pokrzyżowały mi szyki. Chyba o tym wiesz. Sterylne kreatury! Podłączyłem je wprost do banku krwi, teraz nie będzie przerw w dostawach.

- Zabijesz je - wysapała Marna.

- Cartwright, głupia dziewczynko! Aha, czy wiesz, że dziś jest nasza noc poślubna i nie chcemy mieć ich wszystkich obok siebie? Prawda,

Marna?

Marna cofnęła się do salonu, ale tam również potwór patrzył na nią z ekranu. Teraz zwrócił swe rodzynkowate oczy na Harry'ego.

- Ty jesteś tym doktorem z wiadomością. Przekaż mi ją. Harry zmarszczył brwi.

- Pan... pan jest gubernatorem Weaverem?

- We własnej osobie, chłopcze. - Kreatura zachichotała. Wywołało to fale przebiegające tłuste cielsko tam i z powrotem.

Harry westchnął głęboko.

- Przesyłka została porwana. Minie tydzień, zanim następna będzie gotowa.

Teraz to Weaver zmarszczył brwi i wyciągnął tłusty paluch w stronę czegoś, co znajdowało się poza polem widzenia kamery. - Tam! Popatrzył ponownie na Harry'ego i zaśmiał się śmiechem, idioty.

- Właśnie wysadziłem biuro Deana Mocka. O tej porze był właśnie tam. To jest sprawiedliwość. Podkradał zastrzyki z eliksirem od dwudziestu lat.

- Z eliksirem? Ale... - Informacja na temat Mocka była zbyt nierealna, by mogła być przyjęta do wiadomości. Harry nie wierzył w to. Napomknienie o eliksirze wstrząsnęło nim.

Usta Weavera wymówiły coś jak "o" na znak sympatii.

- Zaszokowałem cię, chłopcze. Mówili ci, że eliksir nie został dotąd wyprodukowany. A jednak! Jakies sto lat temu otrzymał go doktor o nazwisku Russell Pearce. Planowałeś sobie, że zsyntetyzujesz go i otrzymasz nieśmiertelność jako nagrodę. Nie, nie jestem telepatą. Pięćdziesięciu na stu doktorów śni o tym. Powiem ci, doktorze. Ja jestem elektorem. Ja decyduję, kto będzie nieśmiertelny i moja decyzja jest tą ostateczną! Bogowie zawsze byli arbitralni. To właśnie czyni ich bogami. Mogę dać ci nieśmiertelność. Dam, dam. Służ mi dobrze, doktorze. A kiedy już dociągniesz setki, wrócę ci młodość. Mogę uczynić cię dziekanem Centrum Medycznego. Chciałbyś?

Weaver ponownie zmarszczył brwi.

- Ale nie! Kradłbyś eliksir jak Mock. No i nie przysłałbyś mi przesyłki, kiedy potrzebowałbym

jej dla moich szlachciców.

Podrapał się po piersi.

- Co mam robić? - zapłakał nagle. - Moi lojalni wasale umierają i nie mogę dać im zastrzyku. A potem ich dzieci zastawią na nich pułapki. Whitey wkradł się pewnego dnia do swego ojca, a potem sprzedał go kolekcjonerowi staroci. Starzy trzymają młodych z dala od ognia, ale oni umierają. Młodzi zaś nie potrzebują eliksiru, jeszcze nie teraz, ale potem będą. Przyjdą do mnie na kolanach, by błagać o niego, a ja będę się śmiać i pozwolę im umrzeć. Tak czynią bogowie, rozumiesz.

Weaver podrapał się ponownie, tym razem po nadgarstku.

- Jesteś ciągle zaszokowany tym eliksirem. Myślisz sobie, że powinniśmy wyprodukować galony tego specyfiku i zapewnić na zawsze młodość dla każdego. Nawet nie myśl o tym! Wiemy obaj, że to absurd. Ciągle mielibyśmy za mało eliksiru. I co warta byłaby nieśmiertelność, gdyby każdy mógł żyć wiecznie?

Głos zmienił mu się nagle, przybierając ton urzędowy:

- Kto porwał przesyłkę? Czy to był ten człowiek? W dolnym rogu ekranu pojawiła się fotografia.

- Tak - odpowiedział Harry. Jego mózg pulsował. Zdjęcie i nieśmiertelność jednocześnie. Stało się to zbyt szybko. Nie miał czasu pomyśleć.

Weaver obtarł swe żarłoczne usta.

- Cartwright! Jak mógł to zrobić? - Cień boskiego strachu pojawił się w jego głosie. - Ryzykować jak zwykle. On jest szalony! Tak, z pewnością! Ten człowiek jest szaleńcem. Chce umrzeć.

Ogromna masa mięsa zafalowała, ciało jakby się rozpływało.

- Pozwólmy mu spróbować się ze mną. Poślę go na śmierć.

"Cartwright - pomyślał Harry. - Weaver myślał z pewnością o Mar-shallu Cartwrightcie, prawdziwym Nieśmiertelnym. Ale po cóż miałby Cartwright atakować konwój, ryzykować wieczność? Być może, przekonał się, że wieczność jest bezwartościowa bez odwagi, honoru czy miłości. Porywając przesyłkę, zadawał Weaverowi śmiertelny cios."

Weaver popatrzył ponownie na Harry'ego i podrapał się w szyję.

- Jak wasza czwórka dotarła tutaj?

- Szliśmy pieszo - odpowiedział głośno Harry.

- Pieszko? Fantastyczne!

- Proszę zapytać zarządcę motelu tuż za Kansas City albo wilcze stado, które omal nie porwało Marny, albo strzygę, który mnie sparaliżował. Oni powiedzą, co to znaczy iść pieszo.

Gubernator podrapał się po swoim monstrualnym brzuchu.

- Te wilcze stada to przykra sprawa. Chociaż są użyteczne. Utrzymują porządek poza miastami. Ale, ale! Jeżeli byłeś sparaliżowany, to dlaczego stoisz tutaj, a nie czekasz, by położono cię na stole w banku organów?

- Znachor przetoczył mi krew od Marny.

Harry zbyt późno spostrzegł, że Marna daje mu znaki, by milczał. Twarz Weavera zachmurzyła się.

- Ukradłeś moją krew. Teraz nie mogę stracić ani kropli przez miesiąc. Będę musiał cię ukarać. Nie teraz, później, kiedy pomyślę o czymś rekompensującym tę zbrodnię.

- Za miesiąc to zbyt szybko - powiedział Harry. - Nic dziwnego, że dziewczyna jest blada, skoro wykrwawiasz ją co miesiąc. Zabijesz ją.

- Ale ona jest Cartwrightem - odparł gubernator ze zdziwieniem - a ja potrzebuję krwi.

Harry zacisnął usta. Podniósł w górę rękę z bransoletką na przegubie.

- Klucz.

- Powiedz mi - zapytał Weaver, drapiąc się jednocześnie pod piersią. - Czy Marna jest już płodna?

- Nie - Harry spojrzał prosto w oczy gubernatora Kansas. - Klucz!

- Och, mój drogi - powiedział Weaver. - Wydaje mi się, że gdzieś się zapodział. Będziesz musiał jeszcze trochę ponosić tę bransoletkę. -Zwrócił się do dziewczyny: - No cóż, Marna, zobaczymy, jak pójdzie nam dziś w nocy. Ech, płodna czy nie? Wyszukaj coś odpowiedniego na naszą noc poślubną, dobrze? I nie psuj wszystkiego przez płacz, wrzask i lamenty. Przyjdź przepelniona szacunkiem i radością tak, jak Maria przyszła do Boga.

- Jeżeli będę miała dziecko - powiedziała Marna z pobladłą twarzą -będzie musiało być urodzone przez dziewicę.

Ocean ciała zafalował ze złości.

- Chyba będą wrzaski tej nocy. Dobrze, znachorze! Ty obleśny staruchu z chłopcem: Jesteś uzdrawiaczem?

-Tak mnie nazywają - wyszeptał Pearce.

- Mówią, że czynisz cuda. No to mam dla ciebie jeden cud do zrobienia. - Weaver poskrobał się po wierzchu dłoni. - Mam świerzb. Doktorzy nie potrafili znaleźć przyczyny i umarli. Doprowadza mnie to do szaleństwa.

- Leczę przez dotyk - powiedział starzec. - Każdy leczy sam siebie. Ja tylko pomagam.

- Żaden człowiek mnie nie dotyka - stwierdził gubernator. - Wyleczysz mnie do wieczora. I nie chcę nic więcej słyszeć. W przeciwnym razie rozłoszczę się na ciebie i chłopca. Tak, będę bardzo zły na chłopca, jeżeli ci się nie powiedzie.

- Wieczorem - powiedział Pearce - zrobię ten cud dla ciebie.

Weaver zaśmiał się i sięgnął po rurę pokarmową. Jego ciemne oczy błyszczały jak czarne kulki w ogromnej górze kremu.

- Więc do wieczora!

Obraz zniknął z ekranu.

- Larwa - szepnął Harry. - Gigantyczna biała larwa w sercu róży, pożerająca wszystko. Ślepa, samolubna i niszczycielska.

- Uważam go za płód - powiedział Pearce - któremu nie pozwolono się urodzić. Bezpieczny w macicy, zniszczył matkę, nawet nie zauważając, że tym samym niszczy siebie.

Odwrócił się do Christophera.

- Czy jest tu kamera? Chłopiec przyjrzał się ekranowi.

- W każdym miejscu.

- Podłuch?

- Wszędzie. Starzec oznajmił:

- Będziemy musieli skorzystać z szansy i mieć nadzieję, że nie będzie przesłuchiwał nagrań lub że będzie to robił wystarczająco długo, by dać nam czas na realizację naszych planów.

Harry popatrzył na Marne, potem na Christophera i Pearce'a.

- Co możemy zrobić?

- Chcesz tego? - spytała Marna. - Stracić nieśmiertelność? Zaryzykować wszystkim?

Harry skrzywił usta.

- Co mam do stracenia? Świat taki jak ten?

- Jaka jest nasza sytuacja? - wyszeptał Pearce. - Gdzie jest gubernator?

Marna bezradnie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Moja mama i babcia też nigdy nie wiedziały. Przysyła windę. Nie ma tutaj schodów ani innych wyjść, a windy są kontrolowane z konsoli stojącej obok jego łoża. Są tam tysiące przełączników. Można kontrolować cały gmach: światło, wodę, powietrze, ogrzewanie i dostarczanie pożywienia. Może wypuścić toksyczne lub usypiające gazy albo płonąca benzynę. Może odpalać ładunki wybuchowe nie tylko tutaj, ale także w Topeka czy Kansas City. Może wysyłać rakiety atakujące dowolny obszar. Nie ma sposobu, by go dosięgnąć.

- Dostaniemy go - oznajmił szeptem stary człowiek. Marnie rozbłysły oczy.

- Jeżeli jest jakaś broń, wezmę ją! Ale w windach są magnetyczne i fluorescencyjne wykrywacze.

- Nawet gdybyś zdołała jakoś przemyścić, powiedzmy, nóż - mówiąc to Harry zmarszczył brwi - byłoby prawie niemożliwe uszkodzić jakiś ważny organ. I chociaż nie może poruszać swym cielskiem, jego ręce muszą być niewiarygodnie silne.

- Jest chyba sposób - stwierdził Pearce. - Jeżeli macie kawałek papieru, Christopher napisze wam, o czym myślę.

Panna młoda czekała obok drzwi windy, spowita w biały atlas sukni i stare koronki, które otaczały jej głowę na kształt welonu. Przed ekranem usiadł Pearce. U jego stóp, opierając się o kolana starca, siedział Christopher.

Ekran zamigotał i pojawił się na nim Weaver wyszczerzając zęby w idiotycznym uśmiechu.

- Jesteś niecierpliwa, Marno. Ciesz się, że chcesz jak najszybciej znaleźć się w ramionach swego pana młodego. Nadjeżdża weselna karetka.

Drzwi windy otworzyły się. Panna młoda weszła do środka. Gdy zaczęły się zamykać, Pearce wstał i lekko odpychając na bok chłopca, powiedział:

- Szukasz nieśmiertelności, Weaver, i wydaje ci się, że ją znalazłeś. Ale jedyne, co posiadasz, to umieranie za życia. Zamierzam pokazać ci prawdziwą nieśmiertelność.

Winda odjechała. Sunęła szybem, w którym brzmiał marsz weselny z "Lohengrina". Wykrywacze obszukały pannę młodą i znalazły jedynie ubranie. Kabina zaczęła zwalniać. Po zatrzymaniu się drzwi pozostały przez chwilę zamknięte, po czym otworzyły się z piskiem.

Odór rozkładu wypełnił windę. Przez chwilę panna młoda wahała się, potem wyszła z kabiny. Pokój okazał się zdumiewającym mechanizmem; nierdzewną, stalową macicą. Wewnątrz, poza gigantycznym, pneumatycznym materacem, znajdowały się wyłącznie automaty. Temperatura powietrza utrzymywana była stale na poziomie temperatury krwi. Pożywienie nadchodziło wprost z przetwórci przez specjalne rury, bez udziału człowieka. Codziennie strumienie wody splukiwały brud i odpadki do zbiorników umieszczonych wokół pokoju, a te zabierały je automatycznie. Prysznic znad wezłowania kąpał tego, kto znajdował się na materacu. Obok, jak wielki pulsujący narząd, znajdowała się skomplikowana sterownicza konsola z tysiącem przełączników. W suficie nad materacem umieszczono ekran.

Kilka lat wcześniej pękła widocznie rurka do wody. Powstał przeciek, który spowodował podnoszenie się skały. Oczyszczające spryskiwacze przestały działać, a mieszkaniec pokoju obawiał się wpuścić ekipę naprawczą do środka. Od tego czasu został pozbawiony czystości.

Podłoga była zawalona rozkładającymi się resztkami żywności i ogromną ilością pustych puszek i papierowych opakowań. Gdy panna młoda weszła do pokoju, karaluchy rozbiegły się na wszystkie

strony. Myszy popędziły do swych kryjówek.

Postać w bieli uniosła swą atlasową suknię prawie do bioder. Z talii odwinęła cienką, nylonową linkę zakończoną pętlą.

Spojrzała, by upewnić się, co robi Weaver. Patrzył w ekran nad głową z niemal hipnotycznym skupieniem. Słuchał tego, co mówił Pearce:

- Starzenie się nie jest procesem fizjologicznym, zależy od psychiki. Umysł staje się coraz bardziej zmęczony i pozwala na śmierć ciała. Tylko połowa z odporności Cartwrightów tkwi w ich krwi, drugą część stanowi niespotykana wola życia. Masz sto pięćdziesiąt trzy lata. Opiekowałem się twoim ojcem, który zmarł, zanim ty się urodziłeś. Zrobiłem mu rozmyślnie transfuzję złotej krwi Marshalla Cartwrighta.

- Ale to oznacza, że ty... - wyszeptał Weaver.

- Że mam prawie dwieście lat - dokończył Pearce. Jego głos był silny, głęboki. Już nie szeptał. - Bez żadnej transfuzji z krwi Cartwrightów, żadnego zastrzyku z eliksiru życia. Sprawny umysł może sprawować świadomą kontrolę nad autonomicznym systemem nerwowym, nad każdą komórką, która produkuje krew lub tkanki ciała.

Panna młoda wyciągnęła szyję, by popatrzeć na ekran w suficie. Pearce wyglądał dziwnie. Był wyższy, nogi miał proste i muskularne.

Ramiona poszerzyły się. Muskuly i tkanka tłuszczowa formowały się pod skórą, wypełniając ją i wygładzając zmarszczki. Kości policzkowe pokryły się młodym ciałem i młodą skórą. Jedwabiste, białe włosy zgrubiały i stały się ciemniejsze.

- Ciekawi cię, dlaczego pozostawałem stary? - zapytał Pearce grzmiącym, potężnym głosem. - Jest to coś, czego nie można używać tylko dla siebie, przychodzi wraz z daniem, a nie z braniem.

Zapadnięte dotąd powieki uzdrawiacza nabrzmiały, pobladły i otworzyły się. Przed gubernatorem stał wysoki, silny i prosty, z pewnością nie starszy niż trzydziestoletni Pearce. Ukryta moc promieniowała z jego twarzy, moc spokojna, trzymana pod stałą kontrolą.

Nagle na ekranie pojawiła się Marna.

Oczy Weavera prawie wyszły z orbit. Odwrócił głowę w stronę panny młodej. Harry szybko uwolnił się z welonu i ścisnął linkę pomiędzy dwoma palcami. Pierwszy rzut musiał być celny, gdyż mogłoby się okazać, że drugi będzie już niemożliwy. Palce chirurga, jakim przecież był Harry, były zręczne, ale nigdy nie rzucały lassem. Christopher wytłumaczył Harry'emu, jak się to robi, ale nie było już czasu na próby.

Gdyby dostał się w zasięg tych ciastowatych ramion, ich uścisk mógłby go zmiażdżyć.

Wkrótce potem ruszyli. Harry przyjął dla swej małej grupy metodę zachęty, która wyrażała się ciągłym niezadowoleniem.

- Szybciej - powiedział. - Tylko kilka minut zostało do godziny policyjnej.

Dziewczyna spojrzała na niego i odwróciła wzrok. Pearce, poruszający się i tak szybciej niż Harry, odezwał się cicho:

- Spokojnie. Będziemy tam na czas.

Żadne z nich nie mogłoby już iść szybciej, chociaż było niezmiernie ważne, by dotrzeć do bramy przed godziną policyjną. Harry szybko ruszył naprzód i pozostawiał innych z tyłu. Przegub ręki zaczął go piec, potem parzyć, płonąć, aż w końcu ranić głęboko. Im dalej z tyłu zostawała Marna, tym ból był większy. Pocieszało go tylko to, że nadgarstek boli dziewczynę tak samo jak jego.

Po krótkiej chwili ból zaczął słabnąć. Wiedział bez patrzenia, że złamał jej opór. Kiedy odwrócił

się, była nie więcej jak sześć metrów za nim. Nic bliżej. Wolała znosić ból niż przybliżyć się bardziej.

Musiał zatrzymać się i poczekać na starca. Dziewczyna przeszła obok i poszła dalej, ale po krótkiej chwili zawróciła, nie mogąc powstrzymać bólu. Później zatrzymywała się za każdym razem, gdy on przystawał.

Był to mały triumf Harry'ego, ale aż wzdrygnął się, gdy zaczął myśleć o tej śmiertelnej błyskotce na przegubie dłoni. O osobliwym stanie świata, w którym Centrum Medyczne nie mogło skontaktować się z posiadłością gubernatora przez trzy tygodnie. O świecie, w którym nawet uzbrojony konwój nie mógł się tam przedostać, a wiadomość musiała zostać przekazana przez pieszego posłańca.

W innych warunkach Harry uważałby, że Marna jest ślicznym stworzeniem do zabawy. Była szczupła i pełna wdzięku. Skórę miała czystą, bez wyprysków, twarz regularną i przyjemną, a kontrast pomiędzy ciemnymi włosami i niebieskimi oczami był czymś niezwykłym. Ale była młoda i zbuntowana, a poza tym związana z nim przez jakże nienawistne okoliczności. Ich spotkanie było zbyt gwałtowne i co więcej, była jeszcze dzieckiem.

Dotarli do bramy miasta na minutę przed czasem.

Po obu stronach, jak okiem sięgnąć, otaczała miasto podwójna zaporę z łańcuchów, która naprawdę nie miała końca. W nocy była pod napięciem, a krwiożercze psy patrolowały przestrzeń pomiędzy łańcuchami. W tym właśnie momencie głowa Weavera uniosła się. Oczy wyrażały zdziwienie, a ręka powędrowała w kierunku konsoli. Linka świsnęła w powietrzu. Pętla zsunęła się po głowie gubernatora i zacisnęła się na szyi.

Harry błyskawicznie owinał kilka razy linkę wokół dłoni i pociągnął potężnie. Weaver targnął się gwałtownie. Cienka żyłka zniknęła w miękkim ciele na jego szyi. Klockowate palce drapały, rozrywając skórę, a ciało runęło na materac.

"Mam - pomyślał Harry - nieśmiertelnego na końcu wędkarskiej żyłki: wielkiego białego wieloryba, walczącego, by się z niej urwać i żyć wiecznie, szarpiącego się dziko i gwałtownie." Wszystko to było nierealne jak sen.

Weaver, jakimś tytanicznym wysiłkiem, obrócił się. Zacisnął dłonie wokół linki. Klęknął na miękkich, jakby rozlanych, kolanach i pociągnął Harry'ego w kierunku materaca. Oczy prawie wypływały z ciastowa-tej twarzy gubernatora.

Harry zaparł się piętami w podłogę. Weaver wstał. Wyglądał jak wieloryb wyrzucający swe ogromne cielsko niewiarygodnie wysoko z wody. Stał bezkształtny, monstrualny, z purpurową twarzą. Nagle serce przestało bić i ciało obwisło. Rozpłynęło się jak roztopiona woskowa figurka. Zostało na materacu, gdzie pozostawało bez przerwy od bez mała trzech czwartych wieku.

Oszołomiony Harry odwinął linkę z dłoni. Ręka była przecięta głęboko i krwawiła. Wcześniej nic nie poczuł. Zaniknął oczy i zaczął drżeć.

Po pewnym czasie, nigdy później nie potrafił określić jak długim, usłyszał, że ktoś go woła.

- Harry! - krzyczała Marna. - Jesteś cały i zdrowy? Harry, proszę! Wciągnął głęboko powietrze.

- Tak, tak. W porządku.

- Szybko, do konsoli! - zawołał młody mężczyzna, którym był Pearce. - Musimy znaleźć właściwe przyciski, chociaż powinny być oznakowane. Uwolniliśmy matkę i babkę Marny. Teraz sami musimy się stąd wydostać. Marshall Cartwright jest na zewnątrz i myślę, że zaczyna się niecierpliwić.

Skąd to wiedział? Harry nie mógł tego zrozumieć. Ale znał odpowiedź. Umiejętności Pearce'a nie

kończyły się na uzdrawianiu. Jego woli poddawały się również inne zmysły, pozwalające na lokalizację ludzi, rzeczy, a czasem nawet na odczytywanie myśli. Christopher także był taki. Teraz to rozumiał.

Skinął głową, ale nie poruszył się. Silnemu człowiekowi mogłoby się udać stworzenie świata, gdzie nieśmiertelność będzie faktem, a nie marzeniem. A on musiałby żyć w tym świecie razem z jego straszliwymi problemami. Mogłyby okazać się większe, niż można to sobie wyobrazić.

Ruszył naprzód, by rozpocząć poszukiwania.

Tłumaczył Waldemar W. Pietruszek